

# TOM CLANCY



OP-CENTER  
CENTRUM SZYBKIEGO REAGOWANIA

# CENTRUM

Seria Toma Clancy'ego i Steve'a Pieczenika

**Tom Clancy**

**Centrum**

□ **Wtorek, godzina 16.10 - Seul**

Gregory Donald pociągnął łyk szkockiej i rozejrzył się po zatłoczonym barze.

- Czy kiedykolwiek zdarza ci się wracać myślą do przeszłości, Kim? Nie do dzisiejszego ranka, czy zeszłego tygodnia, ale... bardziej odległej przeszłości?

Kim Huan, zastępca dyrektora Koreańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej, KCIA, wbił czerwoną słomkę w plasterek cytryny w szklance z dietetyczną Coca Colą.

- Dla mnie, Greg, ten rano rzeczywiście należy do zamierchłej przeszłości. Zwłaszcza w dni takie, jak dzisiaj. Ileż ja bym dał, żeby znaleźć się teraz w łodzi rybackiej z wujem Pakiem w Jangjang.

- Czy dalej -jest taki krewki, jak kiedyś? - roześmiał się Donald.

- Jeszcze bardziej. Pamiętasz, jak miał kiedyś dwie łodzie rybackie? Jednej już zdążył się pozbyć. Powiedział, że nie chce mieć współnika. Z drugiej strony ja sam też czasem wolałbym stawiać czoło rybom i sztormom, niż biurokratom. Pamiętasz przecież, jak było. -

Huan kątem oka ujrzał, że dwaj mężczyźni, którzy do tej pory siedzieli koło niego, zapłacili i wyszli.

- Pamiętam. - Donald skinął głową. - Dlatego się wycofałem.

Huan nachylił-się bliżej i rozejrzył dookoła. Jego oczy zwęziły się, a regularne, wyraźne rysy twarzy przybrały konspiracyjny wyraz.

- Nie chciałem nic mówić, dopóki są tu dziennikarze z „Seoul Press”, ale czy uwierzysz, że uziemili mi helikoptery na cały dzisiejszy dzień?

Brwi Donalda, wygięły się w łuk ze zdziwienia.

- Wariaci?

- Gorzej. Te dupki z telewizji powiedziały, że helikoptery latające im nad głowami narobią zbyt wiele hałasu i zepsują cały dźwięk. Więc gdyby się coś zdarzyło, nie mamy żadnego rozpoznania z powietrza.

Donald dopił szkocką, a potem sięgnął do bocznej kieszeni tweedowej marynarki.

- Okropne, ale tak samo jest wszędzie, Kim. Efekciarstwo wypiera prawdziwy talent.

Identycznie jest w wywiadzie, w rządzie, nawet w Towarzystwie Przyjaźni Amerykańsko-Koreańskiej. Nikt nie zabiera się od razu do pracy, bo wszystko trzeba najpierw przeanalizować i

ocenić, a tymczasem twój pomysł jest już wart tyle, co zeszłoroczny śnieg.

Huan powoli pokręcił głową.

- Byłem rozczarowany, kiedy postanowiłeś z Firmy przejść do dyplomacji, ale teraz widzę, że miałeś nosa. Mimo tych wszelkich usprawnień, i tak ledwie człowiekowi starcza czasu na utrzymanie status quo.

- Ale nikomu się to lepiej nie udaje niż tobie.

- Bo kocham Agencję. - Huan uśmiechnął się..

Donald skinął głową. Wyciągnął fajkę z pianki morskiej firmy Block i paczkę tytoniu Balkan Sobranie.

- Powiedz mi... spodziewasz się dzisiaj kłopotów?

- Otrzymaliśmy pogróżki od stałych bywalców na naszej liście radykałów, rewolucjonistów i innych wariatów, ale wiemy co to za jedni i gdzie ich szukać, więc mamy na nich oko. Są jak te czubki, co wydzwanają podczas każdego programu Howarda Sterna. Codziennie ta sama śpiewka. Ale na szczęście przestają głównie na gadaniu.

Brwi Donalda znów wygięły się w łuk, gdy nabił fajkę szczyptą tytoniu.

- Oglądacie tu Howarda Sterna?

- Nie. - Huan dopił lemoniadę. - Ale miałem okazję obejrzeć go na pirackich kasetach, kiedy w zeszłym tygodniu rozbiliśmy siatkę dystrybucji. Nie udawaj, Greg, przecież znasz ten kraj. Rząd nadal uważa, że Oprah jest zbyt niecenzuralna.

Donald roześmiał się, zaś gdy Huan odwrócił się i powiedział coś do barmana, jeszcze raz niebieskimi oczami powiódł z wolna po mrocznej sali.

Spostrzegł kilku Koreańczyków, lecz tak jak zwykle w barach wokół budynków rządowych, przede wszystkim bywali tu przedstawiciele międzynarodowych mediów: Heather Jackson z CBS, Barny Berk z „New York Times”, Gil Vanderwald z „Pacific Spectator” oraz inni, na których nie zwracał uwagi ani się do nich nie odzywał. Dlatego przyszedł tu wcześniej i schował się w dalekim, ciemnym zakątku baru, i z tego też powodu nie towarzyszyła im jego żona, Sundzi. Podobnie jak Donald, Sundzi uważała, że prasa nigdy nie traktuje go sprawiedliwie - wtedy, gdy był amerykańskim ambasadorem w Korei dwadzieścia lat temu, ani wtedy, gdy został doradcą Centrum do spraw Korei zaledwie przed trzema miesiącami.. W odróżnieniu od swego męża, Sundzi nerwowo reagowała na nieprzychylnie komentarze prasy Gregory już dawno nauczył się szukać zapomnienia w kłębach dymu ze swej zabytkowej fajki, równie ulotnych jak gazetowe nagłówki.

Na chwilę podszedł do nich barman, zaś Huan, obróciwszy się tyłem do baru utkwiał swe ciemne oczy

w Donaldzie i położył prawą dłoń płasko i sztywno na kontuarze.

- Dlaczego pytałeś? - podjął. - O wracanie myślą w przeszłość?

Donald ubił w fajce resztę tytoniu.

- Pamiętasz faceta, który nazywał się Jungil Oh?

- Tak sobie - odparł Huan. - Uczył kiedyś w Agencji.

Był jednym z założycieli wydziału psychologii - powiedział Donald. - Fascynujący starszy pan z Taegu. Kiedy przyjechałem tu po raz pierwszy w 1952 roku, Oh właśnie odchodził.

Tak naprawdę, to go wywalili. KCIA bardzo się starała zostać nowoczesną agencją wywiadowczą na amerykańską modłę, zaś Oh, gdy nie prowadził wykładów z wojny psychologicznej, wprowadzał chętnych w tajniki Czondokyo.

- Religia w KCIA? Szpieczy i wiara?

- Niezupełnie. Chodziło mu raczej o duchowe, metafizyczne podejście do dedukcji i śledztwa, które sam opracował. Nauczał, że cienie przeszłości i przyszłości są zawsze wokół

nasi wierzył, że poprzez medytację, refleksję nad ludźmi i wydarzeniami, zarówno tymi, które już się rozegrały jak i tymi, które dopiero nadejdą, jesteśmy w stanie ich dotknąć.

- I co dalej?

- A one pomogą nam jaśniej pojąć teraźniejszość. - Nic dziwnego, że go zwolnili -

zachichotał Huan.

- Nie pasował do nas - przyznał Donald - i, prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, żeby miał

wszystkie klepki w porządku. Może się zdziwisz, ale coraz częściej wydaje mi się, że dziadek był blisko sedna, tuż tuż, może nawet już pukał do drzwi.

Donald sięgnął do kieszeni po zapalki. Huan uważnie przyglądał się swemu byłemu mistrzowi.

- Coś konkretnego?

- Nie - przyznał Donald. - Tylko przecucie.

Huan powoli podrapał się w prawą rękę.

- Zawsze interesowałeś się dziwnymi ludźmi.

- Dlaczego nie? Zawsze istnieje szansa, że się czegoś od nich nauczysz.

- Jak z tym starym mistrzem *tae kwon do*. Tym, którego przyprowadziłeś, żeby nauczył nas *naginaty*.

Donald zapalił drewnianą zapałkę i trzymając cybuch fajki głęboko w lewej dłoni przyłożył płomień do tytoniu.

- To był dobry kurs, powinni go byli nawet rozszerzyć. Nigdy nie wiadomo, kiedy będziesz bezbronny i będziesz musiał się ratować zwiniętą w rulon gazetą albo...

Huan jednym ruchem zeskoczył ze stołka, a spod prawego przedramienia błyskawicznie wysunął ostrze zębatego noża do krojenia steków.

W tej samej chwili Donald odchylił się do tyłu i, nadal trzymając fajkę, wygiął nadgarstek i skierował prosty cybuch ku Huanowi. Sparował błyskawiczny cios noża obracając cybuch w dół na lewo, odparł atak z kwarty i odbił ostrze przeciwnika w lewą stronę.

Huan cofnął nóż i znów natarł do przodu, lecz Donald szybkim ruchem nadgarstka odbił go znów w lewo, po czym powtórzył manewr po raz trzeci. Gdy jego młody przeciwnik wykonał

niskie cięcie w prawą stronę, Donald błyskawicznie odchylił łokieć w bok, trafił cybuchem w nóż i ponownie sparował sztych. .

Przytłumione odgłosy ich sparringu przyciągnęły uwagę najbliższych siedzących ludzi. Głowy odwróciły się, by podziwiać pojedynek dwóch mężczyzn, których ramiona poruszały się tam i z powrotem niczym tłoki silnika, a nadgarstki obracały się z niesamowitą precyzją i wprawą.

- Czy oni walczą na serio? - zapytał technik w firmowej koszulce sieci telewizyjnej CNN.

Nie zważając na gapiów, toczyli bój w milczeniu, z kamiennymi twarzami, wzrokiem utkwionym w oczach przeciwnika, zastygłymi w bezruchu ciałami, prócz ścierających się ze sobą lewych rąk. Usta mieli obaj zaciśnięte i oddychali szybko przez nozdrza.

Wkrótce wokół walczących zgromadziło się spore półkole widzów. Po błyskawicznej wymianie ciosów, Huan zrobił gwałtowny wypad do przodu, a Donald złapał nóż w oktawie, podbił na sekstę, a następnie klasycznym *prise-de-fer* lekko podbił dłoń Huana, na mgnienie oka puścił ostrze i, uderzając ostro w septymie, posłał nóż przeciwnika na podłogę.

Wpatrując się nadal w Huana, Donald lekkim ruchem prawej dłoni zgasił palącą się nadal zapałkę.

Tłum nagrodził zwycięzcę gromką owacją, a kilku ludzi podeszło, by poklepać Donalda po plecach. Huan z uśmiechem wyciągnął rękę. Donald oburącz uścisnął mu mocno dłoń.

- Jesteś nadal niepokonany - powiedział Huan.

- Nie szedłeś na całego...

- Tylko na początku, na wypadek, gdybyś zareagował zbyt wolno. Ale nie. Wciąż poruszasz się jak duch.

- Jak duch? - odezwał się słodki głos zza pleców Donalda.

Donald odwrócił się i zobaczył swoją żonę, która torowała sobie drogę w tłumie rozchodzących się widzów. Jej młodzieńcza uroda przyciągała spojrzenia dziennikarzy.

- Jak ci nie wstyd? - powiedziała do męża. - Zupełnie, jak inspektor Clouseau ze swoim służącym.

Huan skłonił się w pas, a Donald objął żonę, przytulił i pocałował.

- To nie było przeznaczone dla twych oczu - bronił się Donald, wyciągając nową zapalniczkę, by wreszcie zapalić fajkę. Spojrzał na neonowy zegar nad barem. - Myślałem, że mieliśmy się spotkać przy trybunie za piętnaście minut.

- Temu - uzupełniła.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Piętnaście minut temu.

Donald spuścił wzrok. Przygładził dłonią siwe włosy.

- Przepraszam. Porównywaliśmy właśnie z Kimem opowieści rodem z horrorów i nasze najskrytsze marzenia.

- Które w znakomitej większości niczym się od siebie nie różniły - zauważył Huan.

Sundzi uśmiechnęła się.

- Domyślałam się, że po dwóch latach będziecie mieli sobie wiele do powiedzenia. -

Spojrzała na męża. - Kochanie, jeżeli chcesz jeszcze trochę porozmawiać, albo uprawiać szermierkę innymi sztuczkami po uroczystościach, mogę odwołać obiad z rodzicami...

- Nie - Huan wtrącił szybko. - Nie rób tego. Muszę do późnego wieczora posiedzieć nad raportem z dzisiejszej uroczystości... A poza tym na waszym ślubie miałem okazję poznać twojego ojca. Jest bardzo postawnym mężczyzną. Niedługo postaram się wpaść do Waszyngtonu i spędzę z wami trochę czasu. Może nawet znajdę sobie żonę Amerykankę, skoro Greg porwał najpiękniejszą kobietę w Korei.

Sundzi uśmiechnęła się doń kącikami ust.

- Ktoś musiał mu pokazać, co to znaczy naprawdę się odprężyć.

Huan poprosił barmana, by policzył drinki na rachunek KCIA, potem podniósł nóż, położył go na barze i spojrzał na swego starego przyjaciela.

- Zanim się pożegnamy, chciałbym ci powiedzieć, Greg, że bardzo tęskniłem za tobą.

- To widać - odparł Donald, wskazując na nóż.

Sundzi trzepnęła go w ramię. Odwrócił się i pogłaskał ją w policzek wierzchem dłoni.

- Naprawdę - powtórzył Huan. - Wiele myślałem o tych latach po wojnie, kiedy się mną opiekowałeś. Gdyby żyli moi prawdziwi rodzice, z pewnością nie miałbym bardziej kochającej rodziny.

Huan skłonił głowę i wyszedł, zaś Donald wbił wzrok w ziemię. Sundzi odprowadziła Huana wzrokiem, po czym położyła szczupłą dłoń na ręce męża.

- Miał łzy w oczach.

- Wiem.

- Wyszedł od razu, żeby cię nie krępować.

Donald przytaknął, potem spojrzał na swą żonę, na kobietę, która pokazała mu, że młodość i mądrość wcale nie wykluczają się wzajemnie... i że choć wyprostowanie się z rana zabiera czasem cholernie dużo czasu, to wiek jest tak - naprawdę tylko stanem umysłu.

- Właśnie dlatego jest kimś szczególnym - powiedział Donald, gdy Huan wyszedł w słoneczną jasność. - Kim jest miękki w środku, a twardy na zewnątrz. Jungil Oh mawiał, że to zbroja na każdą okoliczność.

- Jungil Oh?

Donald wziął ją za rękę i wyprowadził z baru.

- Człowiek, który pracował kiedyś dla KCIA. Zaczynam żałować, że nie poznałem go bliżej.

Pozostawiając za sobą cienką smużkę dymu, Donald wyszedł z żoną na szerokie, zatłoczone Czonggyeczonno. Skręcając na północ, szli trzymając się za ręce w stronę okazałego pałacu Kyongbok na tyłach starego Kapitolu, wybudowanego w 1392 i przebudowanego w 1867 roku. Po chwili dostrzegli już długą niebieską trybunę dla osobistości i przygotowania do czegoś, co zanosilo się na osobliwe połączenie nudy i efektownego przedstawienia - Korea Południowa świętowała rocznicę wyboru swego pierwszego prezydenta.



## □ Wtorek, godzina 17.30 - Seul

Piwnica przeznaczonego do rozbiórki hotelu przesycona była wonią ludzi, którzy sypiali tam w nocy, stęchłym, zalatującym alkoholem zapachem biednych i zapomnianych, dla których ten dzień, ta rocznica oznaczała jedynie okazję otrzymania kilku dodatkowych monet od tych, którzy przychodzili popatrzeć. Lecz choć stali mieszkańcy wyszli żebrac na swoją codzienną miseczkę ryżu, małe pomieszczenie o ścianach z cegły nie było puste.

Jakiś mężczyzna otworzył położone tuż nad trotuarem okno i wślizgnął się do środka. Za nim weszło dwóch innych. Dziesięć minut wcześniej cała trójka przebywała w apartamencie w hotelu „Savoy”, swej bazie operacyjnej, gdzie każdy z nich przebrał się w nie wyróżniające się ubranie ulicznika. Każdy z nich niósł tani, czarny worek marynarski. Dwóch obchodziło się ze swymi torbami nadzwyczaj ostrożnie, trzeci zaś, z piracką opaską na oku, nie dbał o swoją zupełnie. Podszedł do miejsca, w którym bezdomni zgromadzili połamane krzesła i podartą odzież, położył torbę na starej, drewnianej szkolnej ławce i odsunął zamek błyskawiczny.

Wyjąwszy z niej parę butów, Pirat podał je jednemu z mężczyzn, kolejna powędrowała do drugiego, zaś trzecią zatrzymał dla siebie.

Mężczyźni pospiesznie zdjęli obuwie, w którym przyszli, ukryli je w stosie łachmanów i włożyli nowe. Pirat znów sięgnął do torby i wyjął plastikową butelkę źródlanej wody, po czym schował torbę w ciemnym kącie pokoju. Nie była pusta, lecz na razie nie potrzebowali jej zawartości.

Już niedługo, pomyślał Pirat. A jak wszystko pójdzie dobrze, jeszcze prędeej.

Trzymając wodę w odzianej w rękawiczkę dłoni, Pirat wrócił do okna, otworzył je i wyjrzał na zewnątrz. Droga wolna. Skinął na swych towarzyszy

Przecisnąwszy się przez okno, pomógł pozostałym wygramolić się z torbami. Gdy już wszyscy wyszli na uliczkę, otworzył butelkę i po kolei wypili większość wody. Rzucił

butelkę na ziemię, gdy było w niej jeszcze około jednej czwartej zawartości i podeptał ją, rozchlapując wodę dookoła. Zrzuciwszy torby na ramiona, mężczyźni ruszyli na drugą stronę uliczki, umyślnie przechodząc przez rozlaną wodę, i skierowali się w stronę Czonggyeczonno.

Piętnaście minut przed planowanym rozpoczęciem przemówień, Kuang Ho i Kuang Li -

znani przyjaciółom i rządowemu biuru prasowemu jako K-Jeden i K-Dwa - po raz ostatni sprawdzali działanie aparatury nagłaśniającej.

Wysoki i szczupły K-Jeden stał na podium w jaskrawoczerwonej marynarce ostro kontrastującej z majestatyczną budowlą za jego plecami. Około trzystu metrów za trybuną wysoki i mocno zbudowany

K-Dwa siedział w wozie technicznym nachylony nad konsolą i ze słuchawkami na uszach wsłuchiwał się w każde słowo swojego partnera. K-Jeden stanął

przed jednym z mikrofonów.

- Na samej górze siedzi okropnie gruba baba - powiedział. - Myślę, że trybuna może się zawalić.

K-Dwa uśmiechnął się i z trudem opanował pokusę przełączenia głosu kolegi na głośniki.

Zamiast tego nacisnął przycisk na konsoli i pod mikrofonem zapaliła się czerwona lampka, wskazując, że jest na linii. K-Jeden nakrył sprawdzony mikrofon dłonią i przeszedł do środkowego.

- Wyobrażasz sobie taką bzyknać? - zapytał K-Jeden. Utonąłbyś w jej pocie.

Pokusa stawała się coraz silniejsza. Lecz jak poprzednio, K-Dwa nacisnął tylko przycisk na konsoli. Znow zapaliła się czerwona lampka. K-Jeden nakrył środkowy mikrofon dłonią i odezwał się do trzeciego.

- Och - powiedział K-Jeden. - Strasznie mi przykro. To twoja kuzynka, Czun. Nie wiedziałem, Kuang. Naprawdę.

K-Dwa nacisnął ostatni przycisk i spoglądał, jak K-Jeden idzie do wozu transmisyjnego CNN, żeby sprawdzić, czy kable są dobrze połączone..

Potrząsnął głową. Kiedyś to robi. Na pewno. Poczeka, aż powszechnie szanowany akustyk powie coś rzeczywiście niestosownego i...

Nagle świat utonął w mroku i K-Dwa opadł na konsolę. Pirat zepchnął potężnego mężczyznę na podłogę wozu technicznego i wepchnął do kieszeni krótką, metalową pałkę na rzemieniu. Gdy zaczął odkręcać blat konsoli, jego towarzysz ostrożnie otworzył torby, zaś trzeci współnik stał z pałką przy drzwiach na wypadek, gdyby wrócił drugi akustyk.

Pirat w pośpiechu podniósł metalową pokrywę, oparł ją o ścianę wozu i przyjrzał się przewodom. Gdy znalazł ten, którego szukał, spojrział na zegarek. Zostało im siedem minut.

- Szybciej - warknął.

Drugi mężczyzna skinął głową, ostrożnie wyjmując po bryłce plastiku z każdej torby. Przycisnął je do spodu konsoli w niewidocznym miejscu. Gdy skończył, Pirat wyjął dwa przewody z toreb i podał kompanowi, który wsunął po jednym w każdą bryłkę, a potem podał wolne końce Piratowi.

Pirat wyrzwał w stronę podium przez małe jednostronnie przezroczyste okienko. Politycy już się gromadzili. Zdrajcy i patrioci rozmawiali ze sobą przyjaźnie. Nikt się nie zorientuje, że coś tu nie gra.

Wyłączając trzy przyciski mikrofonów, Pirat szybko połączył końcówki przewodów prowadzących od plastiku z przewodami aparatury nagłaśniającej. Następnie z powrotem założył metalową pokrywę.

Jego towarzysze chwycili puste torby i wszyscy trzej oddalili się tak samo cicho, jak przyszli.

### □ Wtorek, godzina 3.50 - Chevy Chase, Maryland

Paul Hood przewrócił się na bok i spojrzał na zegarek. Potem położył się i przesunął dłonią po czarnych włosach.

Cholera, nie ma jeszcze czwartej.

Kolejny raz budził się bez żadnego powodu. Nie zanosiło się na żadną katastrofę, żadnych przewlekłych problemów, za rogiem nie czaił się żaden groźny kryzys. A mimo to niemal co noc, odkąd się tutaj wprowadzili, aktywny umysł delikatnie budził go i podszeptował. Cztery godziny snu wystarczy, panie dyrektorze! Czas wstać i czymś się pomartwić.

Można zwariować. Centrum wyrywało mu z życia przeciętnie dwanaście godzin dziennie, a czasami - podczas sytuacji kryzysowych z zakładnikami lub ryzykownej obławy dokładnie dwa razy tyle. Cóż za sprawiedliwość, żeby nie dawało mu spokoju także we wczesnych godzinach rannych!

Tak, jakbyś miał jakiś wybór. Od pierwszych dni pracy na stanowisku bankiera inwestycyjnego poprzez posadę zastępcy sekretarza skarbu, aż po urząd burmistrza jednego z najdziwniejszych i najbardziej pokreconych miast na świecie, wciąż pozostawał więźniem swego umysłu. Zadręczał się pytaniami, czy nie ma lepszych rozwiązań, czy aby nie przeoczył jakiegoś szczegółu, czy nie zapomniał komuś podziękować, kogoś opieprzyć... czy nawet kogoś pocałować.

Paul z roztargnieniem pocierał twarz o mocnych rysach i głębokich bruzdach. Potem spojrzał na leżącą obok żonę. Boże, błogosław Sharon. Zawsze udawało jej się zasnąć snem sprawiedliwego. Ale przecież wyszła za niego za męża, a to wyczerpałoby każdego. Albo rzuciło w objęcia adwokata. A może jedno i drugie.

Oparł się pokusie dotknięcia jej rudych włosów. Choćby tylko włosów. W bladej poświacie czerwcowego księżyca jej szczupłe ciało przypominała grecką rzeźbę. Miała czterdzieści jeden lat, lecz dzięki szczupłej sylwetce i urodzie skandynawskiej narciarki wyglądała o dziesięć lat młodziej i tryskała energią dziewczyny młodszej o kolejne dziesięć.

Sharon była rzeczywiście niezwykła. Gdy był burmistrzem Los Angeles, przychodził do domu i jadł późny obiad, zwykle rozmawiając przez telefon pomiędzy sałatką a kawą, gdy tymczasem ona kładła dzieci do łóżka. Potem siadywała z nim na sofie lub przytulała się i okłamywała go przekonywająco, że nic ważnego się nie stało, że jej ochotnicza praca na oddziale pediatrycznym szpitala Cedars idzie dobrze. Zamykała się po to, żeby on mógł się otworzyć i zwalić na nią wszystkie swoje kłopoty z całego dnia.

Jasne, przypominał sobie. Nic ważnego się nie zdarzyło. Oprócz takich drobiazgów jak okropne ataki astmy Alexandra, kłopoty Harleigh z dziećmiakami w szkole, telefony z pogrózkami, listy i paczki od radykalnej prawicy, skrajnej lewicy, a nawet kiedyś ekspresowa przesyłka od dwupartyjnego sojuszu obu.

Nic się nie zdarzyło.

Postanowił nie ubiegać się o wybór na następną kadencję między innymi dlatego, by dzieci nie wychowywały się bez ojca. A może dlatego, że on starzeje się bez nich... nie był pewien, co bardziej go niepokoi. A nawet Sharon, jego opoka, dawała mu do zrozumienia, żeby dla dobra całej rodziny znalazł sobie coś mniej absorbującego.

Gdy przed sześcioma miesiącami prezydent zaproponował mu kierownictwo Centrum, nowej niezależnej agencji rządowej, której istnienia prasa jeszcze nie zdążyła rozdmuchać, Hood miał właśnie zamiar powrócić do bankowości. Lecz gdy wspomniał o propozycji w domu, dzieci - dziesięcioletni syn i dwunastoletnia córka - z niekłamanym entuzjazmem przyjęły możliwość przeprowadzki do Waszyngtonu. Sharon miała rodzinę w Wirginii, a przecież oboje dobrze wiedzieli, że główna rola w prawdziwym serialu z gatunku płaszczka i szpada musi być bardziej pociągająca, niż liczenie czeków i dolarów. Paul przewrócił się na boki wyciągnął dłoń na odległość kilku centymetrów od nagiego, alabastrowego ramienia Sharon. Żaden autor wstępniaków w prasie Los Angeles nigdy tego nie zrozumiał. Owszem, dostrzegali czar i inteligencję Sharon, wiedzieli, że swym urokiem odciąga ludzi od bekonu i pączków w cotygodniowym, półgodzinnym programie o zdrowej diecie w telewizji kablowej, lecz nigdy nie zdawali sobie sprawy w jakim stopniu jej siła i stałość pomogły mu odnieść sukces.

Przesunął dłonią w powietrzu wzdłuż jej białego ramienia. Muszą to kiedyś zrobić na plaży Tam, gdzie nie będzie musiała się martwić, że usłyszą dzieci, że zadzwoni telefon, że zaraz przyjedzie kurier UPS z przesyłką. Od dość dawna nigdzie razem nie byli. Prawdę mówiąc, ani razu od przeprowadzki do Waszyngtonu.

Gdyby tylko mógł się odprężyć, nie martwić, co się dzieje w Centrum. Mike Rodgers był zdolny jak cholera, ale przy jego szczęściu agencja trafi na swój pierwszy wielki kryzys, gdy on będzie na Wyspie Pitcaim i miną całe tygodnie, zanim da radę wrócić. Nie przeżyłby, gdyby Rodgers kiedyś wręczył mu taki prezent, nawet gdyby był ładnie opakowany. A ty znowu swoje.

Paul potrząsnął głową. Oto leżał obok jednej z najatrakcyjniejszych kobiet w Waszyngtonie, a myślami uciekał do pracy. Nie czas na wycieczkę, powiedział sobie.

Najwyższy czas na rozcięcie półkul mózgowych.

Z miłością i pożądaniem patrzył na powolny oddech Sharon, na jej falujące piersi; jakby go przyzywały. Wyciągnął rękę i zawiesił dłoń nad przeźroczystym materiałem jej koszuli nocnej. A co tam, niech się dzieci budzą. Cóż takiego usłyszą? Że kocha ich matkę, a ona kocha jego?

Właśnie dotknął palcami jedwabnej tkaniny, gdy usłyszał płacz z drugiego pokoju.

□ **Wtorek, godzina 17.55 - Seul**

- Naprawdę powinieneś spędzać z nim więcej czasu, Gregory. Cały jesteś w wypiekach, wiesz?

Donald postukał fajką o siedzenie na trybunie. Patrzył, jak popiół spada z górnego rzędu na ulicę, po czym schował fajkę do futerału.

- Dlaczego nie wpadniesz na cały tydzień lub dwa? Sama poradzę sobie z prowadzeniem Towarzystwa.

- Bo potrzebuję cię teraz. - Donald spojrział jej w oczy.

- Możesz mieć nas oboje. Jak się nazywała ta piosenka Toma Jonesa, którą zawsze grała moja matka? „W moim sercu jest dość miłości dla dwojga...”

- Sundzi, Kim nigdy nie pojmie, jak wiele dla mnie zrobił - roześmiał się Donald. - Tylko dzięki temu, że zabrałem go do siebie z sierocińca nie postradałem zmysłów. Jego niewinność w iście karmiczny sposób równoważyła grozę naszych złowieszczych planów w KCIA i pracę w ambasadzie.

- Co to ma wspólnego z częstszymi spotkaniami? - Sundzi zmarszczyła brwi.

- Kiedy jesteśmy razem... To chyba wynika z kultury tego kraju, a po części charakteru samego Kima, bo nigdy nie udało mi się wpoić w niego tej postawy, która tak łatwo przychodzi amerykańskim dzieciom: zapomnij o swoich starych i sam baw się dobrze.

- Jak możesz oczekiwać, że zapomni o tobie?

- Nie, wcale tego nie oczekuję, ale Kiurowi wciąż się chyba wydaje, że nie spłacił wobec mnie długu wdzięczności i bierze to sobie bardzo, bardzo głęboko do serca. To wcale nie KCIA ma rachunek w tym barze, tylko Kim. Wiedział, że nie wygra naszej walki, ale był

gotów znieść publiczne upokorzenie dla mnie. Kiedy jesteśmy razem, zawsze dźwiga to poczucie obowiązku jak zawieszony u szyi kamień młyński. Nie chcę, żeby się tym gryzł.

Sundzi wzięła go pod rękę i odsunęła włosy wolną dłonią.

- Nie masz racji. Powinieneś go kochać tak, jak tego potrzebuje... - Zastygła na chwilę, po czym wyprostowała się gwałtownie.

- Sun? Co się stało?

Sundzi rzuciła okiem w stronę baru.

- Kolczyki, które mi dałeś na naszą rocznicę ślubu. Jednego brakuje.

- Może zostawiłaś go w domu?

- Nie. Miałam go w barze.

- Racja. Czulem go, gdy pogładziłem cię w policzek...

- Właśnie wtedy musiałam go zgubić. - Sundzi spojrzała na niego. Wstała i pobiegła na koniec trybuny - Zaraz wracam!

- Zadzwoń do nich! - krzyknął Donald. - Ktoś musi tutaj mieć komórkowy..., Ale Sundzi już go nie słyszała. Zbiegła po stopniach, a w chwilę później pędziła już ulicą w stronę baru. Donald pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach. Biedna dziewczyna, będzie się teraz zamartwiać, gdyby się nie znalazł. Niedawno zamówił kolczyki na drugą rocznicę ślubu, z dwoma małymi szmaragdami, jej ulubionymi kamieniami. Mógł przecież zamówić u tego samego jubлера brakujący kolczyk, ale to już nie to samo - Sundzi i tak będzie czuła się winna. Powoli pokręcił głową. Dlaczego tak już z nim jest, że ilekroć okazuje komuś miłość, ta wraca jako ból? Kim, Sundzi...

Może to jego wina. Zła karma lub grzechy z poprzedniego życia, a może był czarnym kotem z przeszłością? Prostując się, Gregory skierował wzrok w stronę podium -

przewodniczący Zgromadzenia Narodowego podszedł do mikrofonu.

## □ Wtorek, godzina 18.01-Seul

Pat Duk miał twarz kota - okrągłą, nie naznaczoną zmartwieniami, z czujnymi i mądrymi oczyma. Gdy wstał i podszedł do podium, ludzie na trybunie i tłum stojący poniżej przywitani go aplauzem. W odpowiedzi uniósł dłonie w górę, wpisując się w majestatyczne tło pałacu z otoczonym murami dziedzińcem i skansenem pagod z innych części kraju.

Gregory Donald zacisnął zęby, lecz natychmiast się pohamował i przywrócił swej twarzy normalny wyraz. Jako przewodniczący Towarzystwa Przyjaźni Amerykańsko-Koreańskiej w Waszyngtonie, nie mógł sobie pozwolić na okazywanie własnych sympatii czy antypatii politycznych w Korei Południowej. Jeżeli ludzie chcieli zjednoczenia z Koreą Północną, musiał się z tym zgadzać publicznie. Jeżeli nie chcieli, również musiał się z tym zgadzać publicznie.

Prywatnie, bardzo tego pragnął. Północ i Południe miały sobie i reszcie świata wiele do zaoferowania, zwłaszcza w dziedzinie kultury, religii i gospodarki, zaś cały świat byłby większy, niż suma jego części.

Duk, weteran wojny i zagorzały antykomunista, sprzeciwiał się nawet rozmowom o zjednoczeniu. Donald byłby nawet skłonny uszanować jego racje polityczne, lecz nigdy nie umiał okazywać szacunku ludziom, dla których już sam temat jest tak wstrętny, że nie zasługuje nawet na dyskusję. Z takich ludzi, wykluwali się tyrani.

Po zbyt długich oklaskach, Duk opuścił dłonie, nachylił się w stronę podium i przemówił.

Choć wargi jego poruszały się, nic nie było słychać. Duk cofnął się i z uśmiechem Kota z Cheshire postukał w mikrofon.

- To sprawka zwolenników zjednoczenia! - powiedział do rzędu siedzących za nim polityków, z których kilku mu ochoczo przyklasnęło. Część stojących najbliżej ludzi, którzy go usłyszeli, wniosła okrzyki poparcia.

Donald niedostrzegalnie zmarszczył brwi. Duk naprawdę działał mu na nerwy, zarówno swymi nienagannymi manierami, jak i rosnącą liczbą zwolenników. Mignęła mu przed oczyma plamka ostrej czerwieni, gdy gdzieś spoza dostojnego grona postać w czerwonej marynarce puściła się biegiem w stronę wozu technicznego.

Błyskawicznie się z tym uporają. Z czasów olimpiady w 1988 roku Donald pamiętał, jak dobrze radzili sobie z kłopotami skupieni, pomysłowici Koreańczycy. Rozpogodził się, gdy spojrział znów w stronę baru i ujrzał biegnącą ku niemu Sundzi z triumfalnie uniesioną ręką.

Podziękował Bogu, że przynajmniej jedno dziś się udało.

Kim Huan siedział w nie oznaczonym samochodzie na Sadzingo, na południe od pałacu, około dwustu



metrów od podium. Stamtąd miał na oku cały plac i swoich agentów na dachach i w oknach. Patrzył, jak Duk podchodzi i zaraz .schodzi z mównicy Biurokrata nie wypowiedział ani słowa - dla Huana była to definicja świata doskonałego.

Podniósł do oczu lornetkę, Duk stał w miejscu, potakując swym poplecznikom z tłumu.

Cóż, można go lubić lub nie, lecz na tym właśnie polega demokracja. Lepsze to niż osiem lat reżimu wojskowego pod wodzą generała Czun Du Huana. Jego następca, Ro Tae Wu, który został prezydentem w 1987 roku, nie podobał się Kiurowi ani trochę bardziej, ale przynajmniej został wybrany w wyborach. Potem przesunął lornetkę w stronę Gregory'ego i zastanowił się, dokąd poszła Sundzi.

Gdyby to inny mężczyzna zdobył jego dawną asystentkę, Huan zniechęciłby go do końca życia. Zawsze ją kochał, lecz przepisy KCIA zabraniają utrzymywania bliższych związków pomiędzy pracownikami, albowiem obcy wywiad mógłby z łatwością infiltrować agencję i uzyskiwać informacje wprowadzając do niej sekretarkę czy pracownika z zadaniem uwiedzenia namierzonej osoby

Omów dla niej nie zrezygnował z posady, lecz złamałby tym Gregory'emu serce. Jego mistrz od samego początku wierzył, że Huan ma umysł, duszę i wrażliwy instynkt polityczny, jak na człowieka z KCIA. Wydał sporo pieniędzy na jego naukę i przygotowanie do tego rodzaju życia. Nawet w najgorszych chwilach, gdy biurokracja dawała mu się we znaki, Huan wiedział, że Gregory ma rację - to było życie stworzone dla niego.

Po lewej stronie rozległ się sygnał i Kim opuścił lornetkę. Gdy ktoś chciał się z nim porozumieć, odzywał się sygnał i zapalała czerwona lampka nad przyciskiem, który umożliwiał połączenie ze zgłaszającą się stacją przez szerokopasmowe radio umieszczone w desce rozdzielczej samochodu. Tym razem zgłosił się agent na dachu supermarketu Ji. Huan nacisnął przycisk.

- Mówi Huan. Odbiór.

- Panie dyrektorze, jakiś człowiek w czerwonej marynarce biegnie w stronę wozu technicznego. Odbiór.

- Sprawdź. Odbiór.

Huan podniósł słuchawkę przenośnego telefonu i zadzwonił do biura koordynatora uroczystości w pałacu. Odpowiedział mu udręczony głos.

- Tak? O co chodzi?

- Mówi Kim Huan. Czy to wasz człowiek biegnie do wozu technicznego?

- Tak. Nie wiem, czy zauważyliście, ale mamy kłopoty z dźwiękiem. Może to ktoś od was nabroił, kiedy szukaliście na scenie materiałów wybuchowych.

- Jeżeli tak, odpowie za to głową.

Po drugiej stronie zaległa długa cisza.

- Psią głową. Wysłaliśmy ludzi z psami - dokończył Huan.

- Wspaniale - powiedział koordynator. -Jeden z nich pewnie nasikał na przewody.

- Może w ten sposób wyraził swoje poglądy polityczne powiedział Huan. - Proszę się nie rozłączać, dopóki pan czegoś nie usłyszy.

Kolejna długa cisza. Nagle daleki głos przedarł się przez trzaski telefonu.

- O Boże! K-Dwa...

Huan od razu wzmógł czujność.

- Proszę nastawić głośniej radio. Chcę słyszeć, co mówi.

Głos stał się wyraźniejszy

- K-Jeden, co się stało? - zapytał koordynator.

- Szefie, K-Dwa leży na podłodze, a z głowy leci mu krew Musiał upaść.

- Sprawdź konsolę.

Pełna napięcia cisza.

- Mikrofony są wyłączone. Ale sprawdzaliśmy je obaj. Dlaczego miałyby je wyłączyć?

- Włącz je z powrotem.

- Dobra.

Oczy Huana zwęziły się. Ścisnął mocno słuchawkę.

- Powiedz mu, żeby niczego nie dotykał! - krzyknął. - Ktoś mógł się tam dostać i...

Błysnęło i reszta zdania utonęła w huk potężnej eksplozji.

## □ Wtorek, godzina 4.04 - Biały Dom

Na nocnej szafce zadzwonił bezpieczny telefon *STU-3*. Na konsoli znajdował się prostokątny ciekłokrystaliczny ekran, pokazujący nazwisko i numer osoby telefonującej oraz czy linia była bezpieczna.

Niezupełnie obudzony prezydent Michael Lawrence sięgnął po słuchawkę, nie spojrzawszy na ekran.

- Tak?

- Panie prezydencie, mamy kłopoty

Prezydent wsparł się na łokciu. Dopiero teraz spojrzął na ekran: telefonował Steven Burkow, szef Rady bezpieczeństwa narodowego. Pod jego numerem widniało słowo

„Poufne” nie „Tajne” ani „Ścisłe tajne”.

Dłoń wolnej ręki prezydenta powędrowała do lewego oka.

- Co się stało? - zapytał, pocierając dłonią drugie oko i spojrzął na zegar obok telefonu.

- Panie prezydencie, w Seulu, w pobliżu pałacu, miała miejsce eksplozja.

- Uroczystości - powiedział prezydent, orientując się natychmiast. - Jak to wygląda?

- Przed chwilą rzuciłem okiem na wideo. Może być paręset ofiar, niewykluczone, że kilkadziesiąt śmiertelnych.

- Nasi też?

- Nie wiem.

- Terrorysty?

- Prawdopodobnie. Wysadzili w powietrze wóz techniczny akustyków.

- Czy ktoś dzwonił i przyznał się do zamachu?

- Kalt rozmawia teraz przez telefon z KCIA. Do tej pory nikt.

Prezydent był już na nogach.

- Wezwij Ava, Mela, Grega, Ernie'go i Paula. Spotkamy się wszyscy w Sali Sytuacyjnej o piątą piętnaście. Czy Libby była na miejscu?

- Jeszcze nie. Jechała z ambasady .. chciała się spóźnić na przemówienie Duka.

- Grzeczna dziewczynka. Połącz mnie z nią, odbiorę na dole. I zadzwoń do wiceprezydenta w Pakistanie, niech wraca dziś po południu.

Kładąc słuchawkę, prezydent nacisnął przycisk interkomu obok telefonu i kazał

kamerdynerowi przynieść czarny garnitur i czerwony krawat. To na wypadek, gdyby musiał

rozmawiać z dziennikarzami i nie miał czasu się przebrać.

Gdy pospiesznie szedł po miękkim dywanie do łazienki, Megan Lawrence poruszyła się na łóżku. Słyszał, jak cicho woła jego imię, lecz nie zwrócił na to uwagi i zamknął za sobą drzwi do łazienki.

□ **Wtorek, godzina 18.05 - Seul**

Trzech mężczyzn szło spokojnie uliczką. Gdy doszli do okna starego hotelu, dwóch z nich wślizgnęło się do środka, a Pirat obserwował ulicę. Kiedy znaleźli się już w środku, szybko poszedł ich śladem.

Pirat sięgnął do torby i wyciągnął z niej trzy pakunki. Dla siebie zatrzymał mundur kapitana armii Korei Południowej, zaś mundury podoficerskie rzucił pozostałym. Zdjęli buty, wepchnęli je do torby razem z ubraniami i szybko przebrali się w mundury. Gdy skończyli, Pirat wyszedł przez okno i dał znak pozostałym, by do niego dołączyli. Z

torbami w dłoniach szybko pokonali zaułek i oddalili się od pałacu w stronę bocznej uliczki, gdzie czwarty mężczyzna czekał w dżipie z włączonym silnikiem. Gdy tylko wsiedli, dżip ruszył na Czonggyeczonno i skierował się w przeciwną stronę od miejsca wybuchu, na północ.

## □ Wtorek, godzina 16.08-Chevy Chase, Maryland

Paul Hood cicho zamknął drzwi do sypialni, podszedł do łóżka swego syna, zasłonił mu dłońią oczy i zaświeceił nocną lampkę. Powoli rozchylił palce, by stopniowo wpuścić więcej światła, potem sięgnął pod blat szafki nocnej i wyciągnął zestaw Pulmo Aide. Otworzywszy wieczko aparatu wielkości pudełka do lodów, Hood rozwinął rurkę i podał ją Alexandrowi.

Chłopiec włożył jeden jej koniec w usta, zaś ojciec kroplomierzem wpuścił odmierzoną dawkę roztworu Ventolinu do otworu na drugim końcu.

- Pewnie chcesz dać mi kopa, jak to robie?

Chłopiec przytaknął z powagą.

- Nauczę cię grać w szachy, dobrze?

Alexander wzruszył ramionami.

- To gra, w której możesz dać komuś kopa intelektualnego. To sprawi ci znacznie więcej satysfakcji.

Syn wykrzywił twarz w uśmiechu.

Po wyłączeniu aparatu, Hood podszedł do małego telewizora Sony w kącie pokoju, włączył przystawkę do gier i wrócił z parą joysticków, gdy na ekranie pojawił się znak graficzny „Śmiertelnej walki”.

- I nie wybieraj krwawej wersji - powiedział Hood, podając jeden chłopcu. - Nie chcę, żeby dziś wieczór wydarli mi serce.

Oczy syna rozwarły się szerzej.

- Tak, tak. Dowiedziałem się, co się kryje pod hasłem ABACABB w „Kodeksie Honorowym”. Podpatrywałem, jak wprowadzasz je zeszłym razem i poprosiłem Matta Stolla, żeby mi wytłumaczył, o co chodzi.

Oczy chłopca były nadal szeroko otwarte, gdy ojciec przysiadł na skraju łóżka.

- Tak, synku... z magikami od komputerów w Centrum nie ma żartów. A tym bardziej z ich szefem.

Z ustnikiem inhalatora w zaciśniętych ustach Alexander w odpowiedzi nacisnął tylko klawisz startu. Wkrótce pokój wypełnił się stękaniami i ostrymi odgłosami ciosów, gdy Liu Kang i Johnny Cage walczyli o zwycięstwo na ekranie wideo.

Po raz pierwszy Hood zaczynał dotrzymywać synowi kroku, kiedy zadzwonił telefon. O tej porze mogła to być tylko pomyłka, albo poważny kryzys. Usłyszał, jak skrzypi podłoga i w chwilę później Sharon wsunęła głowę do pokoju.

- Dzwoni Steve Burkowi

Hood natychmiast ożywił się. O tej porze musiało to być coś poważnego. Alexander wykorzystał okazję, by na ekranie zadać dwa szybkie kopnięcia, zaś gdy Hood wstawał, Johnny Cage zwałił się martwy na plecy

- Przynajmniej nie wyrwałeś mi serca - powiedział Hood, odkładając joystick i kierując się do drzwi.

Tym razem Sharon otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

- Takie nasze męskie rozmowy - uspokoił ją Hood i, klepnąwszy żonę pieszczotliwie w pośladek, szybko wyszedł z pokoju.

Telefon w sypialni był podłączony do bezpiecznej linii. Hood rozmawiał tylko chwilę, bo tyle potrzebował doradca ds. bezpieczeństwa narodowego, żeby powiedzieć mu o wybuchu w Korei i wezwać na spotkanie w Sali Sytuacyjnej prezydenta.

Do pokoju weszła Sharon. Z sypialni dochodziły odgłosy zmagania Alexandra z komputerem.

- Przepraszam, nie usłyszałam płaczu - powiedziała.

Hood zdjął pidżamę i włożył spodnie.

- Nic się nie stało. I tak już wstawałem.

- Coś poważnego? - zapytała, ruchem głowy wskazując na telefon.

- Zamach terrorystyczny w Seulu, eksplozja bomby Nic więcej nie wiem.

Rozmasowała sobie nagie ramiona.

- A przy okazji, czy dotykałeś mnie w łóżku?

- Miałem ochotę. - Uśmiechnął się i szybko ściągnął białą koszulę z klamki szafy.

- Mmmm... chyba wyczułam przez sen twoje zamiary. Mogłabym przysiąc, że mnie pieściłeś.

Siedząc na łóżku, Hood wślizgnął się w buty firmy Thom McCanns. Sharon usiadła obok niego i pogładziła go po plecach, gdy wiązał sznurowadła.

- Paul, czy wiesz czego nam potrzeba?

- Wakacji - odparł.

- Nie tylko wakacji. Musimy gdzieś wyjechać. Sami.

Wstał, chwycił zegarek, portfel, klucze i przepustkę z nocnej szafki.

- Gdy leżałem przy tobie, myślałem dokładnie o tym samym.

Sharon nie odezwała się, lecz grymas jej ust powiedział wszystko.

- Obiecuję, że wkrótce wyjedziemy - powiedział, całując ją delikatnie w czoło. - Kocham cię i jak tylko zbawię świat, możemy jechać i dokładnie zwiedzić jakiś jego zakątek.

- Zadzwonisz? - zapytała Sharon, odprowadzając go do drzwi.

- Zadzwonię - odpowiedział, zeskakując po dwa schody na razi wybiegł z domu przez frontowe drzwi.

Wycofując swe Volvo z podjazdu, Hood wystukał numer Mike'a Rodgersa i przełączył go na głośnik. Telefon zadzwonił tylko raz.- Po drugiej stronie zaległa cisza.

- Mike?

- Tak, Paul. Słyszałem - powiedział Rodgers.

Słyszał? Hood skrzywił się. Lubił Rodgersa, bardzo go podziwiał i jeszcze bardziej na nim polegał. Lecz obiecał sobie, że jeśli nadejdzie taki dzień, gdy zaskoczy dwugwiazdkowego generała, sam odejdzie na emeryturę. Po prostu dlatego, że już niczego lepszego w swoim fachu nie uda mu się dokonać.

- Kto ci powiedział? - zapytał Hood. - Ktoś z bazy w Seulu?

- Nie - odparł Rodgers. - Widziałem w CNN.

Grymas na twarzy Hooda pogłębił się. Sam nie mógł zasnąć, lecz zaczął podejrzewać, że Rodgers w ogóle nie potrzebuje snu. Albo kawalerowie mieli więcej energii, albo facet zawarł pakt z diabłem. Odpowiedź pozna, gdy jedna z jego dwudziestoletnich przyjaciółek zaciągnie go wreszcie do ołtarza, albo kiedy minie kolejne sześć i pół roku, cokolwiek zdarzy się najpierw.

Ponieważ telefon komórkowy w samochodzie Hooda nie był podłączony do bezpiecznej linii, Hood musiał ostrożnie sformułować instrukcje.

- Mike, jadę do szefa. Nie wiem, co powie, ale chcę, żebyś wprowadził do gry oddział



Iglica.

- Dobry pomysł. Są jakieś szanse, że pozwoli nam wreszcie dać koncert za granicą?

- Żadnych - powiedział Hood. - Ale jeżeli postanowi, że chce z kimś grać ostro, to już dobry początek.

- Świetnie - ucieszył się Rodgers. - Jak rzekł lord Nelson podczas bitwy pod Kopenhagą:

„Za żadne skarby nie chciałem być gdzie indziej”.

Hood rozłączył się, zbity z tropu ostatnią uwagą Rodgersa. Ale zapomniał o niej, gdy zatelefonował do dyrektora nocnej zmiany Cuma Hardawaya i kazał mu do piątej trzydzieści zebrać w biurze najlepszy personel. Poprosił go też, żeby odnalazł Grega Donalda, który otrzymał zaproszenie na uroczystość w Seulu i któremu, miał nadzieję, nic się nie stało.

## □ Wtorek, godzina 18.10 - Seul

Siła wybuchu zrzuciła Gregory'ego Donalda trzy rzędy w dół z miejsca, na którym siedział, lecz upadł na czyjeś ciało, co zamortyzowało siłę uderzenia. Jego dobroczyńca, kobieta z wyraźną nadwagą, posłużyła mu za amortyzator.

- Przepraszam - powiedział, nachylając się nad nią. - Nic się pani nie stało?

Kobieta nie podniosła głowy i dopiero, gdy zapytał drugi raz, uświadomił sobie głośne dzwonięcie w uszach. Dotknął ich palcami, nie poczuł krwi, lecz wiedział, że minie trochę czasu, nim będzie w stanie cokolwiek usłyszeć. Siedział przez chwilę, próbując zebrać myśli.

Z początku miał wrażenie, że zawałiła się trybuna, lecz najwyraźniej wydarzyło się zupełnie coś innego. Potem przypomniał sobie potężny huk wybuchu, za którym w chwilę później nastąpiło uderzenie w pierś, które zważyło go z nóg i na chwilę pozbawiło przytomności.

Zaraz rozjaśniło mu się w głowie.

Bomba! To musiała być bomba! - Natychmiast skierował wzrok w stronę bulwaru.

Sundzi!

Podniósłszy się na chwiejnych nogach, Donald odczekał chwilę, by upewnić się, czy znów nie straci przytomności, potem przeciskając się przez rumowisko trybuny, pospieszył na ulicę.

Pył z eksplozji wisiał w powietrzu jak gęsta mgła, a widoczność w żadnym kierunku nie przekraczała pięciu metrów. Mijał ludzi na trybunie i na ulicy; niektórzy siedzieli na ziemi w szoku, zaś inni kaszleli, jęczeli i machali rękami przed ustami, by oczyścić trochę powietrze.

Wielu usiłowało wydostać się spod rumowiska. Tu i ówdzie leżały zakrwawione ciała, pokiereszowane odłamkami z wybuchu. Donald wiedział, że powinien ratować tych co przeżyli, lecz nie mógł się zatrzymać, dopóki nie upewni się, że Sundzi jest bezpieczna.

Stłumione wycie karetek na sygnale przedarło się przez dzwonięcie w uszach. Zatrzymał

się, by wypatrzeć ich migające, czerwone światła - tam musi być bulwar. Dostrzegł wreszcie światła karetek i ruszył w ich kierunku, potykając się we mgle kurzu i niezgrabnie omijając co kilka kroków z nagłą wyłaniającą się ofiary lub wielkie kawały pociętego i pokręconego siłą eksplozji żelastwa. Gdy zbliżał się do ulicy, usłyszał stłumione okrzyki i dostrzegł

poruszające się tu i ówdzie niewyraźne sylwetki w białych kitlach lekarskich i niebieskich mundurach policyjnych.

Zatrzymał się nagle, gdy omal nie nastąpił na felgę koła wozu technicznego. Olbrzymie metalowe

koło obracało się powoli, ze strzępami gumy zwisającymi jak ciemne wodorosty z kadłuba statku. Spoglądając w dół, Donald zorientował się, że jest już na bulwarze. Cofnął

się i popatrzył na prawo...

Nie, w drugą stronę. Szła od strony Ji.

Donald drgnął, gdy ktoś chwycił go za rękę. Obejrzał się i zobaczył młodą kobietę w bieli.

- Nic panu nie jest?

Skrzywił się i pokazał na ucho.

- Pytałam, czy nic panu nie jest.

Potrząsnął głową.

- Proszę się zająć innymi! - krzyknął. - Próbuję się dostać do domu towarowego.

Kobieta spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Czy jest pan pewien, że nic panu nie jest?

Znów potrząsnął głową, delikatnie uwalniając się z uścisku jej dłoni.

- Nic mi nie jest. Moja żona przechodziła tędy i muszę ją znaleźć.

- Jesteśmy na Ji, proszę pana. - Oczy pielęgniarki wyrażały zdumienie.

Gdy odwróciła się, by pomóc wspartemu o skrzynkę pocztową rannemu, Donald cofnął się o parę kroków i spojrzał w górę. Słowa pielęgniarki uderzyły go jak druga eksplozja i z trudem wciągnął powietrze przez ściśnięte gardło. Dopiero teraz zauważył, że wóz techniczny nie tylko przewrócił się, ale siła wybuchu wgniotła go w fasadę domu towarowego. Zaciśnął oczy i chwycił się za skronie, energicznie potrząsając głową, starając się nie wyobrazić sobie, co może się znajdować po drugiej stronie.

Nic jej się nie stało, powiedział sobie. Ma szczęście, wiedzieli to od zawsze. Dziewczyna, która wygrywała nagrody w konkursach. Stawiała na zwycięskie konie. Poślubiła go. Nic jej się nie stało. Wykluczone.

Poczuł drugie dotknięcie na rękę i szybko się odwrócił. Długie, czarne włosy oprószone bielą, zabrudzona sukienka w płowym kolorze, ale przecież Sundzi stała przy nim.

Uśmiechała się.

- Dzięki Bogu! - krzyknął i przytulił ją mocno. - Tak się martwiłem, Sun! Dzięki Bogu, że nic ci nie jest...

Głos załamał mu się, gdy nagle jej ciało zwiotczało. Wyciągnął rękę, by ją podeprzeć, lecz rękaw marynarki przykleił się do jej pleców. Z rosnącym uczuciem trwogi ukląkł z żoną w ramionach. Ostrożnie przesuwał ją na bok, spojrzał na jej plecy i serce mu zamarło, gdy w miejscu, gdzie wypaliło się ubranie, zobaczył ciało, płótno nasiąknięte ciemnoczerwoną krwią i biel wystającej kości. Tuląc żonę do siebie, Gregory Donald usłyszał swój krzyk, jęk dobywający się z samego dna duszy.

Błysnęło światło ambulansu i znajoma twarz pielęgniarki nachyliła się nad nim. Dała znak komuś za swymi plecami i wkrótce inne dłonie zaczęły ciągnąć go za ręce, próbując mu wyrwać Sundzi. Donald opierał się, lecz zaraz pozwolił im ją zabrać, gdy tylko zdał sobie sprawę, że jego najukochańsza dziewczyna nie miłości potrzebuje teraz najbardziej.

## □ Wtorek, godzina 18.13 - Nagato, Japonia

Salon *paczinko* był nieco mniejszą wersją podobnych, z których słynęła dzielnica Ginza w Tokio. Wąski budynek miał długość prawie dziesięciu ustawionych jeden za drugim wagonów kolejowych. Powietrze było aż gęste od dymu tytoniowego i klekotu łożysk kulkowych w ustawionych rzędem pod obiema ścianami maszynach do gry.

Każda maszyna składała się z okrągłej, pionowej planszy wysokości około jednego metra, sześćdziesięciu centymetrów szerokości i piętnastu centymetrów głębokości. Pod szklaną pokrywą z kolorowego tła wystawały przeszkody i loki metalowych popychaczy. Po wrzuceniu monety, z góry maszyny spadał grad metalowych kulek, które odbijając się od przeszkód i popychaczy leciały gdzie popadło. Gracz kręcił gałką po prawej stronie maszyny, starając się skierować jak najwięcej kulek do umieszczonego na dnie pojemnika, bo im więcej udało się ich tam zebrać, tym więcej żetonów wygrywał. Po zebraniu odpowiedniej ilości żetonów, gracz zanosił je do pomieszczenia przy wejściu do salonu, gdzie dawano mu do wyboru różne wypchane zwierzęta.

Chociaż w Japonii obowiązywał zakaz uprawiania gier hazardowych, każdemu wszakże wolno sprzedawać wygrane maskotki. Działo się to w małym pomieszczeniu na zapleczu, gdzie za małe misie płacono dwadzieścia tysięcy jenów, za duże króliki dwa razy tyle, zaś za wypchane tygrysy - po sześćdziesiąt tysięcy jenów.

Przeciętny gracz wydawał tu pięć tysięcy jenów w jeden wieczór, a przy sześćdziesięciu maszynach w salonie zwykle stało około dwustu graczy. Chociaż cieszyli się z wygranych, niewielu przychodziło tutaj, by zarobić. Chaotyczny pęd kulek poprzez pogmatwany labirynt przeszkód, emocje związane ze szczęściem lub jego brakiem działały jak narkotyk. Tak naprawdę, każdy grał sam przeciwko losowi, szukając potwierdzenia swych bieżących notowań w oczach bogów. Wśród graczy-panowało powszechne przekonanie, że jeśli szczęście dopisze tutaj, będzie też dopisywać w realnym świecie poza salonem. Nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego, lecz mniemanie to dość często się sprawdzało.

Salonów takich było wiele na wszystkich wyspach Japonii. Część z nich prowadziły szacowne rody, które parały się tym zajęciem od wieków. Inne były własnością organizacji przestępczych, głównie Jakuzi - siatki gangsterów, oraz Sanzoku - prastarego klanu bandytów.

Salon w Nagato na zachodnim wybrzeżu wyspy Honsiu należał do niezależnej rodziny Tsuburaya, która prowadziła go od ponad dwóch stuleci. Grupy przestępcze składały rodzinie regularne, kurtuazyjne oferty kupna salonu, lecz Tsuburayowie nie byli zainteresowani sprzedażą. Dochody przeznaczali na inwestycje w Korei Północnej, szykując potencjalnie dochodowe przedsięwzięcia gospodarcze, które zamierzali rozwijać, gdy zjednoczenie stanie się faktem.

Dwa razy w tygodniu, we wtorki i piątki, Eidzi Tsuburaya przesyłał do Korei miliony jenów przez dwóch zaufanych kurierów z Południa. Obaj przybywali promem późnym popołudniem z dwiema pustymi, nie rzucającymi się w oczy walizkami, po czym szli prosto do pokoiku na zapleczu i po napełnieniu walizek wracali tuż przed wyjściem promu w powrotny, stu pięćdziesięciomilowy rejs do

Pusan. Stamtąd pieniądze przerzucane były na północ przez członków PUK-Patriotycznego Ruchu na rzecz Zjednoczenia Korei, grupy składającej się z ludzi zarówno z Północy jak i z Południa - począwszy od przedsiębiorców poprzez celników do zamiataczy ulic. Byli przekonani, że dochody przedsiębiorców i związany z tym wyższy poziom życia mieszkańców Korei Północnej zmuszą wreszcie komunistów do otwarcia się na wolny rynek, a w końcu do zjednoczenia.

Jak zwykle, kurierzy wyszli z salonu, wsiedli do czekającej taksówki i w milczeniu przejechali dziesięciominutową trasę do promu. Wyprawa ta tym jednak różniła się od wszystkich poprzednich, że tym razem ich śledzono.

□ **Wtorek, godzina 18.15 - Seul**

Kim Huan zauważył siedzącego na krawężniku, trzymającego się za głowę Donalda.

Marynarkę i spodnie miał poplamione krwią.

- Gregory! - krzyknął i podbiegł do niego.

Donald podniósł głowę. Na policzkach i w rozwichrzonych srebrnych włosach miał

rozmazaną krew i łzy Próbował wstać, lecz zachwiał się i stracił równowagę. Huan podtrzymał go, przytulił i usiadł obok niego. Agent odsunął się na chwilę, by się przekonać, że krew nie należy do Donalda, po czym znów go objął.

Słowa Donalda zginęły w ataku szloch. Oddech miał urywany

- Nic nie mów - powiedział cicho Huan. - Mój asystent mi powiedział.

- Była... niewinną... duszą. - Donald nie chciał go słuchać.

- Tak. I jest w boskich rękach.

- Kim... To nie On powinien ją mieć... tylko ja... Powinna być tutaj...

- Wiem. - Huan starał się powstrzymać własne łzy, przyciskając policzek do głowy Donalda.

- Komu... przeszkadzała? W niej... nie było zła. Nie rozumiem. - Wtulił twarz w pierś Huana. - Chcę ją odzyskać, Kim... chcę, żeby wróciła...

Huan zauważył odwracającego się ku nim sanitariusza i przywołał go ruchem dłoni. Nadal podtrzymując Donalda, podniósł się powoli.

- Donald, zrób coś dla mnie. Chcę, żebyś poszedł do szpitala. Niech sprawdzą, czy nic ci nie jest.

Sanitariusz położył dłoń na rękę Donalda, lecz ten wyrwał mu ją.

- Chcę zobaczyć Sundzi. Gdzie zabrali... moją żonę?

Huan spojrzał na lekarza, który wskazał na leżący opodal budynek kina. W holu na posadzce leżały torby, w które wkładano ciała zabitych. Ciągłe wnoszono nowe.

- Jest w dobrych rękach, Gregory, a ty sam potrzebujesz pomocy Możesz być ranny

- Nic mi nie jest.

- Proszę pana - powiedział sanitariusz do Huana. - Są jeszcze inni...

- Oczywiście, przepraszam. Dziękuję.

Sanitariusz szybko odszedł, zaś Huan zrobił krok w tył. Trzymając Donalda za ramiona, spojrzał w ciemne oczy zawsze tak pełne miłości, lecz teraz czerwone i szkliste z bólu. Nie chciał go zmuszać, by poszedł do szpitala, lecz nie mógł także pozostawić go tu samego.

- Gregory, zrobisz coś dla mnie?

Donald patrzył przez łzy na Huana.

- Potrzebuję pomocy w tej sprawie. Pójdiesz ze mną?

Donald podniósł głowę i spojrzał na niego.

- Chcę zostać z Sundzi.

- Gregory ..

- Kocham ją. Ona... mnie potrzebuje.

- Nie - powiedział miękko Huan. - Nic dla niej teraz nie możesz zrobić. - Odwrócił Donalda i wskazał na oddalony o jedną przecznicę budynek kina. - Nie tutaj twoje miejsce, twoje miejsce jest wśród tych, którym naprawdę możesz pomóc. Chodź ze mną. Pomóż mi znaleźć łotrów, którzy to zrobili.

Donald kilka razy mrugnął oczyma, potem z roztargnieniem poklepał się po kieszeniach.

Huan sam sięgnął do kieszeni Donalda.

- Tego szukałeś? - zapytał, wręczając mu fajkę.

Amerykanin wziął fajkę niepewnym ruchem, Huan pomógł mu włożyć ją do ust. Widząc, że Donald nie ma zamiaru nabijać fajki tytoniem, wziął go pod rękę i odprowadził poprzez tumany opadającego pyłu i wzmagający się ruch na placu.



## □ Wtorek, godzina 5.15 - Biały Dom

Sala Sytuacyjna mieściła się na pierwszym podziemnym poziomie Białego Domu, dokładnie pod Gabinetem Ovalnym. Na środku jasno oświetlonego pomieszczenia stał długi, prostokątny stół z mahoni, a przy każdym stanowisku bezpieczny telefonu *STU-3* i monitor komputera z wysuwaną spod blatu klawiaturą. Jak w przypadku wszystkich komputerów rządowych, każdy terminal miał niezależną konfigurację, a oprogramowanie z zewnątrz, nawet pochodzące z Departamentu Obrony lub Departamentu Stanu było dokładnie sprawdzane przed instalacją.

Na ścianach znajdowały się mapy, na których oznaczono rozlokowanie sił amerykańskich i obcych, i umieszczono flagi w punktach zapalnych: czerwone dla aktualnych konfliktów, zielone dla potencjalnych. Seul oznaczono już flagą czerwoną.

Paul Hood przejechał przez zachodnią bramę Białego Domu i po przejściu przez wykrywacz metali zjechał windą piętro niżej. Gdy rozsunęły się drzwi windy, wartownik z piechoty morskiej sprawdził mu przepustkę i zaprowadził go do małego stolika, znajdującego się przy drzwiach bez klamki. Hood lekko odcisnął swój kciuk na umieszczonym w blacie stolika małym ekranie. Za chwilę rozległo się brzęczenie, trzasnęły zapadki zamków i drzwi otworzyły się. Przeszedł obok strażnika, który sprawdził, czy odcisk jego kciuka pokrywa się z wzorem znajdującym się w komputerze; gdyby stwierdzono najdrobniejszą różnicę, drzwi pozostałyby zamknięte. Jedynie prezydent, wiceprezydent i sekretarz stanu nie byli poddawani tej procedurze.

Drzwi do Sali Sytuacyjnej były otwarte i Hood wszedł do środka. Na miejscu było już czterech innych polityków: sekretarz stanu Av Lincoln, sekretarz obrony Ernesto Colon, przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów Melvin Parker oraz dyrektor CIA Greg Kidd.

Wszyscy stali po przeciwnej stronie pomieszczenia i rozmawiali. Za blatem niskiego biurka siedziały dwie sekretarki, z których jedna zapisywała szyfrem przebieg rozmów na przenośnym komputerze Powerbook firmy Apple, a druga wyszukiwała potrzebne w danej chwili dane. Steward w mundurze piechoty morskiej rozstawiał na stole dzbanki z kawą i wodą oraz filiżanki.

Cywile przywitali Hooda skinieniem głowy, a wojskowi zasalutowali, jedynie Lincoln podszedł doń, gdy tylko Hood znalazł się w środku. Miał bez mała metr dziewięćdziesiąt wzrostu, okrągłą twarz o grubych rysach i z rzadziejącymi, zaczesanymi do tyłu włosami.

Był zawodnik pierwszej ligi baseballa, wymieniony w Panteonie Zawodników, drogę z boiska baseballowego do parlamentu stanu Minnesota przebył szybciej, niż piłka po jego słynnych rzutach. Był pierwszym politykiem, który poparł kandydaturę gubernatora Michaela Lawrence na prezydenta, za co w nagrodę dostał Departament Stanu. Większość przyznawała, że brak mu zdolności dyplomatycznych, jakich wymaga nowe stanowisko, miał

bowiem denerwujący zwyczaj traktowania rzeczy oczywistych jak objawienia. Lecz Lawrence przy wszystkich swych wadach, był lojalny wobec ludzi, z którymi pracował.

- Jak leci? - zagadnął Hooda, podając mu dłoń.

- Da się przeżyć, Av

- Odwaliliście kawał dobrej roboty w Independence Hall czwartego lipca. Jestem pełen podziwu.

- Dzięki, ale gdy są ranni zakładnicy, robota nie jest tak naprawdę dobrze wykonana.

Lincoln machnął ręką z lekceważeniem.

- Nikt nie został zabity. I to się liczy. Do diabła, koordynacja działań miejscowej policji, FBI, twoich ludzi z Iglicy, a do tego dziennikarze wyglądający im wszystkim zza pleców, to prawdziwy cud. - Nalał sobie kawy - Trochę przypomina obecny kryzys, Paul. Wszystko już pokazali w telewizji, eksperci mielią ozorami w mediach, a przed śniadaniem pojawią się wyniki badań opinii publicznej, które powiedzą nam dlaczego siedemdziesiąt siedem procent Amerykanów uważa, że nie powinniśmy się angażować w Korei ani gdziekolwiek indziej.

Spojrzał na zegarek.

- Burkow dzwonił, powiedział, że się spóźni - rzekł Lincoln. - Prezydent rozmawia przez telefon z panią ambasador Hall. Nie chce, żeby Amerykanie chronili się w ambasadzie, ani żeby ich z niej wyrzucano, o ile tego wcześniej nie zaaprobuje. Nie chce też żadnych działań ani oświadczeń, które wskazywałyby na jakiegokolwiek znamiona paniki.

- Oczywiście.

- Wiecie, jak łatwo te rzeczy przeradzają się w samospełniające się proroctwa.

Hood skinął głową.

- Wiadomo, kto to zrobił?

- Nie. Wszyscy potępili zamach, nawet Korea Północna. Ale ich rząd nie przemawia w imieniu twardogłowych, więc kto wie?

- KRL-D zawsze potępia terroryzm, nawet własnego chowu - wtrącił z przeciwnej stłony sali sekretarz obrony - Kiedy zestrzelili samolot KAL, który przecież zablądził, potępiali swe działania i w najlepsze przetrząsali wrak samolotu w poszukiwaniu kamer szpiegowskich.

- I znaleźli je - powiedział Lincoln za jego plecami.

Nalewając sobie kawy, Hood zastanowił się nad polityką Korei Północnej - najpierw strzelać, potem zadawać pytania. Ostatnim razem był tutaj, gdy Rosjanie zestrzelili litewski samolot rozpoznawczy, zaś prezydent postanowił nie naciskać ich zbyt mocno z tego powodu.

Nigdy nie zapomni, jak Lincoln wtedy wstał i powiedział: „A co powiedzieliby przywódcy świata, gdybyśmy kiedykolwiek zestrzelili obcy samolot? Ukrzyżowaliby nas!

Miał rację. Z bliżej nieznanых powodów, w przypadku USA obowiązywały inne reguły gry.

Hood usiadł po północno-zachodniej stronie stołu, jak najdalej od prezydenta. Było to najlepsze miejsce na sali, skąd mógł się przyglądać, jak inni walczą o swą pozycję i wpływy.

Dyżurny psycholog Centrum, Liz Gordon, powiedziała mu, czego można się dowiedzieć uważnie obserwując mowę ciała: dłonie złożone na stole oznaczały uległość, wyprostowana sylwetka - pewność siebie, zaś pochylenie do przodu znamionowało niepewność - „Popatrz, popatrz na mnie!”, pochyłona głowa natomiast zdradzała protekcyjność. „Tak jak u boksera, który umyślnie nadstawia szczękę - powiedziała - i prowokuje cię do ciosu, bo sądzi, że i tak nie trafisz..

Gdy tylko usiadł, usłyszał trzask otwieranych drzwi, w ślad za którym rozległ się donośny głos prezydenta Stanów Zjednoczonych. Podczas kampanii wyborczej przed dwoma laty, jeden z dziennikarzy powiedział, że prezydent właśnie tembrem głosu zdobył sobie poparcie przeważającej grupy niezdecydowanych wyborców: głos ów wydawał się brać początek na wysokości kolan, zaś nim osiągnął poziom ust, przybierał olimpijski majestat i siłę, co w połączeniu ze wzrostem ponad metr dziewięćdziesiąt sprawiało, że wyglądał i przemawiał jak wzorcowy prezydent, choć sporo tego kapitału roztrwonił, wyjaśniając dwie klęski swej polityki zagranicznej. Pierwsza polegała na wysłaniu żywności i broni rebeliantom w Bhutanie, przeciwstawiającym się okrutnemu reżimowi. Rewolta skończyła się tysiącami aresztowań i egzekucji, zaś reżim umocnił się przy władzy i dokręcił śrubę. Drugim błędem była zbyt delikatna reakcja na spór graniczny Rosji z Litwą. W wyroku tego Moskwa nie dość, że odebrała małej republice kawałek terytorium, to jeszcze rozmieściła tam swoich żołnierzy. Spowodowało to powszechną migrację ludności do Kowna, rozruchy głodowe i setki ofiar. Wiarygodność prezydenta w Europie doznała poważnego uszczerbku, a jego wpływy na Kapitolu osłabły, toteż nie mógł sobie pozwolić na kolejny fałszywy krok, zwłaszcza wobec dawnego sojusznika.

Wraz z prezydentem do gabinetu wkroczył doradca ds. bezpieczeństwa narodowego, Burkow, który zrobił dla szefa wszystko, prócz odsunięcia dłoń fotela od stołu. Nalał

prezydentowi i sobie kawy, ten zaś zaczął mówić zanim wszyscy usiedli.

- Panowie - zaczął - jak wiecie godzinę i piętnaście minut temu przed pałacem Kyongbok w Seulu eksplodował telewizyjny wóz techniczny Zginęło kilkudziesięciu widzów i polityków, zaś KCIA na razie nie ma pojęcia kto i dlaczego to zrobił. Nie było żadnego ostrzeżenia i nikt dotychczas nie przyznał się do zamachu. Ambasador Hall prosi jedynie, byśmy powtórzyli zapewnienia o naszym poparciu dla obywateli i rządu Korei Południowej, a ja upoważniłem sekretarza prasowego Tracy, żeby to niezwłocznie uczynił. Ambasador Hall natychmiast wyda stosowne oświadczenie potępiające zamach. - Usiadł wygodnie. - Ernie, gdyby przypadkowo stała za tym Korea Północna, co przewidują nasze plany operacyjne w takiej sytuacji?

Sekretarz obrony odwrócił się do jednej z sekretarek i powiedział:

- Katalog KP-SA.

Nim zdążył odwrócić się do stołu, na ekranie komputera pojawił się katalog.

Korea Północna - Sytuacja Alarmowa

Splótnł dłonie.

- Panie prezydencie, w skrócie nasza polityka polega na przejściu do Defcon 5. Stawiamy nasze bazy w Korei Południowej i w Japonii w stan podwyższonej gotowości bojowej i rozpoczynamy przerzucanie drogą powietrzną oddziałów z Fort Pendleton i Fort Ord. Jeżeli nasz wywiad otrzyma sygnały, że wojska koreańskie koncentrują się w pobliżu granicy, natychmiast przechodzimy do Defcon 4 i zaczynamy przerzucać nasze okręty z Oceanu Indyjskiego, żeby siły szybkiego reagowania na czas znalazły się na pozycjach. Jeżeli Korea Północna odpowie na nasze ruchy rozmieszczeniem nowych wojsk, kostki domina zaczną się dość szybko przewracać i wchodzimy w fazę przyspieszonego rozmieszczenia sił zgodnie ze stanami Defcon 3, 2 i 1. - Spojrzał na ekran i dotknął palcem nagłówka Gry Wojenne

- W sytuacji krytycznej mamy do wyboru trzy scenariusze.

Hood przyglądał się po kolei twarzom obecnych. Wszyscy byli spokojni z wyjątkiem Lincolna, który pochylał się do przodu i nerwowo wystukiwał jakiś rytm prawą stopą.

Reakcja militarna z rozmachem, w wielkim stylu, bardzo mu odpowiadała. Krańcowo odmienne zdanie miał przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów Melvin Parker. Na jego twarzy, tak jak na twarzy Ernego Colona, nie malowała się wojowniczość. W podobnych sytuacjach zawodowi żołnierze nigdy nie zalecali użycia siły. Zнали cenę, którą trzeba zapłacić nawet za udaną operację. Tylko politycy i urzędnicy odczuwali frustrację i niecierpliwość, chcąc sobie przypisać zwycięstwo, bez względu na koszty i metody postępowania.

Sekretarz obrony wyciągnął okulary do czytania i wpatrzył się w monitor. Przejechał

palcem po menu i dotknął ekranu, gdzie widniał napis:

Aktualizacja Opcji Wojskowych

- Gdyby wybuchła wojna, a my przyjęlibyśmy tylko rolę wspierającą, Korea Południowa zostanie

zdobyta przez Północ w jakieś dwa lub trzy tygodnie. Popatrzcie zresztą na zestawienie sił Północy i Armii Korei Południowej.

Hood spojrział na rzędy cyfr. Potwierdzały tylko słowa Colona.

Bilans sił zbrojnych Korei Południowej i Północnej przedstawia się następująco: Południe

Północ

Liczebność oddziałów

Wojska lądowe

540.000

900.000

Marynarka

60,000

46.000

Siły powietrzne

55.000

84.000

Razem

655.000

1.030.000

Uzbrojenie

Czołgi

1.800

3.800

Transportery opancerzone 1.900

2.500

Artyleria

4.500

10.300

Sprzęt

Jednostki bojowe

190

434

Jednostki wsparcia

60

310

Okręty podwodne

1

26

Lotnictwo taktyczne

520

850

Lotnictwo wspierające

190

480

Śmigłowce

600

290

Po kilku sekundach Colon znów wywołał menu i pokazał palcem na Aktualne możliwości działania 8. Armii USA

- Drogi scenariusz przewiduje zaangażowanie naszych sił na Południu. Ale nawet wtedy stosunek sił nie jest dla nas korzystny Hood spojrział na nowe informacje na ekranie.

Liczebność sił Stanów Zjednoczonych w Korei Południowej Siły lądowe

25.000

Marynarka

400

Siły powietrzne

9.500

Czołgi



200

Transportery opancerzone

500

Lotnictwo taktyczne

100

- Nasze wejście z Koreańczykami na pole walki ma spełniać tylko funkcję odstraszającą: czy Korea Północna naprawdę chce wojny z USA?

- Czy ten sam czynnik odstraszania nie jest obecny, gdy zaangażujemy się wyłącznie do wsparcia? - zapytał dyrektor CIA, Kidd.

- Niestety, nie. Jeżeli Phenian pomyśli, że nie mamy zamiaru nadstawić karku, ruszy na Seul w taki sam sposób, jak Hussajn na Kuwejt, bo wydawało mu się, że będziemy siedzieć z założonymi rękami.

- Ale się zdziwił - wymamrotał Lincoln.

- Trzeci scenariusz przewiduje rozpoczęcie przez nas działań zaczepnych? - zapytał

prezydent niecierpliwie.

- To prawda - przyznał Colon. - Razem z Koreą Południową likwidujemy broń konwencjonalną ośrodki łączności, linie zaopatrzeniowe oraz ośrodki badań jądrowych.

Jeżeli nasze symulacje gier wojennych są poprawne, Koreańczycy z Północy siadają do negocjacji.

- Dlaczego nie mieliby zwrócić się do Chin i przejść do działań odwetowych? - zapytał

Kidd.

- Bo wiedzą, że od czasu ograniczenia naszej pomocy dla Korei w roku 1968 i od 1970, kiedy dwanaście-dywizji południowokoreańskich i dwie amerykańskie praktycznie utraciły zdolność do

skutecznego powstrzymania ataku z Północy, nasze plany obronne opierają się prawie całkowicie na wczesnym użyciu broni atomowej - odpowiedział Parker, przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów.

- Czy umyślnie puściliśmy przeciek? - zapytał prezydent.

- Nie, panie prezydencie. Dowiedzieli się z czasopism wojskowych. Wielka mi tajemnica!

Przecież w 1974 roku „Time”, „Rolling Stone” czy jakikolwiek inny zagorzały przeciwnik Nixona, publikował artykuły o naszych planach nuklearnych wobec Korei Północnej.

Kidd rozparł się wygodnie w fotelu.

- Ale i tak nie mamy żadnych gwarancji, że nie zwrócą się do Pekinu o wsparcie bronią jądrową.

- Nawet nie bierzemy takiej możliwości pod uwagę. - Colon dotknął nagłówek.

Chiny

na komputerowym menu.

- Mel, gry CONEX to twoja działka...

- Zgadza się.

Mimo komfortowej klimatyzacji, drobny przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów był zły potem.

- Przeprowadziliśmy symulację konfliktu na podstawie sytuacji, do której doszło po wizycie Jimmy'ego Cartera w Korei Północnej i jego pogawędce z Kim Ir Senem. Biorąc pod uwagę sytuację wojskową w Chinach i portrety psychologiczne chińskich przywódców, które dostaliśmy od twoich ludzi, Paul, doszliśmy do wniosku, że gdybyśmy złagodzili ograniczenia naszych inwestycji w Chinach i równocześnie autoryzowali dostawy broni za pośrednictwem Indii dla wrogich Chinom ugrupowań, działających w Nepalu, jest mało prawdopodobne, by Chińczycy zaangażowali się w konflikt koreański.

- Na ile mało prawdopodobne? - zapytał prezydent.

- Osiemdziesiąt siedem procent szans, że trzymaliby się z boku.

- My otrzymaliśmy nieco inne szacunki z SAGA - powiedział Colon. - Około siedemdziesięciu procent. Ale Biuro Studiów, Analiz i Symulacji Strategicznych nie dysponowało aktualnymi

portretami psychologicznymi, więc w tej sprawie zgodziłbym się z wyliczeniami Mela.

Hood z kamienną twarzą przysłuchiwał się dyskusji, zaniepokoił się jednak wynikami otrzymanymi przez Liz. Swojego dyżurnego psychologa darzył wielkim szacunkiem, w równym stopniu cenił też pomocniczego oficera operacyjnego Matta Stolla. Lecz w jego klasyfikacji analiza komputerowa i psychologia plasowały się - w tej właśnie kolejności -

dopiero za starą, wypróbowaną intuicją. Jego rzecznik prasowy Ann Farris żartowała, że nigdy doznał przeczucia, które by mu się nie spodobało, i miała rację.

Prezydent spojrział na zegar u dołu monitora, po czym splótł dłonie. Na znak Colona sekretarka wyłączyła poufne programy i Hood widział już tylko latające na chybił trafił po monitorze pociski programu oszczędzającego ekran.

- Panowie - powiedział prezydent po długiej chwili ciszy - Chciałbym, żebyście w tym składzie utworzyli sztab kryzysowy na czas trwania konfliktu, a tobie, Paul - spojrział

Hoodowi prosto w oczy - powierzam kierownictwo.

Decyzją tą zaskoczył zarówno samego dyrektora Centrum, jak i wszystkich obecnych.

- Za cztery godziny dostarczysz mi przegląd opcji. O ile nie dojdzie do innych aktów terroru lub agresji, musicie oprzeć się na założeniu stopniowej dyslokacji naszych sił, lecz przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny nie ma mowy o żadnej otwartej akcji zbrojnej.

Powinno to dać twoim ludziom i reszcie sztabu czas na ocenę raportu wywiadu i dodanie odpowiedniego załącznika. - Prezydent wstał. - Dziękuję. Av, przyjdź do Owalnego o szóstej, musimy omówić sytuację z sojusznikami. Ernie, Mel - o siódmej przedstawimy sytuację gabinetowi i członkom Komisji Sił Zbrojnych. A z tobą, Paul, widzimy się o wpół do dziesiątej.

Prezydent wyszedł, a za nim krok w krok podążyli sekretarz obrony i przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów Av Lincoln podszedł do Hooda.

- Moje gratulacje, Paul. Wygląda na to, że szef chce komuś dokopać. - Nachylił się bliżej. -

Sztuka polega na tym, żeby nie nadstawić własnej dupy

Miał rację. Prezydent do tej pory nie powierzył Centrum kryzysu zagranicznego, toteż dzisiejsza decyzja oznaczała, że zamierza uderzyć ostro i zdecydowanie, jeżeli tylko nadarzy się sposobność. Gdyby coś się nie powiodło, będzie mógł zwalić winę na nowicjuszy, zamknąć agencję i ponieść tylko minimalne straty polityczne. Potem Hood przejdzie sobie na nisko płatną posadę w Centrum Cartera lub Amerykańskim Instytucie Pokoju jako nowo nawrócony pasta, skruszony grzesznik wyprowadzany na publiczną chłostę na uroczystych kolacjach lub sympozjach.

Av skierowanym do góry kciukiem dał mu znak, żeby się nie poddawał. Zebrawszy myśli Hood

poszedł za nim do windy Nie dość, że brał na siebie odpowiedzialność za wszelkie niepowodzenia, to wcale nie miał ochoty przez następne cztery godziny grać roli sędziego ringowego w biurokratycznej walce o wpływy podczas telekonferencji z każdym członkiem nowopowstałego sztabu kryzysowego i kleić wspólną strategię z sześcioma facetami reprezentującymi diametralnie różne interesy Owszem, należało to do jego obowiązków, z którymi dotychczas radził sobie doskonale, lecz nie znosił ludzi, którzy przedkładali interes własnej partii lub agencji nad dobro kraju.

Trzeba przyznać, że istniała też i druga, jaśniejsza strona medalu - szansa, że wszystko mu się uda. Im dłużej się zastanawiał, tym bardziej czuł się zmobilizowany do działania. Jeżeli prezydent chce zagrać ryzykownie kartą Centrum, Hood musi być gotów na podjęcie znacznie większego ryzyka, aby zapewnić Centrum raz na zawsze międzynarodową wiarygodność. Jak jeden z jego bohaterów, Babe Ruth, gwiazda baseballa: kiedy przyjdzie twoja kolej i dostajesz kij do ręki, chcesz wysłać piłkę tak daleko, by obiec wszystkie bazy, nawet jeżeli, tak jak Ruthowi, udaje ci się to „tylko” w sześćdziesięciu procentach uderzeń...

□ **Wtorek, godzina 5.25 - baza powietrzna piechoty morskiej w Quantico, Wirginia**

Bitwa była długa i zażarta, trup ścielił się gęsto, twarze wykrzywiały grymas bólu, rozkazy i okrzyki przerywały ciszę wczesnego ranka.

- Co za dupki - stwierdziła Melissa Squires do pozostałych żon żołnierzy, siedzących przy piknikowym stole. Postukała w pager męża. - Można by pomyśleć, że nieźle się bawią.

- Dzieci z pewnością - odparła jedna z kobiet, krzywiąc się, gdy ujrzała, jak jej córka spada z ramion ojca w sam środek basenu. - A niech to diabli... David będzie dziś w paskudnym humorze. Wszedł z Weroniką do basenu już za piętnaście piąta i przeprowadzał trening taktyczny.

Batalię obserwowało osiem kobiet, zagryzając stygnącym bekonem, jajkami na twardo i bułeczkami. Codzienna wojna w basenie przedłużała się, lecz wiedziały, że nie należy wołać mężów do stołu, dopóki nie dojdzie do ostatecznego rozstrzygnięcia. Wściekną się tylko, a i tak nie przyjdą, bo żaden nie splami honoru rejteradą z pola walki.

W basenie pozostały już tylko dwie pary: szczupły podpułkownik Chanie Squires i jego chudy syn, Billy, oraz barczysty szeregowy David George z synem Clarkiem. Dzieci odgarniały z czoła kosmyki włosów, gdy tymczasem ich ojcowie z wolna okrążali się, szukając luki w obronie lub czyhając na błąd dziecka, które zachwiało się, bądź nieumiejętnie zaatakowało i straciło równowagę.

Żona sierżanta Greya, Lydia, powiedziała:

- W zeszłym tygodniu, kiedy pojechaliśmy w odwiedziny do moich rodziców na Alasce, wpakowaliśmy się z Chikiem w zaspę, a on nie pozwolił mi wezwać pomocy drogowej.

Kazał mi wsączyć luz, a potem poszedł do tyłu i praktycznie podniósł auto. Przez dwa dni potem chodził zgięty w pół, ale za nic nie przyznałby się, że go boli. W końcu jest Herkulesem.

Z basenu rozległ się okrzyk: Clark zaatakował Billy'ego. Zamiast wycofać się, jak to zwykle czynił, Squires ruszył do przodu. Kiedy Clark wychylał się ku Billy'emu, ten złapał

go za wyciągniętą rękę, szarpnął i chłopak wpadł tyłem do wody Szeregowy George stał

osłupiały, spoglądając to na swego syna, to na Squiresa. Znad brzegów basenu, skąd pokonani wcześniej kombatanci przyglądali się starciu, rozległy się niemrawe oklaski.

- I już po wszystkim? - spytał George Squiresa. - Krótsza, niż pierwsza walka Claya z Listonem.

- Przykro mi, stary - Squires puścił do niego oko. Wyciągnął dłoń, a jego syn przybił piątkę.

- Kiedy pan opracował ten wariant, panie pułkowniku?

- Podczas rozgrzewki. Niezły, co? Facet spodziewa się odwrotu, a tu nagle atak - musi się poczuć trochę zaskoczony

- Wszystko się zgadza, panie pułkowniku – wymamrotał George, brodząc przed synem ku płytkiej stronie basenu.

- Niezła walka - powiedział Clark do Billy'ego i pieskiem popłynął za ojcem.

- Nie mów tak - mruknął George, wspinając się ociężale po drabince. Jego twarz przypominała teraz oblicze Meduzy. - Bo stracisz ducha do jutrzejszej walki.

Squires wyszedł za nim, spostrzegłszy odbicia dwóch reflektorów samochodowych w oknie salonu swojego parterowego domu położonego w mieszkalnej części bazy Zdjął właśnie ręcznik z leżaka, gdy światła zgasły, i z zaciekawieniem obserwował krążącego wokół domu człowieka, którego sylwetka wyraźnie odcinała się na tle jasnoblękitnego horyzontu. Nikt nie mógł się dostać do tej części bazy inną drogą niż przez bramę, która oddzielała jego zespół

od Akademii FBI, a z kolei nikt nie przeszedłby przez bramę bez wydanej przez niego osobiście zgody

Chyba że przybywał z Centrum.

Zarzucając sobie ręcznik na ramiona i wślizgując się w sandały, podpułkownik szybkim krokiem skierował się w stronę domu.

- Charlie, jedzenie ci stygnie!

- Zaraz przyjdę, koteczku. Postaw te smakołyki koło George'a, to nie wystygną.

Oddział Squiresa, zwany Iglicą, składał się z dwunastu zawodowych żołnierzy oraz personelu pomocniczego. Został powołany do życia przed sześcioma miesiącami, w tym samym czasie, co Centrum. Stanowili „czarną” stronę agencji, a ich istnienie okryte było tajemnicą dla wszystkich z wyjątkiem tych, którzy musieli o nich wiedzieć: szefów innych agencji wojskowych i szpiegowskich, oraz prezydenta i wiceprezydenta. Mieli stosunkowo proste zadanie: wkraczali do akcji, gdy zachodziła konieczność skutecznego ataku. Wiadomo było, że ten elitarny oddział uderzy szybko, celnie i boleśnie. Chociaż wszyscy żołnierze Iglicy należeli oficjalnie do regularnych sił zbrojnych i figurowali na liście plac poszczególnych rodzajów wojsk, nosili pozbawione wszelkich charakterystycznych oznaczeń polowe spodnie i bluzy. Gdyby skopali sprawę, nie dało się ich i tak powiązać z żadną jednostką... ani nikogo konkretnego obarczyć odpowiedzialnością.

Squires uśmiechnął się, gdy zza węgła wyszedł mu naprzeciw Mike Rodgers. Orli nos wysokiego mężczyzny, złamany czterokrotnie podczas gry w uniwersyteckiej lidze koszykówki, wysokie, znamionujące inteligencję czoło i jasnobrażowe, niemal złote oczy -

wszystko to składało się na wizerunek mile widzianego gościa.

- Nie popełniam chyba błędu, ciesząc się pana widokiem - zaszalutował Squires dwugwiazdkowemu generałowi. Rodgers zaszalutował w odpowiedzi i obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

- To zależy, czy bardzo się tu nudzicie.

- A czy Coca Cola ma bąbelki? Tak jest, jesteśmy gotowi do działania.

- Dobrze się składa, bo wezwałem przez radio helikopter, każ chłopcom odliczyć do jedenastu i niech Krebs weźmie jedną dodatkową torbę. Ruszamy za pięć minut.

Squires wiedział, że nie należy pytać, dlaczego tylko jedenastu z całej Parszywej Dwunastki - w każdym razie nie tam, gdzie mogły ich usłyszeć żony i dzieci. Niewinne uwagi w rozmowach z przyjaciółmi lub krewnymi bywały tragiczne w skutkach. Wiedział, że nie należy pytać o małą czarną torbę, którą miał przy sobie Rodgers, ani dlaczego był na niej przyszyty emblemat podobny do rosnącego na betonie chwastu. Gdy generał zechce i jeśli w ogóle zechce mu o tym powiedzieć, to powie.

- Tak jest - odpowiedział Squires, ponownie zaszalutował i pobiegł do stołu piknikowego.

Dwunastu pozostałych mężczyzn zerwało się na równe nogi, gotowych do wymarszu, rychło zapominając o zatargach i upokorzeniach porannej batalii.

Zamieniwszy ledwie kilka słów ze Squiresem, jedenastu z dwunastu pobiegło do kwater po sprzęt i mundury. Żaden z nich nie zatrzymał się, by pożegnać się z żoną ani dziećmi, bo smutna twarz lub załzawione oczy mogły wrócić do nich w chwili, gdy mieli ryzykować życiem, i spowodować, że się zawahają. Lepiej było wyjechać od razu, bez pożegnania, na zimno, a później sobie wszystko wynagrodzić. Jedyne mężczyzna, który nie został wybrany siedział przygarbiony nad swym tekturowym talerzem: był to zdecydowanie pechowy ranek w życiu szeregowego George'a.

Jak każdy z członków zespołu Squires miał spakowaną wcześniej na taką okazję torbę wojskową i po czterech minutach wszyscy już biegli przez pole za ogrodzeniem w stronę śmigłowca *Bell Jetranger*, który rozgrzewał się przed półgodzinnym lotem do bazy sił

powietrznych w Andrews.

□ **Wtorek, godzina 19.30 - Seul**

Wóz techniczny wyglądał, jak rozgnieciony owoc awokado: płaty blachy porozrywane i rozrzucone siłą eksplozji, a w środku jedynie szerniałe resztki sprzętu.

Przez ponad godzinę ludzie Kima Huana przetrząsali je, szukając najmniejszych choćby śladów. Znaleźli pozostałości plastiku przyklejone pod tym, co było kiedyś stołem mikserskim wozu technicznego. Natychmiast wysłano je do laboratorium do analizy. Poza tym nie było nic. Nic, prócz wzrastającej z godziny na godzinę liczby ofiar, które z listy rannych przenosiły się na listę zabitych. Ludzie rozstawieni na dachach nie zauważyli niczego podejrzanego, na domiar złego jedna z umieszczonych na dachu kamer telewizyjnych została zniszczona odłamkiem, zaś druga nakierowana była na podium, a nie na tłum ludzi. Na wszelki wypadek zebrano taśmy z kamer ekip telewizyjnych, by sprawdzić, czy nie nagrało się na nich coś podejrzanego. Huan miał zresztą co do tego wątpliwości, ponieważ wszystkie ustawione były najprawdopodobniej w tym samym kierunku: tyłem do wozu technicznego. Ponadto, jego specjalista od komputerów powątpiewał, czy którakolwiek z nich złapała użyteczne odbicie wozu w szybie jakiegoś okna, które byłoby na tyle duże i wyraźne, by można je powiększyć i dokładnie zbadać.

Gdy pracował, Gregory Donald stał blisko przy nim, oparty plecami o poczerniałą latarnię uliczną, nadal ściskając w zębach nie zapaloną fajkę. Nie odzywał się słowem ani nie podnosił wzroku, nie płakał już i wydawało się, że pierwszy szok już minął, chociaż Huan nie zgadłby nawet, jakie myśli kołatały mu się teraz w głowie.

- Proszę pana!

Huan podniósł wzrok i ujrzał biegnącego ku nim swego asystenta Czoj U Gila.

- Ri chyba coś znalazł.

- Gdzie?

- W uliczce za hotelem „Sakong”. Czy mam zawiadomić przez radio dyrektora? Prosił, żeby mu o wszystkim meldować.

Huan zeskoczył z podwozia zniszczonego samochodu.

- Poczekamy i zobaczymy najpierw, co mamy. Jestem pewien, że on sam ma teraz pełne ręce roboty

Tłumacząc zapewne prezydentowi, dlaczego przedsięwzięte środki ostrożności zawiodły, dodał w myślach.

Huan poszedł za Czoj w stronę Muzeum Narodowego po południowej stronie pałacu,



zaskoczony widokiem idącego za nimi wolno Donalda. Huan nie czekał na niego, lecz cieszył się, że coś dociera do jego przyjaciela i nie chciał wywierać na niego żadnego nacisku. Jedynym sposobem, który mógł powstrzymać samego Huana od rozpamiętywania bolesnej straty, jaką ponieśli, były pełne ręce roboty

Ślad podeszwy o rzeźbie przypominającej szeroką literę „W” w zaschniętym kurzu pochodził od żołnierskiego buta armii Korei Północnej. Nie było co do tego wątpliwości.

Profesor Ri domyślał się tego, zaś Huan potwierdził.

- Oddalają się od opuszczonego hotelu - powiedział drobny, szczupły, białowłosy chemik.

- Posłałem ludzi do środka - powiedział Czoj do Huana.

- Wszystko wskazuje na to, że ci, co to zrobili, pili z tej butelki. - Profesor wskazał na rozgniecioną pustą butelkę po wodzie, leżącą na ziemi. - A potem poszli do wozu technicznego.

Kurz w alei był suchy, lecz gorące powietrze stało nieruchomo i wzór rzeźby bieźnika nie zmienił się. Huan ukląkł i przyglądał się czterem kompletnym śladom butów i dwóm ich fragmentom.

- Czy wszystko zostało sfotografowane? – zapytał.

Chi skinął głową.

- Odciski stóp i butelka. Robimy teraz zdjęcia w piwnicy hotelu, bo wydaje nam się, że coś się tam działo.

- W porządku. Każcie zbadać butelkę na odciski palców, sprawdźcie też, czy na gwincie nie ma jakichś osadów - śliny, żywności, czegokolwiek.

Młody asystent pobiegł do samochodu, wyjął z walizki dużą plastikową torbę oraz metalowe szczypce i przyniósł je na miejsce. Podniósłszy butelkę, ostrożnie włożył ją do torby i na białym pasku u góry zapisał godzinę, datę i miejsce znalezienia. Potem wziął z walizki formularz zlecenia, wypełnił go, włożył oba do walizki i wspiął się do okna, gdzie stał na straży żołnierz żandarmerii.

Huan nadal przyglądał się śladom butów, zauważając, że z przodu nie były bardziej zagłębione, co oznaczało, że terroryści nie biegli. Próbował także określić stopień zużycia podeszew i czy ślady należą do jednej pary butów, czy do kilku. Wydawało się, że są przynajmniej dwie różne prawe stopy i zdziwiło go, że żaden z nich nie nosił śladów zużycia ani spękań. W Korei Północnej żołnierze fasowali zwykle nowe buty po zimie, kiedy to zużywały się najbardziej, nie zaś w samym środku lata.

- Jeżeli butelki używali terroryści, nie znajdziecie na niej żadnych odcisków palców Huan podniósł wzrok na Donalda. Jego głos ledwo dał się słyszeć i brzmiał jednostajnie.

Fajkę wepchnął do kieszeni kamizelki, zaś jego ciało przybrało kolor kredy. Lecz był z nimi,

świadom, co się wokół niego dzieje, zaś Huan cieszył się, że go widzi.

- Racja - przyznał Huan. - Wcale się tego nie spodziewamy

- Czy dlatego nie zabrali z sobą butelki? Wiedzieli, że nie naprowadzi was na ich ślad?

- Można tak stwierdzić - powiedział profesor.

Donald zrobił kilka kroków w cienisty głąb alejki. Jego ręce zwisały bezwładnie, a barki przygięte były pod straszliwym ciężarem. Patrząc, jak bardzo cierpi, Huan poczuł się bezradny, jak nigdy.

- Alejka jest bardzo blisko hotelu - zauważył Donald. Więc żebracy zbierają z niej wszystko do czysta. Dlatego butelka, taka jak ta, nie mogła umknąć waszej uwadze i w ten sposób nie moglibyście nie dostrzec śladów butów.

- Tak właśnie myślałem - powiedział Huan. - Mieliśmy rozpoznać wzór na podeszwach i wyciągnąć pochopne wnioski, kto kryje się za tym zamachem.

- Możliwe. - Profesor wzruszył ramionami. - Ale nie można też wykluczyć, że właśnie tu wyrzucił ją nieuważny biegacz, a terroryści najzwyczajniej w świecie jej nie zauważyli.

- W takim razie będą na niej jakieś odciski palców - zawyrokował Huan.

- To prawda - przyznał profesor. - Sprawdzę jeszcze, czy jest coś ciekawego w hotelu i wracam do laboratorium.

Gdy drobny profesor odszedł, Huan podszedł do Donalda.

- Dziękuję ci za to, co tam zrobiłeś - powiedział Donald drżącym głosem, z oczyma wbitymi w ziemię. - Słyszałem cię, ale nie mogłem się pozbierać.

- Nie mogłeś.

- Nawet teraz nie wiem, czy mi się udało. - Łzy znów wezbrały mu w oczach, gdy rozglądał

się po alejce. Westchnął ciężko i otarł oczy palcami. - Ten zamach, Kim... to nie jest ich metoda. Zawsze wykorzystywali wypadki w Strefie Zdemilitaryzowanej lub zabójstwa, żeby nam dać coś do zrozumienia.

- Wiem. Jest jeszcze coś innego.

Nim Huan zdołał dokończyć, przed wylotem alejki z piskiem hamulców zatrzymał się czarny Mercedes z tablicami korpusu dyplomatycznego. Elegancki młody mężczyzna wysiadł z samochodu od strony kierowcy.

- Panie Donald!

Donald wyszedł z ciemności.

- Słucham.

Huan szybko podszedł do niego. Nie wiedział kto jeszcze mógł się stać dziś celem zamachu i nie zamierzał ryzykować.

- Proszę pana - powiedział mężczyzna - w ambasadzie jest dla pana wiadomość.

- Od kogo?

- Kazano mi powiedzieć, że od przeciwnika „Bismarcka”.

- Hood\* - powiedział Donald do Huana. - Spodziewałem się tego. Może on ma jakieś informacje.

Gdy obaj mężczyźni podeszli do samochodu, kierowca sięgnął do środka i odbezpieczył elektryczne zamki drzwiczek.

- Kazano mi także zająć się panią Donald, proszę pana. Czy potrzebuje czegoś? Może zechciałyby pojechać z nami?

*Krążownik HMS „Hood” został zatopiony przez niemiecki pancernik „Bismarck (przyp. red.).*

Donald zacisnął zęby i pokręcił przecząco głową, potem nagle zachwiał się i upadł na bok samochodu z dłońmi założonymi na piersi.

- Proszę pana!

- Nic mu nie będzie - powiedział Huan i machnięciem dłoni dał znak mężczyźnie, by usiadł

za kierownicą. Objął swego przyjaciela i pomógł mu wstać. - Wszystko będzie dobrze, Gregory, zobaczysz.

Wstając, Donald skinął głową.

- Dam ci znać, gdy się czegoś dowiemy

Przygnębiony Huan otworzył drzwiczki samochodu, zaś Donald wślizgnął się do środka.

- Wyświadczysz mi przysługę, Kim?

- Cokolwiek zechcesz.

- Sundzi bardzo podobała się ambasada i podziwiała naszą ambasador. Nie... nie pozwól, żeby tam się znalazła. Nie w takim stanie. Zadzwoń do generała Savrana. Dopilnujesz... -

odetchnął głęboko - ...żeby dostała się do bazy?

- Dopilnuję.

Huan zatrzasnął drzwiczki i samochód odjechał. Szybko połknęła go gmatwanina trąbiących aut, autobusów i samochodów ciężarowych. Zwykły o tej porze tłok pogarszały jeszcze samochody zmuszone do objazdu pałacu.

- Zostań z Bogiem, Gregory - powiedział, potem spojrzał na czerwone słońce. - Nie mogę a nim zostać, Sundzi, więc proszę, zatroszcz się o niego.

Odwróciwszy się, Huan wrócił na alejkę i spojrzał na ślady. W ukośnych promieniach zachodzącego słońca ślady stały teraz wyraźniejsze. Ale była jeszcze jedna sprawa, która niepokoiła go bardziej, niż podejrzenie dogodna dla ekipy śledczej obecność butelki i śladów butów

Kazawszy strażnikowi poinformować Czoj, że idzie do swego biura, Huan pospiesznie wrócił do samochodu, zastanawiając się jak daleko posunie się dyrektor Yung-Hoon, by rozwiązać tę zagadkę...

□ **Wtorek, godzina 5.55 - Waszyngton, D.C.**

Gdy tylko znalazł się w samochodzie, Hood zatelefonował do Centrum i polecił swemu zastępcy ds. operacyjnych, Steve'owi „Bugs” Benetowi włączyć zegar odliczania wstecznego nastawiony na dwadzieścia cztery godziny. Zaproponowała to Liz Gordon: badania stwierdzały, że większość ludzi pracuje efektywniej mając jakiś termin wykonania. Zegar cały czas przypominał, że chociaż trzeba przebiec cały maraton, naprawdę dać z siebie wszystko, koniec działania znajdował się w zasięgu wzroku. Była to jedna z niewielu spraw, w której Hood zgadzał się z Liz.

Gdy Bugs meldował dyrektorowi o zlokalizowaniu Donalda i o tym, że znajduje się w drodze do ambasady, oddalonej od pałacu zaledwie o dwie przecznice, odezwał się telefon komórkowy Hooda. Powiedział Bugsowi, że będzie za piętnaście minut, odłożył słuchawkę i odebrał swój telefon.

- Paul, to ja.

Sharon. Usłyszał w tle odgłos dzwonka i stłumione głosy Nie telefonowała z domu.

- Kochanie, co się stało?

- Alexander...

- Nic mu nie jest?

- Gdy wyjechałeś, zaczął oddychać bardzo ciężko, gorzej, niż kiedykolwiek wcześniej.

Inhalator nie pomagał, więc zabrałam go do szpitala.

Hood poczuł, jak coś ściska mu klatkę piersiową.

- Lekarze dali mu adrenalinę i jest pod obserwacją - ciągnęła Sharon. - Nie przyjeżdżaj tutaj, ja sama zadzwonię, jak tylko będziemy coś wiedzieć.

- Nie powinnaś być sama, Sharon.

- Nie jestem sama, wiem o tym dobrze. A na co ty miałbyś się przydać?

- Wziąłbym cię za rękę.

- Trzymaj sobie swojego prezydenta za rękę, ja sobie poradzę. Posłuchaj, chcę zatelefonować do Harleigh i sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. Chyba wystraszyłam ją jak biegłam przez cały dom niosąc Alexa.

- Obiecuj, że zadzwonisz, jak tylko coś się stanie.

- Obiecuję.

- Powiedz im obojgu, że ich kocham.

- Zawsze tak robię.

Hood czuł się fatalnie, przedzierając się przez poranny tłok na ulicach do bazy sił

powietrznych w Andrews, siedziby Centrum. Sharon musiała wiele znieść w czasie siedemnastu lat ich małżeństwa, lecz obecna sytuacja była wszystko na głowę. Słyszał

przestרח w jej głosie, ślad goryczy w uwadze o prezydencie i... chciał być razem z nią. Ale wiedział, że gdyby wrócił, ona czułaby się winna, że odrywa go od spraw zawodowych. A gdy tak się czuła, byłaby zła na siebie, a nie tego było jej teraz potrzeba.

Choć był nieszczęśliwy, nie pozostawało mu nic do roboty, jak tylko jechać do Centrum.

Cała sytuacja ma też wymiar ironiczny, pomyślał. Oto on, szef jednej z najlepiej wyposażonych agencji na świecie, zdolnej podsłuchiwać rozmowy oddalonych o milę zakładników lub przeczytać gazetę w Teheranie z orbity okołoziemskiej. Ale nie może zrobić zupełnie nic, żeby pomóc swemu synowi... albo żonie.

Dłonie miał wilgotne i sucho w ustach, gdy zjechał z autostrady i pędził w stronę bazy. Nie mógł pomóc rodzinie z powodu kogoś, kto dokonał zamachu i miał szczerzy zamiar sprawić, by ten ktoś za to zapłacił.

## □ Wtorek, godzina 20.00 - Morze Japońskie

Prom zwodowano jeszcze przed II wojną światową, potem przerobiono na barkę, służącą do transportu żołnierzy, zaś na koniec z powrotem na prom.

Gdy nad morzem zapadała noc, dwóch Koreańczyków z Północy siedziało na ławkach na pokładzie dziobowym, grając w warcaby metalowymi pionkami na magnetycznej szachownicy Walizki z pieniędzmi spoczywały płasko pomiędzy nimi, służąc za prowizoryczny stół.

Zerwał się silny wiatr, opryskując ich mgiełką słonej wody Większość pasażerów wpędził już wcześniej do kabiny, gdzie było ciepło, sucho i jasno. Jeden z dwóch mężczyzn rozejrzał się.

- Powinniśmy wejść do środka, Im - powiedział. Samotność nie sprzyjała pewności siebie, a obecność innych ludzi zniechęcała złodziei.

Nie kończąc gry, jeden z mężczyzn zaczął składać szachownicę, zaś drugi wstał i położył dłonie na uchwytych walizek.

- Uważaj, You, żebyś czasem nie przestawił pionów i nie kosztował mnie mego...

Strumień czerwieni trysnął na walizki. Yun podniósł głowę i ujrzał ciemną sylwetkę stojącą za jego współnikiem. Z gardła Ima wystawał błyszczący koniec sztyletu. Yun otworzył usta do krzyku, który stłumiło ostrze, przedzierające się od tyłu przez jego krtań. Chwycił się za gardło, lecz krew płynęła strumieniem przez palce, mieszając się z krwią współnika. Obie kałuże rozmywały niesione przez wiatr krople morskiej wody.

Dwaj mordercy wyjęli ostrza sztyletów z ran swych ofiar. Jeden z nich nachylił się nad umierającymi, drugi zaś podszedł na rufę łodzi do relingu. Zaczął dawać latarką sygnały w dziesięciosekundowych odstępach, tymczasem jego współnik odciął każdemu z zamordowanych po małym palcu. Tylko Yunowi udało się wydać bulgoczący krzyk, gdy ostrze zagłębiło mu się w ciało.

Łopocząc na wietrze potami ciemnopopielatego płaszcza morderca wyrzucił palce za burtę.

Ofiary opatrzone były teraz znakiem jakuzi, zaś władze stracą całe tygodnie szukając zabójców. Zanim się zorientują, że gonią cienie, będzie za późno.

Wracając po walizki, morderca upewnił się, że są bezpiecznie zamknięte, a potem spojrzał

w stronę kabiny W okrągłych bulajach nie znajdował się cień żadnej twarzy, poza tym ciemność i morska piana bez wątpienia uniemożliwiała jakąkolwiek identyfikację. Mostek znajdował się z tyłu,

na szczycie nadbudówki, co sprawiało, że załoga nie widziała zbyt dobrze pokładu. Jeśli będą mieli szczęście, nikt inny nie wyjdzie na zewnątrz i... nie będzie musiał umrzeć.

Jego współnik nadal błyskał latarką. Gdy dołączył do niego, dał się już słyszeć z oddali pomruk silnika. Po chwili zauważyli ciemną sylwetkę wodnosamolotu z wyłączonymi światłami pozycyjnymi. *Buccaneer LA-4-200* zbliżył się do rufy statku, płynąc jego śladem.

Strumień powietrza wzbudzany ciągiem śmigieł zamieniał morską pianę w tysiące maleńkich igieł. Morderca oświetlił latarką kabinę pilota, który otworzył luk w łamanym skrzydle i wyrzucił zeń samopompującą tratwę ratunkową. Pierścień na dziobie przymocowany był do kilku metrów stalowego kabla. Wylądowała ciężko w wodzie, podskakując na wietrze.

Pojawienie się samolotu zwróciło uwagę wachty na mostku.

- Szybciej - przynaglił partnera mężczyzna z latarką.

Kładąc walizki na pokładzie, jeden z mężczyzn skoczył w stronę tratwy. Wylądowawszy w wodzie obok niej, chwycił się linki, wciągnął do środka, a potem odwrócił się twarzą do promu. Jego współnik, podniósłszy jedną z walizek, zakolysał nią w stronę tratwy i puścił.

Drugi złapał ją, potem wyciągnął ręce po drugą. Umieściwszy ją bezpiecznie na tratwie, wciągnął na pokład swego towarzysza, gdy ten zeskoczył z promu.

Gdy członkowie załogi wyszli na pokład i znaleźli ciała, pilot wciągał już tratwę do samolotu. Po chwili mężczyźni byli już we wnętrzu maszyny. Światła samolotu zapaliły się, po czym maszyna i pieniądze znalazły się w powietrzu, kierując się na północ. Dopiero, gdy *Buccaneer* zniknął za horyzontem, skręcił na zachód - nie do Japonii i Jakuzy, lecz do Korei Północnej.



## □ Wtorek, godzina 6.02 - Centrum

Zmiany dzienna i nocna w Centrum spotykały się o szóstej rano, gdy Paul Hood i Mike Rodgers przejmowali dowodzenie od Curta Hardwaya i Billa Abrama. Polityka agencji zabrani a Hardwayowi i Abramowi pozostawać na stanowiskach po swej zmianie. Ważne decyzje najlepiej podejmowały umysły świeże i wypoczęte, zaś w tych rzadkich chwilach, gdy ani Hooda ani Rodgersa nie było na miejscu, obowiązki powierzano różnym członkom zmiany dziennej.

Analitik polityczny, Martha Mackall, przybyła kilka minut wcześniej i po przejściu przez wejścia otwierane kartą magnetyczną i zamkiem cyfrowym oraz przywitaniu uzbrojonych strażników za szybą z Lexanu, zastąpiła swego odpowiednika z nocnej zmiany, Boba Sodaro.

Sodaro zdał jej relację z tego, co wydarzyło się od godziny 4.11 tego rana, gdy Centrum zostało wciągnięte w kryzys koreański.

Pewnym siebie krokiem, wyprostowana, przystojna czterdziestodwuletnia córka legendarnego śpiewaka muzyki soul Macka Mackalla minęła Centrum - istne oko cyklonu, z jego labiryntem małych pomieszczeń i pracowników uwijających się tu i tam. Ponieważ nie znalazła kodu Hooda na komputerowym rozkładzie dyżurów na parterze, wiedziała, że będzie czekać, aż się pojawi. Mijając Centrum w drodze do gabinetów dyrektorów, otaczających środek, w interkomie usłyszała swe nazwisko: ktoś dzwonił do Hooda z Korei.

Przystanąła, chwyciła za słuchawkę wiszącego na ścianie telefonu i zgłosiła, że odbierze telefon u dyrektora w jego własnym gabinecie.

Biuro Hooda znajdowało się o parę kroków dalej, w południowo-zachodniej części budynku. Zlokalizowane w pobliżu Czołgu, było największym gabinetem w całym budynku.

Jednak on zajął je nie z tego powodu, ani z powodu zapierającego dech w piersiach widoku, bo na tym poziomie nie było żadnych okien. Po prostu nikt inny go nie chciał. Czołg otoczony był strefami pól elektromagnetycznych, które generowały wyładowania elektryczne w sprzęcie należącym do kogokolwiek, kto chciałby podsłuchiwać z wewnątrz za pomocą miniaturowych mikrofonów lub zewnętrznych anten satelitarnych. Wśród młodszych członków zespołu powszechne było zaniepokojenie, że fale te mogą negatywnie wpłynąć na ich zdolności rozrodcze. Hood stwierdził, że przy takim poziomie wykorzystania własnego osprzętu bardziej przyda mu się więcej miejsca na nogi.

Nie wiedział o tym, że Liz Gordon zanotowała ten komentarz w jego profilu psychologicznym. Frustracja seksualna mogła wyrzucić negatywny wpływ na efektywność jego działania na tak poważnym stanowisku.

Martha wprowadziła swój kod na klawiaturze przy drzwiach gabinetu.

Biedny Apostoł Paul, pomyślała, zastanawiając się nad ostatnim przezwiskiem nadanym mu przez Ann Farris. Mara zastanawiała się, czy dyrektor zdaje sobie sprawę, że wystarczyłoby, by kiwnął palcem na swą atrakcyjną rzeczniczkę prasową, a zrobiłaby dla niego więcej, niż tylko obsypała komplementami. Poza tym miałyby powód, by zamienić gabinety.

Drzwi otworzyły się z lekkim trzaskiem i Martha weszła do wykładanego boazerią gabinetu. Usadowiła się na krawędzi biurka i podniosła słuchawkę jednego z dwóch telefonów, tego podłączonego do bezpiecznej linii. Na małym ekranie u dołu aparatu wyświetlacz podał numer identyfikacyjny 07-029-77, co powiedziało jej, że telefonujący znajduje się w ambasadzie w Seulu. Jedynka zamiast zera na początku wskazywałaby, że telefon jest od samej pani ambasador. Trzecia linia, do prowadzenia telekonferencji, także zabezpieczona, była zintegrowana z systemem komputerowym.

Nim się odezwała, włączyła magnetofon cyfrowy, który przekładał słowa na druk z zaskakującą prędkością i dokładnością. Prawie równoległy literowy zapis ich rozmowy pojawiał się na monitorze na biurku obok telefonu.

- Dyrektor Hood jest nieobecny Mówi Martha Mackall.

- Cześć, Martha. Mówi Gregory Donald.

Z początku nie rozpoznała powolnego, łagodnego głosu po drugiej stronie linii.

- Tak, proszę pana... dyrektor Hood jeszcze nie przyszedł, ale bardzo chciał z panem rozmawiać.

Nastąpiła krótka chwila ciszy.

- Byłem tam... oczywiście. Potem przyglądaliśmy się miejscu eksplozji, to znaczy Kim i ja.

- Kim..

- Huan. Zastępca dyrektora KCIA.

- Znaleźliście coś?

- Butelkę po wodzie. Kilka śladów wojskowych butów z Korei Północnej. - Jego głos załamał się. -  
Przepraszam.

Tym razem chwila ciszy była znacznie dłuższa.

- Czy nic panu nie jest? Nie został pan ranny, prawda?

- Czuję się... nic złamanego. Moja żona... ona została ranna.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego.

Głos znów mu się załamał, gdy powiedział:

- Martha, oni ją zamordowali.

Dłoń Marthy powędrowała do ust. Spotkała Sundzi tylko raz, na przyjęciu z okazji świąt Bożego Narodzenia, lecz jej urok i żywy umysł pozostawiły po sobie niezapomniane wrażenie.

- Przykro mi, panie Donald. Może porozmawiamy później...

- Nie. Zabierają ją do naszej bazy, a ja też się tam wybieram, kiedy skończę. Lepiej pomówmy teraz.

- Rozumiem.

Przez chwilę zbierał myśli, potem mówił dalej, mocniejszym już głosem.

- W zaułku... były ślady podeszew buta lub butów żołnierzy z Korei Północnej. Ale ani Kiurowi, ani mnie nie wydaje się to prawdopodobne, żeby właśnie oni mieli je na sobie.

Gdyby tak było, musieliby działać za przyzwoleniem swego rządu.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Ślady zostały na wierzchu, nie było żadnych prób ich zatarcia ani ukrycia. Zawodowiec by tak nie postąpił. Poza tym ci z Północy nigdy nie atakują na ślepo w taki sposób.

Gdy mówił, do gabinetu wszedł Hood. Martha nacisnęła klawisz na konsoli, cofnęła zapis o kilka linijek i pokazała go palcem Hoodowi. Gdy przeczytał fragment o Sundzi, pokiwał

głową ze smutkiem, potem usiadł cicho za biurkiem i potarł czoło dwoma palcami.

- Więc ma pan wrażenie, że ktoś chce, żeby to wyglądało na atak ze strony KRL-D -

powiedziała Martha. - Zaprzeczyli, że mieli w tym jakikolwiek udział.

- Mówię, że jest to możliwość, którą musimy rozważyć, zanim zaczniemy potrząsać szabelką nad Phenianem. Tym razem, dla odmiany, mogą mówić prawdę.

- Dziękuję panu. Czy.. czy możemy coś dla pana zrobić? - Znam generała Norborna w bazie, zaś ambasador Hall obiecała... zrobić tutaj wszystko, co będzie mogła. Jestem w dobrych rękach.

- Doskonale. Ale jeżeli potrzebuje pan pomocy ..

- Zatelefonuję. - Głos jego zabrzmiał pewniej, gdy powiedział. - Proszę przekazać Paulowi moje najlepsze pozdrowienia i powiedzieć mu... powiedzieć mu, że gdy Centrum zostanie włączone w sprawę, wykonam swoją część. Chcę znaleźć te bestie, które to zrobiły

- Powiem mu - obiecała, zaś Donald odłożył słuchawkę.

Gdy tylko komputer usłyszał sygnał wolnej linii, zapamiętał rozmowę w osobnym pliku, zaznaczył czas i wyczyścił pamięć w oczekiwaniu na następną.

Martha odłożyła słuchawkę na widełki i ześlizgnęła się z biurka.

- Mam zadzwonić do ambasador Hall i dopilnować, żeby dali Donaldowi wszystko, czego mu potrzeba?

Hood skinął głową.

- Masz podkrążone oczy. Nieprzespana noc?

- Alex miał silny atak astmy. Jest w szpitalu.

- Och... przykro mi. - Uczyniła krok do przodu. - Chcesz do niego pojechać? Dopilnuję tu wszystkiego.

- Nie. Prezydent chce, żebyśmy przygotowali listę opcji działania, a ja chcę, żebyś mi zdobyła ostatnie dane na temat powiązań finansowych Korei Północnej z Japonią, Chinami i Rosją - czarnorynkowych i legalnych. Jeżeli rzeczywiście sytuacja jest poważna, prezydent może zarządzić działania wojenne, ale zobaczmy, co da się osiągnąć sankcjami.

- W porządku. I nie martw się Alexem. Nic mu nie będzie. Dzieci są silne.

- Muszą być, jeśli chcą nas przeżyć - odparł Hood, sięgając po interkom. Swemu asystentowi, Bugsowi, kazał ściągnąć Liz Gordon do czołgu.

Wychodząc, Martha miała nadzieję, że nie okazała się zbyt skwapliwa, proponując zastępstwo Hoodowi. Czuli się trochę zakłopotana, że wykorzystuje chorobę Alexandra w celu poprawy swego życiorysu i zanotowała w myśli, że powinna kazać swej sekretarce, by posłała chłopcu parę baloników. Niemniej jednak, o ile Ann Farris miała chrapkę na osobę dyrektora, o tyle Marthę interesowało jego stanowisko. Lubiła i szanowała Hooda, lecz nie chciała na zawsze zostać analitykiem politycznym Centrum. Biegła znajomość dziesięciu języków i zrozumienie zasad rządzących gospodarką światową predestynowały ją do wyższych celów. Współkierowanie akcją podczas międzynarodowego kryzysu, jak ten, stałoby się sporym osiągnięciem w jej karierze zawodowej i otworzyłoby perspektywy na awans tutaj, lub, gdyby miała szczęście, na przeniesienie do Departamentu Stanu.

Zawsze jest jeszcze jutro, powiedziała sobie, przechodząc wąskim korytarzem, łączącym oko cyklonu z gabinetami dyrekcji. Po drodze minęła Liz Gordon, która wyglądała, jakby miała zaraz wybuchnąć i rozpaczliwie szukała tylko miejsca, w którym mogłaby to uczynić...

□ **Wtorek, godzina 6.03 – baza sił powietrznych w Andrews**

- Pana naprawdę nie obchodzi, czy szefa szlag trafi, prawda, panie generale?

Podpułkownik Squires wraz z Mike'em Rodgersem biegli przez pole. Nie minęła minuta od lądowania *JetRangera*, który natychmiast wzniósł się w powietrze, wracając do Quantico.

Dwóch oficerów prowadziło szereg żołnierzy Iglicy w stronę transportowca *C-141B*, który rozgrzewał się na pasie startowym przed nimi. Poza własnym ekwipunkiem, Squires miał

przenośny komputer Toshiba Satellite ze specjalnie zaprojektowaną drukarką laserową zamontowaną z boku, w którym znajdowały się trasy lotów do 237 różnych miejsc, wraz ze szczegółowymi mapami i możliwymi profilami misji.

- A z jakiego powodu miałby go szlag trafić? - zapytał Rodgers. - Jestem spokojnym człowiekiem... chętnie słucham innych. Swe opinie wyrażam grzecznie i z szacunkiem.

- Przepraszam pana, ale Krebs jest pańskiej postury, a pan mu kazał przynieść dodatkowe ubranie. Wszystkie nasze gry są przeznaczone dla dwunastoosobowego oddziału. Zajmuje pan miejsce Gregory'ego, prawda?

- Zgadza się.

- I założę się o miesięczną pensję, że Hood nie wyraził na to zgody.

- Po co mu zawracać głowę takimi drobiazgami? Ma wiele rzeczy na głowie.

- Cóż, proszę pana... są dwa doskonałe powody, dla których ludzi trafia szlag. Stres i coś, co nie powinno się znajdować nie na swoim miejscu. W tym przypadku pan - tutaj.

Rodgers wzruszył ramionami.

- Pewnie, że go diabli wezmą. Ale nie na długo. Ma w Centrum doskonale zgraną załogę, a poza tym, w tak niewielu sprawach się zgadzamy. Nie będzie za mną tęsknił.

- Co prowadzi nas do kolejnej sprawy. Mogę mówić szczerze?

- Strzelaj.

- Ja tutaj też mam doskonale sprawny oddział. Czy zamierza pan dowodzić, czy zajmuje pan miejsce szeregowego George'a?

- Nie będę nosił gwiazdka, Charlie. Ty dowodzisz, a ja będę robił to, co trzeba. Ty i twój mały laptop macie dwanaście godzin, żeby mnie o wszystkim poinformować.

- Więc ten wyskok to pański pomysł na dobry początek tygodnia? Okazja, żeby się wyrwać zza biurka?

- Coś w tym rodzaju - odparł Rodgers, gdy dotarli do olbrzymiego, czarnego samolotu transportowego. - Wiesz, jak to jest, Charlie. Nieużywany sprzęt rdzewieje.

Squires roześmiał się.

- Pan? Nie sądzę. Taki rodzaj akcji jest w genach Rodgersów od... czy od czasów wojny hiszpańsko-amerykańskiej? - Dokładnie - powiedział Rodgers. - Pra-pradziadek kapitan Malachi T. Rodgers.

Oficerowie zatrzymali się po obu stronach luku, a żołnierze wbiegli do środka, poganiani okrzykami Squiresa.

Serce biło Rodgersowi z dumą, gdy jego ludzie wbiegali na pokład. Pęczniał z dumy, jak zawsze, gdy widział amerykańskich żołnierzy, biegnących spełnić swój obowiązek. Był

jednym z takich żołnierzy podczas swego pierwszej tury służby w Wietnamie, a potem, po uzyskaniu doktoratu z historii na Temple University, gdy stacjonował w Fort Dix, wrócił i dowodzi batalionami takich żołnierzy podczas wojny w Zatoce Perskiej.

Tennyson napisał kiedyś, że widok Lady Godivy wracał starcom młodość, na niego zaś tak działały kobiety oraz... wojsko. Gdy za ostatnim żołnierzem wsiadł do samolotu, pozwalając Squiresowi wejść jako ostatniemu, dwadzieścia sześć lat cofnęło się w przeciągu minuty i znów poczuł się dziewiętnastolatkiem.

Oczywiście, Rodgers wiedział, że podpułkownik ma rację. Hood nie będzie zadowolony z jego wyjazdu. Mimo swego sprytu i często zaskakujących zdolności negocjatora, Hood nie znosił pozostawiania czegokolwiek poza kontrolą. Zaś wyruszając na akcję, o pół świata drogi od domu, Rodgers znajdzie się poza kontrolą Hooda. Lecz przede wszystkim, Hood działał w zespole - jeżeli Iglica ma ruszyć w pole i wykonać tajną misję, dyrektor nie pozwoli, by własne ego powstrzymało go od wysłania oddziału - nawet wraz z Rodgersem -

by spisali się na medal... lub zostali kozłami ofiarnymi.

Gdy tylko znaleźli się na pokładzie, żołnierze zajęli miejsca wzdłuż burt nagej kabiny, podczas gdy personel naziemny kończył zewnętrzny przegląd przedstartowy Wprowadzony do służby w 1982 roku *Lockheed C-141B Starlifter*, górnopłat o rozpiętości ponad pięćdziesięciu metrów, odziedziczył wawrzyny chwały, które przypadły w udziale wcześniejszemu modelowi *C-141A*, wprowadzonemu do służby w 1964 roku. Samolot ten wyróżnił się kilkoma latami codziennych lotów do Wietnamu - a jego rekordowe osiągi były jednym z wielu cichych pożytków z wojny, Żadna inna armia nie miała tak niezawodnego środka transportu, co dawało Amerykanom znaczną przewagę w dziedzinie logistyki.

Przy swoich pięćdziesięciu trzech metrach, *C-141B*, dłuższy od swego poprzednika o siedem i pół

metra, mógł pomieścić 154 żołnierzy, 123 spadochroniarzy z ekwipunkiem, 80

noszy i 16 siedzących rannych lub ładunek. Wyposażenie umożliwiające tankowanie w locie dodawało połowę do normalnego zasięgu 6.500 kilometrów, a nawet dalej, gdy tak jak teraz wiózł mniejszy, niż maksymalny ładunek trzydziestu dwóch ton. Odrzutowiec mógł bez kłopotów dotrzeć na Hawaje, gdzie miał spotkać w powietrzu latający tankowiec *KC-135*.

Stamtąd była już łatwa droga do Japonii, a potem szybki półgodzinny lot helikopterem do Korei Północnej.

Gdy załoga skończyła czynności przygotowawcze przed startem, członkowie Iglicy sprawdzali sprzęt. Poza własnym wyposażeniem kamuflażowym mundurem polowym bez oznaczeń, bagnetem o dwudziestocentymetrowym ostrzu i pistoletem *Beretta 92-F* kalibru 9

mm, również bez wybitych numerów, każdy odpowiadał za zabranie z sobą rzeczy, których potrzebował cały oddział - począwszy od posiłków w kartonach, składających się z kanapek z szynką i czekolady, do telefonów polowych i najważniejszej radiostacji *TAC SAT* z anteną paraboliczną, która umożliwiała dokonywanie połączeń przez satelitę.

Pozostawiając żołnierzy, Squires i Rodgers skierowali się do kabiny pilotów. Za nimi szedł

sierżant Chick Grey. Oddział nie miał żadnych specjalnych potrzeb na czas lotu, ale sierżant powinien zorientować się, czy załoga samolotu nie potrzebuje czegoś od oddziału, począwszy od wyważenia maszyny, co akurat podczas tej misji nie stanowiło żadnego problemu, bo mogli dosłownie skakać po kabinie - aż do wykorzystania sprzętu elektronicznego.

- Chce pan zrobić odprawę, panie generale? - zapytał Squires Rodgersa, trochę nerwowo, jak wydawało się generałowi. Chociaż może tylko podniósł głos, żeby przekrzyczeć warkot czterech silników dwuprzepływowych firmy Pratt & Whitney TF-33 P7 o sile ciągu 9.450

kilogramów.

- Charlie, mówiłem ci, że ty tu jesteś szefem. Ja tu tylko sprzątam.

Squires uśmiechnął się z zadowoleniem, gdy szli wzdłuż ozebrowanego kadłuba ku otwartym drzwiom pokładu załogi i przedstawili się dowódcy, drugiemu pilotowi, mechanikowi pokładowemu, nawigatorowi i oficerowi łącznikowemu.

- Kapitan Harryhausen? - sierżant Grey powtórzył nazwisko, gdy podpułkownik, któremu nawigator zaglądał przez ramię, włączył komputer. - Czy nie jest pan przypadkiem tym samym kapitanem Harryhausenem, który w zeszłym tygodniu leciał *DC-10* linii United na Alaskę?

- Jestem jak najbardziej tym samym kapitanem Harryhausenem z rezerwy sił powietrznych USA.

Na twarzy sierżanta rozlał się uśmiech.

- A niech mnie diabli porwą! Leciałem tamtym samolotem z całą rodziną! Góra z górą! To prawie niemożliwe.

- Możliwe, a nawet dość prawdopodobne, sierzancie - odparł kapitan. - Od siedmiu miesięcy latam z Seattle do Nome. Zgłosiłem się na tę robotę, żebym wreszcie mógł polecieć gdzieś, gdzie świeci ciepłe słońce i nie ma lodu, chyba że w mrożonej herbacie.

Gdy kapitan mówił sierżantowi Greyowi to, co ten już wiedział - że jego ludzie powinni wstrzymać się podczas startu i wchodzenia na pułap z używaniem odtwarzaczy płyt kompaktowych i gier komputerowych - Squires wyciągnął ze swego laptopa kabel, wsunął

złącze w konsolę nawigatora, nacisnął klawisz na swej klawiaturze i przegrał dane do komputera nawigacyjnego *C-141B*. Cały proces zajął sześć sekund, a nim zdążył zamknąć swą Toshiba, komputer pokładowy zaczął nakładać na przewidywaną trasę lotu prognozy pogody, które co kwadrans miały przychodzić z baz amerykańskich po drodze.

Squires odwrócił się do kapitana i z dumą poklepał swój komputer.

- Panie kapitanie, proszę dać mi znać jak tylko będę mógł zapuścić tę maszynkę.

Kapitan skinął głową i oddał honory podpułkownikowi. Pięć minut później rozpędzali się na pasie startowym, a po kolejnych dwóch minutach samolot przechylał się w zakręcie, kierując się na południowy zachód, oddalając się od wschodzącego słońca.

Gdy siedział pod osłoniętymi siatką nagimi żarówkami w szerokim, prawie pustym wnętrzu samolotu, Rodgers przyłapał się na niechętnym rozmyślaniu nad negatywną stroną swego postępowania. Centrum miało dopiero pół roku, a jego skromny, dwudziestomilionowy budżet pochodził z środków CIA i Departamentu Obrony Dla księgowości nie istnieli, zaś prezydentowi byłoby bardzo łatwo zlikwidować ich, gdyby zawalili jakąś większą robotę.

Lawrence był zadowolony, jeżeli nie pełen podziwu dla sposobu, w jaki wykonali swe pierwsze zadanie: znalezienie i unieszkodliwienie bomby na pokładzie promu kosmicznego

„Atlantis”. Ich geniusz komputerowy Matt Stoll naprawdę pokazał się wtedy z jak najlepszej strony, wzbudzając w Hoodzie poczucie wszechogarniającej dumy, lecz także głębokiej frustracji, ponieważ dyrektor żywił głęboko zakorzenioną nieufność wobec techniki. Chyba dlatego, że jego syn dawał mu baty w Nintendo.

Lecz prezydent był wściekły z powodu tego, że w Filadelfii postrzelono dwóch zakładników. Nie miało znaczenia, że strzały oddane zostały przez miejscową policję, która wzięła ich za terrorystów. Prezydent zinterpretował to jako zaniedbanie Centrum w zakresie pełnej kontroli nad sytuacją, i w tym przypadku trudno było odmówić mu słuszności.

Teraz mieli do spełnienia nową misję, chociaż tak naprawdę jaka jej części będzie należała do nich, okaże się później. Będzie musiał poczekać, aż Hood przekaże mu informacje. Ale wiedział



przynajmniej tyle: jeżeli oddział Iglica choćby o jeden krok przekroczy swe uprawnienia, a będzie przy nim osoba numer dwa w Centrum, wtyczka zasilania agencji zostanie wyciągnięta z kontaktu tak szybko, że Hood nie będzie miał nawet czasu, żeby się wściec.

Zaciskając kciuki, Rodgers przypomniał sobie nieśmiertelne słowa astronauty Alana. B.

Sheparda, gdy oczekiwał wystrzelenia w kosmos: „Dobry Boże, proszę, nie daj mi spieprzyć tej roboty”.

## □ Wtorek, godzina 20.19 - Seul

Baza armii USA w Seulu była źródłem irytacji dla wielu mieszkańców miasta.

Zajmując osiem hektarów najlepszych parcel w samym sercu miasta, mieściła dwa tysiące żołnierzy na powierzchni półtora hektara, zaś sprzęt i amunicja zajmowały kolejny hektar.

Pozostałe pięć i pół hektara zapewniało żołnierzom godziwe warunki pobytu i rozrywkę: poczta, dwa kina z najnowszymi filmami oraz więcej kręgielni, niż w przeciętnych miastach USA. Większość efektywnej siły militarnej rozlokowana była wzdłuż Strefy Zdemilitaryzowanej, sześćdziesiąt kilometrów na północ, gdzie naprzeciw siebie stało około miliona żołnierzy Baza w Seulu była więc w najlepszym razie skromną jednostką wsparcia.

Odgrywała po części rolę polityczną, a po części ceremonialną - symbolizowała trwałą przyjaźń z Republiką Korei i była bazą, skąd można było śledzić poczynania Japonii.

Długoterminowe prognozy Departamentu Obrony zakładały, że do roku 2010 remilitaryzacja Japonii stanie się faktem, a jeżeli USA kiedykolwiek stracą tam swe bazy, baza w Seulu stanie się najważniejszą na obszarze Azji i Pacyfiku.

Lecz mieszkańców Korei Południowej najbardziej interesował handel z Japonią i wielu uważało, że kilka hoteli i luksusowych sklepów w tym miejscu lepiej służyłoby ich interesom, niż rozpierająca się dumnie baza amerykańska.

Major Kim Li, z sił zbrojnych Republiki Korei, ROK, nie należał do tych, którzy chcieli, by ziemia ta wróciła do Korei. Patriota, którego nieżyjący ojciec był generałem podczas wojny, którego matka została rozstrzelana jako szpieg, Kim ucieszyłby się widząc więcej amerykańskich oddziałów na obszarze między stolicą a Strefą Zdemilitaryzowaną. Był pełen podejrzeń wobec prób nawiązania rokowań, czynionych przez Koreę Północną, a zwłaszcza ich niespodziewanie wyrażonej zgody na inspekcje Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej oraz zgłoszenia chęci przestrzegania Traktatu o Nierozprzestrzenianiu Broni Jądrowej. W 1992 roku pozwolili na sześć inspekcji urządzeń nuklearnych, a potem zagrozili wycofaniem się ze zobowiązań traktatu, gdy Agencja chciała także zbadać ich miejsca składowania odpadów Wysłannicy byli zdania, że Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna

zebrała przynajmniej dziewięćdziesiąt

gramów plutonu

poprzez

przetworzenie paliwa do reaktorów w celu wykorzystania ich do produkcji broni.

Koreańczycy z Północy używali do tego celu małego, grafitowego reaktora o mocy 25

megawatów

KRL-D zaprzeczała wszystkiemu, zwracając uwagę, że do stwierdzenia, czy testowali broń nuklearną Amerykanie nie potrzebują Agencji, ci zaś utrzymywali, że przeprowadzanie testów nie jest konieczne, by stwierdzić, czy ładunek nadaje się do wykorzystania. Wzajemne oskarżenia i zaprzeczenia leciały ze wszystkich stron, gdy Korea Północna zawiesiła wycofanie z traktatu, lecz impas trwał całe lata.

A teraz się skończył. Korea Północna ostatnio zaskoczyła świat zgadzając się na otwarcie swych zakładów badań jądrowych w Yongbyon długo oczekiwany „specjalnym inspekcjom”, lecz o ile Rosja, Chiny i Europa nazwały to ustępstwem prawdziwym przełomem, wielu ludzi w Seulu i w Waszyngtonie miało diametralnie odmienną opinię, że KRL-D

najzwyczajniej w świecie wybudowała w innych, praktycznie niemożliwych do zlokalizowania miejscach małe, wykładane ołowiem „przechowalnie” i zakończyła wszelkie prace badawcze nad bronią nuklearną w Yongbyon. Podobnie jak Saddam Hussajn, który umieścił swój reaktor w fabryce mleka w prosku (Amerykanie zbombardowali ją podczas Wojny w Zatoce) Koreańczycy prawdopodobnie budowali takie przechowalnie pod szkołami.

Pracownicy Agencji pozostawaliiby w błogiej nieświadomości co do ich obecności i nie chcieliby wywierać dalszych nacisków - jakże bowiem niesprawiedliwe wydawałoby się żądanie dalszych specjalnych inspekcji, gdy Korea Północna w pełni zgodziła się na poprzednie żądania.

Major Li nie zwracał uwagi na urażone uczucia Korei Północnej ani na deszcz pochwał i poklask, płynące z Moskwy, Pekinu i Paryża w kilka minut po tym, jak Phenian uczynił

„wielki krok w stronę pokoju i stabilizacji”. Koreańczykom z Północy nie można było ufać, zaś on czerpał przewrotne zadowolenie z wybuchu w pobliżu pałacu, jeżeli świat nie rozumiał tego do dzisiaj, to teraz zrozumiał.

Pytanie, które zadawał sobie major Li i inni oficerowie w Seulu brzmiało: jaka będzie odpowiedź rządu? Na pewno pogrożą im palcem i skarżą terrorystów, zaś Amerykanie będą gotowi przysłać do Korei więcej żołnierzy, lecz na tym chyba sprawa się zakończy.

Li pragnął czegoś więcej.

Po wydrukowaniu magazynowego formularza polecenia pobrania w centrum dowodzenia w północnym sektorze bazy, major i dwóch podoficerów udali się do amerykańskiego składu amunicji, trzeci podoficer miał prowadzić ciężarówkę. Minąwszy dwa punkty kontrolne, gdzie dokładnie sprawdzono ich papiery i zażądano hasła na ten dzień, dotarli do przechowalni materiałów niebezpiecznych. Dostępu do wyłożonego gumą pomieszczenia o ścianach grubości czterdziestu pięciu centymetrów broniły drzwi, otwierane systemem podwójnych kluczy. W nieoznakowanym pomieszczeniu Amerykanie przechowywali składniki broni chemicznej, o czym nie wiedziała większość żołnierzy pozostających w bazie: jeżeli mieszkańcy Seulu nie przepadali za kręgielniami

czy kinami, wściekliby się powodu broni chemicznej. Broń taką posiadała jednak Północ, więc na wypadek konfliktu celem polityki USA i Korei było nie dopuszczenie, by straty poniosła strona, która walczy zgodnie z zasadami.

Polecenie pobrania majora opatrzone było nagłówkiem „Tylko do wglądu” i pokazane zostało jedynie oficerowi odpowiadającemu za magazyn gazów bojowych. Major Charlton Carter pocierając podbródek usiadł za swym biurkiem na końcu korytarza i odczytał

polecenie pobrania opiewające na cztery dwudziestopięciokilogramowe pojemniki tabunu.

Major Li ustawił się przed Carterem, przyglądając mu się z założonymi do tyłu rękami, zaś jego pomocnicy stali o krok do tyłu po obu jego stronach.

- Majorze Li, muszę przyznać, że jestem zaskoczony

- Czym? - Koreańczyk zmarszczył brwi w napięciu.

- Wie pan, że od pięciu lat jak tu siedzę, to jest pierwsze polecenie wydania gazów bojowych, jakie dostałem?

- Ale wszystko jest w porządku,

- Doskonałym. Poza tym wydaje mi się, że nie powinienem być zaskoczony. Po tym, co się dziś wydarzyło w mieście, nikt nie chce, żeby go złapali z gołym tyłkiem.

- Dobrze powiedziane.

Major Carter czytał dalej:

- Stan podwyższonej gotowości bojowej obowiązuje w południowo-zachodniej części Strefy Zdemilitaryzowanej. Pokręcił głową. - A ja myślałem, że nasze stosunki się poprawiają.

- Najwyraźniej Północ chciała, żebyśmy w to uwierzyli. Ale mamy dowody na to, że zaczynają wykopywać pojemniki z bronią chemiczną, którą mieli zakopaną w strefie.

- Naprawdę? Cholera. I te dwudziestopięciokilówki mają załatwić sprawę?

- Jeżeli użyje się ich mądrze. Nie musimy przecież zrzucać im pojemników na głowy

- Co do tego, ma pan zupełną rację. - Major Carter wstał i podrapał się po karku. -

Zakładam, że jest pan przeszkolony w zakresie posługiwania się tabunem. Gaz w pojemniku nie jest zbyt lotny..

- ...ale łatwo go rozpylić w formie mgły, ma słaby zapach, jest bardzo toksyczny i działa szybko, gdy

organizm przyswoi go przez skórę, a jeszcze szybciej, gdy się go wdycha. Tak, panie majorze. Mam dyplom pierwszego stopnia, klasa pułkownika Orlando, 1993 rok.

- I ma pan jeden z kluczy? - Carter poklepał się po piersi.

Li odpiął guzik pod krawatem. Obaj mężczyźni zdjęli łańcuszki z kluczami ze swych szyi i weszli do magazynu. Zamki znajdowały się po przeciwnych stronach drzwi, żeby jedna osoba nie mogła ich jednocześnie dosięgnąć. Po przekręceniu kluczy drzwi wsunęły się w podłogę, pozostawiając około trzydziestu centymetrów wystające nad poziomem podłogi.

Przeszkoda ta miała przypominać żołnierzom, że nie powinno się biegać, trzymając w objęciach pojemnik z gazem bojowym.

Zakładając z powrotem klucz na szyję, major Carter wrócił za biurko po formularz pokwitowania, zaś major Li nadzorował ostrożne ładowanie wysokich na siedemdziesiąt centy metrów pojemników na jednoosiowe wózki. Specjalnie zaprojektowane do przewożenia różnej wielkości pojemników, wisiały na tylnej ścianie magazynu. Jeżeli wróg dotarłby aż tam, mijając po drodze wszelkie zabezpieczenia, mógł nie wiedzieć, że wózki mają wbudowane mikroprocesory, które włączają alarm, gdy zabiera się je dalej, niż dwieście metrów od przechowalni.

Pojemniki zostały przypięte do wózków i zabrane na zewnątrz do czekającej ciężarówki.

Gdy ładowano każdy z nich, uzbrojona strażniczka pilnowała załadunku i zostawała z koreańskim kierowcą za każdym razem, gdy Li i jego ludzie wracali po następny. Gdy skończyli, Koreańczyk wrócił i pokwitował odbiór. Carter podał Li jego kopię.

- Niech pan nie zapomni tego zabrać do biura generała Norborna do opieczętowania. W przeciwnym razie nie wypuszczą was za bramę.

- Tak, pamiętam. Dziękuję.

- Życzę szczęścia - powiedział, podając Li dłoń. – Potrzebujemy ludzi takich, jak pan.

- I takich, jak pan - odparł Li.

## □ Wtorek, godzina 6.25 - Centrum

Paul Hood i Liz Gordon przybyli do czołgu równocześnie. Hood zaprosił ją szerokim gestem dłoni i wszedł za nią. Ciężkie drzwi obsługiwał przycisk z boku wielkiego owalnego stołu konferencyjnego. Mrok niewielkiego gabinetu rozpraszały świetlówki, zawieszane po kilka nad stołem konferencyjnym, a wiszący na ścianie naprzeciw fotela Hooda zegar odliczania wstecznego wyświetlał coraz to inne rzędy cyfr.

Ściany, podłoga, drzwi i sufit Czołgu wyłożone były dźwiękochłonnym tworzywem, Acoustixem. Za popielato-czarnymi cętkami znajdowało się kilka warstw korka, trzydzieści centymetrów betonu i jeszcze trochę Acoustixu. Wewnątrz ściany z betonu znajdowały się dwie siatki przewodów elektrycznych, generujących przypadkowe pola magnetyczne. Żaden elektroniczny nośnik informacji nie mógł opuścić pomieszczenia bez zupełnego zniekształcenia treści przekazu. Jeżeli nawet jakiś aparat podsłuchowy zdołałby wychwycić odgłosy rozmowy z wnętrza Czołgu, przypadkowość zmiennej modulacji uniemożliwiłaby rozszyfrowanie rozmowy.

Hood usiadł u szczytu stołu, zaś Liz zajęła miejsce po jego lewej stronie. Przygasił monitor, stojący obok klawiatury, nad którym znajdowała się mała kamera światłowodowa.

Podobny zestaw znajdował się na miejscu Mike'a Rodgersa po przeciwnej stronie stołu.

Liz rzuciła na stół swój żółty notatnik.

- Posłuchaj, Paul. Wiem, co powiesz, ale nie mam co do tego wątpliwości. On tego nie zrobił.

Hood spojrzał w piwne oczy swego dyżurnego psychologa. Jej średniej długości brązowe włosy były ściągnięte do tyłu czarną opaską, a biały ślad na kołnierzu jej eleganckiego czerwonego kostiumu był pozostałością nieuważnie strzepniętego popiołu jednego z papierosów Marlboro, które paliła jeden po drugim w swym gabinecie.

- Nie miałem zamiaru twierdzić, że się mylisz - odparł spokojnie Hood. - Ale muszę wiedzieć dokładnie, jak pewna jesteś swego zdania. Prezydent mianował mnie szefem zespołu do spraw kryzysu w Korei, więc nie mogę mu powiedzieć, że jego północnokoreański odpowiednik mówi o pokoju, kiedy on chce przekroczyć Strefę Zdemilitaryzowaną.

- Osiemdziesiąt dziewięć procent - powiedziała chrapliwym głosem. - Właśnie na tyle jestem pewna. Jeżeli informacje Boba Herberta są dokładne i weźmiemy je pod uwagę, nasz poziom pewności sięga dziewięćdziesięciu dwóch procent. - Z kieszeni wyjęła pasek gumy Wrigleya i rozpakowała go. - Prezydent Korei Północnej nie chce wojny. Innymi słowy, jest zadowolony ze wzrostu poziomu życia klasy robotniczej i wie, że jedynym sposobem utrzymania się przy władzy jest jej zadowolenie. Najlepszym na to sposobem jest izolacja z wyboru. A sam wiesz, co myśli Herbert.

Rzeczywiście wiedział. Jego oficer wywiadu był zdania, że jeśli generałowie KRL-D

sprzeciwialiby się polityce swego prezydenta, odsunęliby go od władzy. Nagły zgon ich długoletniego przywódcy Kim Ir Sena w 1994 roku pozostawił wystarczającą pustkę na wyższym szczeblu władzy, by interweniować, gdyby im się nie podobało to, co się dzieje.

Liz zwinęła pasek gumy i wsunęła go do ust.

- Wiem, że nie uważasz wydziału psychologii za przesadnie naukowy i byłbyś w siódmym niebie, gdyby nas zlikwidowali. W porządku. Nie przewidzieliśmy nerwowej reakcji policji w Filadelfii, ale Koreańczyków z Północy rozpracowujemy od lat i jestem przekonana, że mamy rację!

Od strony monitora po jego lewej stronie rozległo się brzęczenie. Hood rzucił okiem na wiadomość od Bugsa Beneta, reszta członków grupy roboczej była gotowa do telekonferencji. Hood nacisnął klawisz Alt, potwierdzając przyjęcie wiadomości, potem spojrzał na Liz.

- Wierzę w intuicję, nie w psychologię. Ale nigdy nie spotkałem się z przywódcami Korei Północnej, więc w tym względzie muszę polegać na tobie. Właśnie tego mi potrzeba.

Liz zdjęła skuwkę z pióra i zaczęła pisać.

- Chcę, żebyś wróciła do swych danych i zrobiła dla mnie nowe profile osobowości najwyższych władz Korei z uwzględnieniem następujących czynników: nawet jeżeli władze nie popierają tego ataku, w jaki sposób zareagują na wprowadzenie stopnia Defcon 5 z naszej strony, na możliwą akcję odwetową Korei Południowej w Phenianie i czy jacyś generałowie KRL-D byliby na tyle szaleni, żeby zorganizować coś takiego bez aprobaty swojego przywódcy Chciałbym też, żebyś jeszcze raz przejrzała opracowanie na temat Chin, które dałaś ludziom z CONEX-u. Powiedziałaś, że Chińczycy nie chcieliby angażować się w wojnę na półwyspie, ale że kilku ludzi we władzach mogłoby do niej dążyć. Napisz kto taki, podaj przyczyny i wyślij kopię do ambasadora Rachlina z Pekinie, żeby mógł ugłaskać, kogo trzeba.

Gdy skończyli, co zawsze sygnalizował głęboki, pełen rozdrażnienia wydech dyrektora, którego chyba nawet nie był świadom, Liz wstała i Hood przyciskiem otworzył jej drzwi.

Nim drzwi zamknęły się znowu Darrell McCaskey, oficer łącznikowy z FBI i Interpolem wszedł do środka. Hood przywitał się z niskim, żyłastym, przedwcześnie posiwiałym byłym agentem FBI i gdy ten usiadł, Hood nacisnął klawisz Control na swej klawiaturze. Wtedy monitor podzielił się na sześć równych pól - trzy poziome i trzy pionowe. Pięć z nich przedstawiało telewizyjny przekaz na żywo pozostałych uczestników porannego spotkania, na szóstym zaś był Bugs Benet, który miał robić notatki ze spotkania. U dołu ekranu znajdował się wąski czarny pas - jeżeli zachodziła konieczność pilnego poinformowania o czymś Hooda, z sali sytuacyjnej Centrum przesyłano mu na ekran krótką tekstową wiadomość.

Hood nie rozumiał dlaczego musi widzieć ludzi, z którymi rozmawia, lecz gdy tylko pojawiła się jakaś nowinka techniczna, używano jej, bez względu na to, czy była potrzebna, czy nie. Całość przypominała mu początek „The Brody Bunch”. Siłę głosu ustawiało się klawiszami funkcyjnymi i, zanim zwrócił się do innych, nacisnął F6, żeby porozmawiać z Bugsem.

- Czy jest już Mike Rodgers?

- Jeszcze nie. Ale Iglica już wyruszyła, więc niedługo powinien tu być.

- Przyślij go tutaj, kiedy przyjdzie. Czy Herbert ma coś dla nas?

- Też nie. Nasi ludzie z wywiadu w KRL-D są tak samo zaskoczeni rozwojem sytuacji, jak my. Herbert jest w stałym kontakcie z KCIA, a ja dam ci znać, jak tylko coś będą mieli.

Hood podziękował mu, a potem przyjrzał się twarzom swych kolegów, gdy naciskał po kolei klawisze od F1 do F5. - Czy wszyscy mnie słyszą?

Pięć głów pokiwało zgodnie.

- Dobrze. Panowie, odniosłem wrażenie - a jeżeli się mylę, poprawcie mnie - że prezydent chce podjąć zdecydowane działania w związku z tym kryzysem.

- I skuteczne - dodał maleńki obraz Ava Lincolna.

- I skuteczne. Co oznacza, że nasze marchewki mogą być znacznie krótsze od naszych kijów. Steve, ty masz dane o naszej polityce w tym rejonie.

Doradca ds. bezpieczeństwa narodowego odwrócił się lekko, spoglądając na inny monitor w swym gabinecie.

- Naszą polityką na półwyspie rządzi oczywiście traktat z Południem. W jego ramach jesteśmy zobowiązani do następujących działań na rzecz politycznej stabilizacji po obu stronach: działać na rzecz zmniejszenia potencjału nuklearnego Korei Północnej, egzekwować postanowienia Traktatu o Nierozprzestrzenianiu Broni Jądrowej, wspierać dialog między Północą a Południem, stosować się do procedury konsultacji z Japonią i Chinami, włączyć się natychmiast i aktywnie we wszelkie inicjatywy, podejmowane przez strony i zapewnić, że żadna strona trzecia nie będzie podejmować bardziej aktywnych działań, niż USA.

- Jednym słowem, wszystko postawiliśmy na jedną kartę - skomentował sekretarz stanu.

Hood przez chwilę przebiegał wzrokiem od twarzy do twarzy. Nie trzeba było zachęcać ich do dalszych komentarzy: wszyscy, którzy mieli coś do powiedzenia, już to powiedzieli.

- Pomówmy więc o strategii działania - powiedział. - Mel, co radzą nam robić członkowie Kolegium Szefów Sztabów? - Rozmawialiśmy krótko - powiedział, gładząc rzadkie wąsy dwoma palcami. - Ale Ernie, Mel, Greg i ja kontaktowaliśmy się w tej sprawie zanim przyjechałeś do Białego Domu i prawdę mówiąc mamy takie samo zdanie. Bez względu na to, czy podłożenie bomby było oficjalnie usankcjonowane, będziemy starać się ograniczyć reperkusje kanałami dyplomatycznymi. KRL-D zostanie zapewniona o kontynuacji rozmów dwustronnych, zwiększonej wymianie handlowej oraz pomocy w utrzymaniu obecnego reżimu.



- Jedynym zastrzeżeniem - wtrącił Greg Kidd, dyrektor CIA, blondyn o młodzieńczym sposobie bycia - jest to, czy względy polityczne i ekonomiczne powstrzymają ich od próby zagarnięcia terytorium Korei Południowej. Ten cel to dla nich Święty Graal, zwłaszcza dla części generacji, która nie zadowolony się niczym mniejszym. Zajęcie Południa zaoszczędziłoby im także całą fortunę - program jądrowy stanowi poważne obciążenie dla gospodarki i mogliby dać sobie z nim spokój, gdyby nie musieli się martwić naszą obecnością nuklearną na Południu.

- Więc możemy trafić na sytuację, w której więcej sensu ma prowadzenie wojny konwencjonalnej, a nie jądrowego wyścigu zbrojeń.

- Racja, Paul. Zwłaszcza, gdy będą musieli odrabiać zaległości.

- Jeżeli pieniądze odgrywają w tym tak wielką rolę - ciągnął Hood - w jaki sposób możemy im przykręcić kurek?

- Zastępca sekretarza stanu rozmawia teraz z Japonią, ale sytuacja jest bardzo delikatna -

odparł Av - Obie Koree żywią wobec Tokio zadawnione urazy za japońskie zbrodnie wojenne w czasie drugiej wojny światowej, ale przecież handlują z nimi. Jeżeli nie będą mogli trzymać się z boku, będą bardzo się starali utrzymywać normalne stosunki z obiema stronami.

- Typowe dla nich - mruknął Mel.

- Zrozumiałe - skontrował Av - Japończycy żyją w ciągłym strachu przed wojną na półwyspie i możliwością jej rozszerzenia.

- Trzeba rozważyć jeszcze jeden aspekt - zauważył Kidd. - Jeżeli wykluczmy neutralność, jest bardzo prawdopodobne, że Japonia wesprze Północ.

- Przeciwno nam? - zapytał Hood.

- Przeciwno nam.

- Typowe dla nich - powtórzył Mel.

- Więzy finansowe między Japonią a Koreą Północną są silniejsze, niż nam się wydaje.

Podziemie przestępcze w Japonii masowo inwestuje zyski z narkotyków i hazardu na Północy.. Wydaje nam się, że za cichym błogosławieństwem Tokio.

- Dlaczego ich rząd miałby to sankcjonować? - zapytał Hood.

- Z obawy, że KRL-D wykorzysta *Nodongi*, koreańską wersję pocisków *Scud* zdolną do przelecenia na drugą stronę morza. Jeżeli wybuchłaby wojna i Korea Północna chciałaby rozegrać tę kartę, Japończycy mogliby dostać niezłe baty Mimo dobrej prasy, nasze *Patrioty* zestrzeliły bardzo niewielką liczbę *Scudów* podczas wojny w Zatoce. Japończycy będą nas popierać dopóki nie spadnie im włos z głowy.

Hood milczał przez chwilę. Jego zadaniem było pociąganie za różne nitki i patrzenie, gdzie go zaprowadzą, bez względu na to jak dziwne wydawało się to na pierwszy rzut oka. Zwrócił

się do zastępcy dyrektora McCaskeya.

- Darrell, jak się nazywają ci szowiniści w Japonii, wiesz, ci, co wysadzili w powietrze giełdę w Mexico City, kiedy Bush zaczął forsować układ NAFTA?

- Liga Czerwonego Nieba.

- Właśnie o nich mi chodzi. O ile sobie przypominam, są przeciwni bliższemu związkowi Japonii z USA.

- To prawda, chociaż ci akurat zawsze natychmiast przyznają się do tego, co zrobili. Ale masz rację, tu może wchodzić w grę działanie kogoś z boku - może handlarze bronią z Bliskiego Wschodu chcą zbić fortunę, sprzedając Północy broń. Oddeleguję do tego kilku ludzi.

Były agent FBI podszedł do komputera po drugiej stronie pomieszczenia i zaczął

powiadamiać pocztą elektroniczną swych informatorów w Azji i w Europie.

- To interesująca możliwość - pokiwał głową Greg Kidd. - Kiedyś też miałem podobne zdanie. Ale nie musi się za tym kryć handel bronią. Moi ludzie sprawdzają, czy przypadkiem ktoś nie chce nas wciągnąć w wojnę, podczas gdy oni będą sobie szaleć gdzieś indziej, na przykład w Iraku lub na Haiti. Wiedzą, że amerykańska opinia publiczna nigdy nie poprze decyzji wysłania naszych żołnierzy na dwie wojny równoległe. Jeżeli najpierw potrafią związać nas w Korei, będą mogli bez przeszkód prowadzić swą własną wojnę.

Hood przyjrzał się małemu obrazkowi Bugsa Beneta.

- Dołącz to do przeglądu opcji jako notatkę pod hasłem

Ocena zagadnienia

Kiedy Rodgers wreszcie pojawi się tutaj, razem z Marthą wystukają jakiś załącznik. -

Wrócił wzrokiem do monitora. Av, jakie stanowisko zajmują w tym wszystkim Chińczycy?

- Tuż przed spotkaniem rozmawiałem z ich ministrem spraw zagranicznych. Twierdzi, że nie chcą wojny na swej granicy mandzurskiej, lecz my wiemy, że nie w smak im zjednoczona Korea. Z czasem stałaby się potęgą gospodarczą, co wzbudziłoby zaniepokojenie w Chinach.

- Ale Pekin nadal wspiera Północ finansowo i militarnie.

- W dość ograniczonym zakresie.

- A gdy wybuchnie wojna - zwiększą czy zmniejszą pomoc?

Av rzucił niewidzialną monetą.

- Z politycznego punktu widzenia, na dwoje babka wróżyła.

- Niestety, dla prezydenta potrzebujemy w tej sprawie jednomyślności. Czy ktoś się podejmuje?

- Jakie jest twoje zdanie? - zapytał Burkowi

Hood wrócił myślą do profilu psychologicznego przedstawionego przez Liz Gordon i zaryzykował:

- Zakładamy, że będą ich wspierać na dotychczasowym poziomie - nawet, jeżeli wybuchnie wojna. Pozwoli im to udzielić pomocy swym starym sojusznikom, nie antagonizując niepotrzebnie USA.

- Brzmi to rozsądnie - skomentował Burkowi - Ale, wybaczyć mi się, że nie bierzesz pod uwagę jednej ważnej opcji. Jeżeli Chińczycy jednak zwiększą swe wsparcie, a prezydent podejmie decyzję zgodnie z naszymi zaleceniami, to jesteśmy ugotowani. Jeżeli jednak doradzimy mu, żeby wprowadził na Morze Żółte znaczne siły, gotowe do natychmiastowego ataku na Koreę Północną, ale oczywiście przyglądające się z bliska Chińczykom, odczuje wielką ulgę, gdy Pekin nic nie robi.

- O ile nie uznają naszych sił morskich za zagrożenie wtrącił sekretarz ds. obrony, Colon. -

To może ich zmusić do włączenia się do wojny

Hood zastanawiał się przez kilka sekund.

- Proponuję, żebyśmy ograniczyli rolę Chin w naszych rozważaniach.

- Jestem za - powiedział Colon. - Nie widzę niemal żadnych okoliczności, które zmusiłyby nas do zaatakowania dróg zaopatrzenia w Chinach, więc nie ma powodu wprowadzać broni w ten rejon.

Hood był zadowolony, lecz bynajmniej nie zaskoczony poparciem Colona. Hood nigdy nie służył w wojsku - miał szczęście na loterii dla poborowych w 1969 roku, a jedną z pierwszych rzeczy, których nauczył się o oficerach było to, że zwykle jako ostatni zalecali użycie siły Jeżeli już, zawsze chcieli bardzo jasno i wyraźnie znać plany odwrotu dla swych oddziałów

- Zgadza się z tobą w tym punkcie, Ernie - powiedział Av - Chińczycy jakoś pogodzili się z obecnością naszych wojsk w Korei prawie od pół wieku: gdy wybuchnie wojna, odwrócą głowę, a my to wykorzystamy Nie chcą stracić klauzuli najwyższego uprzywilejowania, nie w chwili, gdy ich gospodarka zaczyna stawać na nogi. Poza tym, przypadnie im do gustu odgrywanie roli starszego brata i będą próbować rozwiązać za nas konflikt.

Hood nacisnął F6 na klawiaturze, potem Ctrl/F1, żeby zobaczyć tekst dokumentu. Gdy Bugs Benet przesuwiał transkrypt, łączył odpowiednie dane z pustymi miejscami z czystym formatem przeglądu

opcji działania. Gdy operacja się zakończy, Hood będzie mógł przejrzeć szkic tekstu, dodać coś lub ująć i przekazać bezpośrednio prezydentowi. Szybki rzut oka na dokument ujawnił, że mają wszystko, czego im potrzeba, z wyjątkiem opcji militarnej i opinii zespołu, czy taka jest rzeczywiście niezbędna.

- W porządku - powiedział. - Dobra robota. A teraz dokończymy resztę.

Polegając głównie na opinii sekretarza ds. obrony, Colona, oraz zdaniu Parkera, przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów oraz w nawiązaniu do skatalogowanych dokumentów na temat polityki zagranicznej USA w tym rejonie, zespół zalecił powolne dochodzenie do pełnej gotowości bojowej, stałe rozmieszczanie oddziałów, czołgów, artylerii i wyrzutni *Patriot* skoordynowane z gotowością do działania i przemieszczania składów amunicji do broni jądrowej, chemicznej i biologicznej. Zespół zalecił ponadto, by w sytuacji braku dodatkowych informacji od KCIA oraz niedokończonego raportu McCaskeya na temat międzynarodowych terrorystów, w celu rozwiązania kryzysu prezydent działał poprzez kanały dyplomatyczne.

Hood dał członkom zespołu pół godziny na przyjrzenie się szkicowi przeglądu opcji działania i wprowadzenie dodatkowych komentarzy, nim usiadł do pracy nad ostateczną wersją tekstu. Gdy skończył, Bugs chrząknął.

- Panie dyrektorze, pański zastępca Rodgers chciałby z panem porozmawiać.

Hood spojrzął na zegar odliczania wstecznego. Rodgers nie zgłaszał się od prawie trzech godzin. Hood miał nadzieję, że ma dobre wytłumaczenie.

- Niech wejdzie, Bugs.

Bugs spojrzął nań tak, jakby chciał poluzować kołnierzyk pod szyją, zaś jego okrągła twarz poczerwieniała.

- Nie mogę tego zrobić, szefie.

- Dlaczego? Gdzie on jest?

- Telefonuje.

Hoodowi przypomniało się dziwne uczucie, jakiego doznał, gdy Rodgers zacytował lorda Nelsona. Zasepił się.

- Gdzie on jest?

- Gdzieś... nad granicą stanów Wirginia i Kentucky.

## □ Wtorek, godzina 21.00 - Seul

Po wyjściu z ambasady Gregory Donald szedł przez chwilę piechotą. Pragnął jak najprędzej dostać się do bazy, zająć się żoną i zatelefonować do jej rodziców z tą straszną wieścią. Ale potrzebował czasu, by się na to przygotować. Zastanowić się. Jej ojciec i młodszy brat będą załamani.

Miał też pewien pomysł, który musiał rozważyć.

Szedł powoli starą ulicą Chongdzin, mijając sklepy obwieszane jaskrawymi latarniami i chorągiewkami, podniesionymi żaluzjami - wszystkie z nich tętniące życiem w światłach ulicy. Na miejscu wybuchu było tłoczno od ciekawskich, którzy przyszli popatrzeć na miejsce wybuchu, porobić zdjęcia, filmować kamerami wideo i pozbierać na pamiątkę kawałki metalu lub odłamki cegieł.

Na jednym ze straganów kupił świeżego tytoniu - koreańskiej mieszanki, chciał bowiem odczuwać jakiś smak i zapach, który mógłby połączyć z tą chwilą, aromat, który zawsze przywoływał będzie pomieszaną z bólem miłość do Sundzi.

Moja biedna Sundzi. Porzuciła stanowisko wykładowcy nauk politycznych w koledżu, by wyjść za niego, by pomagać emigrantom z Korei w USA. Nigdy nie wątpił w uczucia swej żony, lecz zawsze zastanawiał się, w jakim stopniu ich małżeństwo spowodowane było uczuciem, a w jakim ułatwiało jej przybycie do USA w jego towarzystwie. Nawet teraz nie czuł się winny snując te myśli. Wręcz przeciwnie, gotowość poświęcenia kariery, która znaczyła dla niej tak wiele, by wyjść za mężczyznę, którego prawie nie знаła, po to, by pomagać innym, napełniała go jeszcze większym podziwem. Jeżeli w ciągu swych sześćdziesięciu dwóch lat życia czegokolwiek się nauczył, to faktu, że relacji międzyludzkich nie powinny określać normy społeczeństwa, z których pochodzą, lecz sami ludzie. On i Sundzi zrobili właśnie to.

Idąc zapalił fajkę, zaś żarzący się płomień igrał w jego wypełnionych łzami oczach.

Wydawało mu się, że wystarczy wrócić do ambasady, podnieść słuchawkę i zatelefonować do niej. Zapytać, co czyta lub co jadła, jak czynił za każdym razem, gdy nie byli razem w ciągu dnia. Nie mógł sobie wyobrazić, że nie może tego zrobić - to tak nienaturalne. Płakał, czekając na zmianę światła.

Czy jeszcze cokolwiek będzie miało jakieś znaczenie?

W tej chwili nie wiedział, czy jest to możliwe. Cokolwiek by powiedzieć o uczuciu, które ich łączyło, byli sobie niezbędni. Oboje wiedzieli, że nawet gdy nikt inny nie docenia tego, co robią, mogą liczyć na siebie. Śmiali się i płakali razem, spierali się, walczyli, całowali, godzili razem i razem współczuli ciężko pracującym Koreańczykom, których tak podle traktowano w amerykańskich miastach. Mógł sam kontynuować ich wspólne dzieło, chociaż nie sądził, żeby miał na to ochotę. Teraz jego siłę napędową stanowić będzie umysł, nie serce. Jego serce przestało bić kilka minut po szóstej wieczorem.

Lecz pozostało w nim jeszcze coś, co płonęło gorącym płomieniem, gdy myślał o samym wydarzeniu. O eksplozji. Przeżywał już tragedie osobiste, straciwszy tak wielu przyjaciół i kolegów w wypadkach samochodowych, katastrofach lotniczych, a nawet w wyniku zabójstw. Jednak działo się to przypadkiem lub celowo, było zrzędzeniem losu lub aktem przemocy, skierowanym przeciwko konkretnej osobie w odwecie za określony czyn lub wyznawane idee. Po prostu nie mógł zrozumieć szokującej bezkarności, która doprowadziła kogoś do popełnienia takiej zbrodni. Jak można było zgasić życie Sundzi wraz tyłoma innymi istnieniami ludzkimi? Jaka sprawa była na tyle pilna, by śmierć niewinnych stanowiła najlepszy sposób zwrócenia na siebie uwagi? Czyja ambicja, osobowość, czy też dziwaczny ogląd świata był tak silny, że trzeba go było zaspokoić właśnie w taki sposób?

Donald nie miał pojęcia. Chciał, by winowajcy zostali złapani i straceni. W dawnych czasach Koreańczycy obcinali głowy mordercom i zostawiali ich głowy na palach ptakom na pożywienie, a ich ślepe, głuche i nieme dusze błąkały się poprzez wieczność. Takiego losu pragnął dla tych ludzi. Nie chciał też, by trafili na tamtym świecie na Sundzi, która w swej nieograniczonej życzliwości wzięłaby ich za rękę i poprowadziła do jakiegoś bezpiecznego i przytulnego miejsca.

Przystanął na minutę przed kinem, znów wracając myślą do śladów butów i butelki po wodzie. Żałował, że nie prowadzi śledztwa wraz z zespołem Huana, nie tyle po to, by wymierzyć sprawiedliwość terrorystom, lecz by mieć coś, prócz własnego smutku, na czym mógłby się skoncentrować. Może jednak coś się dla niego znajdzie i doprowadzi go do wyjaśnienia sprawy szybciej, niż ludzi w KCIA. Będzie potrzebował pomocy generała Norboma i wiary w swe powodzenie. Będzie musiał też znaleźć sposób, by się dowiedzieć, czy jego Sundzi zaaprobowałaby to, co zamierza przedsięwziąć.

Donald podszedł do krawężnika, zatrzymał taksówkę i pojechał do bazy amerykańskiej.

□ **Wtorek, godzina 7.08 - granica między stanami Wirginia i Kentucky** Rodgers przycisnął słuchawki radiostacji do ucha i chociaż siła głosu ustawiona była na maksimum, miał kłopoty z usłyszeniem tego, co ma do powiedzenia Hood. Nawet dobrze się składało, bo gdy wyciągał żółte stopery z ucha, żeby z nim porozmawiać, wiedział, że Paul nie będzie owijał w bawełnę ani prawił mu komplementów - i nie zawiódł się. Byłoby lepiej, gdyby krzyczał, przynajmniej mógłby coś usłyszeć. Lecz Hood nie miał zwyczaju podnosić głosu. Gdy był zły, mówił powoli, precyzyjnie dobierając słowa, jakby obawiał się, że źle dobrane mogą zdradzić jego gniew. Z jakiegoś powodu Rodgers wyobrażał sobie Hooda w fartuchu, trzymającego wielką szufłę, starannie dobierając słowa, jakby wkładał pizzę do pieca.

- ... mam poważne kłopoty z obsadą stanowisk - mówił Hood. - Jako prawą rękę mam teraz tylko Marthę.

- Jest naprawdę dobra, Paul! - wrzasnął w mikrofon. - Czuję, że moje miejsce jest wraz z oddziałem, na jego pierwszej misji zagranicznej.

- Nie ty powinieneś być podjąć taką decyzję! Powinieneś być uzgodnić ze mną swe plany!

- Wiedziałem, że będziesz miał pełne ręce roboty Nie chciałem ci zawracać głowy

- Nie chciałeś, żebym powiedział „nie”, Mike. Przynajmniej to mógłbyś przyznać. Nie wnerwiał mnie.

- W porządku. Przyznaję.

Rodgers spojrzał na podpułkownika Squiresa, który udawał, że nie słucha. Generał zabębnił

palcami w radiostację, mając nadzieję, że Hood wie, kiedy przestać. Był przecież takim samym zawodowcem, jak dyrektor, a sprawach wojskowych nawet bardziej i nie zamierzał

wysłuchiwać więcej, niż powinien - krótka reprimenda w rodzaju „to i to mi się nie podoba”.

Zwłaszcza od faceta, który zajmował się zbieraniem pieniędzy z Julią Roberts i Tomem Cruisem i im podobnymi, podczas gdy on dowodził zmechanizowaną brygadą w Iraku.

- W porządku, Mike - znów odezwał się Hood. - Skoro tam już jesteś, jak możemy cię wykorzystać z maksymalnym pożytkiem?

Dobrze. Wie, kiedy przestać.

- Na razie tylko informuj mnie na bieżąco o rozwoju sytuacji, a gdybyśmy musieli wkroczyć do akcji, dopilnuj, żeby moi ludzie przeprowadzili symulację komputerową.

- Jasne, a z nowości - prezydent postawił nas na czele zespołu do spraw kryzysu. Wygląda na to, że

tym razem nie będzie się opierał.

- To dobrze.

- Jak wszystko się skończy, porozmawiamy sobie o tym przy pizzy i piwku. Będziemy was informować o tym, co się dzieje.

- Zrozumiano.

- Jeszcze jedno, Mike.

- Tak?

- Niech poważną robotą zajmą się te chłopaki. Jesteś w końcu mężczyzną w średnim wieku.

Rozłączyli się, a Rodgers oparł się o ścianę, chichocząc cicho. Lecz to, co naprawdę do niego dotarło, była wzmianka o pizzy. Może był to tylko zbieg okoliczności, lecz Hood miał

niesamowity instynkt odbierania ludzkich myśli. Rodgers często zastanawiał się, czy jego szef rozwinął ten talent w polityce, czy raczej polityka przyciągnęła go właśnie z tego powodu. Ilekroć Rodgers czuł, że chce dać Hoodowi kopa, przypominał sobie, że istnieje jakiś powód, dla którego ten facet jest jego szefem... bez względu na to, jak bardzo żałował, że to nie jemu zaproponowano to stanowisko.

Żałował też, że Hood raz na jakiś czas nie pójdzie z nim w tango, zamiast odgrywać wzorowego ojca rodziny. Kto wie, czy razem nie zbiliby majątku na wyścigach konnych, a parę dziewczyn, które znał, z pewnością trochę by go odprężyło. Każdemu należy się w życiu choć chwila wytchnienia.

Ściągając słuchawki, Rodgers oparł się o zimne, wibrujące aluminiowe wręgi transportowca. Poglądził dłonią siwiejące czarne włosy, przycięte krótko dzień wcześniej.

Wiedział, że Hood nie może być kimś innym tak samo, jak on nie potrafi zmienić siebie, i chyba nie ma w tym nic złego. Co Laodamas powiedział do Odyseusza? „Weź więc udział w naszych igrzyskach, uwolnij swe serce od strapienia”. Gdzie znajdowałiby się bez współzawodnictwa i rywalizacji, która ich dopingowała? Gdyby Odyseusz nie wziął udziału w igrzyskach i nie wygrał rzutu dyskiem, nie zostałby zaproszony do pałacu Alkinosa i nie otrzymałby darów, które okazały się tak pomocne podczas podróży do domu.

- Panie generale - powiedział Squires. - Czy możemy zacząć omawianie wariantów akcji?

Będziemy potrzebować na to kilku godzin.

- Oczywiście - odparł Rodgers. - Chętnie uwolnię swe serce od strapienia.

Squires rzucił mu zaskoczone spojrzenie. Przysunął się bliżej na ławce i spojrzał na wielki notatnik z



luźnymi kartkami.

□ **Wtorek, godzina 7.10 - Centrum**

Liz Gordon siedziała w swym małym gabinecie ozdobionym jedynie zdjęciem prezydenta z jego autografem, *tarte de visite* Freuda, oraz wiszącą na szafce tarczą na strzałki z wizerunkiem Carla Junga, którą podarował jej drugi eks-mążonek. Po przeciwnej stronie spartańskiego metalowego biurka, Sheryl Shade, pomocnik psychologa dyżurnego i jej asystent, James Solomon, pracowali na laptopach podłączonych do roboczego komputera Liz, Peera-2030.

Liz odpaliła nowego papierosa od starego i spojrzała na monitor komputera. Wydmuchnęła kłęb dymu.

- Wygląda na to, że z naszych danych wyłania się obraz prezydenta Korei jako fajnego gościa. Co wy na to?

Sheryl skinęła głową.

- Wszystkie dane w samym środku skali lub po stronie dobrze przystosowanych. Silne związki z matką... jedna kobieta od dłuższego czasu... pamięta o urodzinach i rocznicach...

żadnych zbroczeń seksualnych... odżywia się normalnie... pije bardzo umiarkowanie. Mamy nawet cytaty z opracowania dra Hwonga o tym, jak wykorzystuje słowa w celu przekazywania idei, a nie wywarcia wrażenia na ludziach doborem słownictwa, a ma z czego wybierać.

- Na dodatek w kartotekach żadnego z członków jego personelu nie ma nic, co by sugerowało, że mogą działać przeciwko niemu - dodał-a po chwili. - Jeżeli mamy do czynienia z terrorystą, on lub ona nie należą do najbliższego otoczenia prezydenta.

- W porządku - skomentowała Liz. - Jimmy, co masz?

Młody mężczyzna pokręcił głową.

- „Zhongua Renmin Gohghe Guo” wypowiada się zdecydowanie przeciw agresji wojskowej. W prywatnych rozmowach z nasłuchu naszego i CIA - od czasu, gdy sporządziliśmy nasz raport - ostatni o siódmej rano wczoraj wieczorem - premier, sekretarz generalny partii komunistycznej i inne czołowe osobistości życia politycznego Chińskiej Republiki Ludowej wyraziły pragnienie rozwiązania wszelkich sporów na półwyspie w drodze negocjacji.

- Więc wszystko sprowadza się do tego, że od początku mieliśmy rację - powiedziała Liz przez chmurę dymu. - Metodologia w porządku, wnioski właściwe, więc możemy nasze opracowania złożyć w banku.

Znów zaciągnęła się długo i głęboko, a potem powiedziała Solomonowi, by przesłał faksem ambasadorowi Rachlinowi w Pekinie nazwiska najbardziej wojowniczo nastawionych przywódców

chińskich.

- Nie sądzę, żebyśmy musieli się czegoś obawiać z ich strony, ale Hood chce się upewnić.

Solomon zsalutował służbiście, wyłączył laptopa i pospieszył do swojego gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

- Myślę, że to właściwie wyczerpuje zlecenie Paula - powiedziała Liz zaciągając się dymem papierosa. Sheryl zamknęła komputer i wyciągnęła wtyczkę z gniazdka. Liz przyglądała jej się z uwagą. - Ilu ludzi tu mamy, Sheryl - siedemdziesięciu ośmiu?

- Tu, w Centrum?

- Tak. Siedemdziesięciu ośmiu tutaj na miejscu, do tego czterdzieści dwie osoby personelu pomocniczego, który dzielimy z Departamentem Obrony i CIA, poza tym dwunastu ludzi z Iglicy i kilka innych, które wypożyczamy z Andrews. W sumie około stu czterdziestu osób.

Więc dlaczego, spośród tych wszystkich ludzi, znakomitych specjalistów w swoich dziedzinach, z których wielu ma otwarte umysły, obchodzi mnie tylko to, co myśli o nas Paul Hood? Dlaczego nie potrafię po prostu wykonać swojej pracy, dać mu tego, co potrzebuje i pójść sobie na podwójną kawę z ekspresu?

- Bo my szukamy prawdy dla niej samej, a on próbuje znaleźć sposoby jej wykorzystania w procesie podejmowania decyzji.

- Tak ci się wydaje?

- To tylko część prawdy. Jesteś także sfrustrowana jego męskim sposobem myślenia.

Pamiętasz przecież jego profil psychologiczny Ateista, nie znosi opery, w latach sześćdziesiątych nigdy nie zażywał środków odurzających. Jeżeli nie da rady czegoś dotknąć, wykorzystając w swej codziennej pracy, nie jest to warte zachodu. Chociaż w pewnym sensie to jego pozytywna cecha.

- Co przez to rozumiesz? - zapytała Liz, gdy jej komputer przypomniał sygnałem o swoim istnieniu.

- Mike Rodgers postępuje w taki sam sposób. Gdyby nie mieli tej wspólnej cechy, wykończyliby się nawzajem spojrzeniami i półsłówkami - jeszcze gorzej, niż teraz.

- Butt i Beavis z Centrum.

Chuda jak szczapa blondynka podniosła w górę palec wskazujący

- Podoba mi się.

- Doktor Shade, myślę, że jest tutaj jeszcze coś...

Shade wyglądała na zainteresowaną.

- Naprawdę? Co?

- Przepraszam, Sheryl. - Liz uśmiechnęła się. - Dzięki magii poczty elektronicznej widzę, że natychmiast chcą się ze mną widzieć Ann Farris i Lowell Coffey II. - Z tymi słowami psycholog dyżurny przekreśliła klucz w komputerze, wrzuciła go do kieszeni i wyszła, pozostawiając za sobą zdumioną asystentkę.

Idąc zwawo korytarzem do biura prasowego i wkładając do ust kolejną porcję gumy,

„czystej radości żucia”, Liz musiała opanować uśmiech cisnący jej się na usta. Nie powinna postępować w ten sposób z Sheryl, lecz przyda jej się takie doświadczenie. Sheryl była nowa, świeżo po Uniwersytecie Stanowym w Nowym Jorku i aż kipiała wykształceniem książkowym. Całe megabajty więcej, niż Liz opanowała w jej wieku, dziesięć lat wcześniej.

*Popularne, chociaż mało sympatyczne postacie z MTV [przyp.red.]*

Brakowało jej jednak wielu życiowych doświadczeń, zaś jej myślenie zbyt często podążało jednym tropem. Musiała teraz zbadać jakieś terytorium umysłu bez mapy, by odkryć własne drogi. Zaś zagadka, z którą pozostawiła ją Liz: dlaczego moją szefową obchodzi to, co myśli jej szef? - pomoże jej w dotarciu do celu, sprawi, że zada sobie pytania w rodzaju: może ma na niego ochotę? Może jest nieszczęśliwa z mężem? Może chce awansować, a skoro tak, jaki to -ma związek ze mną? Taki trop może zaprowadzić ją do wielu ciekawych miejsc, w których może się czegoś nauczyć.

W rzeczywistości Liz dlatego bardzo lubiła swą kawę z ekspresu, bo nie myślała wtedy o Hoodzie. Jego niechęć do akceptowania logicznych podstaw jej pracy nie przeszkadzała jej.

Przecież ukrzyżowano Jezusa i uwięziono Galileusza, a nic nie zmieniło prawdy, której nauczali.

Nie, zrażało ją to, że potrafił być wytrawnym politykiem, nim zaczęły się prawdziwe kłopoty. Wprawdzie uprzejmie i uważnie wysłuchiwał jej zdania i włączał fragmenty jej raportów w opracowania na tematy polityczne i przeglądy opcji, ale nie dlatego, że miał na to ochotę - wymagały tego przepisy Centrum. Ponieważ nie ufał jej pracy, zawsze była pierwszą osobą, którą wzywał na dywanik, ilekroć coś poszło źle. Przynęcała sobie solennie, że któregoś dnia wypuści przeciek na temat jego bezbożnej sylwetki psychologicznej Patowi Robertsonowi.

Doskonale wiesz, że nie mogłabyś tego zrobić, powiedziała sobie, pukając do drzwi Ann Farris, lecz sama myśl o tym pomagała jej zachować spokój, gdy on zaczynał się gorączkować.

„Washington Times” określił kiedyś Ann Farris jako jedną z dwudziestu pięciu najatrakcyjniejszych młodych rozwódek w stolicy kraju. Trzy lata później nadal nią była.

Wzrost metr siedemdziesiąt, brązowe włosy upięte z tyłu i przewiązane modną apaszką (dzieło znanego projektanta mody) lśniące białe zęby i ciemnobrązowe oczy. Była także jedną z najbardziej zagadkowych kobiet w Waszyngtonie. Pochodzący z Greenwich w stanie Connecticut niebieskokrwistci Farrisowie spodziewali się, że mając ukończone studia dziennikarskie i magisterskie z administracji publicznej w Bryn Mawr, będzie wraz ze swym ojcem pracować na Wall Street, a potem w jakiejś renomowanej firmie zostanie najpierw wiceprezesem, potem awansuje na prezesa, a może jeszcze wyżej.

Zamiast tego przez dwa lata pracowała jako reporter działu politycznego w „The Hour” w pobliskim Norwalk. Potem otrzymała posadę sekretarza prasowego gubernatora stanu i wyszła za mąż za ultraliberalnego komentatora publicznego radia z New Haven. Wzięła urlop wychowawczy, by zająć się synem, a w dwa lata po tym, jak mąż stracił pracę na skutek cięć budżetowych, zaś rozpacz posłała go w objęcia bogatej matrony z Westport, opuściła go na dobre. Po przeprowadzce do Waszyngtonu, Ann dostała pracę sekretarza prasowego świeżo wybranego senatora z Connecticut - bystrogo, uprzejmego żonatego mężczyzny. Tuż po przyjeździe miała z nim romans, pierwszy z wielu intensywnych, przyjemnych romansów z bystrymi, uprzejmymi i żonatymi mężczyznami, z których jeden piastował urząd wyższy od wiceprezydenta.

Ta ostatnia informacja nie figurowała w jej portrecie psychologicznym, lecz Liz wiedziała o tym, ponieważ wyznała jej to sama Ann. Wyjawiała także, choć było to dość oczywiste, że ma ochotę na Paula Hooda i snuje erotyczne fantazje na jego temat. Posągowa piękność była zadziwiająco szczerą w kwestii swych spraw sercowych, przynajmniej w stosunku do Liz.

Ann przypominała jej pewną dziewczynę z katolickiej szkoły, zakonnice Meg Hughes, nadzwyczaj uważną i grzeczną w towarzystwie zakonnice - najciemniejsze strony swego charakteru objawiała, gdy znajdowały się daleko.

Liz zastanawiała się, czy Ann zwierza się jej dlatego, że jest psychologiem czy dlatego, że nie widzi w niej rywalki.

Matowy głos Ann zaprosił ją do środka.

Zapach jej gabinetu był jedyną w swoim rodzaju mieszaniną perfum „Faire” oraz delikatnej woni oprawionych w ramy pierwszych stron gazet sprzed Rewolucji do czasów obecnych, obwieszających ściany jej gabinetu. Było ich wszystkich ponad czterdzieści, zaś Ann twierdziła, że czytanie artykułów i zastanawianie się, jak inaczej można by poradzić sobie z sytuacjami kryzysowymi, stanowiło dla niej doskonałe ćwiczenie.

Liz posłała Ann przelotny uśmiech i spojrzała na Lowella Coffeya II. Młody prawnik wstał, gdy weszła. Jak zwykle bawił się od niechcenia czymś bardzo drogim - tym razem jedną z brylantowych spinek do koszuli.

Onanizuje się forszą, pomyślała Liz. W przeciwieństwie do Ann, Coffey Percy Bogacz przyjął styl życia swych rodziców - prawników w Beverly Hills oraz napuszony styl bycia rodem z bractwa Alfa

Gamma Duppa, Zawsze bawił się czymś, co kosztowało rodzinę Coffeyów więcej, niż jego miesięczna pensja - krawat od Armaniego, złote wieczne pióro od Flagge'a czy zegarek Rolexa. Nie była pewna, czy zwracanie uwagi innych na to, jak bardzo wypchany ma portfel sprawia mu przyjemność, lecz bardzo rzucało się to w oczy i denerwowało. Tak samo, jak nienagannie uczesane ciemnoblond włosy, wymanikiurowane i wypolerowane paznokcie oraz nieskazitelny trzyczęściowy popielaty garnitur od Yves St.

Laurenta. Kiedyś prosiła Hooda, żeby zainstalował w jego gabinecie małą kamerę, żeby raz na zawsze mogli ustalić nie to, czy za każdym razem szczotkuje garnitur, gdy zamyka drzwi, ale jak dużo czasu mu to zajmuje.

- Jakże miło mi cię wiedzieć - powiedział Coffey

- Cześć, Drugi. Dzień dobry, Ann.

Ann uśmiechnęła się i pomachała mu, przebijając palcami. Zamiast siedzieć z przodu, na skraju swego wielkiego antycznego biurka, jak to zwykle czyniła, usiadła po drugiej stronie, jak za barierą wzniesioną przeciw Coffeyowi, przynajmniej tak się wydawało Liz.

Wychowanek Yale był zbyt sprytny lub zbyt tchórzliwy, by pozwalać sobie na otwarte zaloty, lecz jego protekcyjne podejście sprawiało, że wśród rzeczników prasowych i psychologów był mniej lubiany, niż brak podwyżek.

- Dzięki, że przyszedł, Liz - powiedziała Ann. - Przepraszam, że cię tym niepokoję, ale Lowell nalegał. - Odwróciła ku Liz monitor komputera. - Paul chciałby mieć informację dla prasy przed ósmą, a ja potrzebuję twojego podpisu pod charakterystyką przywódców Korei Północnej.

Liz wsparła się rękami na blacie biurka.

- Czy to nie jest działka Boba Herberta?

- Technicznie rzecz biorąc - tak - odparł Coffey głosem toczących się motków wełny - Lecz niektóre słowa, wybrane przez Ann graniczą z oszczerstwem. Jeżeli nie jestem pewien, czy można sprawę obronić, wolę się upewnić, czy zainteresowany nie będzie poszukiwał

zadośćuczynienia w. sądzie.

- Myślisz, że prezydent Korei wytoczy nam proces?

- Ariel Sharon wytoczył.

- Wtedy chodziło o „Time”, nie rząd USA.

- Tak, ale wytoczenie sprawy rządowi byłoby znakomitą okazją dla obłąkanej Korei na wzniecenie płomieni współczucia. - Coffey usiadł, zostawił w spokoju spinę i poprawił

węzeł czarnego krawata. - Czy chciałybyście panie stać się obiektem śledztwa, zmuszone do podania

źródeł, procedur operacyjnych i temu podobnych? Bo ja nie.

- Masz rację, Drugi, chociaż do żadnego procesu nie dojdzie. Nie można przecież wytoczyć procesu rządowi suwerennego państwa. Ale zawsze jest takie ryzyko.

Wyciągnął dłoń w stronę ekranu, a wyraz jego twarzy mówił jednoznacznie „zabierz się do roboty”. Chociaż nie w smak jej było zgodzić się, Liz spojrzała na monitor.

- Dzięki - powiedziała Ann, poklepując grzbiet jej dłoni. Liz twardo przeżuwała gumę czytając. Podświetlony fragment był krótki i zwięzły.

Nie sądzimy, by rząd Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej dążył do wojny i potępiamy plotki głoszące, że jej prezydent osobiście wydał rozkaz dokonania ataku terrorystycznego w Seulu. Nie ma dowodów na to, że znajdował

się

pod

wpływem

oficerów-zwolenników

twardego

kursu

sprzeciwiających się zjednoczeniu i wszelkim kompromisom.

Liz odwróciła się do Coffeya.

- I co?

- Szukałem. Tych plotek nigdzie wcześniej nie opublikowano ani nie rozpowszechniono inną drogą.

- Dlatego, że wybuch miał miejsce dopiero przed trzema godzinami.

- Dokładnie. Wtedy bylibyśmy pierwszymi, którzy opublikowali plotki drukiem - po części dlatego, że Bob Herbert jest jedynym, który je powtarza.

Liz podrapała się w głowę.

- Ale my tylko zaprzeczamy plotkom.

- To nie ma znaczenia. Stawiając zagadnienie, nawet cenzurując je, z prawnego punktu widzenia ponosimy ryzyko. Musimy zademonstrować brak złej woli.

Ann założyła ręce.

- Potrzebuję tego akapitu, Liz, albo czegoś bardzo podobnego. Próbujemy dać znać Koreańczykom z Północy, że jeżeli ich prezydent i jego doradcy wojskowi stoją za tym, dobierzemy im się do skóry. A jeżeli nie, nasza informacja prasowa może zostać potraktowana dosłownie - po prostu jesteśmy oburzeni plotkami.

- I chcecie, żebym wam powiedziała, jak zareaguje, kiedy to przeczyta?

Ann przytaknęła.

Żujące gumę szczęki zaczęły pracować wolniej. Liz nie cierpiała przyznawać Coffeyowi racji, lecz nie mogła pozwolić, żeby jej uczucia kierowały nią w takiej chwili. Przeczytała fragment jeszcze raz.

- Ich prezydent nie jest na tyle naiwny i nie spodziewa się, że nie wiemy tych rzeczy. Ale jest też wystarczająco dumny, żeby się obrazić na sposób, w jaki go potraktowałaś.

Ann wydawała się rozczarowana, zaś Coffey lekko prychnął.

- Jakies propozycje? - zapytała Ann.

- Dwie. W linijce „...potępiamy plotki głoszące, że prezydent osobiście wydał rozkaz”

zmieniłabym „prezydenta” na „rząd”. W ten sposób będzie to mniej osobiste.

Ann przyjrzała jej się przez dłuższą chwilę.

- W porządku. To jest do przyjęcia. Co dalej?

- Ta druga linijka jest trochę trudniejsza. Tam, gdzie napisałaś: „Nie ma dowodów na to, że znajdował się pod wpływem oficerów-zwolenników twardego kursu sprzeciwiających się zjednoczeniu i wszelkim kompromisom”, napisałabym: „Jesteśmy zdania, że prezydent nadal opiera się naciskom ze strony oficerów-zwolenników twardego kursu sprzeciwiających się zjednoczeniu i kompromisowi”. Mówimy KRL-D, że jesteśmy świadomi istnienia twardegłowych, ale jednocześnie ich wódz wypada dobrze.

- A jeżeli nie jest fajnym facetem? - zapytała Ann. - Czy nie wyglądamy głupio, jeśli okaże się, że właśnie on stoi za tym wszystkim?

- Nie sądzę. - Liz pokręciła głową. - Wyjdzie na jeszcze większego drania, bo mu zaufaliśmy

Ann przerzuciła wzrok z Liz na Coffeya.



- Zgadzą się - powiedział. - Przekazujemy tę samą wiadomość bez żadnego haczyka.

Ann pomyślała chwilę dłużej, potem wstukała zmiany Następnie wprowadziła dokument do pamięci komputera i przesunęła mysz w stronę Liz.

- Jesteś w tym dobra. Chcesz się zamienić na chwilę?

- Nie, dziękuję - odparła Liz. - Wolę swoich psychicznych od twoich. - Dyskretnie wskazała oczyma na Coffeya.

Ann skinęła głową, gdy Liz wprowadziła myszą swój kod na marginesie dokumentu. Od tej pory jej parafka stała się częścią pliku dokumentu tuż obok wprowadzonych zmian, chociaż nie pojawi się na wydrukowanej informacji prasowej. W chwili, gdy Liz miała zamiar wprowadzić do pamięci ostatnią zmianę, niebieski ekran przygasł i wentylator z tyłu komputera ucichł. Ann zanurkowała pod stół, by sprawdzić, czy przypadkiem nogą nie wyrwała wtyczki ze stabilizatora, lecz ta była na swoim miejscu, zaś zielona lampka urządzenia była zapalona.

Na zewnątrz gabinetu rozległy się stłumione okrzyki. Coffey podszedł do drzwi i otworzył je.

- Wydaje się, że nie jesteśmy w tym odosobnieni - powiedział.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała Ann.

Coffey odwrócił się ku niej z poważnym wyrazem twarzy.

- Z tego, co widać, siadły wszystkie komputery w Centrum.

□ **Wtorek, godzina 19.15 - Seul**

Gregory Donald wysiadł z taksówki przed bramą wejściową bazy amerykańskiej i pokazał strażnikowi swą przepustkę ze zdjęciem z Centrum. Po telefonie do generała Norboma wpuszczono go do środka.

Howard Norbom był majorem, gdy Donald obejmował urząd ambasadora w Korei. Po raz pierwszy spotkali się na przyjęciu, upamiętniającym dwudziestą rocznicę zakończenia wojny i od razu przypadli sobie do gustu. Mieli podobne poglądy polityczne, skłaniające się ku liberalnym, obaj rozglądali się za jakimś maleństwem, które mogliby poślubić i obaj uwielbiali klasyczną muzykę fortepianową, a w szczególności Fryderyka Szopena. Donald odkrył to, gdy pianista w pewnej tawernie zrobił sobie chwilę przerwy, zaś major usiadł na jego miejscu i zupełnie przyzwoicie zagrał „Etiudę rewolucyjną”.

Major Norbom znalazł swe maleństwo dwa tygodnie później, spotkał Diane Albright z agencji UPI. Ślub odbył się trzy miesiące później, zaś ostatnio obchodzili dwudziestą czwartą jego rocznicę. Generał i Diana mieli dwoje wspañałych dzieci: Mary Ann, biografistkę nominowaną do nagrody Pulitzera oraz Lona, który działał w szeregach Greenpeace.

Gdy adiutant wprowadził Gregory'ego do gabinetu generała, mężczyźni padli sobie w objęcia, a Donaldowi znów popłynęły z oczu łzy

- Tak mi przykro - wymamrotał generał, ściskając przyjaciela. - Bardzo mi przykro. Diane zlecili zebranie materiałów o Soweto, inaczej byłaby tutaj. Przyjedzie tu na pogrzeb.

- Dzięki - powiedział zdławionym głosem Donald. - Ale postanowiłem wysłać ją do USA.

- Naprawdę? Jej ojciec zgodził się...

- Nie rozmawiałem z nim jeszcze - Donald gorzko się roześmiał. - Wiesz, co myślał o naszym małżeństwie. Ale ja wiem, co Sundzi czuła do Ameryki i chcę, żeby właśnie tam się znalazła. I myślę, że właśnie tam chciałyby być.

Norbom skinął głową, potem przeszedł na drugą stronę biurka.

- Ambasada zajmie się papierkową robotą, ale osobiście dopilnuję, żeby ta sprawa została od ręki załatwiona. Czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

- Tak, ale powiedz mi - czy ona już tu jest?

Norbom zacisnął usta i skinął głową.

- Chcę ją zobaczyć.

- Nie... nie teraz - powiedział Norbom, spoglądając na zegarek. - Zaraz przyniosą nam kolację. Możemy chwilę porozmawiać.

Donald zajrzał w stalowoszare oczy swego przyjaciela. Osadzone w pooranej zmarszczkami, sympatycznej twarzy pięćdziesięciodwuletniego dowódcy bazy, wzbudzały zaufanie, zwłaszcza u Donalda. Jeżeli Norbom nie chce, by teraz ujrzał ciało swej żony, to mu ustąpi. Jednak musi ją wkrótce zobaczyć, pozwolić, żeby jej dusza poprowadziła go, powiedziała mu, że to, co planuje zrobić, jest właściwe.

- W porządku - zgodził się Donald. - Porozmawiamy. Jak dobrze znasz generała Hong-koo?

- Dziwne pytanie. - Norbom zmarszczył brwi. - Spotkałem go raz na spotkaniu w Strefie Zdemilitaryzowanej w 1988 roku.

- Jakież wrażenia z pierwszej ręki?

- Pewnie. Jest arogancki, szczery, uczuciowy i wiarygodny na swój sposób. Jeżeli mówi, że będzie do ciebie strzelał, to będzie. Nie znam go tak dobrze, jak generał Schneider, ale nie gapię się codziennie na niego i jego żołnierzy po drugiej stronie strefy, ani nie słucham północnokoreańskich piosenek ludowych, które puszczają na cały regulator w środku nocy, ani nie patrzę o ile centymetrów podwyższył swój maszt, żeby zawsze był wyższy od naszego.

Donald zaczął nabijać fajkę.

- A my nie posyłamy mu w zamian muzyki heavy metal ani nie podwyższamy masztu?

- Tylko, gdy on zrobi to pierwszy - Norbom pozwolił sobie na lekki uśmiech. - Ty mały komuszk. Dlaczego pytasz?

Donald zauważył oprawione w ramkę zdjęcie Diany na biurku generała i uciekł wzrokiem w bok. Minęła chwila, nim doszedł do siebie.

- Chcę się z nim spotkać, Howard.

- Wykluczone. Wystarczająco trudno jest uzgodnić, żeby się spotkał z generałem Schneiderem...

- On jest żołnierzem, a ja dyplomata. Na tym polega różnica. Tak czy owak, sam się będę martwił o to, jak się z nim skontaktować. Potrzebuję twojej pomocy, żeby się dostać do Strefy Zdemilitaryzowanej.

Norbom usiadł wygodnie w fotelu.

- Na Boga, Greg, czy zrobili ci transfuzję krwi Mike'a Rodgersa z prawego ramienia? Co zrobisz, po prostu przejdiesz przez Checkpoint Chanie? Przywiążesz wiadomość do cegły?

- Chyba skorzystam z radiostacji.

- Radiostacji! Schneider nie pozwoli ci nawet podejść do niej, inaczej dostałby w dupę.

Poza tym nawet gdybyś się z nim zobaczył, Hong-koo jest najbardziej wojowniczym szaleńcem, jakiego mają na stanie. Phenian wysłał go tu jako znak dla Seulu: rozmawiajcie o zjednoczeniu z wypchanymi kieszeniami i szczodrym sercem, albo będziecie patrzeć w lufę jego karabinu. Jeżeli ktokolwiek dokonałby tego zamachu, to właśnie Hong-koo.

- A jeżeli to nie on, Howard? Jeżeli Korea Północna tego nie zrobiła? - Donald trzymał

niezapaloną fajkę w prawej dłoni i nachylił się bliżej. - Bez względu na to, jakim jest wariatem, ma swoją dumę i honor. Nie chciałby ponosić odpowiedzialności ani przyznawać się do żadnej operacji, która nie byłaby jego własna.

- Myślisz, że ci powie?

- Może nie słowami, ale całe życie spędziłem przyglądając się ludziom i uważnie słuchając tego, co mają do powiedzenia. Jeżeli będę mógł z nim porozmawiać, będę wiedział, czy maczał w tym palce.

- A jeżeli się dowiesz, że tak, to co wtedy? Co zrobisz? Wskazał dłonią na fajkę. - Zabijesz go tym? Czy może Centrum poddało ci jakiś inny pomysł?

Donald włożył fajkę do ust.

- Jeżeli to zrobił, Howard, powiem mu, że zabił moją żonę i że okradł mnie z przyszłości, i że nie może się to przytrafić nikomu innemu. Pójdę z bardzo wypchanymi kieszeniami i z pomocą Paula Hooda znajdę jakiś sposób, żeby skończyć z tym szaleństwem.

Norbom wpatrywał się w przyjaciela.

- Ty naprawdę chcesz to zrobić. Naprawdę myślisz, że możesz tak po prostu pójść do niego i przemówić mu do rozsądku.

- Wierzę w to z całego serca. Ale niewiele go już zostało.

Zapukał ordynans. Przyniósł kolację i położył tacę między dwoma mężczyznami. Zdjął metalowe pokrywki i wyszedł.

- Libby Hall i większość rządu w Seulu będzie przeciwna twojej wyprawie.

- Ambasador nie musi wiedzieć.

- Ale i tak się dowie. Północ zrobi z twojej wizyty propagandowy teatr, tak samo jak wtedy, gdy

jechał do nich Jimmy Carter.

- Wtedy już będzie po wszystkim.

- Ty naprawdę nie żartujesz! - Norbom pogładził dłonią włosy - Greg, musisz dokładnie przemyśleć swój plan. Cholera, to nawet nie plan, to tylko nadzieja. Taki wyskok może zniweczyć to, co udało się dotąd osiągnąć przez negocjacje. Może zniszczyć ciebie i Centrum.

- Straciłem już to, co się liczy Mogą wziąć resztę.

- Wezmą to, a nawet jeszcze więcej, uwierz mi. Kontakt z wrogiem bez pozwolenia -

Waszyngton i Seul rzuci się na ciebie, mnie, Paula Hooda i Mike'a Rodgersa. To będzie rzeź.

- Wiem, że cię to zaboli, Howard, i wcale sobie tego nie lekceważę. Ale nie prosiłbym cię, gdybym nie sądził, że mam szansę coś zmienić. Pomyśl, ile ludzkich istnień można uratować.

Wydawało się, że z twarzy dowódcy odpłynęła krew.

- Cholera, dla ciebie zrobię wszystko... Ale całe moje zawodowe życie związałem z tą bazą.

Jeżeli mam to rzucić w diabły i pisać pamiętniki w celi o rozmiarach trzy na cztery metry, chcę, żebyś przynajmniej się wyspał. Przeżyłeś szok i możliwe, że nie myślisz tak jasno, jak powinieneś.

Donald zapalił fajkę.

- Zrobię coś więcej, zjemy kolację, a potem odwiedzę Sundzi. Zostanę z nią jakiś czas, a jeżeli pocuję potem coś innego, powiem ci.

Generał powoli wziął do ręki widelec i nóż i zaczął w milczeniu kroić stek. Donald odłożył

na bok fajkę i poszedł w jego ślady Milczący posiłek przerwało pukanie do drzwi i wejście mężczyzny z czarną opaską na oku.

## □ Wtorek, godzina 7.35 - Centrum

- Niemożliwe! Po prostu niemożliwe!

Zwykle obojętna, anielska twarz oficera wsparcia operacyjnego Matta Stolla poblądła jak niedojrzała brzoskwinia. Na policzkach wystąpiły mu rumieńce jak u laleczki Kewpie.

Zacisnąwszy zęby, gorączkowo starał się podłączyć komputer do zapasowej baterii, którą trzymał w biurku. Nie mógł stwierdzić, dlaczego cały system nawalił, dopóki ponownie go nie uruchomi i nie dobierze się do wraka, czyli do tego, co hackerzy zgryźliwie nazywali czarną skrzynką, zapewniającą im bezpieczny odlot.

Krople potu spływały mu z czoła na brwi i kapały do oczu. Starał się je strząsać nerwowym mruganiem, plamiąc szkła okularów. Choć od chwili awarii minęło dopiero kilka sekund, Stoll miał wrażenie, że postarzał się o rok. I o jeszcze jeden, gdy usłyszał głos Hooda.

- Matty!

- Staram się, jak mogę! - warknął, powstrzymując się od dodania: ale to po prostu niemożliwe.

Tego rodzaju awaria nie miała prawa się wydarzyć, bo nie wyłączono zasilania z bazy w Andrews, siadły jedynie komputery. Przyczyna nie leżała na zewnątrz, więc jakiś program musiał wydać komputerowi odpowiednie polecenie. Uwzględniając fakt, że sieć komputerowa Centrum stanowiła niezależny system, taki program z pewnością zainstalowano na miejscu.

Całe przychodzące z zewnątrz oprogramowanie sprawdzano pod kątem obecności wirusów, lecz większość z nich nie stanowiła poważnego zagrożenia - tak jak ten, który wyświetlał na ekranie migający napis „niedziela”, by zmusić pracoholików do odejścia od klawiatury, albo Tappy, który każdemu uderzeniu klawisza przypisywał jakiś dźwięk, albo wreszcie Talos, który zawieszał komputery każdego 29 czerwca, dopóki nie wpisano zdania: „Najlepsze życzenia urodzinowe, Talos”. Kilka było bardziej złośliwych, jak na przykład „Michał

Anioł”, który 6 marca, w dniu urodzin artysty, kasował wszystkie dane z twardego dysku zarażonego komputera. Ale ten, z którym Matt miał dziś do czynienia, był dziełem bardzo świeżej daty, skomplikowanym... i niebezpiecznym.

Stoll był równie zaintrygowany i zdziwiony, co zrozpaczony całą sytuacją - tym bardziej, że na chwilę przed podłączeniem zapasowych baterii ekran komputera niespodziewanie ożył.

Cichy szum wentylatora obwieścił, że maszyna działa, zafurkotał twardego dysku, na chwilę błysnął ekran DOS-u i załadował się program kontrolny autorstwa Matta. Na monitorze pojawiła się plansza tytułowa, zaś syntetyczny, operowy głos Mighty Mouse zaśpiewał z zamontowanego na boku maszyny głośnika.

- Czy oprócz tego działają teraz inne programy, Matty?

- Nie - odparł ponuro Stoll, gdy Hood wpadł do jego gabinetu.

- Jak długo z tym walczyłeś?

- Dziewiętnaście przecinek osiemdziesiąt osiem setnych sekundy Komputer skończył ładowanie programu i na ekranie pojawiło się znajome, niebieskie tło, oznaczające gotowość do działania. Stoll nacisnął F5, potem Enter, by sprawdzić zawartość katalogu.

Hood nachylił się nad oparciem fotela Stolla i spojrzał na monitor.

- Działa...

- Na to wygląda. Straciłeś coś?

- Nie sądzę. Bugs wprowadza wszystkie dane do pamięci. Świetnie się spisałeś, wszystko znów działa...

- Nic nie zrobiłem, szefie. Poza tym, że tu siedzę i kwiczę.

- Chcesz mi powiedzieć, że system sam się włączył?

- Nie. Wydano mu takie polecenie.

- Domyślam się, że nie ty je wydałeś.

- Nie. - Stoll pokręcił głową. - To nieprawdopodobne.

Od drzwi dobiegł do nich głos Lowella Coffeya.

- Amelia Mary Earhart miała mapę i nic jej to nie pomogło. Zaginęła nad Pacyfikiem.

Stoll puścił uwagę prawnika mimo uszu i kończył sprawdzać katalog - wszystkie pliki były na miejscu. Otworzył jeden, a kiedy komputer nie wyświetlił symbolu *Error*, doszedł do wniosku, że pliki są nietknięte.

- Wygląda nieźle. Przynajmniej dane wyglądają na nienaruszone.

Grube palce Matta przelatywały po klawiszach z szybkością błyskawicy Stoll napisał

program WCS wyłącznie dla wprawy, nie spodziewając się, że będzie musiał zeń kiedykolwiek skorzystać. Teraz pospiesznie załadował część diagnostyczną, która sprawdzała konfigurację sprzętu. Dokładniejsze badania będzie musiał przeprowadzić później, z wykorzystaniem tajnego oprogramowania, które trzymał pod kluczem, ale ten test powinien już wykryć poważniejsze problemy.

Hood przygryzł wargę.

- O której tu przyszedłeś, Matty?
- Wpisałem się o piątej czterdzieści jeden. Tutaj wpadłem dwie minuty później.
- Czy Ken Ogan wspominał o czymś niezwykłym?
- Nie. Cała noc przeszła gładko, jak po maśle.
- Tak jak wtedy, gdy zatonął „Titanic” - dodał Coffey.

Hood udał, że nie słyszy

- Nie oznacza to wcale, że nic się nie stało. Do systemu mógł wejść dosłownie każdy z dowolnie wybranego terminalu.
- Tak. I niekoniecznie dzisiaj. Mógł nam podłożyć bombę zegarową, która właśnie teraz eksplodowała.
- Bomba. - Hood zamyślił się na chwilę. - Tak jak w Seulu.

- Czy to na pewno nie przypadek? A może po prostu ktoś gdzieś przycisnął niewłaściwy klawisz?
- Prawie niemożliwe - stwierdził Stoll, przyglądając się pracy programu diagnostycznego.

Szeregi liter i cyfr przelatywały po ekranie w tempie błyskawicy, w miarę jak program szukał błędów w plikach, sprawdzał polecenia, które nie współpracowały z istniejącymi algorytmami lub nie zostały wprowadzone do wewnętrznego zegara.

Hood zabębnił palcami po oparciu fotela.

- Więc sugerujesz, że mamy tu wtyczkę.
- Niewykluczone.
- Jak długo może zająć napisanie programu, który potrafi zablokować cały system?
- Od kilku godzin do kilku dni, w zależności od klasy programisty. Co wcale nie znaczy, że został napisany u nas. Mógł powstać wszędzie i przedostać się tu jako niewinna nakładka na zwykłe oprogramowanie.
- Ale przecież wszystko dokładnie sprawdzamy
- Dość pobieżnie. Właśnie teraz robię coś w tym rodzaju.



-To znaczy znajdujemy tylko to, co od razu rzuca się w oczy?

Stoll skinął głową.

- Nasze własne dane znaczymy kodem zapisanym w określonych odstępach czasu - jak taksometr, co dwadzieścia sekund albo co trzydzieści słów. Jeżeli kod się nie pokazuje, sprawdzamy dane dokładniej, żeby się upewnić, czy pochodzą od nas.

- Musisz to rozgryźć, Matty - Hood poklepał Stolla po ramieniu.

Kropelka potu spłynęła Stollowi do lewego ucha.

- Pewnie. Nie lubię, jak mnie ktoś robi w konia.

- Lowell, każ tymczasem oficerowi dyżurnemu przejrzeć kasety wideo z zeszłej nocy Na wszystkich posterunkach w środku i na zewnątrz. Chcę wiedzieć, kto mógł tu wejść i wyjść.

Każ powiększyć przepustki i porównać ze zdjęciami w rejestrze. Niech Alikas się tym zajmie. Jest spostrzegawczy. Jeżeli nie znajdą nic podejrzanego, niech się cofną o dzień, a jak trzeba nawet o dwa.

Coffey bawił się swym wytwornym sygnetem.

- To potrwa.

- Wiem. Ale dostaliśmy kopa i dobrze byłoby wiedzieć od kogo.

Gdy obaj mężczyźni wyszli, do środka wjechał Bob Herbert. Trzydziestoosmioletni oficer wywiadu jak zwykle był wściekły Po części złościł się na to, co w danej chwili utrudniało mu pracę, a po części na ślepy los, który przykuł go do wózka inwalidzkiego.

- Co słysząc, koteczku? Urodziliśmy coś? - W jego głosie nadal pobrzmiwały ślady młodości spędzonej nad Mississippi, zmieszane z natarczywością po dziesięciu latach służby w CIA i goryczą po zamachu bombowym na ambasadę amerykańską w Bejrucie w 1983

roku, po którym został kaleką.

- Sprawdzam stopień i rodzaj penetracji - odparł Stoll i ugryzł się w język, żeby nie dodać:

„majorze upierdliwy”. Na takie słowa mogli pozwolić sobie wobec niego tylko Hood i Rodgers, lecz nikt inny Zwłaszcza człowiek, który nigdy nie nosił munduru, w wyborach prezydenckich sprzyjał partii wolnomyślicieli i zajmował niezbyt eksponowane stanowisko w Centrum.

- Może ci się humor poprawi, koteczku, jak ci powiem, że nie tylko nam podłożyli świnię.

- Komu jeszcze?

- Części Departamentu Obrony ..

- Na dwadzieścia sekund?

Herbert przytaknął.

- Tak samo niektórym wydziałom CIA.

- Którym?

- Tym, które specjalizują się w rozwiązywaniu kryzysów Siadły wszystkie komputery, które dostają od nas dane.

- A niech to! Wszystko o kant dupy potłuc.

- Masz rację, chłopcze, przynajmniej co do samej dupy Rozłożyło się przez nas dość sporo ludzi, więc będą chcieli komuś dołożyć.

- O kant dupy potłuc - powtórzył Matt, odwracając się w stronę ekranu, gdy pierwsza fala cyfr zatrzymała się.

- Pierwszy katalog czysty - zaśpiewała Mighty Mouse. - Przechodzę do drugiego.

- Nie twierdzę, że to twoja wina - powiedział Herbert. Gdyby specjalistom od czasu do czasu nie przytrafiały się błędy, nie tkwiłbym na tym wózku. Kłopot w tym, że muszę mieć dostęp do informacji z sekcji satelitarnej NRO.

- Nie mogę zmienić katalogu dopóki jestem w trybie diagnostycznym, ani wyjść z programu, kiedy przeczesuje plik.

- Wiem - powiedział Herbert. - Mam informację od Kenta. Wtoczyłem się tutaj, żeby ci dotrzymać towarzystwa, dopóki znów nie postawisz na nogi tego cholernego systemu i nie dasz mi potrzebnych informacji.

- Jakich informacji?

- Muszę wiedzieć, co się dzieje w Korei Północnej. Mamy już cały stos ofiar, które posłano na tamten świat w stylu *Made in KRL-D*, w drodze pełny samolot ludzi z Iglicy, a prezydent chce wiedzieć, co porabia ludowa armia, na jakim poziomie gotowości są rakiety, czy coś się dzieje w pobliżu elektrowni atomowych - i tym podobne rzeczy. Nie poradzimy sobie bez rozpoznania satelitarnego i...

- Wiem - przerwał Matt. - A bez komputerów ani rusz.

- Drugi katalog czysty - powiadomiła Mighty Mouse. - Przechodzę do...

- Przerwij - powiedział Matt i program zatrzymał się. Używając klawiatury przeszedł do systemu operacyjnego, wprowadził hasło dostępu do modemowego połączenia z NRO, po czym założył rękę i czekał z nadzieją, że pluskwa nie przedostała się do komputera poprzez łącza telefoniczne.

## □ Wtorek, godzina 7.45 - NRO

NRO należało do najtajniejszych i najlepiej strzeżonych części Pentagonu, który i tak jest jednym z najbardziej niedostępnych budynków na świecie. Zajmowało stosunkowo niewielkie pomieszczenie, pozbawione górnego światła. Oświetlał je wyłącznie blask monitorów komputerowych, ułożonych równiutko w dziesięć rzędów po dziesięć stacji, na wzór sali kontroli lotów kosmicznych NASA. Sto obiektów zawieszonych w przestrzeni okołozemskiej spoglądało na ziemię, przekazując do NRO na żywo w czasie rzeczywistym zdjęcia dowolnej części globu o różnych stopniach powiększenia w tempie sześćdziesięciu siedmiu czarno-białych klatek na minutę. Na każdym zdjęciu zaznaczony był czas przekazu z dokładnością do setnej części sekundy, by można było obliczyć prędkość rakiety balistycznej lub siłę eksplozji jądrowej, porównując ze sobą kolejne zdjęcia lub wykorzystując je w połączeniu z innymi danymi, na przykład z sejsmografów.

Każda stacja składała się z monitora, klawiatury i umieszczonego poniżej telefonu. Za każdy rząd komputerów odpowiadało dwóch techników, którzy wprowadzając kolejne współrzędne pozycyjne dla satelitów, badali coraz to nowe obszary i dostarczali zdjęcia Pentagonowi, Centrum, CIA lub sojusznikom USA. Pracujący tu ludzie przechodzili prawie tak dokładne badania psychologiczne i gruntowne przeszkolenie jak personel ośrodków kontroli lotów w wyrzutniach rakiet międzykontynentalnych. Nie mógł ich oszołomić stały napływ czarno-białych obrazów, w ułamku sekundy musieli stwierdzić, czy dany samolot, czołg lub mundur wojskowy należy do Cypru, Suazilandu czy Ukrainy, a nade wszystko umieć oprzeć się pokusie sprawdzenia, co dzieje się na rodzinnej farmie w stanie Colorado, czy w domu w Baltimore. Oczy z kosmosu mogły obserwować każdy metr kwadratowy ziemi, miały wystarczającą rozdzielczość, by przeczytać komuś przez ramię gazetę w parku i z tego też powodu wymagano od operatorów powściągliwości w zapędach do zabawy. Im dłużej bowiem przyglądał się temu samemu łańcuchowi górskiemu, płaskowyżowi lub powierzchni oceanu, tym pokusa stawała się coraz trudniejsza do odparcia.

Z wnętrza oszklonej budki, która zajmowała całą długość jednej ściany, dwóch kontrolerów przyglądało się sali. Informowali operatorów o zapotrzebowaniu na informacje z różnych instytucji i kontrolowali współrzędne satelitów

Kontroler Stephen mens był starym kolegą szkolnym Matta Stolla. Obaj ukończyli Massachusetts Institute of Technology z najlepszymi wynikami na roku i posiadali *trzy* wspólne patenty na sztuczne neurony do mózgow elektronowych. W krajowym rankingu gier komputerowych zajmowali odpowiednio pierwsze i drugie miejsce pod względem liczby punktów zdobytych w grze Jaguara „Trevor McFur”. Zarząd firmy Atari musiał jakiś czas temu zapłacić personelowi pewnego domu towarowego za nadgodziny, bowiem Stoll, niepomny, że pora zamknięcia sklepu dawno minęła, jeszcze przez cztery godziny nie mógł

oderwać się od gry. Matt nie podzielał jedynie pasji mensa do podnoszenia ciężarów, co poddało ich żonom pomysł na przezwiska: Software i Hardware.

Wiadomość od Stolla nadeszła pocztą elektroniczną w chwili, gdy Viens przed rozpoczęciem swej zmiany o godzinie ósmej zasiadł na swym stanowisku i postawił obok klawiatury kawę i czekoladowy rogalik.

- Odbiorę - powiedział kontrolerowi Samowi Calvinowi z nocnej zmiany Viens podjechał na fotelu pod monitor i przestał przeżuwać rogalik, gdy odczytał

wiadomość:

Pieszczoch trafił. Właśnie poluje. Prześlij mi 39/126/400. Może sprawdzisz u siebie?

- Nie, tylko nie to! - mruknął Viens.

- *Que pasa*, szybki Billu? - zapytał Calvin. Do monitora podeszli też pomocnicy kontrolerów dziennych i nocnych.

- Pieszczoch? - przeczytał drugi kontroler Fred Landwehr.

- Co to takiego?

- Z filmu „Obcy - ósmy pasażer Nostromo”. Ten, co przyklejał się do twarzy i wstrzykiwał

ludziom do ciała małych Obcych do wylęgu. Matt Stoll mówi, że mają wirusa, co znaczy, że my też mogliśmy go złapać. Chce, żeby mu przesłać zdjęcia Phenianu. - Viens chwycił

słuchawkę telefonu. - Monica, rzuć okiem na długość 39, szerokość 126, powiększenie 400 i prześlij Mattowi Stollowi w Centrum. Nie rób wydruku. - Odłożył słuchawkę. - Fred, przepuść nasze oprogramowanie przez test diagnostyczny Sprawdź, czy wszystko w porządku.

- Mam szukać czegoś konkretnego?

- Nie wiem. Sprawdź wszystko i zobacz, na czym piśnie. Viens odwrócił się do komputera i napisał:

Szukamy Rozpruwacza. Dostanie kopa od komandor Ripley Przesyłam 39/126/400 potwierdź

Posyłając wiadomość, spojrzął na rząd monitorów, niezupełnie dowierzając przeczytanej przed chwilą wiadomości. Stoll opracował najlepszy system antywirusowy, jaki mógł

wymyślić człowiek. Jeżeli ktoś go złamał, zapowiadała się grubsza sprawa. Współczuł

przyjacielowi, lecz wiedział też, że podobnie jak on, Stoll będzie zafascynowany faktem, że w ogóle coś takiego się wydarzyło... i zdecydowany do końca rozwikłać zagadkę.

*Postać z „Obcego-ósmego pasażera «Nostromo»" grana przez Sigoumey Weaver [przyp. red.].*

□ **Wtorek, godzina 21.55 - Seul**

Wchodząc do gabinetu generała, major Li zsalutował, zaś Norbom odwzajemnił oddane mu honory.

- Greg Donald - przedstawił Amerykanina, potem zwrócił się do niego: - Znasz chyba majora Kima Li.

- Tak, poznaliśmy się już - powiedział Donald, przykładając do ust serwetkę. Wstał i podał majorowi dłoń. - O ile sobie przypominam, widzieliśmy się kilka lat temu na defiladzie w Taegu.

- Jestem zaszczycony, że pan pamięta - odparł Li. - Czy przybył pan tu z oficjalną wizytą?

- Nie, prywatnie. Moja żona... zginęła dziś po południu w zamachu.

- Proszę przyjąć moje kondolencje.

- Co o tym myślicie, majorze? - zapytał Norbom.

- Robota wykonana na rozkaz z Phenianu. Może nawet wydał go sam prezydent.

- Wydaje się pan nie mieć co do tego żadnych wątpliwości - zauważył Donald.

- A pan ma?

- Tak. Podobnie Kimm Huan z KCIA. Dowody przeciwko KRL-D są bardzo mizerne.

- Ale nie motywy - bronił się Li. - Panie ambasadorze, nie chciałbym pana urazić ze względu na pana osobistą tragedię. Wróg jest jak wąż - zmienił skórę, lecz nie serce.

Wywołując wojnę lub wbijając swe kły w naszą gospodarkę, chce osłabić i zniszczyć nasz kraj.

W oczach Donalda zagościł smutek i odwrócił wzrok. Teraz, podobnie jak w latach pięćdziesiątych, największymi przeszkodami na drodze do trwałego pokoju nie stała zachłanność, spory terytorialne, czy wreszcie niezdecydowanie co do sposobu zjednoczenia dwóch oddzielnych państw. Te problemy, choć poważne, dawały się przezwyciężyć.

Największe przeszkody rodziły się z podejrzliwości i głęboko zakorzenionej nienawiści, jaką tylu ludzi jednego narodu żywiło wobec drugiego. Martwiła go myśl, że prawdziwe zjednoczenie może nie dojść do skutku, zanim całkowicie nie wymrze pokolenie, na które wojna wywarła bezpośredni wpływ.

- To działka Kima Huana - zauważył generał Norbom. Więc pozostawmy mu ją, dobrze, majorze?

- Tak jest.

- W jakiej sprawie chciał się pan ze mną widzieć?

- Polecenie pobrania z magazynu, panie generale. Wymaga pańskiej pieczęci.

- Na co opiewa?

Li podał mu dokument.

- Cztery pojemniki tabunu po dwadzieścia pięć litrów Mam je zabrać do Strefy Zdemilitaryzowanej.

Generał założył okulary

- Co, do cholery, generał Schneider zamierza zrobić z tym gazem?

- To nie dla niego, panie generale. Wywiad wojskowy doniósł nam, że po drugiej stronie granicy żołnierze wykopują beczki z bronią chemiczną, a jeszcze więcej znajduje się w drodze z Phenianu. Mamy je zawieźć do Panmundżon na wypadek, gdyby okazały się potrzebne.

- O Boże - westchnął Donald. - Mówiłem ci, Howard, że to się wymknie spod kontroli.

Twarz Li nie zdradzała żadnych emocji. Stał sztywno obok Donalda, patrząc, jak Norbom czyta dokument.

- To pan, majorze, złożył wniosek o wydanie gazu - powiedział generał do Li. - Komu ma zostać dostarczony?

- Będę eskortował przesyłkę. Mam rozkazy od generała Sama. - To rzekłszy, wyjął papiery z kieszeni koszuli i podał generałowi.

Norbom przejrzał je pobieżnie, potem stuknął w przycisk interkomu.

- Shooter?

- Na rozkaz, panie generale.

- Wyrażam zgodę na wyjazd majora Li. I połącz mnie z generałem Samem.

- Tak jest.

Norbom podał papiery oficerowi.

- Mam tylko dwie rzeczy do powiedzenia, majorze. Po pierwsze, proszę jechać ostrożnie. A po drugie, gdy będzie pan w Panmundżon, niech pan będzie jeszcze bardziej ostrożny



- Oczywiście, panie generale - powiedział Li salutując i niezbyt uprzejmie kłaniając się Donaldowi. Oko majora na chwilę spoczęło na dyplomacie i zaskoczyło go niespodziewanie chłodnym wejrzeniem, po czym Koreańczyk odwrócił się i wyszedł.

Twarz Li pozostała bez wyrazu, lecz w duchu major uśmiechał się. Miesiące pracy i spore sumy pieniędzy, wydanych na przekonanie sierżanta Kila, by do nich dołączył, opłaciły się sowicie. Adiutant generała Sama opatrywał różne dokumenty nazwiskiem swego dowódcy tyle razy, że jego podpisu nie dało się rozróżnić od oryginału. Będzie też pierwszym, który odbierze telefon od Norboma i znajdzie sposób, by generał stał się nieosiągalny, dopóki starzejący się umysł Norboma nie zapomni o całej sprawie lub nie będzie za późno. W

każdym przypadku Li i jego ludzie dostaną to, czego chcą: szansę wprowadzenia w życie drugiej, najbardziej morderczej fazy ich planu.

Jego trzech ludzie czekali przy ciężarówce - starym Dodge'u T214 z nakrytą plandeką przestrzenią ładunkową. Amerykańscy żołnierze nadali mu przydomek bipa - dużego dziupa.

Miał ładowność siedmiuset pięćdziesięciu kilogramów, silne amortyzatory i nisko położony środek ciężkości. Dzięki temu znakomicie nadawał się do jazdy w terenie, a taka ich teraz czekała.

Mężczyźni zaszalutowali, gdy Li podszedł i wspiął się na miejsce dla pasażera. Dwaj żołnierze usiedli z tyłu pod brezentem.

- Gdy wyjedziemy z bazy - zwrócił się do kierowcy - pojedziesz z powrotem do miasta, na Czonggyeczonno. - Odwrócił głowę do tyłu. - Szeregowy

- Jestem, panie majorze.

- Zastępca dyrektora KCIA podejrzewa, że zamach nie jest dziełem KRL-D. Proszę zadbać o to, żeby pan Kim Huan nie rozsiewał więcej fałszywych pogłosek. Postarajcie się, by jutro rano nie stawił się w pracy.

- Tak jest. Siła wyższa?

- Nie, żadnych wypadków. Jedźcie do hotelu, włóżcie cywilne ubranie, weźcie jeden z identyfikatorów i ukradnijcie samochód ze stacji obsługi. Dowiedzcie się, jak wygląda Huan i zasztylujcie go, Jang. Brutalnie, tak jak Koreańczycy z Północy poharatali amerykańskich żołnierzy, którzy przycinali drzewa w Strefie Zdemilitaryzowanej. Bezlitośnie, jak zabili siedemnaście osób w Rangunie. Tak samo, jak zamordowali moją matkę. Pokażcie całemu światu, Jang, że są zwierzętami i że nie mają prawa dołączyć do grona cywilizowanych narodów.

Jang skinął głową, zaś Li usadowił się wygodnie, zamawiając połączenie z kapitanem Bockiem w Strefie Zdemilitaryzowanej. Przy bramie podał opieczętowany dokument amerykańskiemu strażnikowi, który sprawdził zawartość samochodu, po czym zwrócił

papiery i kiwnął dłonią, żeby ruszali. Gdy znaleźli się na bulwarze, Jang wyslizgnął się z tyłu i pospieszył do hotelu „Savoy”, w którym rozpoczęli ten długi i obfitujący w wydarzenia dzień.

□ **Wtorek, godzina 7.57 - Centrum**

Na biurku Paula Hooda zadzwonił telefon. Nie zdarzało się to zbyt często. Większość wiadomości otrzymywał bowiem pocztą elektroniczną lub przez specjalnie zabezpieczone linie telefoniczne.

Co dziwniejsze, Bugs nie zapowiedział rozmowy przez interkom. To znaczy, że dzwonił ktoś bardzo ważny, kto mógł obejść główną centralę Centrum. Podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Paul, mówi Michael Lawrence.

- Tak. Co słysząc, panie prezydencie?

- Dowiedziałem się, że twojego syna zabrali rano do szpitala.

- Tak, to prawda.

- Jak się czuje?

Paul zmarszczył brwi. W pewnych chwilach należało przekazywać prezydentowi tylko dobre wiadomości, a w innych można było mówić prawdę. Tym razem zachodziło to drugie.

- Źle, panie prezydencie. Nie wiedzą, co mu jest i nie reaguje na terapię.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział prezydent. - Ale muszę wiedzieć, Paul, na ile odciągnie cię to od obowiązków?

- Słucham?

- Potrzebuję cię, Paul. Chcę, żebyś pomógł mi rozwiązać ten kryzys w Korei. Musisz się skoncentrować wyłącznie na tym i kontrolować rozwój wydarzeń, albo sprawę przejmie ktoś inny. Decyzja należy do ciebie, Paul. Czy mam kogoś poszukać?

Zabawne. Niecałe pięć minut temu Paul myślał o tym samym, ale teraz, słysząc, jak prezydent otwarcie zadaje mu pytanie, nie miał już żadnych wątpliwości.

- Nie, panie prezydencie - odparł. - Poradzę sobie.

- Świetnie. I jeszcze jedno, Paul.

- Tak, panie prezydencie?

- Daj mi znać, co z chłopakiem.

- Obiecuję. Dziękuję.

Odkładając słuchawkę Paul zastanowił się przez chwilę, potem nacisnął klawisz F6, by porozmawiać z Bugsem Benetem.

- Bugs, jak znajdziesz chwilę czasu, wpadnij do jednego z naszych geniuszy komputerowych. Potrzebuję hasła do następnego poziomu „Śmiertelnej walki”, żeby Alexander wyskoczył ze skarpetek, jak wróci ze szpitala.

- Nie ma sprawy - obiecał Bugs.

Paul uśmiechnął się, skinął głową, po czym wywołał na ekran kolejny dokument z kolejki i wrócił do pracy.

## □ Wtorek, godzina 22.00 - Seul

Nowoczesny, czteropiętrowy budynek z cegły i stali oddzielał od Kwangdżu długi, prostokątny plac. Gdyby nie opasujące go wysokie metalowe ogrodzenie oraz zasłonięte żaluzjami okna, przypadkowy przechodzień mógłby go wziąć za siedzibę jakiejś firmy lub uniwersytetu. Chyba nikt nie podejrzewał, że mieści kwaterę główną KCIA i strzeże kilka najniebezpieczniejszych tajemnic Wschodu.

Budynek chroniony był z zewnątrz kamerami telewizyjnymi, skomplikowanymi układami czujników ruchu przy każdym oknie i drzwiach oraz polami elektromagnetycznymi, uniemożliwiającymi podsłuch. Dopiero po wejściu do jasno oświetlonego holu i napotkaniu dwóch uzbrojonych strażników za kuloodporną szybą można było się zorientować co do tajnej natury działań, jakie tam prowadzono.

Gabinet zastępcy dyrektora KCIA Kima Huana znajdował się na pierwszym piętrze, w dół

korytarza od gabinetu dyrektora Yung-Hoona. W tej chwili dawny szef policji jadł kolację w restauracji na trzecim piętrze z zaprzyjaźnionymi przedstawicielami prasy, by sprawdzić, czy przypadkiem o czymś nie wiedzą.

Huan i Young-Hoon mieli skrajnie odmienne metody działania. Wyznawana przez Young-Hoona filozofia głosiła, że ludzie są w posiadaniu wszystkich informacji, potrzebnych prowadzącym śledztwo. Żeby je poznać należy właściwym ludziom zadawać właściwe pytania. Huan był zdania, że umyślnie lub nie, ludzie jednak kłamią i że fakty najlepiej zbierać metodami naukowymi. Obaj przyznawali, że podejście drugiego jest jak najbardziej właściwe, chociaż Huan nie miał ochoty na uśmiechy i pogawędki, których wymagał styl pracy Young-Hoona. Kiedyś, gdy jeszcze palił, okres odporności na wysłuchiwanie bzdur wynosił mniej więcej jednego Camela bez filtra, a teraz uległ drastycznemu skróceniu.

Jego małe biurko zarzucone było papierami i segregatorami. Huan studiował raport, który właśnie nadszedł z laboratorium. Pomiął analizy profesora wspominające o

„hybrydyzowanych orbitach s-p" oraz „kierunku elektronegatywności" - szczegóły nie wymagane przez KCIA, lecz przez sądy, jeżeli ekspertyzy miały kiedykolwiek zostać wykorzystane w sprawie - i przeszedł od razu do podsumowania.

Analiza materiału wybuchowego stwierdza, że jest to zwykły plastik pochodzenia północnokoreańskiego, o składzie typowym dla produktów zakładów w Sonczhon. Na butelce nie znaleziono odcisków palców, chociaż powinny się na niej znajdować przynajmniej resztki linii papilarnych sprzedawcy.

Wywnioskowaliśmy z tego, że butelka została starannie wytarta. Ślady śliny, znalezione w pozostałej w butelce wodzie nie mają żadnych cech charakterystycznych. Częstki gleby nie mówią nam nic. Główne jej składniki -

piaskowiec i boksyt - występują powszechnie na półwyspie i nie można ich wykorzystać w celu dokładnego określenia miejsca pochodzenia. Badania toksykologiczne stwierdzają jednak skoncentrowane ślady sublimacji soli NaCl (Na z zasady NaOH, zaś Cl - z kwasu HCl). Jest to charakterystyczną cechą produktów petrochemicznych pochodzących z rafinerii w masywie Czhangnan w środkowej Mongolii, między innymi w oleju napędowym używanym przez zmechanizowane siły KRL-D. Koncentracja soli 1:100 NaCl w glebie raczej wyklucza możliwość, że cząstki te przybyły z wiatrem z Północy. Symulowane prawdopodobieństwo zajścia takiego zdarzenia wynosi 1:5.000.

Huan pozwolił swej głowie wesprzeć się na oparciu fotela. Fale powietrza z wentylatora na suficie przyjemnie chłodziły mu w twarz.

- Więc mamy terrorystów, którzy byli na Północy. Jak moli nie pochodzić z KRL-D?

Powoli skłaniał się ku myśli, że istnieje tylko jeden sposób na sprawdzenie, jak było naprawdę, chociaż nie chciał zbyt wcześnie rozgrywać tak ważnej karty.

Gdy kontynuował czytanie podsumowania, zabrzączał interkom.

- Panie majorze, melduje się sierżant Jin z recepcji. Jest tu człowiek, który chce się zobaczyć z oficerem kierującym sprawą zamachu pod pałacem.

- Czy powiedział, dlaczego?

- Twierdzi, że ich widział, panie majorze. Widział mężczyzn, którzy biegli od strony wozu technicznego.

- Zatrzymaj go tam - powiedział Huan, skacząc na równe nogi i poprawiając krawat. -

Zaraz tam będę.

□ **Wtorek, godzina 8.05 - Centrum**

Bob Herbert i Matt Stoll w milczeniu przyglądali się zdjęciom zamówionym z sekcji satelitarnej NRO, które przychodziły kolejno na ekran komputera w gabinecie Matta.

- Jasna cholera! - zaklął Herbert. - Zupełnie oszaleli.

Zdjęcie Phenianu pokazywało wyjeżdżające z miasta czołgi i transportery opancerzone. Na przedmieściach rozmieszczano baterie artylerii przeciwlotniczej.

- Te dranie szykują się do wojny! - krzyknął Herbert, Niech NRO rzuci okiem na Strefę Zdemilitaryzowaną. Popatrzmy, co się tam dzieje.

Chwycił słuchawkę ukrytą w podłokietniku wózka.

- Bugs, połącz mnie z szefem.

Hood odezwał się od razu.

- Co tam masz, Bob?

- Robotę. Wygląda na to, że będziesz musiał przepisać raport dla prezydenta. Przynajmniej dwie brygady zmechanizowane wyjeżdżają ze stolicy i kierują się na południe.

Przynajmniej... liczę, jedna, dwie, trzy... cztery baterie obrony przeciwlotniczej otaczają miasto od strony południowej.

Zaległa długa cisza.

- Prześlij mi zdjęcie i trzymaj rękę na pulsie - powiedział wreszcie Hood. - Czy Matty już coś znalazł?

- Nie.

Kolejna długa chwila ciszy

- Zadzwoń do Andrews i poproś, żeby nam przesyłali co dwie godziny dane z bezpośredniego rozpoznania nad obszarem od Zatoki Wschodniokoreańskiej do zatoki Czhung-san.

- Chcesz, żeby wysłali samolot rozpoznawczy?

- Mike leci z Iglicą na miejsce. Jeżeli komputery znów padną i stracimy połączenie z satelitą, nie chcę, żeby wchodzili do akcji na ślepo.

- Zrozumiałem - powiedział Herbert. - Powiedz, czy dalej uważasz, że te dranie nie chcą wojny?

- Biały Dom, czy KRL-D?

Herbert zaklął.

- KRL-D. Myśmy nie zaczęli tego...

- To prawda, nie my Ale dalej uważam, że Korea Północna nie chce wojny Rozmieszczają oddziały, bo zakładają, że my postąpimy tak samo. Kłopot w tym, że prezydent nie chce wyjść na mięczaka i nie cofnie się ani o krok. A oni?

Powiedziawszy, że zgłosi się znów, gdy będzie miał jakieś informacje, Herbert zaczął

narzekać półgłosem na podejrzliwą naturę Hooda. Fakt, że jako wytrawny polityk na stanowisku burmistrza konsultował się z każdym doradcą i brał pod uwagę wszystkie wyniki badań opinii publicznej, nie oznaczał jeszcze, że każdy musi go naśladować. Nie wierzył, by prezydent USA szafował życiem amerykańskich żołnierzy tylko po to, by stworzyć swój wizerunek twardego faceta. Jeżeli nie chciał się cofnąć, to z tego samego powodu, dla którego Reagan zafundował Kadafiemu poranny nalot po wysadzeniu przez Libijczyków w powietrze baru w Berlinie. Oko za oko, ząb za ząb. Żałował, że ta prosta zasada nie znalazła się w stałym repertuarze działań ONZ, zamiast bezowocnego walenia się w piersi. Nadal pragnął, by ktoś odpłacił terrorystom arabskim, których zamach bombowy w 1983 roku kosztował go utratę władzy w nogach.

Wywoławszy swego asystenta, Herbert poprosił o połączenie z generałem McIntoshem w bazie Andrews.

*Dessault-Breguet Mirage 2000*, wybudowany za zamówienie francuskiego rządu, zaprojektowany został jako myśliwiec przechwytyjący Szybko jednak okazał się jednym z najbardziej wszechstronnych samolotów, groźnym zarówno we wsparciu z powietrza i samodzielnych misjach zaczepnych na niskim pułapie, jak również doskonale nadającym się do lotów rozpoznawczych. W tej ostatniej roli, dwumiejscowy, siedemnastometrowy samolot mógł rozwijać prędkość 2,35 macha i osiągał maksymalny pułap dwudziestu tysięcy metrów, przy czym obie wielkości osiągał w czasie poniżej pięciu minut od chwili zwolnienia hamulców. Siły powietrzne USA zakupiły sześć takich samolotów do wykorzystania w Europie i na Dalekim Wschodzie, po części w celu scementowania więzów wojskowych z Francją, a po części dlatego, że odrzutowiec był dziełem najnowocześniejszej techniki.

*Mirage* z rykiem silników wystrzelił w nocne niebo z amerykańskiej bazy w Osace.

Samoloty, zbliżające się do KRL-D od południa, musiały wejść na wyższy pułap i łatwiej je było wykryć radarom, zaś maszyny nadlatujące od strony Japonii mogły lecieć nisko nad powierzchnią morza i minąć przestrzeń powietrzną Korei Północnej zanim obrona przeciwlotnicza zdąży zareagować.



*Mirage* dotarł do wschodniego wybrzeża Korei Północnej w piętnaście minut po starcie.

Gdy dwuprzepływowy silnik turboodrzutowy M53-2 pchnął go do prawie pionowego wzniosu, oficer rozpoznania, Judy Margolin, siedząca za pilotem, zaczęła robić zdjęcia.

Używała aparatu Leica z teleobiektywem 500x, przystosowanym do robienia zdjęć w nocy. Oficerowi polecono skoncentrować się na ruchach wojsk oraz oznakach niezwyklego ożywienia wokół elektrowni atomowych oraz miejsc składowania broni chemicznej, innymi słowy na wszystkim, co odpowiadało wynikom obserwacji dokonanych przez satelitę szpiegowskiego NRO.

To, co ujrzała, gdy *Mirage* minął Phenian i popędził na południowy wschód w stronę Morza Żółtego zdumiało ją. Kazała pilotowi zredukować prędkość, by mogła się lepiej przyjrzeć. Gdy znaleźli się za trzydziestym ósmym równoleżnikiem, Judy Margolin przerwała ciszę radiową, by porozmawiać z dowódcą misji.

## □ Wtorek, godzina 22.10 - Seul

Przez kilka minut Gregory Donald stał u wejścia do małej kaplicy w amerykańskiej bazie wojskowej, niezdolny uczynić kroku. Przyglądał się prostej trumnie z sosnowego drewna, nie mogąc zajrzeć do środka. Musiał się do tego przygotować.

Właśnie skończył rozmawiać przez telefon z jej ojcem, który przyznał, że zaniepokoił się, gdy Sundzi nie zadzwoniła do niego. Ilekroć brała udział w jakiejś oficjalnej uroczystości, która nie przebiegała zgodnie z planem, zawsze telefonowała do niego z wiadomością, że nic jej się nie stało. Teraz też wiedział, gdzie się wybiera. Ale nie zadzwoniła, a gdy telefon w domu nie odpowiadał i nie znalazł jej w żadnym szpitalu, obawiał się najgorszego.

Kim Jong Nam przyjął wiadomość o jej śmierci tak samo, jak wszystkie inne złe wieści -

wycofując się. Natychmiast po usłyszeniu, że Sundzi nie żyje i że Donald planuje urządzić jej pogrzeb w Ameryce, odłożył słuchawkę bez słowa podziękowania, wyrazów smutku czy kondolencji. Donald nigdy nie brał Kiurowi za złe jego sposobu postępowania i nie spodziewał się z jego strony niczego innego. Każdy miał swój sposób radzenia sobie ze smutkiem. Kim zamykał się w sobie, nie wpuszczając innych.

Donald zmusił umysł do przywołania chwili, gdy widział ją po raz ostatni - nie jako swą żonę, nie jako Sundzi, lecz pokiereszowane ciało trzymane w ramionach. Przygotowywał się na to spotkanie, powtarzał sobie, że choć zadaniem przedsiębiorcy pogrzebowego jest przedstawienie człowieka po śmierci jak pogrążonego w spokojnym śnie, ze zdrowymi, lekko zaróżowionymi policzkami, to nigdy nie zdoła on odtworzyć życia takim, jakim się je pamięta. Jednak wierzył, że ujrzy coś więcej, niż śmierć. Więcej, niż pokrwawione i poharatane ciało, które tulił w ramionach...

Oddychając nierówno, niepewnym krokiem wszedł do kaplicy. Po obu stronach wezgłowia trumny paliły się wysokie świece. Ominął je i podszedł do stóp, nie zaglądając do środka.

Kątem oka widział suknię, prostą togę z białego jedwabiu, którą miała na sobie w czasie ślubu. Widział czerwień i biel bukietu, który włożyli jej w ręce, złożone na piersiach. Donald prosił o to, chociaż Sundzi nie wierzyła, że czerwone i białe róże zaprowadzą ją prosto do Boga. Jej matka, która wyznawała Czchondokyo została pochowana w taki sposób. Jeżeli nie znajdzie Boga, w którego istnienie wierzyła silniej, niż on, to może znajdzie chociaż swą matkę.

Zwrócony twarzą do trumny powoli otworzył oczy. Na jego twarzy zagościł uśmiech.

Zadbali o jego najdroższą. Gdy żyła nosiła tylko delikatny cień rózu na policzkach i teraz też miała na sobie ledwie jego ślad. Brwi lekko pociągnięto jej tuszem, skóra zaś nie była obsypana pudrem ani umalowana, lecz jasna i czysta, jak za życia. Ktoś musiał przynieść z domu jej perfumy, bo stojąc blisko trumny uświadomił sobie obecność znajomego zapachu.

Donald oparł się pokusie dotknięcia jej ciała, ponieważ wydawała się pogrążona we śnie... i taka spokojna.

Nie hamował łez, gdy podszedł do trumny z drugiej strony Nie po to, by przyjrzeć się bliżej, lecz by pocałować palec i dotknąć nim złotej obrączki z wygrawerowanymi ich imionami i datą ślubu.

Pozwoliwszy sobie dotknąć lamówki rękawa jej sukienki i przypominając sobie, jak delikatna, młoda i pełna życia była w dniu ślubu, Donald wyszedł z kaplicy silniejszy, niż przedtem, panując nad gniewem, który okazał w obecności generała Norboma. Lecz nadal zamierzał iść na Północ, bez względu na to, czy przyjaciel pomoże mu, czy nie.

□ **Wtorek, godzina 22.15 - Seul**

Gdy Kim Huan wszedł do pokoju strażników, oficer dyżurny podał mu dowód tożsamości ze zdjęciem. Huan przeczytał informację:

Nazwisko: Li Ki-siu

Wiek: dwadzieścia lat

Zamieszkały: 116 Hai Way, Seul

- Sprawdziliście?

- Tak, panie majorze. Apartament wynajęto niejakiemu Szhin Jong U, z którym nie byliśmy się w stanie skontaktować. Ten człowiek mówi, że podnajmuje jeden pokój, a pan U

wyjechał w interesach. Pracuje w fabryce General Motors za miastem, lecz ich dział personalny otwierają dopiero jutro rano.

Huan skinął głową, zaś gdy oficer dyżurny przygotowywał się do robienia notatek, zastępca dyrektora przyjrzał się mężczyźnie, który do niego przyszedł. Był niski, lecz Huan zwrócił

uwagę na dobrze rozwinięte umięśnienie, zwłaszcza przedramion i szyi. Ubrany był jak robotnik fabryczny. Miał w dłoniach czarny beret, przestępował niepewnie z nogi na nogę i skłonił się kilka razy, gdy ujrzał wchodzącego Huana. Lecz gdy raz wbił weń swój dziwnie niepokojący wzrok, nie przestawał Patrzeć ani na chwilę. Jego oczy mimy twarde, martwy połysk, niczym oczy rekina.

Dziwne połączenie - dziwny człowiek, pomyślał. Lecz wydarzenia dzisiejszego dnia wywołały wstrząs u wielu ludzi i niewykluczone, że przybyły okazał się jednym z nich.

Huan zbliżył się do okrągłej metalowej kraty osadzonej w szkle.

- Jestem Kim Huan, zastępca dyrektora. Chciał pan się ze mną widzieć?

- Czy pan prowadzi śledztwo w... w tej strasznej sprawie?

- Tak.

- Widziałem ich. Mówiłem już temu facetowi, że widziałem trzech mężczyzn. Szli od wozu

technicznego w stronę starego miasta i nieśli torby.

- Czy widział pan ich twarze? Mężczyzna szybko potrząsnął głową.

- Byłem za daleko. Stałem tam... - Wskazał na drzwi i dźgnął palcem. - Koło ławek.

Szukałem... wie pan, czasami dla ludzi ustawiają toalety. Ale dzisiaj nie. Właśnie kiedy jej szukałem, zauważyłem ich.

- Jest pan pewien, że nie potrafi pan ich zidentyfikować? Kolor włosów...

- Czarny Wszyscy trzej.

- Zarost? Nosy? Wąskie czy pełne usta? Odstające uszy?

- Przepraszam, nie zauważyłem. Mówiłem już, że miałem inne rzeczy na głowie.

- Czy pamięta pan, w co byli ubrani?

- W ubrania. To znaczy zwykłe ubrania, nic specjalnego. I wysokie buty. Chyba mieli wysokie buty.

Huan przyjrzał się mężczyźnie przez chwilę.

- Czy coś jeszcze?

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Czy zgodzi się pan podpisać zeznanie? Przygotowanie zajmie tylko kilka minut.

Mężczyzna energicznie pokręcił głową i szybko zmniejszył dystans dzielący go od drzwi.

- Nie, proszę pana, nie mogę. Kiedy poszedłem na uroczystość, nie miałem przerwy w pracy. Zerwałem się na chwilę. Chciałem tam być, rozumie pan. Gdyby moi szefowie się dowiedzieli, miałbym kłopoty, mogliby mnie zwolnić...

- Nie muszą się dowiedzieć - powiedział Huan.

- Przepraszam. - Położył rękę na drzwiach. - Chciałem, żebyście to wiedzieli, ale nie chcę się w to mieszać. Proszę... mam nadzieję, że wam pomogłem, ale muszę już iść.

Z tymi słowami mężczyzna jednym pchnięciem otworzył drzwi i wybiegł w ciemność. Huan i siedzący za biurkiem sierżant spojrzeli po sobie.

- Pewnie zanim tu wstąpił wypił o parę piw za dużo, panie majorze.

- Albo za mało - stwierdził Huan. - Przepiszcie to na maszynie i prześlijcie do mnie. Było tam trochę

użytecznych informacji.

Przynajmniej potwierdził kilka faktów, których domyślali się na podstawie śladów znalezionych w pobliżu hotelu. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie kazać śledzić dziwnego małego mężczyzny, lecz zdecydował, że dostępne siły najlepiej wykorzystać tam, gdzie są -

do przesłuchiwania innych uczestników uroczystości, przeglądania zdjęć i materiałów wideo oraz przeszukiwania okolicy i porzuconego hotelu w poszukiwaniu nowych śladów. Wspiąwszy się po schodach - nie jeździł windą, skoro miał czas i siły, by chodzić piechotą -

Huan wrócił do gabinetu by zastanowić się, co robić dalej. Gdy wróci dyrektor, będzie niezadowolony ze stanu śledztwa. Strzępy dowodów, które mieli w ręku, wskazywały na Koreę Północną, lecz żadnych nici, prowadzących do rzeczywistych zamachowców.

Po rozmowie przez radio z ludźmi w terenie i odebraniu meldunku, że wracają z pustymi rękami, Huan postanowił wkroczyć do akcji. Aby szybko zdobyć konkretne informacje musiał zrobić rzecz, na którą nie miał specjalnej ochoty, bo mogło ich to kosztować przynajmniej tyle, co zyskają. Niechętnie podniósł słuchawkę...

□ **Wtorek, godna 22.10 - Kosong, Korea Północna**

Czteromiejscowy, smukły *Lake GA-4-200 Buccaneer* leciał nisko nad powierzchnią morza ze średnią prędkością dwustu kilometrów na godzinę, kierując się w stronę wybrzeża Korei Północnej. Silnik Lycoming 0-360-A1A wydawał z siebie niechętnie pomruki, gdy pilot stabilizował maszynę na kursie. Wodnosamolot szybko wytracał wysokość, a im bliżej powierzchni morza, tym więcej było turbulencji, więc pilot obawiał się, by nie musiał

przymusowo wodować. Nie z tymi dwoma na pokładzie. Wylał chustką spocone czoło, nawet nie ośmielając się zastanawiać, co by zrobili, gdyby wodował o osiemdziesiąt kilometrów od brzegu.

Gdy zszedł poniżej stu siedemdziesięciu metrów - szybciej, niż powinien, biorąc pod uwagę wiatr, lecz nie tak szybko, jak chciał - gwałtowne podmuchy wiatru zaczęły rzucać ośmiometrowej długości samolotem. Teraz mógł już dojrzeć ciemne kontury brzegu.

Wiedział, że nie będzie czasu na drugie podejście - jego pasażerowie muszą znaleźć się na brzegu przed ósmą trzydzieści i nie miał zamiaru ich zawieść. Ani o sekundę. Nie zamierzał

także dłużej pozwalać swemu drogiemu przyjacielowi Han Songowi na organizowanie lewych lotów. Synowie, którzy chcieli wślizgnąć się do Korei i odwiedzić ojców, nawet szpiedzy z południa - to inna sprawa. Tym razem hazardzista powiedział, że ci dwaj są biznesmenami, ale nie mówił, że specjalizują się w zabijaniu ludzi.

Z głuchym łoskotem opuścił na powierzchnię morza kadłub samolotu, przypominający kształtem łódź. Hamując całą mocą silnika, wzbijał fontanny wody po obu stronach maszyny.

Chciał jak najprędzej wysadzić obu mężczyzn i zawrócić, zanim jacyś ciekawscy rybacy, czy milicja postanowią go sprawdzić.

Otworzył pokrywę kabiny i uniósł ją do góry. Chwyając tratwę z siedzenia drugiego pilota, spuścił ją do morza, a tymczasem mężczyźni na tylnych siedzeniach wstali. Pilot wyciągnął

dłoń ku pierwszemu z nich, by pomóc mu wejść na tratwę. Morderca chwycił go za rękę i spojrzał na fosforyzujący zegarek pilota.

- Udało... udało nam się! - wykrztusił pilot.

- Dobra robota - odparł morderca, gdy jego towarzysz obszedł go dookoła i wspinał się do tratwy. Sięgnął do kieszeni swego płaszcza i podał pilotowi zwitek pieniędzy. - Tak, jak uzgodniłem z pana agentem.

- Tak, dziękuję.

Z drugiej kieszeni mężczyzna wyjął zakrwawiony sztylet, trzymając go przed sobą. Pilot doszedł do wniosku, że to jego walące jak młotem serce, a nie silnik samolotu powoduje drżenie maszyny. Morderca zachichotał, nagle zamachnął się i wrzucił sztylet do morza. Ulga przyszła tak gwałtownie, że pilot stracił równowagę i upadł na siedzenie.

- Dobranoc - powiedział morderca, odwrócił się i dołączył do swego kolegi na tratwie.

Dopiero po kilku minutach pilot uspokoił się na tyle, by ruszyć w drogę powrotną. Jego pasażerów już dawno połknęła ciemność.

Naprowadzał ich na brzeg żołnierz, błyskający światłem latarki. Był właśnie odpływ, więc pokonali drogę w kilka minut. Gdy znaleźli się na plaży, jeden z nich spuścił powietrze z tratwy, zaś drugi wziął walizki i poszedł z nimi w stronę dwóch dżipów zaparkowanych u stóp urwiska.

- Pułkownik Oko? - zapytał.

- Przybyliście przed czasem, pułkowniku San - skłonił się ten drugi.

- Nasz pilot bardzo chciał się nas pozbyć. - San spojrzał na uzbrojonego żołnierza stojącego obok dżipów. - Macie mundury, dokumenty i... przesyłkę?

- Są w dżipie. Czy chcielibyście sprawdzić?

San uśmiechnął się i położył walizki na piasku.

- Major Li darzy was zaufaniem. - Uśmiech pułkownika pogłębił się. - Poza tym, mamy wspólny cel: musimy na zawsze pozostać wrogami.

- Do tego nie trzeba nam wojny.

- Nie jesteście politykiem, pułkowniku. Nie musicie przypominać, jaka krew płynie w naszych żyłach. Czy przeliczycie pieniądze?

Oko potrząsnął głową i dał znak swemu adiutantowi, by wziął walizkę.

- Szczerze mówiąc, pułkowniku, nawet gdyby nam nie zwrócono kosztów łapówek, które zapłaciliśmy, warto było. Ukłoniwszy się ponownie pułkownikowi Sanowi, Oko wspiał się do dżipa i nie obejrzał ani raz za siebie, gdy ruszyli stromą, polną drogą w stronę wzgórz.

Adiutant pułkownika Sana, kapral Kong Sang Kul zbliżył się, patrząc na odjeżdżających.

- A mówi się, że Północ z Południem nigdy się w niczym nie dogada.

Dziesięć minut później, przebrani w mundury pułkownika i kaprala armii Korei Północnej sprawdzili, czy wszystko jest w paczce i pojechali dalej tą samą drogą, kierując się ku zaznaczonemu



na czerwono miejscu na mapie wsuniętej w plik dokumentów.

□ **Wtorek, godzina 8.40 - Centrum**

- To nieprawdopodobne! Po prostu nieprawdopodobne!

- Ale się stało, koteczku. Stało się.

Stoll i Herbert siedzieli przy stole konferencyjnym w Czołgu wraz Hoodem i resztą pierwszej zmiany Centrum, z wyjątkiem Rodgersa, którego miano dopiero poinformować o wszystkim. Ann Farris zajmowała miejsce po prawej stronie, Stoll i Herbert obok niej, zaś Lowell Coffey II po lewej stronie dyrektora. Po przeciwnej stronie siedzieli: Martha Mackall, Liz Gordon oraz Phil Katzen, oficer ds. ochrony środowiska. Darrell McCaskey siedział

po między Gordonem i Katzenem, dopiero co zaprezentowawszy Hoodowi jednostronicowe streszczenie działań Ligi Czerwonego Nieba i innych organizacji terrorystycznych. Żadna z nich raczej nie brała udziału w zamachu bombowym w Seulu.

Na stole przed Hoodem leżał dokument, przygotowany przez McCaskeya oraz zdjęcie, przesłane przez NRO, pokazujące znaczne przegrupowania sił wokół Phenianu. Obok leżała fotografia, zrobiona przez Judy Margolin z *Mirage*. Nie było na nim żadnych czołgów, żadnych baterii artylerii wokół miasta i żadnych innych przegrupowań wojsk, które świadczyłyby o tym, że KRL-D przygotowuje się do wojny.

- Co powiesz na tę różnicę, Matty? Poza tym, że to nieprawdopodobne.

Korpulentny oficer wsparcia operacyjnego westchnął z goryczą.

- Główne elementy ukształtowania terenu są takie same, więc satelita jest dobrze ustawiony i robi zdjęcia właściwemu miejscu. Obie fotografie przedstawiają Phenian.

- Kazaliśmy NRO przesłać nam aktualizację - powiedział Herbert - i potwierdziłem ją telefonem przez bezpieczną linię. Zdjęcie na monitorze pokazuje naturalny rozwój przegrupowania widzianego na pierwszym zdjęciu.

- Przegrupowania, które prawdopodobnie wcale się nie odbywa - zauważył McCaskey

- Zgadza się.

- Więc co, Matty? - zapytał Hood. - Za jakieś pół godziny mam być w Białym Domu. Co mam powiedzieć prezydentowi?

- Że jest jakiś błąd w oprogramowaniu. Błąd, jakiego nigdy przedtem nie widziałem.

- Błąd! - krzyknął Hood. - W systemie komputerowym, który sam zaprojektowałeś, wartym dwadzieścia milionów dolarów?!

- Właśnie tak! Czasami zdolnym chłopakom zdarza się coś przeoczyć, a czasami ciężarówka, pełna materiałów wybuchowych przedostają się przez betonowe barykady! -

Stoll żałował tego, co mówi już w chwili, gdy słowa wychodziły mu z ust. Zacisnął usta i opadł głęboko w fotel.

- Nieźle, Matt - powiedział Coffey, żeby przerwać pełną napięcia ciszę.

- Przepraszam, Bob - powiedział Stoll. - To było poniżej pasa.

Herbert rzucił mu nieprzyjazne spojrzenie.

- Masz rację, chłopcze. - Jego wzrok opadł na skórzane siedzenie wózka inwalidzkiego.

- Posłuchajcie - włączyła się Liz. - Wszyscy popełniamy błędy Ale możemy lepiej sobie z nimi poradzić, gdy zaczniemy współpracować, zamiast wytykać sobie palcami różne rzeczy Poza tym, panowie - jeżeli w ten sposób będziemy reagować na wczesnych etapach kryzysu, zastanówmy się lepiej nad zmianą miejsca pracy.

- Dobrze powiedziane - zgodził się Hood. - Idziemy dalej. Matt, twoim zdaniem, o co tu chodzi?

Stoll westchnął jeszcze głębiej. Nie patrzył na Herberta.

- Kiedy system padł, najpierw pomyślałem, że była to swego rodzaju demonstracja. Ktoś pokazywał nam, że udało mu się dostać do systemu i że potrafi to zrobić jeszcze raz.

Właściwie spodziewałem się, że po włączeniu komputera dostaniemy pocztą elektroniczną wiadomość z żądaniem okupu.

- Ale nie dostaliśmy - wtrącił Coffey

- Nie, nie dostaliśmy Potem wydawało mi się, że wirus znalazł się już pierwotnej wersji programu, albo że dostał się do nas wraz z oprogramowaniem i potem zaraził Departament Obrony i CIA, choć niekoniecznie w tej kolejności. Potem nadeszło to zdjęcie z Osaki i chyba właśnie wtedy nastąpiła inwazja.

- Wyjaśnij nam to - powiedział Hood.

- Wyłączenie systemu miało na celu odwrócenie naszej uwagi, stanowiło zasłonę dymną, maskującą prawdziwy cel operacji, którym najwyraźniej było przejęcie kontroli nad naszym systemem rozpoznania satelitarnego.

- Z kosmosu? - zapytał Coffey

- Nie, z Ziemi. Ktoś kontroluje przynajmniej jedno oko geostacjonarnego I2-A... może nawet więcej.

- Spodoba się to prezydentowi - skomentował Coffey

Hood spojrział na zegar, a potem na wizerunek Bugsa na ekranie komputera.

- Zapisalesz to?

- Tak jest.

- Dołącz do raportu - razem z tym, co ci zaraz powiem. Spojrział na Stolla i zaczął

dyktować: - Nasz oficer wsparcia operacyjnego rozpracowuje teraz całe zagadnienie i zapewnia mi, że problem zostanie przeanalizowany i rozwiązany Szczegółowy harmonogram działań zostanie sporządzony później. Tymczasem Centrum będzie pracować bez komputerów, ponieważ nie możemy ufać żadnym danym na nich zgromadzonym.

Oprzemy się na rozpoznaniu z powietrza, na agentach w kluczowych dla sprawy miejscach oraz na dokumentach symulacji działań kryzysowych. Podpisano, i tak dalej. Wydrukuj wszystko, Bugs. Będę u ciebie za minutę. Hood wstał. - Jakie jest twoje ulubione powiedzonko, Matt? „Do roboty”? Dobrze, a więc, do roboty System miał być niewrażliwy na inwazję z zewnątrz i to pomogło prezydentowi przeforsować w Kongresie powołanie Centrum prawie rok i ćwierć miliarda dolarów temu. Chcę, żeby intruz został odnaleziony i zniszczony, a dziura załatana. - Odwrócił się do jasnowłosego oficera ds. ochrony środowiska. - Phil, nie sądzę, żebyśmy potrzebowali twojego działu na tym etapie. Masz magisterium z informatyki - popracowałbyś z Mattem nad tym?

Niebieskie oczy Phila prześliznęły się z Hooda na zegar odliczania wstecznego.

- Z przyjemnością.

Stoll zeszywniał, lecz nie odezwał się.

- Bob, zatelefonuj do Gregory'ego Donalda w bazie w Seulu. Wiem, że w zamachu stracił

żonę, ale dowiedz się, czy nie chciałby odwiedzić Strefy Zdemilitaryzowanej i dostarczyć nam danych z pierwszej ręki. Skoro nie możemy ufać satelitom, chcę mieć tam kogoś z naszych - a taka wycieczka może pomóc mu się pozbierać.

- Przez telefon sprawiał wrażenie, że niechętnie weźmie się za coś takiego - ostrzegła go Martha. - Więc postępuj ostrożnie.

Herbert skinął głową.

- Potem chciałbym, żebyś poinformował o wszystkim Rodgersa - dodał Hood. - Przekaż mu, żeby działał na własne ryzyko, ale jak zwykle, bez śladów. Jeżeli mogą - a podejrzewam, że tak - niech nam coś powiedzą o *Nodongach* w Górach Diamentowych.

Herbert znów skinął głową, a potem odjechał od stołu, nadal boleśnie odczuwając uwagę Stolla.

Hood nacisnął przycisk otwierania drzwi i wyszedł, za nim Herbert i inni członkowie zespołu.

Stoll popędził korytarzem do swego gabinetu, zaś Phil Katzen starał się dotrzymać mu kroku.

- Przykro mi, że ci to zrobił, Matty. Wiem, że niewiele mogę ci pomóc.

Stoll wymamrotał coś, czego Phil nie zrozumiał. Lecz nie był pewien, czy chce.

- Ludzie nie wiedzą, że postęp wymaga nauki na własnych błędach - dodał Phil.

- To nie był błąd! - krzyknął Stoll. - To jest coś, czego nigdy dotąd nie widzieliśmy.

- Rozumiem. Przypominasz mi mojego starszego brata. Kiedy skończył czterdzieści pięć lat, rzucił żonę i pracę w Nynexie, żeby pójść pieszo dookoła świata. Powiedział mi, że to zmiana stylu życia, a nie kryzys wieku średniego.

Stoll zatrzymał się gwałtownie.

- Phil, przyszedłem dzisiaj do pracy i od razu trafił mnie odpowiednik asteroidu z okresu kredowego. Jestem apatozaurem, który walczy o przetrwanie, a takie rzeczy wcale mi nie pomagają.

Phil szedł nadal za nim.

- Cóż, może to ci pomoże. Kiedy pisałem pracę o tym, jak ZSRR poluje na wieloryby, wybrałem się z Greenpeace na misję na Morze Ochockie. Nikt nas tam nie zapraszał, ale trudno. Dowiedzieliśmy się, że Sowieci potrafią wytwarzać obrazy hydrolokacyjne, wykorzystując przekaźniki na morzu. Odbieraliśmy echo i ruszaliśmy bronić stada, którego wcale tam nie było, a oni spokojnie zabijali wieloryby gdzieś poza naszym ekranem.

Weszli do gabinetu Stolla.

- To nie jest obraz na ekranie hydrolokatora, Phil.

- Nie. Ale jeszcze nie doszedłem do właściwej części tej historii. Zaczęliśmy nagrywać na wideo zdjęcia do późniejszego wykorzystania i okazało się, że ilekroć włączali przekaźniki, towarzyszyło im prawie niedostrzegalne wyładowanie energetyczne...

- Przy uruchomieniu sprzętu. To powszechnie spotykane zjawisko.

- Racja. Ale każdy sygnał miał odcisk, podpis, który sprawdzaliśmy, zanim wyruszyliśmy w drogę w szaleńczą pogoń za wielorybem. Nasze komputery przestały działać na prawie dwadzieścia sekund - nazwałś to zasłoną dymną i pewnie masz rację. Ale kiedy spojrzałem na zegar odliczania wstecznego w Czołgu, zorientowałem się, że jest coś takiego, co nie przestało działać ani na chwilę.

Stoll stanął przy swoim biurku.

- Zegar wewnętrzny komputera.

- Właśnie.
  - Co nam to daje? Przecież wiemy kiedy się wyłączyły.
  - Pomyśl. Satelita przez cały czas robi zdjęcia, nawet wtedy, gdy nie może ich przesłać bezpośrednio na ziemię. Jeżeli moglibyśmy porównać dwa zdjęcia, które dzieli ta jedna chwila, moglibyśmy się zorientować, dlaczego system źle działa.
  - Teoretycznie. Musiałbyś po kolei nakładać jedno na drugie i szukać najmniejszych zmian...
  - Tak samo, jak astronomowie szukają asteroidów poruszających się na tle gwiazd.
  - Ale porównywanie dziesiątek zdjęć piksel po pikselu zabrałoby od cholery czasu - powiedział Stoll. - Nie można nawet zaufać komputerowi z tą robotą, ponieważ mógł zostać zaprogramowany, żeby nie zwracać uwagi na pewne sztuczki.
  - Właśnie. Nie potrzebujemy komputera. Musimy tylko zbadać jedną parę zdjęć - przed i po fakcie. Właśnie to miałem na myśli, kiedy mówiłem o zegarze komputerowym. Nie zatrzymałby się, nawet gdyby do komputera wkradł się wirus. Ale zanim fałszywy obraz zastąpi prawdziwy, minie ułamek sekundy..
  - Jasne - przyznał Stoll. - Cholera, masz rację. Przerwa będzie zaznaczona w kodach czasowych zdjęć. Zamiast przychodzić w odstępach nieco ponad 0,89 sekundy, na pierwszej fałszywce będzie nieznaczne opóźnienie.
  - Widoczne na samym dole zdjęcia.
  - Phil, jesteś genialny - Stoll sięgnął na biurko i wziął z niego kalkulator. - W porządku.
- Zdjęcia robione są w odstępach co 0,8955 sekundy Kiedy znajdziemy zdjęcie datowane o 0,001 sekundy później, mamy go.
- Doskonale. Wystarczy, żebyśmy poprosili NRO o sprawdzenie zdjęć wstecz, do momentu, w którym nie natrafiają na niezgodność czasową.

Stoll dał nura na swój fotel, zadzwonił do mensa i wyjaśnił, o co chodzi. Czekał na wynik testu czasowego, otworzył szufladę, wyciągnął pudełko z dyskieta i zaczął sprawdzać wewnętrzne działanie systemu.

## □ Wtorek, godzina 8.55 - Centrum

Grymas na ustach, zaciśnięte zęby i ściągnięte w środku czoła wąskie brwi zdradzały, że Bob Herbert dosłownie gotuje się ze złości. Wtaczając swój wózek do gabinetu przypomniał

sobie słowa Stolla. Chłopak okazał się na tyle nietaktowny, że powiedział na głos to, co myśli, lecz w głębi duszy Herbert wiedział, że ma rację. Nie różniło ich nic błąd w oprogramowaniu, napisanym przez Matta czy załamanie systemu bezpieczeństwa ambasady, który pomagał organizować - były częścią ogólnego porządku rzeczy, w którym zawsze coś musiało się zepsuć. Bez względu na dokładane starania, nie można było tego uniknąć.

Liz Gordon też miała rację. Rodgers przypomniał im kiedyś cytat z Benjamina Franklina, w którym chodziło o to, że jeśli nie będziemy się trzymać razem, to będą nas trzymać osobno.

Właśnie ta cecha Centrum sprawiała największe trudności w działaniu. W odróżnieniu od wojska, NASA, czy wszelkich innych organizacji, których pracownicy mieli za sobą mniej więcej tę samą przeszłość i reprezentowali podobne poglądy, Centrum było z założenia mieszaniną różnych zdolności, wykształcenia, doświadczeń - i idiosynkrazji. Oczekiwanie, że Matt Stoll zachowa się inaczej, niż Matt Stoll było nie na miejscu i, co gorsza, było bezproduktywne.

Dostaniesz ataku serca...

Herbert wsunął się za biurko i zablokował koła. Nie podnosząc słuchawki, wystukał nazwę bazy amerykańskiej w Seulu. Główny numer i połączenia wewnętrzne pojawiły się na prostokątnym ekraniku pod klawiaturą. Herbert przesunął je klawiszem, zatrzymał na generale Norbomie, podniósł słuchawkę i nacisnął #, wprowadzając numer. Zastanawiał się, co może powiedzieć Gregory'emu Donaldowi. Sam przecież stracił żonę, Yvonne, podczas wybuchu w Bejrucie. Lecz słowa nigdy nie były jego silną stroną. Były nią inteligencja... i gorycz.

Herbert żałował, że nie może znaleźć choć chwili wytchnienia, lecz było to niemożliwe. Od wybuchu bomby minęło prawie piętnaście lat. Świadomość tego, co stracił prześladowała go codziennie przez te wszystkie lata, choć przyzwyczał się do wózka inwalidzkiego oraz bycia samotnym ojcem szesnastoletniej córki. To, czego intensywność nie malała w miarę upływu czasu, co zawsze powodowało tak samo dojmująco ostry ból, jak w 1983 roku, była świadomość zupełnej przypadkowości wydarzenia. Gdyby Yvonne nie wpadła do ambasady, by opowiedzieć mu dowcip, który usłyszała na kasecie programu rozrywkowego, żyłaby do dziś. Gdyby jej nie dał tej kasety z Neilem Diamondem, a Diamond nie występował tamtego wieczora i gdyby nie poprosiła siostry o nagranie programu...

Sama myśl o tyran wystarczała, by zamierało w nim serce i dostawał zawrotów głowy Liz Gordon oczywiście powtarzała mu, że lepiej o tym nie myśleć, lecz bezskutecznie. Nie przestawał wracać myślą do chwili, gdy stał w sklepie muzycznym, prosząc o jakąś kasetę w wykonaniu tego artysty, co śpiewa piosenkę o lekkim sercu...

Telefon odebrał adiutant generała Norboma i poinformował Herberta, że Donald pojechał odwiedzić ciało żony do ambasady, chcąc załatwić jej przewiezienie do USA. Herbert wywołał numer telefonu do Libby Hall.

O Boże, jak przepadała za tą głupią piosenką. Ilekroć próbował żonę zainteresować Hankiem Williamsem, Rogerem Millerem czy Johnny Hortonem, zawsze wracała do Neila Diamonda, Barry Manilowa i Engelberta.

Odebrała sekretarka pani ambasador i połączyła Herberta z Donaldem.

- Bob - powiedział. - Miło cię słyszeć.

Głos Donalda brzmiał mocniej, niż się spodziewał.

- Jak się masz, Greg?

- Jak Hiob.

- Znam to uczucie, przyjacielu. Wiem, co przeżywasz.

- Dzięki. Czy wiecie coś więcej o tym, co się stało? W KCIA łamią sobie głowy, ale nadal mają za mało danych.

- My .. wiesz, mamy tu trochę swoich kłopotów, Greg. Wygląda na to, że ktoś nam się włamał do komputerów. Nie możemy być pewni danych, które dostajemy, włącznie ze zdjęciami z naszych satelitów.

- Ktoś chyba odrobił zadanie domowe na dzisiaj.

- Na pewno odrobił. Wiemy, co przeszedłeś, a ja przed samym Bogiem, trzymającym Biblię przysięgam, że zrozumiem, jeśli odpowiesz „nie”. Ale szef prosi, żebyś przemyślał

propozycję wyjazdu do Strefy Zdemilitaryzowanej i ujrzenia na własne oczy, co się tam dzieje. Prezydent postawił go na czele zespołu do spraw kryzysu koreańskiego i potrzeba mu w akcji wiarygodnych ludzi.

Zaległa krótka cisza, po której Donald odparł.

- Bob, jeżeli załatwisz wszystkie potrzebne formalności przez generała Schneidera, mogę jechać na północ za jakieś dwie godziny. Odpowiada wam?

- Jasne - odparł Herbert. - Zajmę się papierkami i zorganizuję helikopter. Powodzenia, Greg, i niech cię Bóg prowadzi.



- Ciebie też - odpowiedział Donald.

## □ Wtorek, godzina 23.07 - Strefa Zdemilitaryzowana

Strefa Zdemilitaryzowana pomiędzy Koreą Południową a Północną znajduje się o sześćdziesiąt kilometrów na północ od Seulu i o sto sześćdziesiąt na południe od Phenianu.

Powstała w wyniku rozejmu z 27 lipca 1953 roku i od tego czasu żołnierze po obu stronach z lękiem i podejrzliwością spoglądają na drugą stronę. Teraz w okolicy strefy stacjonuje milion żołnierzy, a większość z nich mieszka w nowoczesnych koszarach z klimatyzacją. Budynki koszar ustawione są w rzędy i zajmują przestrzeń prawie osiemdziesięciu hektarów, zaczynając się o mniej, niż trzysta metrów po obu stronach granicy.

Od północnego wschodu do południowego zachodu przebieg strefy wytycza trzymetrowe ogrodzenie, zbudowane z płytek łańcuchowych, zwieńczone trzema metrami drutu kolczastego. Pomiędzy nimi znajduje się właściwa Strefa Zdemilitaryzowana - pusta przestrzeń o szerokości prawie siedmiu metrów. Żołnierze, uzbrojeni w broń długą patrolują granice swoich baz w towarzystwie owczarków niemieckich. Przez strefę przebiega tylko jedna droga - właściwie wąska dróżka, na której może się zmieścić tylko jeden samochód. Do czasu wizyty Jimmy'ego Cartera w Phenianie w 1994 roku, żaden człowiek nie przeszedł

tędy z Południa do stolicy Korei Północnej. Do bezpośrednich kontaktów pomiędzy obiema stronami dochodzi w parterowym budynku, przypominającym barak. Przy wejściach, po jego przeciwnych stronach stoi po dwóch strażników, którzy po lewej stronie mają maszty z flagami swych państw. W środku mieści się długi stół konferencyjny, który, podobnie jak sam budynek, stoi okragiem nad granicą, dzielącą Północ od Południa. Podczas nieczęstych spotkań, przedstawiciele obu stron pozostają po swoich stronach pomieszczenia.

W południowokoreańskiej części Strefy Zdemilitaryzowanej, daleko na wschód od ostatniego z budynków koszar, rozciągają się wzgórza, porośnięte niskimi drzewami i krzewami, gdzieniegdzie skupionymi w większe gęstwiny. Za wzgórzami, armia Południowej Korei często przeprowadzała manewry - choć trudno było je dostrzec z Północy, chrzęst czołgów i odgłosy ognia artyleryjskiego, zwłaszcza w nocy, mogły budzić trwogę.

Jedna z takich gęstwiny, szeroka na prawie dwadzieścia metrów, porastała skaliste zagłębienie, oddalone o około kilometr od Strefy Zdemilitaryzowanej. Stanowiła część pola minowego, które kapitan Ohn Bock osobiście patrolował przynajmniej dwa razy dziennie. W

tym miejscu, nie dalej niż siedem tygodni wcześniej, Koreańczycy z Południa potajemnie wykopali tunel o przekroju metra i dwudziestu centymetrów. Nieznany Koreańczykom z Północy, pozwalał Południowi śledzić, co dzieje się w sieci tuneli, które wróg wykopał pod Strefą Zdemilitaryzowaną. Tunel południowokoreański nie łączył się bezpośrednio z północnokoreańskim, lecz w jego ścianach znajdowały się urządzenia podsłuchowe i czujniki ruchu, których zadaniem było ostrzeżenie o szpiegach, przedostających się z Północy przez wyjście ukryte w skałach i zaroślach, położone jeszcze o pół kilometra dalej na południe.

Szpiedzy ci byli śledzeni, a o ich tożsamości informowano zarówno wywiad wojskowy, jak i KCIA.

Jak zaplanowano, kapitan Bock tak wybrał porę wieczornej wyprawy do tunelu, by zbiegła się z przyjazdem jego przyjaciela z dzieciństwa, majora Kima Li. Kapitan z towarzyszącym mu podoficerem zjawili się niedługo po przybyciu Li, który wraz ze swym pomocnikiem wyładowywali pojemniki z bronią chemiczną. Bock zasalutował swemu zwierzchnikowi.

- Ucieszyłem się z twojego telefonu - powiedział Bock. To był dla ciebie wielki dzień.

- Jeszcze się nie skończył.

- Słyszałem, że na promie znaleziono ciała i że pilot wodnosamolotu wrócił punktualnie.

Operacja pułkownika Sana też wydaje się przebiegać zgodnie z planem.

W ciągu dwóch lat bliskiej współpracy i roku planowania operacji Bock nigdy nie zauważył, by powściągliwy major kiedykolwiek okazywał jakieś emocje. Sprawdzało się to zwłaszcza teraz. Od innego człowieka można by się spodziewać, że odczuje ulgę na wieść o tym, co zostało osiągnięte lub podniecenie w oczekiwaniu nadchodzących wydarzeń - sam Bock był coraz bardziej niespokojny w miarę zbliżania się wyznaczonej godziny -

tymczasem Li wydawał się być nadnaturalnie spokojny. Mówił bez emocji, nie podnosząc głosu, ruchy miał niespieszne, sposób bycia trochę bardziej powściągliwy, niż zwykle. A przecież to on wybierał się do tunelu, nie Bock.

- Zająłeś się wartą przy tunelu na dziś wieczór?

- Tak jest. Mój człowiek, Koh, jest przy monitorach. To miejscowy geniusz od komputerów. Dopilnuje, żeby rozpoznanie nic nie zarejestrowało, dopóki nie wrócisz.

- Doskonale. Nadal mamy zamiar wyruszyć o 08.00.

- Będę tu na ciebie czekał.

Kapitan zasalutował, odwrócił się, wsiadł do dżipa i wrócił na swe stanowisko, by zająć się przeglądaniem raportów ze strefy Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, po wydarzeniach dzisiejszego wieczora papiery pójdą w ką, a on będzie przygotowywał żołnierzy do odparcia ataku z Północy.

## □ Wtorek, godzina 9.10 - Waszyngton

Z raportem i jego kopią na dyskietce, schowanymi w małej czarnej aktówce, Paul Hood pospieszył do swojego samochodu, stojącego w podziemnym parkingu Centrum. W środku przykuł kajdankami teczkę do paska od spodni i zabezpieczył drzwi. Na prawym siedzeniu położył pistolet kalibru 0,38 cala, jak zawsze, gdy wioził tajne dokumenty. Na klawiaturze przy bramie wystukał hasło. Strażnik spojrzął na identyfikator i na osobnym komputerze zaznaczył porę wyjazdu. Proces ten nie różnił się prawie od procedury, przez którą przechodzili wszyscy pracownicy na górze. Hasła w obu miejscach różniły się od siebie, bowiem uważano, że zabezpieczenia można pokonać w jednym miejscu, ale rzadko w dwóch.

Co samo w sobie niewiele znaczy, pomyślał Hood. Jeżeli ktoś może włamać się do komputerów, nie zbliżając się do nas nawet na krok.

Niezbyt dobrze rozumiejąc, w jaki sposób działają różne skomplikowane urządzenia techniczne, Hood traktował je podejrzliwie, jednak bardzo interesował się wydarzeniem, które zaszło dzisiejszego rana - Stoll był najlepszy w swym fachu, a jeżeli coś przerosło jego siły, musiała to być naprawdę sprawa godna książki.

Gdy wyjechał z betonowego budynku i skierował się w stronę bazy Andrews - trzeciego i ostatniego punktu kontrolnego, którego zadaniem było tylko sprawdzanie dokumentów -

chwycił za słuchawkę. Zadzwoił na informację, dostał numer szpitala i natychmiast wystukał go na klawiaturze. Połączył się z pokojem syna.

- Halo?

- Sharon... cześć. Jak on się czuje?

Zawahała się przez chwilę.

- Czekałam na twój telefon.

- Przepraszam, mamy pewne... kłopoty. - Telefon nie był bezpieczny, nie mógł jej powiedzieć więcej.

- Jak Alex?

- Jest pod namiotem tlenowym.

- A co z zastrzykami?

- Nie dostał. Wysięk w płucach jest zbyt intensywny. Lekarze muszą kontrolować oddychanie dopóki... dopóki płuca się nie oczyszczą.

- Czy są zaniepokojeni?

- Ja jestem - odparła.

- Ja też. Ale co oni mówią, kochanie?

- Że to normalna procedura. Ale zastrzyki też do niej należą, a nie pomogły Do diabła. Spojrzał na zegarek i przeklął Rodgersa, że nie ma go jeszcze na miejscu. Co za okropna praca, która każe wybierać między byciem przy łóżku chorego dziecka, a prezydentem - i sprawia, że wybiera się to ostatnie. Pomyślał, jak mało ważne stanie się to wszystko, jeżeli coś przytrafi się Alexandrowi. Lecz jego dzisiejsza praca wpłynie na życie tysięcy ludzi, może-nawet dziesiątków tysięcy Nie miał wyboru, musiał dokończyć to, co zaczął.

- Zadzwoń do doktora Triasa w szpitalu Waltera Reeda i poproszę, żeby do was przyjechał. On dopilnuje, żeby zrobili wszystko, co w ich mocy.

- A czy potrzyma mnie za rękę, Paul? - zapytała i odłożyła słuchawkę.

- Nie - odpowiedział sygnałowi w słuchawce. - Nie potrzyma.

Odłożył słuchawkę na widełki. Ścisnął koło kierownicy aż rozboleły go ręce - zły, bo nie mógł być w szpitalu, ale też wytrącony z równowagi, bo Sharon dochodziła swych praw bez względu na okoliczności. Dobrze wiedziała, że mimo tego jak bardzo kocha ją i Alexa i jak bardzo chce być w szpitalu, nie wiele może tam zdziałać. Usiądzie, potrzyma jej dłoń przez kilka minut, potem pospaceruje dookoła i ogólnie na nic się nie przyda... tak samo, jak wtedy, gdy rodziły się ich dzieci. Kiedy po raz pierwszy próbował pomóc jej oddychać w czasie skurczu, krzyknęła, żeby sobie poszedł do diabła i zawołał jej pielęgniarkę. Była to ważna lekcja - Hood nauczył się, że gdy kobieta go pragnie, nie oznacza to wcale, że go potrzebuje.

Gdyby tylko nie czuł się tak winny Zaklął i uderzył w przycisk zewnętrznego głośnika telefonu, wywołał Centrum i poprosił Bugsa, by połączył go z doktorem Orlito Triasem w szpitalu Waltera Reeda.

Gdy czekał, przeciskając się przez zatłoczone ulice w późnej godzinie szczytu, Hood znów przeklinał Rodgersa, chociaż naprawdę o nic go nie winił. Ostatecznie dlaczego mianował go prezydent? Nie tylko dlatego, że należy do rezerwowych, którzy potrafią wejść na boisko i wygrać mecz. Był też przecież wytrawnym żołnierzem, głosem doświadczenia i rozsądku w sytuacjach takich, jak ta, weteranem walk i historykiem, żywiącym głęboki szacunek dla walczących stron, strategii i wojen. Dbał o kondycję fizyczną, przemierzając całe kilometry na maszynie do chodzenia przez godzinę każdego popołudnia, recytując w oryginale „Poemat o Cydzie”, gdy akurat nie załatwiał żadnych ważnych spraw A czasami nawet wtedy, gdy załatwiał. Oczywiście, że taki mężczyzna będzie chciał ruszyć w pole z oddziałem, który pomógł zorganizować - generałem zostaje się na całe życie. A czy sam Hood nie zachęcał

swych ludzi do niezależnego myślenia? Poza tym, gdyby Rodgers nie był takim kowbojem, pełniłby funkcję sekretarza do spraw obrony, której pragnął, zamiast nagrody pocieszenia, czyli stanowiska numer dwa w Centrum. - Dzień dobry, gabinet doktora Triasa.

Hood podgłośnił.

- Dzień dobry, Cath, mówi Paul Hood.

- Panie Hood! Doktor żałował, że nie był pan wczoraj wieczorem na spotkaniu Narodowego Towarzystwa Kosmicznego.

- Sharon wypożyczyła „Cztery wesela i pogrzeb”. W pewnym sensie nie miałem wyboru.

Czy jest doktor?

- Przykro mi, ale dziś rano ma wykład w Georgetown. Czy zostawi pan wiadomość?

- Tak. Proszę mu powiedzieć, że mój syn Alexander miał atak astmy i jest na oddziale pediatrii. Chciałbym, żeby wpadł sprawdzić, jak się czuje, jeżeli znajdzie chwilę czasu.

- Z pewnością znajdzie. Proszę uściskać swojego syna ode mnie - wspaniały chłopak.

- Dziękuję - powiedział Hood i rozłączył się.

Doskonale, pomyślał. Po prostu rewelacyjnie. Nie potrafię nawet wezwać lekarza.

Hood zastanowił się i szybko zarzucił pomysł poproszenia Marthy Mackall, żeby poszła za niego do Białego Domu. Chociaż wysoko sobie cenił jej zdolności, nie mógł być pewien, czy będzie tam reprezentować opinię jego i Centrum, czy zajmie się promocją własnej kariery i załatwianiem osobistych interesów.

Droga Marthy Mackall z Harlemu nie była bynajmniej usłana różami. Zaczynała od ręcznego malowania reklam do sklepów na całym Manhattanie, po drodze ucząc się hiszpańskiego, koreańskiego, włoskiego i jidysz, potem studiowała japoński, niemiecki i rosyjski w koledżu. Na koniec, otrzymawszy stypendium, zrobiła przy okazji dyplom magistra ekonomii. Jak powiedziała Hoodowi, gdy przeprowadzał z nią rozmowę kwalifikacyjną, w wieku czterdziestu dziewięciu lat chce wynieść się z biura sekretarza generalnego ONZ i nadal zajmować się bezpośrednio sprawami Hiszpanów, Koreańczyków, Włochów i Żydów - lecz tym razem aktywnie kształtując politykę, a nie służąc wyłącznie jako rzecznik. Jeżeli miał zamiar jej zlecić stworzenie, obsługę i analizowanie bazy danych na temat gospodarki i głównych działaczy politycznych każdego kraju na świecie, nie powinien się wtrącać, lecz pozwolić wykonywać swoją robotę. Zatrudnił ją, bo chciał mieć pod ręką niezależnie myślącego współpracownika, gdy ruszał do walki, lecz nie ufał jej na tyle, by powierzyć dowodzenie szarżą, zanim się nie przekona, że Centrum jest dla niej ważniejsze, niż Martha Mackall.

Zjeżdżając z Pennsylvania Avenue, Hood zaniepokoił się faktem, że łatwiej i chętniej przechodzi do porządku dziennego nad błędami Mike'a niż Marthy.. lub nawet Sharon.

Martha nazwałaby to dyskryminacją płci, lecz Hood nie podzielał tej opinii. Chodziło o bezinteresowność. Jeżeli w tej chwili zadzwoniłby do Mike'a i poprosił, żeby rzucił wszystko w

Little Rock, wrócił autostopem do Waszyngtonu i zastąpił go, generał zrobiłby to bez zadawania zbędnych pytań. Gdyby pagerem wywołał Orly'ego, ten przerwałby wykład w pół zdania. A z kobietami nic nie wskórasz bez specjalnych podchodów.

Czując się, jakby miał dwie lewe nogi, Hood podjechał do bramy Białego Domu, jednej z dwóch, które ochraniały wąską drogę wewnętrzną, oddzielającą Gabinet Ovalny i Zachodnie Skrzydło od Starego Budyńku. Okazawszy przepustkę, zaparkował pomiędzy samochodami i rowerami, po czym ściskając aktówkę w dłoni, pospieszył na spotkanie z prezydentem.

□ **Wtorek, godzina 23.17 - Morze Japońskie, 12 mil od Hungnam w Korei Północnej**

Żelazną zasadą polityki większości państw komunistycznych było ignorowanie postanowień międzynarodowych traktatów dotyczących zasięgu wód terytorialnych. Dla nich rozciągały się nie na trzy mile od brzegu, lecz na dwanaście, a czasem nawet na piętnaście, bo tak daleko zapuszczały się ich kutry patrolowe.

Korea Północna długo utrzymywała, że ma prawo do kontroli ogromnej szerokości pasa wód Morza Japońskiego, wbrew protestom Japonii i USA. Kutry patrolowe marynarki USA regularnie starały się powstrzymać te zakusy, krążąc w odległości czterech i pięciu mil od brzegów Korei Północnej. Czasami wypływały im naprzeciw jednostki północnokoreańskie -

w obliczu zagrożenia jednostki amerykańskie nie podpływały bliżej, lecz rzadko się wycofywały. W okresie czterdziestu lat doszło do niewielu incydentów. Do najbardziej znanych należało aresztowanie okrętu USS „Pueblo” w styczniu 1968 roku pod zarzutem szpiegostwa. Licząca osiemdziesiąt dwie osoby załoga została zwolniona dopiero po żmudnych negocjacjach, ciągnących się prawie jedenaście miesięcy. Najgroźniejsze wydarzenie miało miejsce w lipcu 1977 roku, gdy amerykański helikopter zapuścił się poza 38. równoleżnik i został zestrzelony. Trzech członków załogi zginęło. Gdy prezydent Carter przeprosił Północ przyznając, że żołnierze popełnili błąd nawigacyjny, jedyny pozostały przy życiu członek załogi powrócił do kraju wraz z trzema ciałami pozostałych. Bardzo podobny wypadek zdarzył się na początku 1995 roku.

Po krótkiej przerwie w Seulu na przekazanie filmu, oficer rozpoznania Judy Margolin i pilot Harry Thomas znów znaleźli się w powietrzu, gotowi do drugiego przelotu nad Północą.

Tym razem najwyraźniej spodziewano się ich, bo gdy nadlecieli znad Wonsan, namierzył ich z ziemi radar wczesnego ostrzegania. Para myśliwców przechwytyjących *MiG-15P* szybko weszła na pułap ataku - jeden z nich nadleciał nisko z północy, zaś drugi wysoko od południa. Harty spodziewał się pościgu w stronę morza i wiedział, że z łatwością potrafi wyprzedzić stare radzieckie samoloty, jeżeli zdoła ustawić się we właściwym kierunku.

Zadzierając dziób maszyny do góry wszedł w beczkę, wspiął się na wyższy pułap i przyspieszył. Na chwilę stracił z oczu myśliwce, po czym znów je odnalazł, gdy pociski z podwójnych działek *NS-23* trafiły w kadłub *Mirage* z prawej strony. Seria głośnych trzasków podobnych do pękających baloników zupełnie zaskoczyła pilota.

Mimo wycia silników, usłyszał, jak Judy jęknęła do mikrofonu, a kątem oka dostrzegł, że zwiesza się na pasach. Wychodząc z beczki, skrzył na południe i nadal przyspieszał.

- Nic ci nie jest?

Nie było odpowiedzi. Istne szaleństwo. Został ostrzelany bez najmniejszego ostrzeżenia.



Nie tylko było to sprzeczne z północnokoreańską zasadą czterech etapów starcia powietrznego, która wprawdzie dopuszczała kontakt ogniowy już w początkowej fazie, lecz pierwsza seria powinna była zostać wystrzelona poniżej samolotu w stronę przeciwną do przypuszczalnego kierunku ucieczki po ostrzeżeniu. Albo Koreańczyk słabo celował, albo wydano mu niebezpieczne rozkazy

Przerywając ciszę radiową, Thomas wysłał do Seulu sygnał „Mayday” i zameldował, że leci z rannym członkiem załogi na pokładzie. Migi podążały za nim na południe, lecz żaden z nich nie strzelał. Ich sylwetki nikły w oddali, nie mogąc dotrzymać kroku *Mirage* mknącemu z prędkością 2 machów po rozgwieżdżonym nocnym niebie.

- Trzymaj się - powiedział do zainstalowanego w masce mikrofonu, nie wiedząc czy Judy jeszcze żyje.

□ **Wtorek, godzina 8.20, w samolocie C-141 nad Teksasem** Rodgers musiał oddać sprawiedliwość podpułkownikowi Squiresowi. Gdy popierał

kandydaturę dwudziestopięciolatka z sił powietrznych na dowódcę oddziału Iglica, polecił mu ułożyć plany działań zaczepnych wedle instrukcji, które sprawdziły się w praktyce. I tak zrobił.

Siedząc z notatnikiem rozłożonym na kolanach, rozpoznawał manewry i schematy taktyczne, które instynktownie naśladowały najlepsze sposoby walki od czasów Cezara, poprzez Wellingtona, Rommla, Apaczów i innych wojowników-strategów, a skończywszy na bieżących amerykańskich planach taktycznych. Wiedział, że Squires nie ma formalnego przygotowania w tych sprawach, lecz znakomicie potrafi koordynować działania żołnierzy. Prawdopodobnie zachował tę zdolność z czasów, gdy grał w piłkę na Jamajce.

Gdyby Squires nie spał, trąciłby go w żebra i powiedział, co sądzi o ofensywnym ustawieniu pojedynczego oddziału w odpowiedzi na główny kierunek uderzenia wroga. Gdy wróci, przekaże plan Pentagonowi - powinien się stać standardową procedurą operacyjną dla batalionu czy pułku, który poniósł ciężkie straty. Zamiast rozmieszczać wszystkich żołnierzy symetrycznie na bronionym terenie, stwarzał niewielki drugi oddział, wysyłając pierwszy manewrem flankującym, żeby przygnieść wroga ogniem krzyżowym. Potem w niespotykany i dość brawurowy sposób wypuszczał drugą grupę żołnierzy naprzód poprzez broniony teren, by zepchnąć wroga w stronę linii cięższego ostrzału.

Squires miał też świetny plan zdobycia obiektu dowodzenia poczwórnym atakiem ze strefy zrzutu - jednym frontalnym natarciem, dwoma z każdej flanki i jednym od tyłu.

Szeregowy Puckett ominął podpułkownika i zsalutował. Rodgers wyjął stopery z uszu.

- Panie generale! Do pana.

Rodgers oddał salut i Puckett podał mu słuchawkę. Nie był pewien, czy we wnętrzu samolotu uciszyło się trochę, czy on sam przygłuchł, lecz przynajmniej grzmot czterech wielkich silników odrzutowych nie wydawał się tak dokuczliwy, jak wcześniej. Włożył

stoper do jednego ucha, a do drugiego przycisnął słuchawkę.

- Rodgers.

- Mike, mówi Bob Herbert. Mam dla ciebie aktualne dane - niezupełnie to, czego się spodziewałeś.

Szkoda, było fajnie, pomyślał Rodgers. Wracamy do domu.

- Wchodźcie do akcji - powiedział Herbert.

- Powtórz - rzucił z ożywieniem Rodgers.

- Wchodźcie do KRL-D. NRO ma kłopoty z rozpoznaniem satelitarnym, a szef chce mieć na oku wyrzutnie *Nodongów*.

- Góry Diamentowe? - zapytał Rodgers trącając Squiresa, który natychmiast się obudził.

- Bingo.

- Wywołaj mapę Korei Północnej - powiedział do podpułkownika, a potem wrócił do Herberta. - Co się stało z satelitami?

- Nie wiemy Cały system komputerowy zwariował. Matt uważa, że to wirus.

- Jakies nowe wieści od dyplomatów?

- Nic. Szef jest teraz w Białym Domu. Jak wróci, będę miał dla ciebie więcej informacji.

- Nie pozwól, żebyśmy poszli w odstawkę - powiedział Rodgers. - Będziemy w Osace przed kolacją, czasu waszyngtońskiego.

- Nie zapomnimy o was - obiecał Herbert i zakończył połączenie.

Rodgers oddał słuchawkę Puckettowi, potem spojrział na Squiresa, który tymczasem zdążył wywołać mapę na ekran laptopa. Podpułkownik czekał z malującą się w jasnych oczach niecierpliwością.

- Zaczyna się - oznajmił Rodgers. - Mamy sprawdzić, co się dzieje ze *Scudami* w Korei Północnej.

- Tylko sprawdzić?

- Tyle mi powiedział. Jeżeli do czasu lądowania w Osace nie będziemy w stanie wojny z Koreą, wchodzimy do akcji bez materiałów wybuchowych. Domyślam się, że w razie konieczności wykorzystają nas do skoordynowania ataku z powietrza.

Squires przesunął komputer tak, by Rodgers mógł zobaczyć plan i polecił Puckettowi odkręcić gołą żarówkę, która powodowała odbłaski na ekranie.

Generał spojrział na mapę i zdumiał się, jak nagle zmieniły się jego oczekiwania i nastrój.

Od zadowolenia i akademickiego uznania dla pracy Squiresa do stanu podwyższonej gotowości i świadomości, że życie całego oddziału zależy od planów dowódcy i skuteczności wcześniejszych przygotowań Squiresa. Był pewien, że te same myśli - okraszone kilkoma wątpliwościami - kołatają się teraz w głowie podpułkownika.

Wykonana przed sześcioma dniami mapa pokazywała trzy samobieżne wyrzutnie *Nodongów* w

kraterze pomiędzy czterema wysokimi wzgórzami u stóp łańcucha górskiego.

Ruchome pozycje artylerii przeciwlotniczej otaczały bazę w górach, co czyniło przelot na niskim pułapie zbyt ryzykownym. Przesunął kursorem na zachód, by zobaczyć więcej od wschodu. W rogu pojawiła się stacja radarów w Wonsan.

- Będzie ciasno - powiedział Squires.

- Właśnie o tym myślałem. - Rodgers wytyczył kursorem trasę. - Helikopter będzie musiał

polecieć z Osaki na południowy wschód i skrócić w stronę morza tuż nad Strefą Zdemilitaryzowaną. Najlepsze miejsce znajduje się chyba na południe od góry Kumgang.

Daje nam to jakieś szesnaście kilometrów od celu.

- Szesnaście z górki - powiedział Squires. - To znaczy szesnaście pod górę, gdy będą nas zabierać.

- Racja. Niezbyt dobra strategia odwrotu, zwłaszcza w sytuacji, gdy wzbudzimy zainteresowanie chłopców z Północy

Squires wskazał na *Nodongi*.

- Nie mają jeszcze głowic jądrowych, co?

- Mimo całego zgiełku w prasie, technologicznie nie są jeszcze do tego przygotowani -

odparł Rodgers nadal studiując mapę. - Chociaż ładunek kilkuset kilogramów trotylu na jednego *Nodonga* też może zrobić w Seulu dość sporą dziurę.

Przygryzł wargi.

- Chyba mam coś, Charlie. Nie wycofujemy się tędy, którędy przyszliśmy, ale pójdziemy jeszcze około ośmiu kilometrów na południe, czego wróg na pewno nie będzie się spodziewał.

Squires zmrużył oko, okazując niedowierzanie.

- Znowu się wystawiamy? Żeby sobie życie utrudnić?

- Nie, raczej ułatwić. Nie na tym cała zabawa polega, żeby biec na złamanie karku, ale żeby walczyć i posuwać się do przodu. Na początku drugiego wieku naszej ery, podczas pierwszych kampanii Trajana, legioniści rzymscy starli się z mniejszym liczebnie oddziałem wojowników dackich u stóp Karpat. Zbroje i ciężkie oszczepy Rzymian przeciwko nagim torsom i włóczniom, ale Dakowie zwyciężyli. Zakradli się nocą, zaskoczyli Rzymian, a potem wyprowadzili ich w góry, gdzie legioniści musieli się rozdzielić. Wtedy walczący parami Dakowie z łatwością poradzi sobie z wrogiem. Gdy wszyscy Rzymianie zginęli, Dakowie po prostu wrócili piechotą do obozu.

- Ale to były włócznie, panie generale.

- Wszystko jedno. Jeżeli nas zauważą, rozproszymy ich i użyjemy noży. Nie ośmielą się strzelać w nocy w górach, w obawie, że pozabijają własnych ludzi.

Squires spojrział na mapę.

- Nie sędzę, żeby Rzymianie czuli się w Karpatach jak w domu, natomiast Dakowie byli u siebie. Tak samo jak teraz Koreańczycy.

- Masz rację - powiedział Rodgers. - Ale my mamy coś, czego nie mieli Dakowie.

- Kongres, który chce nam zrobić koło pióra?

Rodgers uśmiechnął się, pokręcił głową i wskazał dłonią na małą czarną torbę.

- *EBC*.

- Nie rozumiem.

- Coś, co wykombinowaliśmy wspólnie z Mattym Stollem. Opowiem ci o tym, jak skończymy planować.

## □ Wtorek, godzina 23.25 - Seul

Kim Czong zastanawiała się, czy odkryli właściwą cyfrę.

Od siedemnastu miesięcy grała na pianinie w barze Bae Guna, przekazując wiadomości mężczyznom i kobietom, którzy zaglądali tam od czasu do czasu. Wiedziała, że prawie przez cały czas obserwują ją agenci KCIA. Niektórzy z nich byli elegancy, niektórzy przystojni, niektórzy niechlujni, lecz wszyscy doskonale radzili sobie z odgrywaniem ról przedsiębiorców, modelek, robotników czy żołnierzy. Jednakże Kim dobrze wiedziała, kim są naprawdę. Ten sam talent, dzięki któremu potrafiła uczyć się na pamięć utworów muzycznych, pozwalał jej zapamiętywać charakterystyczne cechy ludzi, ich śmiech, sposób poruszania się lub ubierania. Dlaczego tajniacy, którzy tak bardzo starali się zmienić ubranie czy makijaż, wracali w tych samych butach i trzymali papierosa w taki sam sposób lub za każdym razem wybierali najpierw migdały z miseczki z orzechami? Nawet pan Gun zauważył, że pewnemu chuderlawemu facetowi o powierzchowności artysty, który wpadał co jakiś czas do baru, tak samo czuć z ust, jak szeregowemu armii koreańskiej, który zaglądał do nich raz w tygodniu.

Jeżeli odgrywa się jakąś rolę, należy ją grać do końca.

Dziś wieczorem wróciła kobieta, którą Kim ochrzciła „małą Ewą”. Gibka i szczupła dziewczyna rozcieńczała whisky sporą ilością lodu. Musiała mieć fioła na punkcie zdrowia, sprawiała wrażenie nie przyzwyczajonej do alkoholu i nie topiła swych smutków w samotności, lecz tuląc szkocką w dłoniach uważnie przypatrywała się i przysłuchiwała grającej na pianinie Kim.

Dziewczyna postanowiła dać jej coś do namysłu. Przeszła z „The worst that could happen”

na „Nobody does it better”. Kim zawsze przesyłała wiadomości ukryte w piosenkach filmowych. Zagrała pierwszą nutę drugiego taktu, C, o oktawę niżej, niż powinna. Trylem A ozdobiła środkowe C w trzecim takcie, a potem zagrała cały trzynasty takt bez pedału.

Każdy, kto znał dobrze tę melodię, bez trudu zauważył zmiany C i A zagrane były źle, zaś numer taktu bez pedału odpowiadał literze alfabetu, w tym przypadku takt trzynasty, czyli T.

Przeliterowała słowo CAT i zastanawiała się, czy KCIA dojdzie kiedyś do tego, że nie ma żadnego powiązania między literami i częstotliwościami, absolutnie nic, do czego mógłby się przyczepić specjalista od szyfrowania metodą regularnej transpozycji czy podstawiania. Kim patrzyła, jak jej człowiek, Nam, wychodzi z baru, co nie umknęło uwadze małej Ewy.

Agentka kontrwywiadu nie poszła za nim. Może ktoś inny to zrobił. Nam mówił, że nigdy nie widział, żeby go ktoś śledził po drodze do domu, ale był stary i na pół ślepy, a gdy tu przychodził, przepijał większość pieniędzy, które mu płaciła. Mogła sobie tylko wyobrazić łamańce, jakie wykonuje KCIA, próbując odkryć, w jaki sposób Nam i jej pozostałe kontakty przekazują dalej wiadomości.

Niemal wstydziła się brać za to pieniądze - pieniądze z Północy i pensję za grę na pianinie w barze.

Gdy wróci do swego rodzinnego miasta Andżu, na północ od Phenianu, będzie żyć jak księżniczka.

Jeżeli wróci do domu...

Kto wie, kiedy to nastąpi? Po tym, co zrobiła, ma szczęście, że żyje. Ale, na pewno wróci, gdy będzie miała dość pieniędzy, dość obłudnego Południa lub dowie się czegoś o miejscu pobytu Hana.

Skończyła grać piosenkę z Jamesa Bonda i przeszła na ragtime „Jawa”. Melodia Ala Hirta była jej ulubioną, pierwszą, którą usłyszała jako dziecko, dlatego grała ją co wieczór. Często zastanawiała się, czy KCIA podejrzewa, że melodia ma coś wspólnego z szyfrem, może następująca po niej piosenka przekazywała zakodowaną wiadomość, a może ukryta była w krótkiej, granej prawą dłonią improwizacji w drugiej części. Nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, co mózgi z kwatery wywiadu na Czonggyeczonno mogły wymyślić. Lecz teraz nic jej to nie obchodziło.

Zamknęła oczy i nucila. W każdym miejscu i o każdej porze „Jawa” przenosiła ją do czasów dzieciństwa, kiedy opiekowała się nią matka i dużo starszy brat, Han. Mąż jej matki, ojciec Hana, zginął na wojnie, zaś matka nie miała pojęcia, który z żołnierzy przechodzących armii był ojcem Kim - i czy w ogóle był Koreańczykiem, czy może Rosjaninem albo Chińczykiem? Nie miało to żadnego znaczenia, i tak kochała swą córkę, a jakoś trzeba było przeżyć. Kiedyś znalazły pudełko pełne skradzionych z Południa płyt gramofonowych, a matka nastawiła „Jawę” na starym, nakręcanym korbą gramofonie. Wtedy tańczyły obie po maleńkiej chacie, aż trząśł się blaszany dach, płosząc kury i kozę. Potem pastor, któremu jakimś cudem zostawiono pianino, zobaczył kiedyś, jak Kim śpiewa i tańczy, i pomyślał, że może zechce nauczyć się grać...

Na sali rozległ się jakiś hałas i natychmiast otworzyła oczy Mała Ewa wstała, a w drzwiach wejściowych pojawili się dwaj mężczyźni w eleganckich garniturach i o zdecydowanym wyrazie twarzy, a kolejna para pojawiła się w drzwiach kuchennych, znajdujących się za zasłoną z paciorków po lewej stronie. Nie poruszając się prawie, palcem prawej stopy podniosła blokadę kół, która utrzymywała instrument na miejscu. Gdy ujrzała, jak mała Ewa spogląda na nią i zorientowała się, po co przyszli mężczyźni, skoczyła na równe nogi i pchnąwszy pianino zatarasowała przejście. Mała Ewa i pozostali mężczyźni musieli ominąć stoliki, co dawało Kim kilka sekund przewagi.

Chwyciwszy torebkę, Kim pobiegła w stronę toalet, znajdujących się po przeciwnej stronie sali. Wpadła do środka, nad wyraz spokojna i skoncentrowana. Sześciomiesięczny trening w Korei Północnej był krótki, lecz skuteczny - nauczyła się, jak właściwie planować i korzystać z dróg ucieczki oraz jak przechowywać w ukryciu pieniądze i różne rodzaje broni.

W męskiej toalecie okno było zawsze otwarte, więc wspiawszy się na umywalkę, prześliznęła się przez nie. Gdy znalazła się na zewnątrz, wyciągnęła nóż sprężynowy i wyrzuciła torebkę.

Znalazła się na zapleczu baru, na małym, otoczonym wysokim drewnianym płotem podwórku, pełnym połamanych krzeseł i innych niepotrzebnych sprzętów. Trzymając nóż w zębach, wdrapała się na stojące rzędem kubły na śmieci i przeganiając koty na wszystkie









strony, oparła dłonie na krawędziach desek. Gdy miała właśnie przeskoczyć, pocisk wgrzył się w płot o parę centymetrów od jej lewej pachy Zastygła w bezruchu.

- Zastanów się, Kim!

Rozpoznała głos i żołądek podszedł jej do gardła. Powoli odwróciła się i ujrzała Bae Guna, trzymającego w dłoni dymiący rewolwer *Smith & Wesson* kalibru 0,32 cala, którego używał do ochrony baru i kasy Podniosła ręce do góry

- Nóż... - powiedział.

- Ty draniu! - wypluła z siebie.

Dwóch pozostałych agentów przybiegło za nim z wycelowaną bronią. Podeszli do niej.

Jeden z nich pomógł Kim zejść z kubłów, a drugi kajdankami skuł jej ręce za plecami.

- Nie musiałeś im pomagać, Bae! Jakich kłamstw ci o mnie naopowiadali?

- Żadnych kłamstw, Kim. - Światło z okna toalety padło na jego twarz i wtedy zauważyła, że się uśmiecha. - Wiedziałem o tobie od samego początku, tak samo, jak o śpiewaku, który pracował tu przed tobą i barmanie, który był przed nim. Mój szef, Kim Huan, zastępca dyrektora KCIA, przekazuje mi . dokładne informacje o szpiegach z KRL-D.

Rzucając mu wściekłe spojrzenie, Kim nie wiedziała, czy go przeklinać, czy mu gratulować, gdy na wpół szła, na wpół potykała się, prowadzona do zaparkowanego na ulicy samochodu.

## □ Wtorek, godzina 0.30 - Biały Dom

Hood przypomniał sobie pierwszą wizytę w Gabinetcie Ovalnym. Poprzednik prezydenta Lawrence'a zaprosił na spotkanie burmistrzów Nowego Jorku, Los Angeles, Chicago i Filadelfii, chcąc zasięgnąć ich opinii o możliwych sposobach zapobiegania rozruchom na tle rasowym. Inicjatywa ta, która miała pokazać jego zainteresowanie problemami wielkich miast spaliła na panewce, gdyż prezydenta natychmiast oskarżono o rasizm, bo spodziewał

się rozruchów ze strony czarnej ludności kraju.

Podobnie jak Lawrence, jego poprzednik był mężczyzną słusznego wzrostu i choć wydawać się mogło, że obaj niezupełnie dorastali do piastowanego urzędu, to biurko było dla nich zbyt niskie, a sam gabinet za ciasny

Obiektywnie rzecz biorąc, pokój był niewielki, a pomniejszało go jeszcze wielkie biurko,.

fotel i gromada doradców, którzy bezustannie wchodzili i wychodzili ze znajdujących się w głębi korytarza gabinetów najwyższego szczebla. Biurko zrobione było z dębowych desek, które kiedyś stanowiły część poszycia brytyjskiej fregaty HMS „Resolute” i zajmowało pełne dwadzieścia pięć procent powierzchni Gabinetu Ovalnego. Obity skórą obrotowy fotel, również większy, niż normalne, został specjalnie zaprojektowany nie tylko dla wygody prezydenta, lecz także dla bezpieczeństwa-w oparciu znajdowały się cztery warstwy Kevlaru, kuloodpornego tworzywa, które miało ochronić prezydenta przed strzałem zza panoramicznego okna. Oparcie mogło wytrzymać strzał z *Magnum* kalibru 0,348 cala oddany z bezpośredniej bliskości.

Na biurku panował porządek: znajdował się na nim bibularz, pióro, podstawka pod długopisy, zdjęcie żony prezydenta, jego syna oraz telefon *STU-3* koloru kości słoniowej.

Po drugiej stronie biurka stały dwa wyściełane fotele, pochodzące z czasów administracji Woodrowa Wilsona. W jednym z nich siedział Hood, a w drugim Steve Burkow - szef Rady Bezpieczeństwa Narodowego, w tej chwili oddalony od swego imperium, przestronnych sal, położonych po drugiej stronie korytarza za podwójnymi drzwiami, ozdobionymi portykiem.

Dyrektor Centrum wręczył im wcześniej kopie raportu, który obaj szybko przeczytali.

Ponieważ Hood opowiedział im o awarii systemu rozpoznania w NRO i w Centrum, prezydent był - delikatnie mówiąc - szorstki w obejściu.

- Czy jest coś, czego tu nie uwzględniłeś? - zapytał Burkow. - Coś nie całkiem w zgodzie z przepisami?

Hood nie znosił takich pytań. Oczywiście, że tak. Tajne operacje odbywały się zawsze.

Odbływały się dużo wcześniej, niż pilotowana przez Ollie Northa wymiana broni za zakładników, kontynuowano je po ujawnieniu jego działalności i będą prowadzone w przyszłości. Z tą jedną różnicą, że prezydenci nawet prywatnie nie przypisywali już sobie zasług za przeprowadzenie misji, które się powiodły. A jeżeli ludziom takim jak Hood coś się nie udawało, byli karani publicznie.

Wątpliwy szef Rady Bezpieczeństwa Narodowego tylko na to czekał. Lubił, gdy ludzie przyznają, że robią coś nielegalnego, bo wtedy prezydent mógł im dać do zrozumienia, że są zdani na własne siły. Przypominało im to, kto jest prezydentem, a kto jego kuzynem i najbardziej zaufanym doradcą.

- Co godzinę wysyłamy nad Koreę Północną samolot zwiadowczy, żeby zrekompensować utratę rozpoznania satelitarnego, a w kilka minut po zamachu w Seulu posłałem w tamten rejon oddział Iglica. Przelot trwa dwanaście godzin i chciałem, żeby w razie potrzeby byli na miejscu.

- Na miejscu - powtórzył Burkow. - To znaczy...

- W Korei Północnej.

- Bez znaków rozpoznawczych?

- Żadnych mundurów i żadnych oznaczeń na broni.

Burkowi spojrział na prezydenta. - Jaki jest cel misji? - zapytał.

- Wydałem im rozkaz, żeby podeszli blisko Gór Diamentowych i meldowali mi co się dzieje z raketami *Nodong*.

- Wysłałeś wszystkich dwunastu ludzi?

Hood skinął głową. Nie zawracał im głowy informacją, że jednym z nich jest Mike Rodgers, bo Burkow chyba by się zesrał. W przypadku wzięcia oddziału do niewoli, Rodgers, jako sławny bohater wojenny, mógł zostać łatwo zidentyfikowany.

Jak było do przewidzenia, Lawrence powiedział, by uważali ostatnią wymianę zdań za niebyłą, po czym zamknął raport i kontynuował:

- Więc sztab kryzysowy zaleca nie zaprzestawać stopniowego rozmieszczania wojsk, dopóki się nie przekonamy, czy Korea Północna rzeczywiście odpowiada za zamach. Nawet wtedy, gdy okaże się, że rząd KRL-D lub jedna z jego agend ponosi za niego odpowiedzialność, mamy jedynie stosować naciski dyplomatyczne, nie czyniąc jednak żadnych ustępstw pod względem wojskowym. Zakładając rzecz jasna, że nie będzie dalszych aktów terroru.

- Dokładnie tak, panie prezydencie.

Prezydent postukał palcami w okładkę raportu.

- Jak długo cackaliśmy się z Palestyńczykami o terrorystów z Hezbollah, którzy zaatakowali Hollywood Bowl? Sześć miesięcy?

- Siedem.

- Siedem miesięcy, Paul. Trochę za często nas biją od czasu, kiedy zostałem prezydentem i zawsze nadstawiamy drugi policzek. To się musi wreszcie skończyć.

- Telefonował ambasador Gap - powiedział Burkow - I złożył nam najszczerze wyrazy współczucia. Ale nie powiedział nic, co upewniłoby nas, że nie ponoszą odpowiedzialności za zamach.

- Martha mówi, że to typowe dla nich - powiedział Hood. - Osobiście nie sprzeciwiam się zdecydowanym działaniom, ale musimy być pewni, że uderzamy we właściwy cel.

Powtarzam to, co jest w raporcie: na Północy nie widać żadnych nadzwyczajnych ruchów wojsk, nikt nie przyjął na siebie odpowiedzialności za eksplozję, a nawet gdyby pewne ugrupowania w Korei Północnej rzeczywiście maczały w tym palce, nie musi to mieć związku z samym rządem.

- Ale też ich nie uniewinnia - dodał prezydent. - Gdyby generał Schneider zaczął strzelać w Strefie Zdemilitaryzowanej, możesz się założyć, że Phenian nie kontaktowałby się ze mną, żeby sprawdzić, czy można odpowiadać ogniem. Paul, przepraszam cię, mam teraz spotkanie z...

Zadzwoił *STU-3* i prezydent podniósł słuchawkę. Kiwał głową w milczeniu z zachmurzoną twarzą. Po kilku sekundach podziękował rozmówcy i powiedział, że oddzwoni.

Zakończywszy rozmowę, wsparł czoło na splecionych dłoniach.

- Dzwonił generał MacLean z Pentagonu. Paul, już mamy nadzwyczajne ruchy wojsk na Północy. *MiG* z Północy ostrzelał jeden z twoich samolotów rozpoznawczych, zabijając oficera rozpoznania.

Burkow zaklął.

- Może strzał ostrzegawczy źle trafił? - zapytał Hood.

Prezydent spojrział na gniewnie.

- Po czyjej ty właściwie jesteś stronie?

- Panie prezydencie, lecieliśmy nad ich przestrzenią powietrzną...

- I nie będziemy za to przepraszać! Każę rzecznikowi prasowemu powiedzieć reporterom, że w świetle dzisiejszych wydarzeń w Korei, musieliśmy zwiększyć środki ostrożności.

Nerwowa reakcja KRL-D tylko potwierdza nasze przypuszczenia. Powiem też generałowi MacLeanowi, że do dziesiątej rano wszystkie nasze siły mają osiągnąć Defcon 3. Paul, przyciśnij swoich ludzi w Seulu i skontaktuj się z Departamentem Obrony, żebym przed południem dostał aktualizację opcji militarnych do raportu. Przefaksuj mi ją - jesteś zbyt cenny, żeby gonić tam i z powrotem. - Wziął raport i rzucił go na biurko. Steve, powiedz Gregowi, że CIA ma tam przetrząsnąć wszystko centymetr po centymetrze, zanim nie znajdą winnych. Nie ma to zresztą specjalnego znaczenia: nawet jeżeli Północ nie maczała w tym palców wcześniej, teraz tkwi w tym po samą

szyję!

## □ Wtorek, godzina 23.40 - Seul

Karawan jechał na południe w stronę lotniska, przedzierając się przez autostradę pełną sprzętu wojskowego, przerzucanego na północ, z dala od Seulu.

Z tylnego siedzenia Mercedesa ambasadora, Gregory Donald przyglądał się nasilonym ruchom wojsk. Po telefonie Boba Herberta mógł się tylko domyślać, że wzrasta napięcie pomiędzy dwoma państwami koreańskimi. Nie był zaskoczony - w tak niewielkiej odległości od Strefy Zdemilitaryzowanej stany pogotowia bojowego w Seulu były tak powszechne, jak pirackie kasety video. Niemniej natężenie ruchu było niezwykle. Liczba przerzucanych żołnierzy nasuwała myśl, że generałowie nie zamierzają pozostawić zbyt wielu z nich w jednym miejscu, na wypadek gdyby Północ zaatakowała Seul bronią rakietową.

Przez chwilę Donald poczuł się wyłączony z tego wszystkiego, sprzężony z nieubłaganą rzeczywistością - oto przed nim znajduje się żona, której nigdy już nie zobaczy. Nie na tym świecie. Karawan oświetlały reflektory Mercedesa, a gdy spoglądał na czarne draperie zaciągnięte z tyłu zastanawiał się, czy Sundzi byłaby zadowolona czy zirytowana jazdą samochodem używanym podczas ceremonii... tym właśnie samochodem. Przypomniawszy sobie, jak zamknęła oczy, gdy opowiadał jej pewną historię, jak gdyby mogło to oddalić prawdę...

Z czarnego Cadillaca korzystały wspólnie cztery ambasady: amerykańska, brytyjska, kanadyjska i francuska, zaś gdy nie był używany, garażował w tej ostatniej. Nie było w tym nic dziwnego, chociaż w 1982 roku omal nie doszło do międzynarodowego incydentu, gdy ambasadorowie Wielkiej Brytanii i Francji stracili krewnych w to samo popołudnie i obaj zamówili samochód na tę samą porę. Ponieważ przebywał u Francuzów, ci uznali, że mają pierwszeństwo w korzystaniu z niego. Brytyjczycy byli zaś zdania, że skoro ambasador Francji stracił babkę, zaś brytyjski - ojca, pierwszeństwo dawał bliższy stopień pokrewieństwa. Francuzi dowodzili, że ich ambasador pozostawał w bliższych związkach uczuciowych ze swą babką, niż brytyjski z ojcem. By zażegnać konflikt, obaj ambasadorowie wynajęli karawany z zakładów pogrzebowych, a Cadillac pozostał tego dnia niewykorzystany.

Gregory Donald uśmiechnął się, gdy przypomniał sobie, co powiedziała Sundzi nie otwierając jeszcze mocno zaciśniętych powiek: „Tylko w korpusie dyplomatycznym wojna i rezerwacja samochodu mają tę samą wagę”. I miała rację. Nie istniało nic zbyt błahego, zbyt osobistego lub zbyt makabrycznego, czego nie można by wynieść do rangi międzynarodowego problemu. Dlatego też poczuł wzruszenie - i czuł, że Sundzi zareagowałyby podobnie - gdy brytyjski ambasador Clayton zatelefonował z kondolencjami i powiedział mu, że ambasady nie będą używać karawanu do przewożenia swych własnych ofiar zamachu, dopóki on będzie z niego korzystał.

Ani na chwilę nie spuszczał oczu z karawanu, chociaż jego zmęczony umysł błąkał się w strumieniu świadomości, wracając myślą do ostatniego posiłku, który jedli razem, ostatniego razu, kiedy się kochali, ostatniego razu, gdy patrzył, jak się ubiera. Nadal czuł smak jej szminki, zapach jej perfum, dotknięcie jej długich paznokci na karku. Potem wrócił myślą do chwili, gdy po raz pierwszy zwrócił



uwagę na Sundzi nie na jej urodę czy pełen godności sposób bycia - lecz na jej bystre, cięte słowa. Pamiętał jej rozmowę z koleżanką, która pracowała dla ustępującego ambasadora Dana Tunicka. Gdy ambasador zakończył

pożegnalne przemówienie do pracowników, dziewczyna szepnęła: -Wygląda na bardzo szczęśliwego.

Sundzi spojrzała przez chwilę na ambasadora, a potem odparła:

- Mój ojciec też tak kiedyś wyglądał, gdy urodził kamień nerkowy Ambasador nie jest szczęśliwy, Tish, on czuje ulgę.

W ślad za karawanem Mercedes zjechał z autostrady i podążył w stronę lotniska. Donald odprowadzał swą żonę na samolot linii TWA, który zabierał ją do USA, a gdy tylko ten wystartuje, miał wsiąść do czekającego śmigłowca *Bell Iroquois* na krótkie odwiedziny w Strefie Zdemilitaryzowanej.

Howard Norbom pomyśli, że Donald pominął go i innymi kanałami załatwił to, czego potrzebuje. Czuł się trochę winny z tego powodu. Ale przynajmniej generał nie będzie zamieszany w próbę kontaktu z Północą. Dzięki telefonowi Boba, wszelkie wynikające z tego konsekwencje skupią się na nim.. i na Centrum.

## □ Wtorek, godzina 23.45 - kwatera główna KCIA

Gdy zatelefonował Bae Gun, meldując o pomyślnym przebiegu operacji, Huan był w kropce - postąpili właściwie, chociaż żałował, że traci w pannie Czhong tak interesującą postać. Analitycy nie złamali jeszcze jej szyfru, chociaż znali zawartość niektórych przesyłanych przez nią danych. Bae zwierzył się jej kiedyś, że ma syna w wojsku i od czasu do czasu podawał jej prawdziwe, choć niezbyt ważne informacje na temat liczebności oddziałów, współrzędnych na mapach sztabowych czy zmian w na stanowiskach dowódczych. Teraz, gdy została aresztowana, Huan wątpił, czy zgodzi się im pomóc.

KCIA przez cztery lata śledziła, lecz nie przeszkadzała w działaniu obecnej grupie północnokoreańskich agentów w Seulu. Śledząc jednego, znaleźli drugiego, potem trzeciego i czwartego. Pięciu agentów prawdopodobnie tworzyło zamkniętą pętlę, w której Kim Czhong i pewien piekarz odgrywali najważniejsze role. Huan miał przecucie, że nikt im się nie wymknie. Aresztowawszy dziewczynę, każe obserwować pozostałych przez całą dobę, żeby dowiedzieć się, z kim się kontaktują, lub jaki agent zostanie wprowadzony na jej miejsce.

Niepokoił go jedynie fakt, że w tej niewielkiej części szyfrogramów, jaką zdołali złamać, nie było nawet najmniejszej wzmianki o dzisiejszym zamachu. Nawet wytwórca precli, który wypiekał informacje w postaci niesolonych kulek, otrzymał polecenie wzięcia udział w obchodach i oceny nastroju tłumu wobec zjednoczenia. Chociaż Północ mogła zaatakować zniecka, nie powiadomiwszy wcześniej swych agentów, Huan wątpił, czy narażaliby nawet jednego z nich w taki sposób. Po co mieliby go posyłać, skoro i tak planowali dokonać zamachu?

Gdy agenci dotarli na miejsce, oficer dyżurny dał mu znać przez telefon. Huan stanął koło swego biurka, by przywitać ich - i pannę Czhong. Nie widział jej nigdy wcześniej, znał ją jedynie ze zdjęć, więc postanowił wypróbować ćwiczenie, którego wykonanie zalecał mu Gregory przed spotkaniem osoby, którą zna się tylko ze zdjęcia, głosu, czy opinii innych.

Starł się wypełnić puste miejsca, zobaczyć w jakim stopniu domysły pokrywają się z rzeczywistością - czy potencjalni wrogowie będą wściekli, czy będą przeklinać, czy może zechcą współpracować.

Wiedział, że panna Czhong ma dwadzieścia osiem lat, metr sześćdziesiąt osiem wzrostu, piękne kruczoczarne włosy i ciemne oczy. Oraz to, że Bae uznał ją za Twardy orzech do zgryzienia. Huan podejrzewał, że posiada też wrażliwość artysty, szorstkie usposobienie kobiety, która musi poskramiać zapędy mężczyzn w barze Guna oraz, jak przystało na agenta, woli słuchać, niż mówić, dowiedzieć się, a nie wygadać. Będzie stawiała opór.

Koreańczycy z Północy zwykle tak się zachowywali wobec Południa.

Usłyszał, jak otwierają się drzwi windy, potem dobiegł go odgłos kroków na korytarzu. Do gabinetu weszło dwóch agentów, prowadząc między sobą Kim Czhong.

Fizycznie rzecz biorąc kobieta wyglądała dokładnie tak, jak sobie wyobrażał - dumna, skoncentrowana i czujna. Ubrana była mniej więcej w to, czego się spodziewał - w obcisłą czarną spódnicę, czarne pończochy oraz białą bluzkę z rozpiętymi dwoma guzikami od góry -

mundur kobiet grywających w klubach i barach. Jednakże nie trafił z kolorem skóry, nie sądził bowiem, że będzie aż tak bardzo opalona. Choć właściwie dlaczego nie, przecież dni miała wolne i spędzała je chodząc po mieście. Był także zaskoczony wyglądem jej dłoni, które ujrzał, gdy kazał ją rozkuć. W odróżnieniu od innych muzyków, jakich znał, miała delikatne i szczupłe palce.

Poprosił agentów, by zamknęli drzwi i poczekali na zewnątrz, a potem wskazał jej fotel.

Kobieta usiadła, opierając obie stopy na podłodze, trzymając razem kolana, na których leżały równo pełne wdzięku dłonie. Wpatrywała się w biurko.

- Panno Czhong, nazywam się Kim Huan i jestem zastępcą dyrektora KCIA. Czy pozwoli pani... papierosa?

Wziął z biurka małą kasetkę i podniósł wieczko. Wybrała jednego, złapała się, gdy chciała postukać nim go o zegarek - odebrano go jej, żeby nie próbowała podciąć sobie żył

szkiełkiem, potem włożyła papierosa do ust.

Huan wyszedł zza biurka i podał jej ogień. Kobieta zaciągnęła się głęboko i odchyliła się w tył z jedną dłonią nadal spoczywającą na kolanach, a drugą wspartą na poręczy. Nadal nie dopuszczała do spotkania ich oczu, co było raczej regułą podczas przesłuchiwania kobiet.

Uniemożliwiało to nawiązanie jakichkolwiek więzów emocjonalnych, co sprawiało, że spotkanie miało bardzo formalny przebieg i udaremniało wysiłki wielu przesłuchujących.

Huan podał jej popielniczkę, a ona położyła ją na poręczy. Potem przysiadł na krawędzi biurka i przyglądał się jej prawie przez minutę, zanim przemówił. Mimo jej nienagannych manier, było w niej coś, czego nie potrafił ująć.

- Czy zamówić coś dla pani? Coś do picia?

Zaprzeczyła jednym ruchem głowy, nadal wpatrując się w biurko.

- Panno Czhong, od dłuższego czasu wiemy o pani i o pani pracy. Pani misja tutaj już się zakończyła i stanie pani przed sądem oskarżona o szpiegostwo - najpóźniej za miesiąc, jak sądzę. Zważywszy na dzisiejsze nastroje, podejrzewam, że zostanie pani bez zwłoki, surowo ukarana. Jednak mogę pani obiecać pewną dozę wyrozumiałości w zamian za pomoc w wykryciu osób odpowiedzialnych za dzisiejszy zamach w pobliżu pałacu.

- Nie wiem nic więcej prócz tego, co widziałam w telewizji, panie Huan.

- Nie uprzedzono pani o tym?

- Nie. Nie sądzę, żeby mój kraj ponosił za to odpowiedzialność.

- Dlaczego pani tak twierdzi?

Po raz pierwszy spojrzała na niego.

- Ponieważ nie jesteśmy narodem wariatów. Jest u nas kilku szaleńców, ale większość z nas nie chce wojny.

O to właśnie chodzi, pomyślał Huan. Właśnie ten szczegół nie pasuje. Gra zgodnie z regułami przesłuchania i prawdopodobnie będzie blokować wszelkie jego próby. Lecz problem jest gdzie indziej. Właśnie dokonała wiele mówiącego rozróżnienia między

„kilkoma szaleńcami” a „nami”. My, czyli kto? Większość agentów rekrutuje się z wojska i nigdy nie powie ani jednego złego słowa przeciwko swym rodakom. Huan zastanawiał się, czy panna Czhong nie jest przypadkiem cywilem, jedną z tych osób, które służą wbrew swej woli, ponieważ mają kryminalną przeszłość, walczą, by odzyskać stracony honor rodziny lub dlatego, że rodzzeństwo lub rodzice potrzebują pieniędzy. Jeśli to prawda, rzeczywiście mieli coś wspólnego: oboje rozpaczliwie pragnęli pokoju.

Dyrektor Young-Hoon nie byłby zachwycony wyjawianiem wrogowi tajnych informacji, lecz Huan gotów był podjąć ryzyko.

- Panno Czhong, gdybym powiedział, że pani wierzę...

- Odpowiedziałabym, że powinien pan spróbować czegoś innego.

- Ale gdybym naprawdę tak myślał? - Huan ześlizgnął się z biurka i kucnął przed nią.

Musiała albo odwrócić głowę w bok albo spojrzeć mu w twarz. Spojrzała na niego. - Nie szło mi najlepiej na zajęciach z psychologa i słabo gram w pokera. Gdybym pani powiedział, że chociaż ktoś bardzo się stara skierować podejrzenia na waszych żołnierzy i chociaż dowody na to wskazują, uważam, że jest inaczej?

Zmarszczyła brwi.

- Gdyby mi pan to powiedział, błagałabym pana, żeby przekonał pan innych.

- A gdyby mi nie wierzyli? Czy pomoże mi pani uzasadnić moje podejrzenia?

Wyraz jej twarzy był ostrożny, lecz sygnalizował zainteresowanie.

- Słucham, panie Huan.

- W pobliżu miejsca, gdzie podłożono bombę, znaleźliśmy ślady butów używanych przez armię Korei

Północnej. Jeżeli ktoś chciał w to wrobić waszych żołnierzy z pewnością musiał

mieć buty, materiały wybuchowe i niewykluczone, że nawet broń z Północy. Nie wiemy w jakich ilościach mogły zostać skradzione - a wydaje mi się, że w niewielkich, bo takie grupy raczej trzymają się razem i są bardzo nieliczne. Chciałbym, żeby pani sprawdziła, czy taka kradzież miała miejsce.

Kim zgasiła papierosa.

- Nie mogę.

- Nie pomoże mi pani?

- Panie Huan, czy pańscy zwierzchnicy uwierzyliby panu, gdybym podała takie informacje?

Nasze państwa nie ufają sobie wzajemnie.

- Ale ja pani uwierzę. Czy może pani skontaktować się z swymi ludźmi inaczej, niż za pośrednictwem baru?

- Jeślibym mogła - odparła Kim - co pan by zrobił?

- Pojechał z panią, posłuchał, co mają do powiedzenia, dowiedział się, czy nie zginął

jeszcze jakiś inny materiał. Jeżeli ci terroryści są tak zdecydowani, jak podejrzewam, na pewno planują kolejny atak, żeby nas popchnąć ku wojnie.

- Ale ma pan zwierzchników, którzy nie zgadzają się z pana podejrzeniami...

- Jeżeli uda nam się znaleźć dowody - przerwał jej Huan cokolwiek na poparcie moich podejrzeń, obejdę moich ludzi i skontaktuję się z szefem zespołu kryzysowego w Waszyngtonie. Jest rozsądnym człowiekiem i posłucha mnie.

Kim nie spuszczała oka z zastępcy dyrektora. Huan westchnął i wsparł skronie na palcach wskazujących i kciukach.

- Mamy bardzo niewiele czasu, panno Czhong. Dzisiejszy zamach może spowodować nie tylko wybuch wojny, lecz także koniec wszelkich rozmów o zjednoczeniu do końca naszego życia. Pomoże mi pani?

Zawahała się, ale tylko przez chwilę.

- Aż tak mi pan ufa?

Uśmiechnął się blado.

- Nie dam pani kluczyków do mego samochodu, panno Czhong, ale w tej sprawie... tak, ufam pani.

- W porządku. - Wstała powoli. - Będziemy nad tym pracować razem. Ale niech pan zrozumie, panie Huan, mam rodzinę na Północy.. i nie zrobię dla pana nic więcej... a nawet dla pokoju.

- Rozumiem.

Huan szybko wrócił za biurko i nacisnął klawisz interkomu. Powiedział oficerowi dyżurnemu, by przygotował mu samochód z kierowcą, a potem jeszcze raz przyjrzał się więźniowi.

- Gdzie mnie pani zabiera?

- Powiem kierowcy jak ma jechać, panie Huan. Chyba, że woli mi pan dać kluczyki, a wtedy...

- Dziękuję, pozwolę pani nas prowadzić. Jednakże jestem zobowiązany włączyć do akt sprawy trasę podróży na wypadek, gdyby zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Jest to pierwsza rzecz, o którą poprosi dyrektor, gdy wróci. Proszę mi podać ogólny kierunek.

Po raz pierwszy Kim uśmiechnęła się i powiedziała:

- Na północ, panie Huan. Jedziemy na północ.

## □ Wtorek, godzina 10.00 - Waszyngton

Hood poczuł, jakby ziemia zapadła mu się pod nogami, lecz nie żywił wrogich uczuć wobec prezydenta. Nie mógł.

Michael Lawrence nie należał do najzdolniejszych ludzi, którzy kiedykolwiek sprawowali ten urząd, ale miał swój styl, charyzmę, a to zdawało egzamin w telewizji i na zebraniach wyborczych. Ludziom podobał się jego sposób bycia. Z pewnością nie wyróżniał się jako administrator. Nie lubił brudzić sobie rąk przyziemnymi szczegółami rządzenia, nie był

dokładny, jak Jimmy Carter. Zaufanym doradcom, w rodzaju Burkowa, czy rzecznika prasowego Adriana Crow pozwalał stworzyć własne małe królestwa, ośrodki władzy, które zjednywały sobie lub zrażały inne instytucje rządowe, nagradzając współpracę i sukcesy dostępem do prezydenta i zwiększonym zakresem odpowiedzialności, niepowodzenia karząc zleceniami na prowincji i różnymi podrzędnymi zajęciami.

Nawet wtedy, gdy prezydent jako nowicjusz ponosił porażki w polityce zagranicznej, nie miał tak złej prasy, jak ta, która prześladowała jego poprzedników. Poprzez wspólne posiłki z korpusem prasowym, zwiększenie zakresu przywilejów i ułatwienia dla reporterów oraz starannie dawkowane przecieki i wyłączność na ich publikacje, rzecznik Crow miała w garści wszystkich, prócz kilku nieprzystępnych redaktorów. Poza tym twierdziła, że i tak nikt nie czytuje wstępniaków. Na wyborców wywierały wpływ właściwie zmontowane wywiady i reklama, nie jakiś George Will czy Carl Rowan.

Lawrence potrafił być bezwzględny, ślepy i uparty. Lecz miał śmiałość i rozsądną wizję rozwoju kraju, która zaczynała właśnie przynosić owoce. Na rok przed zgłoszeniem swej kandydatury na urząd prezydenta, Lawrence, wówczas gubernator stanu Floryda, spotykał się z przedstawicielami świata przemysłu i zapytał, czy w zamian za znaczne ulgi podatkowe i odroczenia płatności, nie wzięliby udziału w prywatyzacji NASA, pokrywając koszty osobowe i wydatki na prace naukowo-badawcze, pozostawiając rządowi federalnemu administrowanie ośrodkami i lotami kosmicznymi. Innymi słowy Lawrence proponował

prawie trzykrotne zwiększenie budżetu agencji bez konieczności uzyskania aprobaty Kongresu. Ponadto wydatki z budżetu na utrzymanie agencji zmniejszyłyby się o dwa miliardy dolarów, które Lawrence przeznaczył z góry na walkę z przestępczością i szkolnictwem. Zaproponował też, by jedna trzecia nowo przyjmowanych pracowników technicznych NASA wybrana została spośród osób bezrobotnych, co dawałoby roczne oszczędności w wysokości pół miliarda dolarów.

Przemysłowcy przystali na jego plan, zaś materiały kampanii wyborczej Lawrence'a przypominały Amerykanom miniony blask programów Merkurego, Gemini i Apollo, świetność dawnych dni, gdy pracownicy techniczni i umysłowi pracowali ramię w ramię dla osiągnięcia wspólnego celu, przypominały czasy pełnego zatrudnienia i niskiej inflacji.

Powiąztał to wszystko razem i bombardował wyborców obrazami powszechnie znanych osiągnięć technicznych, powstałych przy okazji realizacji programu kosmicznego: komputerów osobistych i kalkulatorów, satelitów komunikacyjnych i telefonów komórkowych, teflonu, przenośnych kamer wideo i gier komputerowych, oraz wizjami przyszłych odbyć i wynalazków: leków przeciwko nowotworom i AIDS, czy generatorów orbitalnych, które umożliwią zamianę energii słonecznej na elektryczną, by zmniejszyć koszty jej pozyskania i zależność kraju od importu ropy naftowej, a nawet kontrolę pogody Podczas kampanii wyborczej, za każdym razem, gdy jego przeciwnik twierdził, że pieniądze lepiej wydać na Ziemi, Lawrence kontrował, że Ziemia stała się dziurą bez dna, pożerającą miejsca pracy i dolary podatników i tylko jego plan może położyć temu kres... kończąc erę zagranicznej dominacji w postępie technicznym, która zabierała Amerykanom miejsca pracy Lawrence wygrał znaczną większość głosów i gdy tylko objął urząd, spotkał się z tymi samymi przemysłowcami i z nowym zarządem NASA, by zmobilizować ich do uzyskania konkretnych wyników jeszcze przed końcem jego pierwszej kadencji, w trakcie pracy nad nową stacją orbitalną. Wynajawszy nie używaną rosyjską stację „Newski” wysłali w kosmos naukowców: lekarzy i inżynierów, a po osiemnastu miesiącach machina prasowa Adrian Crow chwaliła się już osiągnięciami, z których najbardziej zaskakującym były zdjęcia młodego lekarza, który został sparaliżowany od pasa w dół podczas Wojny w Zatoce. W

stanie nieważkości grał z astronautą w koszykówkę. Prezydent wyleczył kalekę, a ludzie nigdy mu tego nie zapomną.

Można było wpaść w rozpacz nad wszystkimi jego wadami i często demonstrowaną bezwzględnością, lecz trzeba było podziwiać jego wizję. Mimo iż we wczesnym okresie prezydentury w polityce zagranicznej przeważały doraźne i niezdecydowane działania, był na tyle bystry, by powołać Centrum jako organizację pomocniczą. Ca prawda Burkow twierdził, że do sukcesów w polityce zagranicznej przyczynia się brak biurokracji, nie jej nadmiar, jednak prezydent w tym miejscu z nim się nie zgadzał, co doprowadziło do napięć między Hoodem a Radą Bezpieczeństwa Narodowego.

Ale to było w porządku, Paul mógł z tym żyć. W porównaniu z kilkoma grupami nacisku oraz samozwańczymi arbitrami politycznej poprawności, z którymi miał do czynienia w Los Angeles, obcowanie z Burkowem należało do przyjemności.

Hood zatrzymał się przed szpitalem, zaparkował na miejscu dla karettek i pospieszył do windy Numer pokoju, 834, sprawdził wcześniej przez telefon. Drzwi izolatki były otwarte.

Sharon leżała w fotelu z zamkniętymi oczyma i poderwała się, gdy wszedł. Pocałował ją w czoło.

- Tato!

Hood podszedł do łóżka. Głos Alexandra tłumił przezroczystry namiot, lecz oczy i uśmiech syna promieniały Charczał za każdym oddechem, a jego mała klatka piersiowa walczyła twardo o to, by zdobyć choć trochę powietrza z każdego oddechu. Hood przyklęknął na jedno kolano.

- I co, Koopa Lord dał ci w tyłek, Super Mario? - zapytał.



- On się nazywa Koopa King, tato.

- Przepraszam. Wiesz, jak się znam na grach komputerowych. Dziwię się, że nie masz tu swego Game Boya.

Chłopak machnął ręką.

- Nie pozwolili mi. Nie mogę nawet trzymać komiksów. Mama musiała mi czytać

„Supreme” i pokazywać obrazki.

- Musimy porozmawiać o treści pewnych jego komiksów - powiedziała Sharon podchodząc. - Wyrwanie rąk, wybijanie zębów...

- Mamo, to mi dobrze działa na wyobraźnię.

- Nie przejmuj się - powiedział Hood. - Porozmawiamy, gdy będziesz się lepiej czuł.

- Tato, ja tak lubię komiksy..

- Będziesz je miał - powiedział Hood. Grzbietem dłoni dotknął namiotu, głaszcząc syna po policzku. W tej chwili postępy w medycynie wydawały się najważniejsze. Schylił się niżej i mrugnął porozumiewawczo.

- Wyjdź z łóżka, a wtedy razem zajmiemy się przekonaniem mamy.

Alexander skinął słabo głową i jego ojciec wstał.

- Dzięki, że przyszedłeś - powiedziała Sharon. - Po kryzysie?

- Nie. - Nie był pewien, czy miała to być zaczepka, ale pozwolił, by wątpliwość przemówiła na jej korzyść. - Posłuchaj, przepraszam cię za to, co się wcześniej stało, ale ledwo sobie radzimy. Co postanowiłaś względem Harleigh?

- Pojedzie do mojej siostry.

Hood skinął głową, potem pocałował Sharon.

- Zadzwoń później.

- Paul...

Obejrzał się.

- Ja naprawdę uważam, że nie powinien czytać tych komiksów. Pełno w nich przemocy.

- Pamiętam takie same komiksy z mojego dzieciństwa i zobacz, jakoś potrafiłem się przystosować. Odcięte głowy, zombie, nawet wujaszek Creepy.

Sharon wygięła brwi w łuki westchnęła ciężko, gdy Hood znów ją pocałował. Pokazując Alexandrowi uniesiony w górę kciuk, pospieszył do windy, nie ośmielając się spojrzeć na zegarek, nim nie znalazł się bezpiecznie w środku.

□ **Wtorek, godzina 10.05 - Centrum**

- Co, do cholery, zajmuje mu tyle czasu? - zapytał Matt Stoll, wpatrując się w swój monitor. - Programuje się różnicę czasu, wydaje komendę „Szukaj” i program powinien od razu skoczyć na początek fałszywych obrazów satelitarnych.

Phil Katzen siedział na fotelu obok niego, również wpatrując się w ekran. Gdy NRO

przeszukiwało w tę i z powrotem katalog zrobionych rano zdjęć, wraz ze Stollem przeprowadzali dokładne badania diagnostyczne systemu. Jedenasty i ostatni program kontrolny zbliżał się ku końcowi.

- Może mens nic nie znalazł?

- Wiesz, że to niemożliwe.

- Ja wiem. Ale może komputer tego nie wie.

Stoll zacisnął usta.

- Trafiony, zatopiony - Potrząsnął głową, gdy ostatni program zakończył pracę informując, że wszystko w porządku. - Wiemy, że to też nieprawda!

Oparł się pokusie walnięcia w komputer. Z jego dzisiejszym szczęściem, cały system znów mógł się zawiesić.

- Czy jest jakaś możliwość, że ktoś grzebał w testach diagnostycznych? - zapytał Katzen.

- Nie. Ale tak samo myślałem o reszcie oprogramowania. Głupio mi to mówić, ale oddałbym lewą dziurkę w nosie, żeby spotkać sukinsyna, który mi to zrobił.

- Wszedł ci na ambicję, co?

- Jak cholera. Niszcząc moje programy, wali prosto we mnie. Co za sukinsyn! Nie tylko mnie przechytrzył, ale nie zostawił też żadnych śladów Ani jednego.

- Poczekajmy i zobaczmy, co NRO...

Zadzwonił telefon i na prostokątnym wyświetlaczu pojawił się identyfikator dzwoniącego.

- O wilku mowa - powiedział Stoll, przełączając na zewnętrzny głośnik. - Mówi Stoll.

- Matty, to ja, Steve. Przepraszam, że zajęło to tyle czasu, ale komputer pokazywał, że wszystko w porządku, więc postanowiłem sprawdzić same zdjęcia.

- Przepraszam cię.

- Za co?

- Wkurzyłem się, że ci tak wolno idzie. Co znalazłeś?

- Dokładnie to, co powiedziałaś. Zdjęcie, które przyszło dzisiaj rano o 7.58.00,8965...

dokładnie o 0,001 sekundy za późno. I wiesz co? Aż gęsto na nim od sprzętu bojowego, którego nie było o 0,8955 sekundy wcześniej.

- To cholernie dziwne - powiedział Stoll. - Przerzuc mi je na ekran, dobra? I Steve - wielkie dzięki.

- Nie ma za co. A przy okazji, możemy coś zrobić, żeby oczyścić system?

- Nie mogę nic powiedzieć, dopóki nie rzucę okiem na zdjęcia. Zadzwoń do ciebie najwcześniej, jak się da.

Stoll rozłączył się w chwili, gdy pierwsze zdjęcia zaczęły pojawiać się na monitorze. Na pierwszym widać było teren taki, jak naprawdę wyglądał: żadnych wojsk, artylerii ani czołgów, a na drugim wchodziły już w pole widzenia. Wszystko, począwszy od ziarnistości obrazu, a skończywszy na cieniach wyglądało autentycznie.

- Jeżeli to podrobka, jest świetna - skomentował Katzen.

- Nie do końca. Zobacz tutaj.

Stoll nacisnął F1/Shift, a potem powiększył wybrany element. Na monitorze pojawił się kursor, którym Stoll przesunął po szybie dżipa u góry ekranu. Nacisnął Enter i szyba wypełniła monitor.

- Mam cię.

Katzen spojrział z ukosa, po czym głośno westchnął.

- Nic nie widzę.

- Zobaczysz - uspokoił go Stoll, uśmiechając się po raz pierwszy od kilku godzin. Chwycił

mysz, zatrzymał kursor na przycisku u góry ekranu i obwiodł cienką żółtą linią odbicie dębu w szybie dżipa. - W tych okolicach nie ma drzew, Phil. Ten obraz został przeniesiony z innego zdjęcia, albo zrobiono je gdzieś indziej i nałożono programem komputerowym.

Pozostawiając zdjęcie w pierwszym dokumencie, wywołał drugi i dał komputerowi polecenie wyszukania takiego samego szczegółu w katalogu NRO. Dwie minuty i dwanaście sekund później wynik poszukiwań ukazał się na monitorze.

- Niewiarygodne - powiedział Katzen.

Dane zdjęcia pokazały się na pasku z boku ekranu - zostało zrobione 275 dni wcześniej w lasach, w pobliżu zbiornika Supung niedaleko granicy Mandżurii z Koreą Północną.

- Ktoś grzebał w naszym archiwum - powiedział Stoll. Wybrali wszystkie zdjęcia, jakie im były potrzebne i zrobili nowy program.

- I załadowali w 0,001 sekundy - dodał Katzen.

- Nie. Ładowanie odbyło się podczas awarii systemu. A przynajmniej tego, co wyglądało na awarię.

- Nie rozumiem.

- Myśleliśmy, że nasze komputery są wyłączone, lecz ktoś, nie wiadomo skąd, wykorzystał

te dwadzieścia sekund, żeby załadować do systemu to i każde następne zdjęcie. Program potrzebował jednej setnej sekundy, żeby zaskoczyć, a teraz, jak z nagrania, co 0,8955

sekundy odtwarza spreparowane zdjęcia.

- To zbyt niewiarygodne...

- Ale fakty pozostają faktami - my, NRO, Departament Obrony i CIA - mamy wszyscy niezależne, zamknięte systemy Nikt nie może się do nas dostać przez linie telefoniczne. Żeby załadować tyle danych, ktoś musiał siedzieć gdzieś w Centrum i przekładać dyskietki.

- Ale kto? Nagrania wideo z systemu bezpieczeństwa nic nie wykazały Stoll zachichotał.

- A dlaczego myślisz, że możemy im zaufać? Skoro ktoś oszukał nam satelity, kamera wideo nie będzie dla niego stanowiła specjalnego problemu.

- Nie pomyślałem o tym.

- Ale masz rację. Nie sądzę, żeby ktoś z nas był w to zamieszany. Znaczyłoby to, że pracuje z nami jakaś wtyczka, a cokolwiek myślę osobiście o Bobie Herbercie, muszę przyznać, że bardzo uważnie sprawdza gniazdko.

- Dobrze.

- Dzięki. - Stoll wrócił do dokumentu numer jeden i przyjrzał się przedniej szybie dżipa. -

Więc co tutaj mamy? Gdzieś w systemie jest program-sabotażysta, a w nim zdjęcia, których satelity NRO jeszcze nawet nie zrobiły - będą sprawiać wrażenie, że je robią co 0,8955

sekundy Takie są złe wieści. Z dobrych, jeżeli uda nam się dostać do tego programu, możemy go wyrzucić, odzyskać oczy w kosmosie i udowodnić, że ktoś ma zamiar narobić w Korei sporego zamieszania.

- Jak chcesz to zrobić, skoro nawet nie wiesz, gdzie jest ten plik, ani jak się nazywa?

Stoll wprowadził powiększone zdjęcie do pamięci komputera i przeszedł do głównego katalogu. Wybrał spis treści i czekał na załadowanie olbrzymiej listy.

- Zdjęcia, które wykorzystał intruz zrobiono jeszcze przed powstaniem Centrum, więc napisanie programu musiało im zająć sporo czasu. Z pewnością ma też sporą objętość.

Musiał więc przedostać się pod osłoną innego pliku, bo inaczej zauważylibyśmy go podczas sprawdzania przed instalacją. Co oznacza, że plik ten będzie poważnie spuchnięty.

- Więc bierzemy na przykład dane, powiedzmy, o zmianie świateł na skrzyżowaniach w Phenianie i jeżeli ma ze trzydzieści megabajtów, to chyba go mamy.

- O to chodzi.

- Ale gdzie zaczniemy szukać? Autor tego programu miał dostęp do zdjęć satelitarnych Korei Północnej, czyli chodzi nam o kogoś z Centrum, NRO, Pentagonu albo ROK.

- Nikt w Centrum ani NRO nie ma żadnego interesu w sprowokowaniu mobilizacji na półwyspie - powiedział Stoll. - Pozostaje nam więc Departament Obrony lub ROK.

Stoll zaczął przeglądać spis treści, licząc ile dyskietek przybyło z każdego źródła. By wywołać żądane pliki, musiał każdy z nich zaznaczyć gwiazdką i wysłać zamówienie pocztą elektroniczną do archiwum Centrum. Dyskietki zostaną tam skopiowane, dostarczone osobiście, odnotowane oraz skasowane po powrocie.

- Cholera - zaklął Katzen, w miarę jak liczba dyskietek wzrastała. - Mamy ze dwieście dyskietek z Departamentu Obrony i około czterdziestu z ROK. Sprawdzenie wszystkich potrwa ładnych parę dni.

Po chwili namysłu Stoll zaznaczył cały katalog ROK.

- Zaczynamy od krótszych?

- Nie - odparł Stoll. - Od bezpieczniejszych. - Nacisnął gwiazdkę, potem wystukał komendę

„Przesłać”. - Gdyby Bob Herbert kiedykolwiek dowiedział się, że podejrzewam naszych, dałby mi potężnego kopa w dupę.

Katzen klepnął go dłonią po ramieniu i podniósł się.

- Powiem Paulowi, jak stoją sprawy, ale Matty, chciałbym, żebyś mi wyświadczył przysługę.

- Jaką?

- Powiedz Paulowi, że to ja zauważyłem dąb.

- Dobrze, ale dlaczego?

- Bo jak się szef kiedyś dowie, że jego oficer ds. ochrony środowiska nie zauważył drzewa rosnącego o pół metra od niego, to dostanę kopa w dupę.

- Nie ma sprawy. - Stoll usiadł wygodnie w fotelu, zaplótł dłonie i czekał na dyskietki.

□ Środa, godzina 00.30 - okolice Seulu

Na autostradach prowadzących z Seulu do Strefy Zdemilitaryzowanej nadal roiło się od pojazdów wojskowych, toteż Huan kazał swemu kierowcy, Czho, trzymać się bocznych dróg.

Zgodnie ze wskazówkami Kim oddalali się coraz bardziej na północ od miasta. Zaczęło padać. Czho włączył dmuchawę, której jednostajny szum wypełnił wnętrze samochodu.

Huan zastanawiał się, czy rzeczywiście podjął właściwą decyzję, przez chwilę nie zwracając uwagi na fakt, że na razie jest to tylko pomysł. Współpraca z Kim zaprzeczała wszystkiemu, czego go nauczono i w co kazano mu wierzyć - miał zaufać szpiegowi z Korei Północnej w sprawach bezpieczeństwa kraju. Siedząc obok młodej kobiety, która w milczeniu wyglądała przez okno po swojej stronie, zaczął poważnie wątpić, czy postępuje słusznie. Nie obawiał się, że kobieta spróbuje zwabić go w zasadzkę lub gniazdo północnokoreańskich żmij. Huan rozmyślnie siedział z rozpiętą marynarką, by zauważyła pistolet kalibru 0,38 cala w kaburze pod pachą. Jeżeli coś się zdarzy, dziewczyna dostanie za swoje. Lecz Kim poddała się Bae, ponieważ nie chciała dostać kulki. Chciała żyć.

Niepokoił się, że go zwodzi, czego nie należało wykluczyć, mimo okazywanej na zewnątrz szczerości. Jeśli tak, przykładał rękę do klęski sił zbrojnych swego państwa. Nawet jeżeli jej informacje są dokładne i konflikt zostanie zażegnany, i tak może zostać oskarżony o współpracę z wrogiem. Hańba oskarżenia o zdradę przekreśli-wszelkie pożytki całego przedsięwzięcia.

Kusiło go, żeby wyciągnąć z niej więcej informacji. Nie śmiał okazać ani cienia słabości, czy zwątpienia, by nie mogła tego wykorzystać. Kierowca Huana nie miał takich zahamowań i co rusz spoglądał w lusterko wsteczne. Spod ronda szpiczastego brązowego kapelusza Czho rzucał mu zaniepokojone spojrzenia. Co jakiś czas Kim podawała nowy kierunek i zagłębiali się dalej w pustkowie pośród wzgórz na północnym wschodzie kraju. Z każdym zakrętem Czho spozierał znacząco na radiostację wbudowaną pod deską rozdzielczą, jakby chciał w ten sposób nakłonić Huana, by pozwolił mu poinformować kwaterę główną o ich położeniu.

Wtedy Huan wykonywał powoli przeczący ruch głową lub odwracał wzrok.

Biedny Czho, pomyślał. Trzy miesiące wcześniej dostał pociskiem kalibru 9 mm w prawą rękę i został przesunięty z działań terenowych na stanowisko kierowcy. Tak bardzo pragnął

wrócić do poprzedniego zajęcia, dołożyć tym z Północy i rozbić kilka łbów.

Nie. Żadnego wsparcia, żadnych posiłków, nic, co mogłoby wzbudzić wątpliwości panny Czong w szczerłość ich intencji. Pisane im było jechać razem do końca - z kobietą, która wiedziała, że jeżeli nie uda jej się uciec, pójdzie prosto do więzienia lub na szubienicę. Huan miał jedynie nadzieję, że jej poczucie obowiązku jest równie silne, jak jego.



- Czy mogę coś powiedzieć? - zapytała Kim, nadal wyglądając przez okno.

Huan spojrzał na nią z ledwo ukrywanym zaskoczeniem.

- Proszę.

- Myślałam o tym, co pan robi i uważam, jest pan bardzo odważny.

- Podejmuję tylko świadome ryzyko.

- Nie. Mógł pan nie ruszać się z miejsca - nie ma się czego wstydzić. Skąd pan wie, dokąd pana prowadzę?

Huan poczuł, jak Czho zwalnia i rzucił mu znaczące spojrzenie. Samochód wrócił do swej poprzedniej prędkości.

- Więc dokąd nas pani zabiera? - zapytał Huan.

- Do mojego domu.

- Przecież pani mieszka w mieście.

- Dlaczego pan tak uważa? Dlatego, że pana agenci mnie śledzili? Kobieta, która wysiaduje na stołku barowym nie lubi alkoholu i mężczyzna, który zmienia strój, lecz ma zawsze nieświeży oddech?

- To byli praktykanci. Miała ich pani zauważyć.

- Teraz rozumiem. Żeby nie podejrzewała, że naprawdę śledzi mnie pan Gun. Ale nigdy mnie nie zaprosił do swego domu. Przynajmniej niektóre informacje musiał pan uzyskać od praktykantów

Huan nie odezwał się.

- To nieważne. Na zapleczu baru miałam skuter i przyjeżdżałam tutaj, żeby przesłać prawdziwe wiadomości. Teraz w prawo na polną drogę - powiedziała do Czho.

Czho znów spojrzał w lusterko. Tym razem Huan nie zwrócił na niego uwagi.

- Widzi pan - ciągnęła Kim - nie jesteście jedynymi, którzy stosujecie podstępny. Od lat wiemy, że bar znajduje się pod waszą obserwacją i wysłano tam mnie, żebym związała wasze siły. Mój szyfr był wystarczająco prawdziwy, lecz przypadkowi ludzie, dla których go grałam

- i których śledziliście po drodze do domu, nie mieli pojęcia, co robię. Wszyscy byli Koreańczykami z Południa. Płaciłam im, żeby posiedzieli w barze godzinę, czy dwie, a potem wychodzili.

- Rozumiem - powiedział Huan. - Zakładając, że pani ufam, co wcale nie jest takie pewne, dlaczego

mówi mi pani o tym?

- Ponieważ zależy mi na tym, żeby uwierzył pan w coś, co mam do powiedzenia, panie Huan. Nie przyjechałam do Seulu z własnej woli. Mój brat, Han, włamał się do szpitala wojskowego, żeby zdobyć morfinę dla naszej matki. Gdy przyjechała milicja, pomogłam mu uciec - wtedy aresztowali moją matkę i mnie. Dano mi do wyboru - zostaniemy oboje w więzieniu lub ja pojedę na południe zbierać informacje.

- Jak się pani tu dostała?

Oczy Kim błysnęły

- Niech mnie pan źle nie zrozumie, panie Huan. Nie zamierzam niczego zdradzać. Powiem panu tylko tyle, ile powinien pan wiedzieć i nic więcej. Czy mogę mówić dalej?

Huan skinął głową.

- Zgodziłam się tu przyjechać pod warunkiem, że moją matkę przyjmą do szpitala, a brat zostanie zwolniony. Przystali na to, chociaż nie mogłam potem odszukać Hana. W końcu dowiedziałam się, że dotarł do Japonii.

- A pani matka?

- Miała raka żołądka, panie Huan. Umarła zanim tu trafiłam.

- Ale jednak trafiła pani.

- Matka miała dobrą opiekę do ostatnich chwil życia. Państwo dotrzymało słowa i ja dotrzymam swego.

Huan skinął głową. Nadal nie zwracał uwagi na rozbiegane, błyskające białkami oczy Czho.

- Zależy pani, żebym w coś uwierzył, panno Czong. W to, co mi pani powiedziała...?

- Tak. I w jeszcze coś. W moim domu zginie pan bez mojej pomocy.

Czho wcisnął pedał hamulca do samej podłogi. Samochód wpadł w lekki poślizg, nim zatrzymał się na dobre. Huan przyjrzał się uważnie swej pasażerce, bardziej zły na siebie niż na nią. Drzwi były zamknięte, zaś on był gotów użyć broni, jeżeli będzie musiał.

- A pani umrze w więzieniu Masan bez mojej pomocy powiedział. - Kto jest w domu?

- Nikt. Jest zaminowany.

- Jak?

- W fortepianie jest nadajnik. Jeżeli przed podniesieniem pokrywy nie zagra się właściwej melodii, bomba wybuchnie.

- A pani zagra dla nas tę melodię. Nie chce pani umrzeć.

- Myli się pan, panie Huan. Nie boję się śmierci. Ale wolę żyć.

- Jakie są pani warunki, panno Czong?

W lusterku wstecznym samochodu pojawiło się światło pojedynczego reflektora, więc Czho opuścił w dół szybę, by dać dłonią znak skuterowi, że może ich wyprzedzić. Kobieta czekała, aż warkot silnika ucichnie.

- Nie mam nikogo, oprócz mojego brata...

- I kraju.

- Jestem patriotką, panie Huan, proszę mnie nie obrażać. Ale nie mogę tam wrócić. Mam dwadzieścia osiem lat i jestem kobietą. Wyślą mnie na inną placówkę. Nie do Korei Południowej, lecz do jakiegoś innego kraju. Może wtedy nie wystarczy mi umiejętność gry na fortepianie.

- Patriotyzm ma swoją cenę.

- Moja rodzina zapłaciła ją już zawiązką. Teraz chcę odnaleźć brata, jedyne, który mi został z całej rodziny. Zrobię to, o co pan mnie prosi, lecz potem chcę, żeby zostawił mnie pan w domu.

- Więc potrafi się pani przedostać do Japonii? - Huan pokręcił przecząco głową. -

Zwolniono by mnie dyscyplinarnie i w pełni zasłużyłbym na to.

- Woli pan zaryzykować wojnę?

- A pani nie ma nic przeciwko temu, by tysiące młodych mężczyzn poszło na śmierć?

Takich, jak pani brat.

Kim odwróciła głowę.

Huan spojrział na zegarek na desce rozdzielczej. Dał znak Czho, by jechał dalej i samochód skoczył do przodu, wyrzucając spod kół strugi błota.

- Nie mam zamiaru pozwolić nikomu umierać - powiedziała Kim.

- Miałem taką nadzieję. - Spoglądał na twarz kobiety, rozjaśnianą co jakiś czas słabym światłem lamp z mijanych chat i domów. Cienie skapanego w deszczu okna igrały na jej twarzy. - Oczywiście

zrobię dla pani, co będę mógł. Mam przyjaciół w Japonii... Może da się coś załatwić.

- Więzienie, tam?

- Nie więzienie. Istnieją obiekty o złagodzonego rygorze.

- Będzie mi trudno znaleźć brata - nawet z bardzo komfortowej celi.

- Mogę w tym pomóc. Odwiedzi panią, a może uda nam się załatwić jeszcze coś innego.

Spojrzała na niego.

- Dziękuję. Myślę, że to jest coś konkretnego. Oczywiście jeżeli da się załatwić.

Po raz pierwszy wydała mu się szczerą i bezbronna. Poczł do niej sympatię. Silna i atrakcyjna, pomyślał i prawie wyznał jej, że przecież może się z nią ożenić i naprawdę skomplikować system prawny Korei Południowej... Choć pomysł wydawał się kuszący, postąpiłby nieuczciwie drażniąc się z nią nadzieją wolności... lub grożąc jej sobą.

Nie przestawał się nad tym zastanawiać, gdy coraz bardziej śliską drogą podążali do domu Kim na wzgórzach. Lecz gdyby nawet nie rozmyślał o Kim, chyba nie dostrzegłby skutera, przystającego na skraju. drogi z wyłączonymi światłami i pracującym silnikiem...

□ **Wtorek, godzina 10.50 - Centrum**

Phil Katzen wpadł na Hooda po drodze do jego gabinetu i wszedł za nim do środka.

Opowiedział dyrektorowi, co odkryli i dodał, że Stoll sprawdza już pierwsze dyskietki z ROK.

- Pasuje do przypuszczeń Gregory'ego Donalda, które przekazał Marcie. - Hood pokiwał głową. - Ani on ani KCIA nie podejrzewają Korei Północnej o zorganizowanie zamachu. -

Hood cieszył się z odwiedzin u syna i z jego szans na powrót do zdrowia. Pozwolił sobie na mały uśmiech. - Jak się czujesz z dala od wycieków ropy i tropikalnych lasów?

- Dziwnie - przyznał oficer do spraw środowiska - ale wracam do formy. Używam mięśni, które trochę mi zanikły.

- Jak będziesz tu spędzał za dużo czasu, nie tylko to ci zaniknie.

Do pokoju weszła Ann Farris.

- Paul...

- Właśnie ciebie chciałem zobaczyć.

- Może jednak nie. Czy wiesz o dyskietkach z ROK?

- Jestem tu dyrektorem. Płacą mi za to, żebym wiedział takie rzeczy.

- Ho, ho. - Zmarszczyła brwi. - Jesteśmy w nastroju do zabawy. Musiałeś mieć miłe spotkanie z prezydentem.

- Niekoniecznie. Widziałem się też z synem. A co z tymi dyskietkami? Myślałem, że treść zamówień z archiwum należy do tajnych informacji.

- Pewnie. A przed południem dowie się o tym „Washington Post”. To niesamowite, czego ludzie nie zrobią dla pieniędzy albo żeby dostać bilety na Super Bowl. Ale nie o to nam teraz chodzi. Czy zdajesz sobie sprawę, w jaką potworną kabałę się wplączemy, jeżeli wydobędzie się na zewnątrz, że podejrzewamy naszych sojuszników o dokonanie zamachu?

- Mogłabyś rozwinąć temat?

- Jak gazetę, Paul. Ale niedowierzanie ma swój urok i właśnie dlatego wszyscy będą chcieli rozegrać tę kartę.

- Co się stało z prawdą, sprawiedliwością i amerykańskimi ideałami?

- Zginęły wraz z Supermanem - powiedział Phil. - A gdy go sprowadzili z powrotem, zapomnieli o reszcie.

Ann postukała długopisem w mały notatnik, który trzymała w dłoni.

- W jakiej sprawie chciałeś się ze mną zobaczyć?

- Poczekaj, Ann. - Hood nacisnął już klawisz F6 i twarz asystenta wypełniła ekran. - Coś nowego z KCIA, Bugs?

- Raport z laboratorium jest w pliku BH/1.

- W dwóch słowach, o co chodzi?

- Materiał wybuchowy, ślady butów i benzyny - wszystko produkcji KRL-D. Jak Alexander?

- Dzięki, lepiej. Zrób mi przysługę i poproś Boba Herberta, żeby wpadł o jedenastej. - Hood przełączył obraz na ekranie i przeciągnął dłonią po twarzy. - Niech to szlag. KCIA mówi, że to Korea Północna, Matty uważa, że zaraził nas wirus z Korei Południowej, a Gregory Donald twierdzi, że Koreańczycy z Południa przebierają się za Koreańczyków z Północy. Niezły cyrk.

- Potrafisz zaaranżować niezły program - skomentowała Ann. - Co właściwie jest Alexandrowi?

- Ma atak astmy

- Biedny dzieciak - powiedział Phil, potrząsając głową i kierując się w stronę drzwi. -

Cholerny smog o tej porze roku wcale mu dobrze nie robi. Będę z Mattym, jakbyś mnie potrzebował.

Gdy znaleźli się sami, Hood zauważył, że Ann bacznie mu się przygląda. Nie po raz pierwszy tak na niego patrzyła, lecz dzisiaj spojrzenie jej ciemno-bursztynowych oczu przeniknęło go ciepłem i niepokojem. Ciepłem - bo znalazł w nich współczucie, niepokojem

- bo własna żona niezbyt często obdarowywała go tym uczuciem. Z drugiej jednak strony, Ann Farris nie musiała z nim mieszkać.

- Ann - powiedział. - Prezydent...

- Paul! - krzyknął Lowell Coffey wpadając do gabinetu i niemal zderzając się z Ann.

- Wejdz - powiedziała Ann. - Nie musisz zamykać drzwi, wokół i tak pełno przecieków.

- Wszystko słyszałem - powiedział do niej Coffey i zwrócił się do Hooda. - Paul, potrzebuję jednej

sekundy Chodzi o dyskietki z ROK, które sprawdza Matty - musisz wydać polecenie, by personelowi wolno było na ten temat powiedzieć tylko dwa słowa: „bez komentarza”.

Mamy z Seulem umowy dotyczące poufności danych i jeżeli wskażemy palcem osobę czy grupę ludzi, ryzykujemy proces o zniesławienie, co z kolei grozi ujawnieniem wątpliwych metod, jakimi zdobyto niektóre informacje zawarte na tych dyskietkach.

- Każ Marcie zagrozić wszystkim wyciągnięciem konsekwencji służbowych. I niech ktoś od Matta nastawi komputery na transkrypcję wszystkich rozmów telefonicznych.

- Nie mogę tego zrobić, Paul. Nielegalne, jak diabli.

- Więc zrób to nielegalnie i każ Marcie powiedzieć, że właśnie tak robimy

- Paul...

- Zrób, jak ci mówię, Lowell. Później zajmę się cholerną ustawą o wolności słowa. Nie mogę dopuścić do tego, żeby moi ludzie zajmowali się zatykaniem przecieków i nie mam czasu na dochodzenie kto może być ich źródłem!

Lowell wyszedł, kręcąc z niesmakiem głową.

Hood spojrzał na Ann i próbował zebrać myśli. Zauważył, że ma chustkę na głowie.

Odrzucał od siebie myśl, jak miło byłoby lekko pociągnąć za czarno-czerwony materiał i zanurzyć dłonie w fale długich brązowych włosów .. Pospiesznie wziął się w garść.

- Ann, wiesz, hm, mam coś innego na twoje podwórko. Słyszałaś o *Mirage*, którego ostrzelali Koreańczycy?

Skinęła głową, a jej oczy nagle posmutniały. Zastanawiał się, czy zna jego myśli. Kobiety nigdy nie przestawały go tym zaskakiwać.

- Biały Dom zamierza wydać komunikat, w którym stwierdza się, że w świetle gwałtownej reakcji Korei Północnej na przelot naszego samolotu rozpoznawczego, nasze siły w tym rejonie zostają wprowadzone w stan gotowości bojowej Defcon 3. - Spojrzał na zegar, wiszący na przeciwległej ścianie. - To było pięćdziesiąt dwie minuty temu. Phenian postąpi tak samo. Niewykluczone, że pójdzie o krok dalej od nas i domyślam się - a raczej mam nadzieję - że prezydent zachowa spokój, dopóki nie dowiemy się, co się właściwie wydarzyło przy pałacu. Jeżeli na tym etapie postawi na eskalację, Bóg jeden wie, jak zachowa się Północ. Gdy przyjdzie Bob, musimy porozmawiać z Ernie Golonem i dostarczyć prezydentowi aktualizację opcji wojskowych. Ty, Ann, musisz łagodzić wszystko, co powie Biały Dom.

- Żebyśmy mogli się wycofać?

- O to chodzi. Lawrence nie zamierza przeproszać za samolot zwiadowczy, więc tym bardziej my nie możemy. Ale po ostrych słowach, w końcu będziemy musieli przejść do zdecydowanych czynów. Wprowadźmy do naszego komunikatu trochę ubolewania, tak, że gdybyśmy musieli nagle coś odwołać, zostanie nam otwarta furtka. Wiesz, wszystkie suwerenne państwa mają prawo do ochrony własnego terytorium i ubolewamy, że okoliczności zmusiły nas do zastosowania radykalnych środków w tym samym celu.

- Będę to musiała przepuścić przez Lowella...

- W porządku. O mało go kiedyś nie zwolniłem.

- Zasłużył sobie na to. Upierdliwy dupek.

- Jest prawnikiem - zauważył Hood. - Płacimy mu za to, żeby odgrywał adwokata diabła.

Ann zamknęła notes i zawahała się przez chwilę.

- Jadłeś już dzisiaj?

- Coś tam przegryzłem.

- Masz zmęczony głos. Zjadłbyś coś konkretnego?

- Może później. - Hood usłyszał z korytarza głos Boba Herberta. Spojrzał na Ann. -

Powiem ci coś. Jeżeli będziesz wolna koło wpół do pierwszej, zamów nam parę sałatek z kantyny. Podskubiemy trawki i zajmiemy się planowaniem działań.

- Więc jesteśmy umówieni - powiedziała tonem, który przyprawił go o dreszcze.

Ann odwróciła się, zaś on, udając, że spuścił głowę, nadal na nią patrzył. Gra, którą prowadzili, nie należała do bezpiecznych, lecz Paul wiedział, że nic z tego nie będzie zresztą nie miał zamiaru na to pozwolić - poza tym był jej wdzięczny za okazywaną troskę. Gdy Herbert wjechał do gabinetu, Hood szybko przeszedł do spraw zawodowych, zadzwonił do Bugsa i poprosił o wywołanie sekretarza obrony na telekonferencję.



□ **Środa, godzina 1.18 - Góry Diamentowe, Korea Północna** Od wyrzutni pocisków klasy *Nodong* dzieliło ich tylko sto czterdzieści kilometrów w linii prostej, lecz podróż utrudniały głębokie koleiny polnych dróg, które bujna roślinność pokrywała w takim samym tempie, w jakim usuwali ją Koreańczycy z Północy. Po niemal trzech godzinach jazdy - a raczej podskakiwania i zarzucania na wybojach, pułkownik San i jego adiutant Kong dotarli wreszcie na miejsce przeznaczenia.

Na szczycie wzgórza, wznoszącego się nad doliną, w której rozstawiono *Nodongi*, San dał

Kongowi rozkaz zatrzymać samochód. Powoli wstał i przyglądał się z dżipa trzem potężnym pojazdom, ustawionym w trójkąt. Długie pociski spoczywały płasko na wyrzutniach, osłonięte od góry namiotami z liści zamocowanych na siatkach maskujących. W

przycmionym świetle niskiego, zbliżającego się do pełni księżyca widział przezierające przez liście fragmenty białej powłoki pocisków.

- Co za wspaniały widok - powiedział San.

- Nie mogę uwierzyć, że nam się udało.

- Tak, osiągnęliśmy cel - przytaknął San. Rozkoszował się panoramą doliny jeszcze chwilę dłużej. - W locie wywierają jeszcze większe wrażenie.

Wszystko wydawało się tak niewiarygodne: po roku potajemnych kontaktów z Północą, ścisłej współpracy z majorem Li, kapitanem Bockiem i jego geniuszem komputerowym, szeregowcem Kohem, a nawet z samym wrogiem, druga wojna koreańska miała wkrótce stać się faktem. Prywatnie San i Li mieli nadzieję, że dzięki niej osiągną coś więcej, niż kres rozmów o zjednoczeniu - spodziewali się pełnego zaangażowania USA i w konsekwencji zniszczenia Północy jako siły militarnej. Jeżeli wtedy nastąpi zjednoczenie, nie będzie wynikiem kompromisu, lecz siły.

- Ruszamy - powiedział San.

Kota dżipa zaturkotały na drodze, biegnącej w dół uboczem góry w stronę najbliższego stanowiska artylerii. Wyrzutni *Nodongów* broniły dwa samobieżne zestawy przeciwlotnicze *ZSU-23-4*, każdy wyposażony w cztery sprzężone, chłodzone wodą działka przeciwlotnicze *SPAAG* kalibru 23 mm o zasięgu 2,5 km. W jednej z wielkich stalowych wież, której działka uniesione były pod maksymalnym kątem osiemdziesięciu pięciu stopni, siedział żołnierz. San wiedział, że wokół bazy rozmieszczono sześć pozostałych zestawów przeciwlotniczych, które dzięki wielkiemu talerzowi radaru, zamontowanemu z tyłu wieży, mogły wykryć obecność samolotu w dzień i w nocy.

Zatrzymał ich strażnik. Po uważnym przejrzeniu rozkazów pułkownika w świetle latarki z szacunkiem poprosił go, by wyłączył światła dla własnego bezpieczeństwa. W górach mogli znajdować się szpiedzy wroga, a pułkownik byłby dla snajpera nie lada gratką.

Szkoda byłoby zginąć z ręki własnego rodaka, pomyślał. Przecież ledwie za kilka godzin miał zrobić więcej dla Korei Południowej, niż wszyscy pozostali żołnierze w jej historii.

49

### □ Środa, godzina 1.15 - Strefa Zdemilitaryzowana

Pyry luku załadowczym samolotu TWA na Gregory'ego Donalda czekał przedstawiciel linii lotniczej oraz zastępca szefa misji. Dopilnowali sprawnego przebiegu papierkowej roboty i załadunku trumny na *Boeinga 727*. Dopiero gdy samolot znalazł się w powietrzu, Donald delikatnie przycisnął wargi do opuszka palca, kierując go w niebo, po czym odwrócił się i wsiadł do czekającego śmigłowca *Bell Iroquois*.

Helikopter pokonał drogę z lotniska w Seulu do Strefy Zdemilitaryzowanej w niewiele ponad piętnaście minut. Z lądowiska odebrał Donalda dżip, którym pojechał do kwatery głównej generała Michaela J. Schneidera.

Donald cieszył się na to spotkanie po latach. W obfitującym w wydarzenia życiu spotkał

kilku ludzi, których można by uznać za szalonych, lecz Schneider był jedynym, który nosił

cztery gwiazdki generała. Dziecko czasów wielkiego kryzysu, podrzucony na progu Klubu Miłośników Przygód na Manhattanie, Schneider zawsze lubił wyobrażać sobie, że jego matka wracała na miejsce zbrodni, zaś jego ojciec był znanym myśliwym lub badaczem. Budową łudząco przypominał postaci rodem z H. Ridera Haggarda: wzrost ponad metr dziewięćdziesiąt, zapadła twarz, szerokie bary oraz talia kulturysty Adoptowany przez małżeństwo, które mieszkało i pracowało w dzielnicy fabryk włókienniczych, wstąpił do wojska w wieku osiemnastu lat, w sam raz by zdążyć na front w Korei. Był jednym z pierwszych amerykańskich doradców w Wietnamie i jednym z ostatnich żołnierzy, którzy opuścili ten kraj. Do Korei wrócił w 1976 roku, gdy jego córka Cindy zginęła w wypadku narciarskim. W wieku sześćdziesięciu pięciu lat nadal posiadał cechę, dzięki której Donald trafnie określił go kiedyś jako „ostatniego Teksaszczyka z Alamo”: w każdej chwili był gotów poświęcić życie w walce.

Schneider bardzo pasował do swego odpowiednika z Północy, generała Hong-ku o przydomku „Czuły Spust”, a jego współpraca z generałem Samem z ROK, z którym współdowodził połączonymi siłami amerykańsko-południowokoreańskimi układała się nad wyraz pomyślnie. Schneider używał soczystego języka i najchętniej rozwiązywałby problemy rzucając w nie wszystkim, co ma pod ręką, łącznie z taktyczną bronią nuklearną, natomiast Sam - chłodny, opanowany pięćdziesięcioletni mężczyzna, przedkładał dialog i sabotaż nad bezpośrednią konfrontację. Ponieważ była to Korea Południowa, generał Sam musiał

aprobować wszelkie akcje militarne, lecz ksenofobiczny Schneider siał postrach u Koreańczyków z Północy, a rola, jaką pełnił, nadzwyczaj Donaldowi odpowiadała... i całkowicie się z nią utożsamiał.

To rzeczywiście ironia losu, pomyślał Donald, wchodząc do kwatery głównej generała, małego drewnianego budynku, złożonego z trzech gabinetów i sypialni, usytuowanego w południowej części bazy. Obaj - Schneider i Gregory - nie mogli się bardziej różnić, a jednocześnie pasowali do siebie bardziej niż skarpety z jednej pary. Może dlatego, że byli równolatkami, którzy przeżyli ciężkie czasy wojny, lub może Schneider miał rację, nazywając wojny „zespołem Flipa i Flapa” - dyplomaci robili bałagan, który armia musiała potem sprzątać.

Gdy Donald pojawił się w drzwiach, generał rozmawiał właśnie przez telefon i dał znak dłonią, by wszedł do środka. Otrzeprawszy swe zakurzone spodnie Donald spoczął na krytej białą skórą kanapie, stojącej przy jednej ze ścian. Schneider miał fioła na punkcie czystości.

- ... mam w dupie, co mówi Pentagon! - krzyczał Schneider zaskakująco wysokim i piskliwym głosem, jak na tak potężnego mężczyznę. - Zaatakowali bez ostrzeżenia i zabili amerykańskiego żołnierza! Co? Wiem, że byliśmy w ich przestrzeni powietrznej. Ale słyszałem, że używali jakichś diabelskich sztuczek z komputerem, żeby sypnąć nam piachem w oczy, więc jaki mieliśmy wybór? I czy z tego powodu nie można ich uznać za napastników

- sabotażystów technicznych? Aha, według międzynarodowych umów - nie można? Do diabła z nimi, senatorze. Niech mi będzie wolno pana zapytać - co zrobimy, gdy zginie następny amerykański żołnierz?

Generał Schneider zamilkł, lecz nie uspokoił się. Nabiegłe krwią oczy poruszały się jak małe automaty Spoglądał spode łba, niczym byk, czekający na torreadora. Wziął do ręki nóż do otwierania listów i zaczął nim dźgać podziurawioną już jak sito poduszkę z wyhaftowanym godłem korpusu piechoty morskiej USA, która wydawała się służyć jedynie do tego celu.

- Senatorze - powiedział, trochę spokojniejszy po prawie minucie ciszy. - Nie wywołam żadnego incydentu, a gdyby był pan tutaj, dałbym panu kopa w dupę za samo wspomnienie o tym. Bezpieczeństwo moich oddziałów jest dla mnie ważniejsze, niż własne życie, albo kogokolwiek innego, jeśli pan chce wiedzieć. Ale honor mojego kraju jest dla mnie ważniejszy od tych wszystkich istnień razem wziętych i nie będę siedział cicho, kiedy na niego srają. Jeżeli się pan nie zgadza, mam numer telefonu do gazety w pana rodzinnym mieście. Myślę, że wyborcy mogą nieco inaczej widzieć tę sprawę. Nie... Nie grozę panu.

Mówię panu tylko, że będę nadal kuł żelazo, póki gorące, póki wam nie odrosną jaja. Wuj Sam ma już jedno podbite oko. Jeżeli ktoś chce się zabrać za drugie, lepiej, żebyśmy zrobili coś więcej, niż tylko powstrzymywali się od przeprosin. Do widzenia, senatorze.

Z tymi słowami generał rzucił słuchawką o widełki.

Donald wyjął fajkę i zaczął nabijać ją tytoniem.

- To był dobry kawałek... ten o kuciu żelaza.

- Dzięki. - Generał wziął głęboki oddech, zostawił w spokoju sterczący z poduszki nóż do otwierania korespondencji i wyprostował się. - To był przewodniczący kongresowej Komisji Sił Zbrojnych.

- Domyśliłem się.

- Ma słoneczniki w gaciach, więc myśli, że pierdzi światłem słonecznym - powiedział generał, wstając i wychodząc zza biurka.

- Nie bardzo rozumiem, co to ma oznaczać - przyznał Donald - ale brzmi nieźle.

- Oznacza to, że ma cholernie wzniosłe idee i uważa się za nieomylnego intelektualistę. -

Wyciągnął obie dłonie i chwycił pomiędzy nie ręce Donalda. - Do diabła z nim. Powiedz lepiej, jak ty się trzymasz?

- Nadal wydaje mi się, że mogę podejść do telefonu i po prostu do niej zadzwonić.

- Wiem. Przez całe miesiące czułem to samo śmierci mojej córki. Cholera, czasami dalej wystukuję jej numer, nie podnosząc słuchawki. To naturalna reakcja, Greg. Powinna tam być.

Donald mrugnięciem powiek starał się odegnać łzy

- Niech to...

- Nie krępuj się, możesz się swobodnie wypłakać. Interesy mogą poczekać. Wiesz, że Waszyngton nie lubi obstawiać karnych, zanim nie spróbuje rozstrzygnąć meczu w normalnym czasie.

Donald potrząsnął głową i kontynuował nabijanie fajki.

- Poradzę sobie. Potrzebuję zajęcia.

- Jesteś pewien?

- Jak najbardziej.

- Głodny?

- Nie. Jadłem z Howardem.

- To musiało być podniecające przeżycie. - Schneider położył dłoń na jego ramieniu i ścisnął. - Żartuję. Norbom to swój chłop. Tylko trochę zbyt ostrożny Nie wysłał mi ludzi ani sprzętu zanim na 100 procent się nie upewnił, że wchodzimy na Defcon 3 - nawet po tym, jak zastrzelili naszego oficera rozpoznania.

- Słyszałem o tym locie. Oficerem była kobieta...

- Tak. Teraz radio wojskowe KRL-D nadaje, że jesteśmy tchórzami, bo chowamy się za plecami kobiet. Muszę przyznać, że ci z Północy mają fajnie, bo nie martwią się tłumem wścibskich

dziennikarzy. Cholera, wtedy to były czasy. Gregory Donald - jedyny dyplomata w mieście. A teraz wszyscy musimy umieć obracać językiem.

- Sprawy wyglądają inaczej, niż kiedyś.

- W ogóle nie wyglądają. Mówię ci, Greg, siedzę tu i czasem chce mi się wszystkim pieprzyć w diabły i dziergać naszywki na koszulach, jak wtedy, kiedy byłem mały. Dawniej robiło się to, co trzeba. Nie musieliśmy błagać ONZ czy jakiejś tam Ukrainy o pozwolenie na przetestowanie bomb na własnej pustyni. Boże, generał Bellini z NATO mówi, że widział w telewizji wywiad z jakimiś cholernymi żabojadami, którzy dalej są wściekli, że przypadkowo ostrzelaliśmy ich domy podczas lądowania w Normandii. Kto, do jasnej cholery, ustawił ich przed kamerą i kazał narzekać? Co się, do diabła, stało ze zdrowym rozsądkiem?

Donaldowi zabrakło zapalek i skorzystał ze stojącej na biurku generała zapalniczki w kształcie granatu. Dopiero, gdy wyciągnął zawleczkę zdał sobie sprawę, że mogła to nie być zapalniczka.

- Sam to powiedziałeś, generale. Telewizja. Każdy ma teraz okazję się wygadać, a żaden polityk nie jest na tyle zarozumiały, żeby nie słuchać. Powinieneś powiedzieć senatorowi, że masz przyjaciół w „Wiadomościach o dziewiątej”. To by mu dało do myślenia.

- Amen - powiedział Schneider, gdy obaj sadowili się na kanapie. - Cóż, może koło znów się obróci. Jak ten niewolnik w „Dziesięciu Przykazaniach”, który chce zobaczyć Zbawiciela przed śmiercią - jest nim Charlton Mojżesz Heston, który ukazuje mu się w ostatniej chwili, kiedy ten dostaje toporem w bebechy. Właśnie tego chcę. Jeden raz, zanim umrę, chcę zobaczyć kogoś, kto uwolni nas od bezmyślności, kto zrobi to, co powinno się zrobić, nawet gdyby miał dostać siekierą w brzuch. Gdybym się tak bardzo nie przejmował moimi cholernymi chłopakami, pomaszerowałbym prosto do Phenianu i dał im popalić za Judy Margolin.

Narada była krótka. Donald miał dołączyć do następnego patrolu własnym dżipem z kierowcą, oficerem rozpoznania, kamerą wideo z noktowizorem i zrobić dwie rundy po trzy kilometry wzdłuż Strefy Zdemilitaryzowanej. Zdjęcia prześle do Centrum, a za dwie godziny zrobi kolejną rundę - wystarczający odstęp czasu, by zauważyć zmiany zaszłe w samym sercu granicy.

Trwająca trzydzieści pięć minut wyprawa minęła spokojnie, po czym nagranie przekazano oficerowi łącznikowemu, który miał je przesłać Bobowi Herbertowi.

Czekając na kolejną rundę, Donald nie poszedł za radą Schneidera, który proponował mu, żeby trochę odpoczął i udał się do centrum łączności radiowej - szopy z pięcioma pomieszczeniami, z których każde zapchane było radiostacjami i telefonami. Był tam też komputer z grubymi plikami parametrów nadawczych, wykorzystywanych przy identyfikacji odbieranych sygnałów, danych zawierających dokładną lokalizację w stopniach i w minutach każdego znanego miejsca transmisji w Azji i nad Pacyfikiem, jak również azymuty maksymalnej radiacji na miejsca nadania sygnału, tablicę częstotliwości wyskalowaną w kilohercach, pomagającą dokładnie ustalić konkretne sygnały oraz program SINPO do usuwania wszelkich usterek związanych z siłą sygnału, interferencją, szumami oraz ogólną jakością odbioru.

Zajmując pomieszczenie opuszczone przez oficera łącznikowego, któremu dał płytę kompaktową z nagraniem wideo, Donalda zainteresował się tylko jednym nadajnikiem.

Wiedział, że nie będzie miał kłopotów z przekazaniem wiadomości do miejsca oddalonego o niecałe pięć mil stąd. Przeprowadził komputerowy test nadajników w Strefie Zdemilitaryzowanej. Były dwa - pracujące na falach krótkich i średnich. Wybrał ten pierwszy, działający na częstotliwości 3.350 kHz, podniósł mały mikrofon i wysłał zwięzłą wiadomość:

Do generała Hong-ku, dowódcy sił zbrojnych Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej w bazie numer jeden w Strefie Zdemilitaryzowanej.

Ambasador Gregory Donald przesyła pozdrowienia i zwraca się z uprzejmą prośbą o spotkanie w strefie neutralnej w porze dogodnej dla pana generała.

Staram się położyć kres eskalacji konfliktu i mam nadzieję na jak najszybsze spotkanie.

Donald powtórzył wiadomość, potem zameldował się u generała Schneidera. Generał

dowiedział się już od swoich ludzi, co widział Donald: przerzucano na granicę Strefy czołgi i lekką artylerię wraz z personelem pomocniczym.

Schneider nie był zaskoczony ani zmartwiony mobilizacją wojsk, chociaż wołał, by generał

Sam kazał zrobić to samo jego własnym żołnierzom. Lecz Sam nie podejmował żadnych działań bez zgody Seulu, zaś Seul nie mógł wydać stosownych rozkazów, dopóki Lawrence nie zdecyduje się na przejście do stanu Defcon 2 i nie odbędzie rozmowy z prezydentem Ohn Mong-Joonem. Donald wiedział, że nic podobnego nie wydarzy się bez kolejnego incydentu, podobnego do ostrzelania *Mirage* i że obaj prezydenci będą unikali bezpośredniej oficjalnej rozmowy do chwili, gdy wraz z doradcami nie zdecydują, co należy zrobić. W ten sposób mogli zawrzeć szybkie porozumienie i zademonstrować światu, że potrafią się dogadać i podjąć zdecydowane działania.

Donald siedział i czekał, żeby się przekonać, czy Północ przyjmie jego zaproszenie..., a jeżeli tak, czy Schneider uzna to za działanie tchórza, czy Zbawiciela.

□ Środa, godzina 1.20 - wioska Janghu

Dom zbudowany był z kamienia, kryty strzechą, z małym drewnianym gankiem od frontu.

Po obu stronach znajdowały się po dwa okna z czterema szybami. Nie było zamka, a drzwi blokowała prosta zasuwka. Budynek wyglądał na stosunkowo nowy, bo strzecha i kamienie nosiły ślady nie więcej, niż dwóch deszczowych zim.

Czho obejrzał się na Huana, który skinął głową. Kierowca zgasił światła, wyjął latarkę ze schowka i wysiadł w ciemność przesyconą lekką mżawką. Gdy otworzył drzwi od strony Kim, Huan wysiadł.

- Obiecuję, że nie ucieknę - powiedziała Kim do Huana ze śladem gniewu w głosie. - Nie mam dokąd.

- Ludzie bez przerwy uciekają, panno Czhong. Poza tym, tego wymagają zasady I tak już nagiąłem przepisy, zabierając panią tutaj bez kajdanek.

Wyślizgnęła się z auta, zaś Czho stał tuż za nią.

- Zasluguje na upomnienie, panie Huan, i przepraszam. Z tymi słowy ruszyła przodem i wchłonęła ją ciemność. Czho natychmiast wyrwał kluczyki ze stacyjki i pospieszył za nią z latarką w dłoni. Huan szedł na końcu.

Kim odsunęła zasuwę i weszła do środka. Ze szklanej miski na stoliku obok drzwi wyciągnęła długą drewnianą zapalniczkę i zapaliła kilka stojących pod szkłem świec, porozrzucanych po pokoju. Gdy nie patrzyła, Huan dał ręką znak Czho, by poszedł na zewnątrz i stanął na straży. Czho w milczeniu wyślizgnął się z domu.

Gdy pomarańczowa poświata wypełniła pomieszczenie, Huan zauważył fortepian, starannie zaścielone podwójne łóżko, mały okrągły stół z jednym krzesłem i biurko ze stojącymi w ramach zdjęciami. Nie spuszczał z niej wzroku, gdy z wdziękiem poruszała się po pokoju.

Odniosł wrażenie, że pogodziła się z tym, co przyniósł dzień. Zastanawiał się, czy dlatego, że tak naprawdę nigdy nie miała serca do tej pracy, czy dlatego, że miała praktyczną, konfucjańską naturę. A może szykuje mu największą porażkę jego życia?

Podszedł bliżej. Nie zauważył zdjęć Kim, lecz nie zdziwił się. Zmuszona do nagłej ucieczki, nie miałaby czasu tu zajrzeć, a Phenian zapewne nie byłby zadowolony, gdyby y zdjęcia ich szpiega wpadły w ręce KCIA. Podniósł jedno z nich.

- Pani brat i matka?

Kim skinęła głową:

- Bardzo przystojny To pewnie pani dom?

- Był.

Odłożył zdjęcie.

- A co mi pan powie o domu, w którym teraz jesteśmy? Czy zbudowano go specjalnie dla pani?

- Panie Huan, proszę - żadnych więcej pytań.

Huan wyczuł wyrzut w jej głosie.

- Słucham?

- Mamy przecież umowę... zawieszenie broni.

Huan podszedł bliżej.

- Panno Czhong, nie ma takiej umowy. Chyba pomyliła się pani co do naszych wzajemnych stosunków.

- Nie ma żadnej pomyłki. Jestem pańskim więźniem. Ale nie zdradzę mojego kraju współpracując z KCIA i nie życzę sobie prób zdobycia mego zaufania pytaniami o dom i rodzinę. Obawiam się, że i tak już się zdradzam, przyprowadzając pana tutaj.

Huan poczuł się dotknięty Nie dlatego, że zapytał i odmówiono mu odpowiedzi. Jego zadaniem było wybadać, czy dom Kim zbudowali miejscowi, czy nielegalni przybysze z Północy, o których istnieniu KCIA mogła nic nie wiedzieć, a jej zadaniem było mu to uniemożliwić. Takie były reguły gry Zdenerwował go jednak fakt, że dziewczyna ma absolutną rację. Kim Czhong mogła w sercu nie być szpiegiem, lecz była patriotką. Nie powinien jej nie doceniać. Drugi raz nie popełni tego samego błędu.

Kim usiadła przy klawiaturze fortepianu na obitej zielonym aksamitem ławce i zagrała kilka taktów jakiegoś kawałka jazzu, którego Huan, stojący za jej plecami, nie poznał.

Skończywszy, podniosła pokrywę i włożyła obie ręce do wnętrza instrumentu. Uważnie śledził jej ruchy, lecz ona, jeżeli nawet to zauważyła, nie dała tego po sobie poznać. Obiema dłońmi ostrożnie odkręciła nakrętkę motylkową na metalowej klamrze, odchyliła wieko do tyłu i wyjęła mały nadajnik. Po drugiej stronie znajdował się wspornik z czymś, co z wyglądu przypominało detonator połączony przewodami z wiekiem.

Huan poznał najnowszy model izraelskiej radiostacji, *Kol38*. KCIA również prowadziła rozmowy w sprawie zakupu tego modelu. Nadajnik umożliwiał użytkownikowi kontakt radiowy na odległość ponad 1.200 kilometrów bez konieczności korzystania z satelity Jedną część służyła do nasłuchu, zaś druga do odbioru, co umożliwiało agentom w polu prowadzenie radiokonferencji z kwaterą główną.



Aparat zasilały lekkie baterie kadmowe, dzięki którym doskonale nadawał się na oddalone placówki. Nawet modele amerykańskie nie były tak niezawodne.

Podeszła do okna, otworzyła je i ustawiła radiostację na parapecie. Przed włączeniem, mimochodem położyła dłoń na ekranie z wyświetlaczem na diodach, znajdującym się na wierzchu aparatu, żeby Huan nie mógł zobaczyć częstotliwości, na którą został nastawiony

- Jeżeli odezwie się pan choć słowem, usłyszą. Nie mogą się dowiedzieć, że zostałam wykryta.

Huan skinął głową.

Kim nacisnęła guzik i obok mikrofonu kondensatorowego, wbudowanego w aparat, zapaliła się czerwona lampka.

- Seul Oh-Miyo wzywa bazę, Seul Oh-Miyo wzywa bazę, odbiór.

Kryptonim rodem z opery, pomyślał Huan. Nawet pasuje do istic wagnerowskich wydarzeń, które rozgrywają się wokół nas.

Po chwili dotarł do nich głos z bazy. Jego znakomita jakość zaskoczyła Huana.

- Baza do Seul Oh-Miyo. Gotowi do przyjęcia wiadomości. Odbiór.

- Baza, muszę wiedzieć, czy nie zameldowano o kradzieży butów wojskowych, materiałów wybuchowych i innego wyposażenia. KCIA znalazła dzisiaj ślady w pobliżu pałacu. Odbiór.

- Jak dawno nastąpiła kradzież? Odbiór.

Kim spojrzała na Huana. Huan pokazał dziesięć palców i poruszając ustami powiedział:

„miesiący”.

- Dziesięć miesięcy temu - powiedziała. - Odbiór.

- Damy znać, gdy będziemy mieli jakieś informacje. Bez odbioru.

Kim pstryknęła wyłącznikiem. Huan był ciekaw, czy Północ, tak samo jak Południe, używa skomputeryzowanego sprzętu. Zamiast tego zapytał:

- Jak długo może im to zająć?

- Godzinę... może dłużej.

Potrzymał zegarek w pobliżu świecy, potem spojrzał na ciemną sylwetkę Czho, stojącą w pobliżu samochodu.

- Bierzemy radiostację i wracamy

Nie poruszyła się.

- Nie mogę tego zrobić.

- Nie ma pani wyboru, panno Czhong. - Podszedł bliżej. Staralem się być dla pani uprzejmy..

- Oboje na tym korzystamy..

- Nie! Dzięki okazywanej uprzejmości nie jesteśmy zwierzętami. Proszę pamiętać, że muszę się na bieżąco orientować w przebiegu śledztwa, a stąd nie mogę tego robić. Obiecuję, że nikt nie będzie patrzył na ekran pani radia. Czy robi pani, o co proszę?

Kim zawahała się, potem włożyła radio pod pachę i zamknęła okno.

- W porządku. Żebyśmy się nie stali zwierzętami.

Wyszli na zewnątrz. Zapaliła się latarka, żeby oświetlić im drogę, zaś ciemna sylwetka Czho stojąca obok samochodu otworzyła drzwi przed Kim.

## □ Środa, godzina 11.30 - Centrum

Wciśnięte w czerwone ramki na monitorze komputera, twarze Ernesto Colona i Bugsa Beneta nie mogły się bardziej różnić. Z głębi zapadniętej twarzy sześćdziesięcioletniego sekretarza obrony spoglądały podkrążone oczy. Przywodził na myśl portret Doriana Graya, bowiem jej rysy odzwierciedlały każdą decyzję podjętą w okresie ostatnich dwóch lat na stanowisku podsekretarza stanu ds. marynarki - kilka trafnych i wiele nie do końca.

Bugs miał czterdzieści cztery lata, okrągłą, anielską twarz i jasne oczy, które nie zdradzały ani śladu napięcia spowodowanego planowaniem rozkładu zajęć Hooda i opracowywaniem oficjalnych dokumentów. Gdy demokratą Hood piastował stanowisko burmistrza Los Angeles, Bugs był asystentem republikańskiego gubernatora Kalifornii. Współpraca układała im się wręcz wzorowo - gubernator nader często określał ją mianem „konspiracyjnej”.

Hood nigdy nie mógł się nadziwić, że stres związany z siedzeniem na miejscu i podejmowaniem decyzji kosztuje człowieka znacznie więcej, niż ich wykonywanie.

Sumienie człowieka jest największym tyranem. Jednak żywił głęboki szacunek dla Bugsa, który nie tylko radził sobie z chwilami ponurej zadumy swego szefa, lecz także ze zmiennymi nastrojami i wymaganiami takich ludzi, jak Colon - i Bob Herbert, który w kategorii rozwagi zajmował drugie miejsce w Centrum, zaraz po Lowellu Coffeyu. Różnica polegała na tym, że Coffey obawiał się procesów sądowych i cenzury, zaś Herbert aż nadto dobrze poznał wyniki zlekceważenia choćby jednej możliwości.

Benet i Herbert głównie słuchali, gdy Hood i Colon omawiali wyniki symulacji komputerowych, i opracowywali raport działań wojskowych, który mieli przedstawić prezydentowi. Chociaż termin i szczegóły wykonania pozostaną do opracowania dla członków Kolegium Szefów Sztabów w konsultacji z dowódcami oddziałów frontowych, mężczyźni byli zdania, że siły marynarki i piechoty morskiej, znajdujące się już w drodze z Oceanu Indyjskiego, powinny zostać uzupełnione trzema krążownikami standardu *Aegis* i dwoma lotniskowcami z Floty Pacyfiku, jak również powołaniem rezerw i przegrupowaniem pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy z Arabii Saudyjskiej, Niemiec i USA. Zalecą także natychmiastowe przemieszczenie sześciu systemów antyrakietowych *Patriot* do Korei Południowej. Chociaż podczas wojny w Zatoce Perskiej *Patrioty* nie spisały się tak dobrze, jak tego oczekiwano, dostarczały znakomitego materiału filmowego, co z pewnością przyczyni się do utrzymania właściwego nastroju opinii publicznej. W mniej eksponowany sposób miano przerzucić z Hawajów do Korei Południowej taktyczne pociski nuklearne.

KRL-D pewnie nie była jeszcze mocarstwem atomowym, mogła jednak kupić bombę w jakimkolwiek innym kraju.

Mężczyźni oszacowali także spodziewane straty „krótkiej wojny”, trwającej dwa lub trzy tygodnie, dopóki ONZ nie wezwie do zawarcia rozejmu i „długiej wojny” -

sześciomiesięcznej lub dłuższej. Przy uderzeniach konwencjonalnych, straty Amerykanów mogły osiągnąć około czterystu zabitych i trzy tysiące rannych w tej pierwszej i przynajmniej dziesięć razy tyle w drugiej.

Przez cały czas trwania dyskusji Bugs milczał, a Herbert zgłosił tylko trzy propozycje.

Pierwsza zalecała, by zanim nie zbiorą więcej informacji o terrorystach, z Bliskiego Wschodu przerzucono tylko minimalną liczbę żołnierzy. Uważał, że nie należy pochopnie odrzucać teorii o spisku, który miałby na celu uwikłanie Ameryki w działania na froncie pozornym, by prawdziwa wojna mogła wybuchnąć gdzie indziej. Po drugie, zanim satelity nie wrócą do stanu używalności, chciał dostać wystarczającą ilość czasu na przeanalizowanie wszelkich najnowszych informacji wywiadu, które zbiorą Centrum i CIA przed wysłaniem żołnierzy do akcji. Trzecia sugestia miała na celu wzmocnienie oddziałów frontowych grupami antyterrorystycznymi. Wszystkie trzy propozycje uwzględniono w raporcie. Hood wiedział, że Herbert potrafił zrządzić, lecz zatrudnił go dla jego wiedzy, a nie uroku osobistego.

Podczas gdy Bugs wprowadzał na ekran gotowy do analizy dokument, odezwał się telefon umieszczony w podłokietniku wózka Herberta. Paul spojrzął przez ramię, gdy Bob nacisnął przycisk zewnętrznego głośnika.

- Co masz nowego, Rachel?

- Odezwał się nasz człowiek z wojskowego centrum komunikacji w Phenianie. Mówi, że trudno mu się było z nami skontaktować, bo tamtejsze władze sprawiają wrażenie tak samo zaskoczonych rozwojem wydarzeń, jak my.

- Co wcale nie oznacza, że mają czyste ręce.

- Nie. Ale sugeruje, że dopiero niedawno otrzymali wiadomość od własnej agentki w Seulu.

Prosiła o informacje na temat ewentualnej kradzieży butów wojskowych i materiałów wybuchowych z jakiejś bazy w Korei Północnej.

- Sprawdzają to na prośbę agentki z Korei Północnej, tak?

- Tak.

- Musiała się dowiedzieć o podejrzeniach KCW. Powiedz dyrektorowi Young-Hoonowi, że mogą mieć przeciek na łączach. Czy odezwał się jeszcze ktoś?

- Nie. Sprawdziłem z szeregowcem Kohem w centrum komunikacyjnym w Strefie Zdemilitaryzowanej. Wiadomość nie szła przez satelitę.

- Dzięki, Rachel. Prześlij tekst przekazu Bugsowi. - Po zakończeniu rozmowy spojrzął na Hooda,

który skinął głową. KRL-D prowadzi śledztwo w sprawie przypuszczalnej kradzieży materiałów, wykorzystanych przy podłożeniu bomby z jednego z ich magazynów wojskowych. Wygląda na to, szefie, że nabrał nas ktoś, komu bardzo zależy, żebyśmy się znaleźli na wojennej stopie.

Hood przerzucił wzrok z Herberta na monitor i znów zaczęły prześladować go słowa prezydenta: „Nawet jeżeli wcześniej Północ nie maczała w tym palców - teraz tkwi w tym po samą szyję!”

Po skopiowaniu planów rozlokowania sił z pliku gier wojennych do raportu, Colon podpisał kodem wystukany na klawiaturze własną część dokumentu. Gdy się wyłączył, Hood powiedział:

- Bugs, chcę, żeby ten przekaz poszedł od razu i żebyś dodał notatkę, którą zaraz napiszę.

Poproś Ann, żeby się włączyła, dobrze?

Hood zastanowił się przez chwilę. Nie miał daru zwięzłości Ann Farris w formułowaniu myśli, lecz pragnął, by adnotacja z ostrzeżeniem znalazła się gdzieś w stałym katalogu grupy roboczej. Zrobił okienko, otwierając jej dostęp do tekstu i zaczął stukać palcami po klawiaturze. Herbert przytoczył się do biurka i czytał mu przez ramię.

Panie prezydencie, podzielam pańskie oburzenie z powodu ataku na nasz samolot oraz śmierci naszego oficera rozpoznania. Jednakże zalecam powściągliwość w zakresie działań z pozycji siły. Możemy stracić wiele, a zyskać bardzo mało walcząc z kimś, kto tym razem może nie być naszym przeciwnikiem.

- Punkt dla ciebie, szefie - powiedział Herbert. - Może nie mówisz w imieniu grupy roboczej, ale w moim na pewno.

- I w moim - dodała Ann. - Sama nie ujęłabym tego lepiej.

Hood wprowadził dodatek do pamięci komputera i wywołał twarz Ann na ekranie. Była tak dobra w sprzedawaniu pomysłów dziennikarzom przez telefon, że nie wiedział, czy mówi prawdę, dopóki nie ujrzy jej twarzy. Tym razem opinia Ann pokrywała się ze słowami. Odkąd ją poznał pół roku temu, po raz pierwszy nie wtrącała się w to, co napisał.

Herbert wyjechał z gabinetu, Ann wróciła do rozmowy z rzecznikiem prasowym Białego Domu, zaś Hood skończył analizować aktualizację danych raportu, po czym kazał Bugswi przefaksować ją przez bezpieczną linię. Gdy został sam, po raz pierwszy tego dnia poczuł się zadziwiająco odprężony. Podniósł słuchawkę i zatelefonował do szpitala, gdzie czekały na niego niespodziewane wieści.

## □ Środa, godzina 1.45 - Strefa Zdemilitaryzowana

Żołnierze w centrum łączności radiowej wraz z szeregowcem Kohem wymieniali najnowsze plotki, gdy nadeszła wiadomość z kwatery głównej generała Hong-ku, dowódcy Armii Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej. Natychmiast spowaźnieli i przestali nabijać się z Koha, że chce się wykazać, dobrowolnie zgłaszając się na drugą zmianę.

Odtworzyli jeszcze raz współrzędne nagrane przez anteny kierunkowe, żeby się przekonać, czy rzeczywiście wiadomość nadeszła tuż zza Strefy Zdemilitaryzowanej. Następnie upewnili się, że wiadomość wysłał jego adiutant Kim Hoh. Komputer przejrzał pliki i w kilka sekund dokonał identyfikacji widma głosowego. Na koniec, mniej niż trzydzieści sekund po otrzymaniu sygnału, wysłali na drugą stronę potwierdzenie odbioru i włączyli dwukasetowy magnetofon, by nagrać wiadomość i jej kopię. Jeden z żołnierzy powiadomił generała Schneidera o nadejściu przekazu radiowego z Północy Szeregowiec otrzymał rozkaz dostarczenia jej w chwili, gdy będzie kompletna.

Spośród piątki żołnierzy, Koh z największym z napięciem wsłuchiwał się w treść wiadomości:

Do byłego ambasadora Gregory'ego Donalda w bazie Charlie. Generał

Hong-ku, dowódca Armii Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej w bazie numer jeden, w Strefie Zdemilitaryzowanej odwzajemnia pozdrowienia i przyjmuje zaproszenie na spotkanie w strefie neutralnej o godzinie 08.00.

Podczas gdy jeden z żołnierzy przekazywał potwierdzenie odbioru, drugi wziął kopię kasety oraz magnetofon i zaniósł je do kwatery generała Schneidera. Koh powiedział

pozostałym dwóm żołnierzom, że czuje się trochę zmęczony i musi wyjść na kawę i papierosa. Gdy znalazł się na zewnątrz, ukrył się za pobliską ciężarówką i rozpiął koszulę.

Do ramienia miał przyczepiony telefon komórkowy M2. Rozpiął sprzączkę, wysunął antenę i wystukał numer Li.

- Lepiej, żebyś miał na to jakąś krótką i jasną odpowiedź powiedział Schneider do wchodzącego George'a - bo denerwują mnie senne plutony egzekucyjne.

Generał ubrany był w piżamę i szlafrok, a w dłoni trzymał magnetofon i słuchawki. Serce Donalda zabiło żywiej. Nie martwił się generałem Schneiderem, lecz odpowiedzią Koreańczyków z Północy. Wziął magnetofon, przyłożył jedną ze słuchawek do ucha i przesłuchał wiadomość. Gdy dobiegła końca, powiedział:

- Wyjaśnienie jest takie: prosiłem ich o spotkanie, a oni zgodzili się.
  - Więc naprawdę zrobiłeś to głupstwo? Nielegalnie, z radiostacji, za którą odpowiadam?
  - Tak. Mam nadzieję, że wszyscy będziemy zachowywać się racjonalnie i unikniemy wojny
  - My? Gregory, nie mam najmniejszego zamiaru siedzieć po drugiej stronie stołu z Hong-ku. Może ci się wydawać, że coś osiągniesz sprowadzając go na spotkanie, ale on cię wykorzysta. Jak ci się wydaje, dlaczego czeka kilka godzin? Żeby mogli wszystko przygotować. Zrobią ci zdjęcia, jak im się przymilasz, tymczasem nasz prezydent wypadnie na dwulicowego...
  - A nie jest?
  - Nie w tym przypadku. Biuro Colona mówi, że od samego początku zachowuje się jak ranny tygrys i tak powinno być. Te dranie podłożyły bombę w samym centrum Seulu, zabili ci żonę...
  - Nie wiemy na pewno, czy to oni - odparł Donald przez zaciśnięte zęby.
  - Ale wiemy, że ostrzelali jeden z naszych samolotów, Greg! Jako dowód mamy torbę z ciałem!
  - Zareagowali zbyt nerwowo, a my właśnie tego powinniśmy unikać...
  - Defcon 3 to nie nerwowa reakcja. Świadczy o właściwym zrozumieniu żołnierskiego rzemiosła. Zresztą prezydent ma zamiar na tym poprzestać i pozwolić im się spocić. -
- Schneider wstał i wpakował swe olbrzymie dłonie do kieszeni. Cholera, kto wie, co zrobi po tym twoim liście miłosnym.
- Robisz z igły widły.
  - Wcale nie. Ty rzeczywiście nic z tego nie rozumiesz, prawda? Stawiasz prezydenta w położeniu bez wyjścia i nic cię to nie obchodzi.
  - Dlaczego tak myślisz?
  - Co się stanie, jeżeli wyciągniesz gałązkę oliwną, którą Korea Północna przyjmie, ale nie wycofa żadnych oddziałów, zanim nie zrobi tego nasz prezydent? Jeżeli odmówi, będzie to wyglądało na straconą szansę zachowania pokoju. A jeżeli się wycofa, wyjdzie na to, że stchórzył.
  - Bzdury...
  - Gregory, zastanów się! Gdzie jest jego wiarygodność, jeżeli okazuje się, że ty prowadzisz politykę zagraniczną? Co zrobimy następnym razem, gdy jakiś Saddam Hussajn albo Raul Cedras wyciągnie ręce po władzę, albo jakiś inny kretyń przyśle pociski na Kubę? Czy pošlemy po Gregory'ego Donalda?
  - Tak. Uważam, że trzeba z nimi rozmawiać, próbować ich przekonać. Kiedy John Fitzgerald

Kennedy organizował blokadę Kuby, równolegle negocjował jak szalony z Chruszczowem w sprawie wycofania niektórych naszych pocisków z Turcji. Właśnie to rozwiązało kryzys, a nie udział marynarki. Cywilizowani ludzie rozmawiają ze sobą.

- Hong-ku nie jest cywilizowany.

- Ale jego zwierzchnicy są, a dzisiaj, od rana nie mieliśmy żadnych bezpośrednich kontaktów z Północą na najwyższym szczeblu. Nie uwierzyłbyś, że dorośli bawią się w takie gierki, ale to prawda. Jeżeli uda mi się nawiązać dialog, nawet z Hong-ku...

- A ja ci mówię, że rozmowa z nimi nie przyniesie nic dobrego. Ma bardziej wsteczne poglądy od Dżyngis-chana i Bóg mi świadkiem, że wystrychnie cię na dudka.

- Więc chodź ze mną. Pomóż mi.

- Nie mogę. Mówiłem ci, że ci ludzie znajdują się na propagandzie. Użyją gruboziarnistego czarno-białego filmu, na którym wyjdę, jakbym wachał gówno, albo był jeńcem wojennym.

Chłopcy w Waszyngtonie oszaleją. - Wyjął kasetę z magnetofonu i delikatnie klepnął nią w otwartą dłoń. - Greg, martwiłem się, gdy usłyszałem o Sundzi. Ale to, co chcesz zrobić nie ocali nikomu życia. Za rogiem mamy nadal ponad miliard komunistów i drugi miliard innych radykałów, fanatyków religijnych, zwolenników czystek etnicznych, szalonych okultystów i Bóg jeden wie, kogo jeszcze. Tylko ja i moi ludzie troszczymy się o pozostałe trzy miliardy, Gregory. Dyplomaci umieją tylko zyskiwać na czasie - czasem w interesie niewłaściwej strony, jak Neville Chamberlain. Nie można dyskutować z czubkami, Gregory...

Donald spojrział na swą fajkę.

- Tak... Rozumiem.

Schneider spojrział na niego dziwnie, a potem rzucił okiem na zegarek. - Zostało ci jeszcze sześć godzin. Proponuję, żebyś się przespał, obudził z bólem żołądka i odwołał wszystko.

Tymczasem, jeżeli chodzi o moją bazę, nadana przez ciebie wiadomość już nie istnieje.

Wykasowaliśmy twoje nagranie z pamięci i zdjęliśmy z zapisu współrzędne, których użyłeś. -

Podniósł do góry magnetofon. - Po raz pierwszy dowiedzieliśmy się o spotkaniu, gdy oni skontaktowali się z tobą. Jeżeli Koreańczycy powiedzą, że ty nadałeś pierwszy przekaz, zaprzeczmy temu. Jeżeli wyciągną kasetę, powiemy, że ją podrobili. Jeżeli powiesz coś innego, damy znać prasie, że nie wiesz, co mówisz z żalu po stracie żony. Przykro mi, Greg, ale tak musi być.

Gregory opuścił spojrzenie na swą fajkę.

- Nawet jeżeli przekonam Hong-ku, żeby się wycofał?



- Nie uda ci się.

- Ale gdyby?

- W takim razie - powiedział Schneider - prezydent przypisze sobie wszelkie zasługi z racji tego, że cię wysłał, będziesz cholernym bohaterem, a ja osobiście przypnę ci medal.

## □ Środa, godzina 02.00 - wioska Janghu

Kim wsiadła do samochodu, tuląc do siebie małe radio, by ochronić je przed padającą mżawką. Huan przyglądał jej się uważnie. Zdarzyło się kiedyś, że więzień, ze skutymi do tyłu rękami, użył sprężyny z zatrasku pasa bezpieczeństwa w samochodzie i uciekł. Lecz nie obawiał się tego ze strony Kim - spróbowalaby przecież wcześniej, gdy byli sami. Przyglądał

się jej, pełen ogarniającej go fascynacji. Rzadko spotykało się w człowieku tak doskonałe połączenie patriotyzmu ze szlachetnością. Ku temu dążył we własnym życiu i zwykle czegoś brakowało - nie można było zgłębiać ciemnej strony życia ludzkiego i samemu pozostać nieskalanym...

Jego myśli przerwał gwałtowny ruch z prawej strony, błysk latarki, a w ślad za nim obezwładniający ból w boku. Gdy ostry cios opróżnił mu płuca, coś w nim głośno zabulgotało, a kolejne uderzenie pozbawiło czucia prawą nogę. Spróbował przytrzymać się otwartych drzwi samochodu, by wyhamować upadek. Nie trafił, pośliznął się i upadł plecami na bok oparcia siedzenia. Podejmując niezgrabną próbę wydostania pistoletu z kabury pod pachą, spojrzał na Czho.

Ale to nie był Czho. W żółtawym świetle dobiegającym z wnętrza samochodu dojrzał

czapkę i twarz, której nie poznał, twarz, na której malowało się napięcie i okrucieństwo.

Niech ją diabli, pomyślał mimo bólu. Przez cały czas ciągnęła kogoś za sobą...

Prawa ręka była dziwnie zdrętwiała i nie mógł zacisnąć palców na kolbie pistoletu. Gdy ześlizgiwał się na ziemię, poczuł wilgoć w prawym boku. Na dwudziestocentymetrowej klindze napastnika ujrzał plamy swej krwi. Ostrze cofnęło się. Było teraz na poziomie jego brzucha. Nie obroni się przed ciosem w klatkę piersiową. Pójdzie w górę, pod mostek, ostatni błysk bólu i śmierć. Często zastanawiał się nad tym, jak i kiedy umrze, lecz nigdy nie przypuszczał, że zginie leżąc na plecach w błocie.

Do tego czując się jak głupiec. Poczul, że dziewczyna nachyla się nad nim. Ufał jej i miał

nadzieję, że wykują napis o tej treści na jego kamieniu nagrobnym. Chociaż właściwszy byłby napis: „Co za kretyn...”

Broń Huana wysunęła się z futerału, gdy wylądował na wilgotnej ziemi. Odruchowo ścisnął

ranę lewą dłonią, starając się utrzymać otwarte oczy i stanąć w obliczu śmierci z resztką sprzeciwu, jaka mu pozostała. Dojrzał uśmiechającego się mordercę w ubraniu Czho, po czym nastąpił biały błysk, jakby piorunu, po nim drugi i trzeci. Szybka seria przeleciała może o pół metra nad nim i zamknął oczy, gdy poczuł ciepło płomienia wylotowego na karku.

Piorun odbijał się echem jeszcze przez chwilę i zamarł. Pozostał jedynie plusk padających mu na

twarz kropli deszczu i pulsujący ból w boku.

Kim podkradła się do Huana i przyklękła u jego boku. Sięgnęła na drugą stronę po nóż i przez jedną niepewną chwilę nie rozumiał, dlaczego nie czuje kul... i dlaczego wołała go zasztyletować, a nie zastrzelić.

Chyba się kręcił, bo kazała mu leżeć bez ruchu. Starał się rozluźnić i uświadomił sobie, jak wielki ból powoduje każdy oddech.

Kim wyciągnęła mu zza pasa koszulę, odcięła kawałek z boku, a potem podniosła latarkę.

Przyjrząwszy się ranom, wstała i podeszła do zwłok. Wyciągał szyję, patrząc, jak ściąga buty i skarpetki z mordercy, potem rozpina mu pasek i wyrywa go jednym szarpnięciem. Huan opadł na ziemię, łapiąc urywane hausty powietrza.

- Czho? - zapytał.

- Nie wiem, gdzie jest jego ciało.

Jego ciało...

- Ten człowiek musiał nas śledzić. Nie pytaj, nie wiem, kto to jest.

Nie... z Kim... terroryści...

Kim owinęła pasek wokół Huana, lecz nie zapinała go. Potem przyłożyła po skarpetce do każdej z ran.

- Może boleć - ostrzegła, zaciskając ciasno pasek.

Huan z trudnością złapał dech po nagłej eksplozji bólu, sięgającej od pachy po kolana.

Leżał na plecach charcząc, zaś Kim przesunęła się za niego, chwyciła go pod ramiona i wciągnęła na tylne siedzenie samochodu. Gdy położyła radio na podłodze, Huan podparł się łokciem.

- Poczekaj... ciało.

Pomogła mu się położyć i próbowała przypiąć pasami.

- Nie wiem, gdzie jest Czho!

- Nie! Odciski... palców

Kim zrozumiała. Zamknęła za nim drzwi, otworzyła drugie z przeciwnej strony i wciągnęła martwego mężczyznę do środka. Potem przeszła na miejsce kierowcy i nagle zastygła.

- Muszę znaleźć Czho! - powiedziała, cofając się.

Chwyliła latarkę, skierowała ją w stronę ziemi i szła krok w krok za śladami stóp mordercy. Chociaż jej ruchy zdradzały pośpiech, wydawała się spokojna, opanowana i skoncentrowana.

Ślady stóp wiodły do gęsto zarośniętego wąwozu, oddalonego o jakieś czterdzieści metrów od domu, gdzie znalazła skuter, a obok kierowcę. Czho leżał na plecach z głową na pochyłości i ciemnymi śladami krwi na środku klatki piersiowej. Ześlizgnąwszy się w dół do ciała, Kim pospiesznie przeszukała jego kieszenie, znajdując wreszcie kluczyki, które miał ze sobą, potem szybko wróciła do samochodu.

Huan leżał nieruchomo, przyciskając dłoń do boku. Zaciśnął powieki i ciężko oddychał.

Gdy usłyszał, jak silnik zaczyna pracować, otworzył oczy.

- Radiostacja... samochód.

Kim wrzuciła jedynkę i szybko przyspieszyła.

- Mam im powiedzieć, co się stało?

- Tak... - Pasek wpijał się w mięśnie. Próbował się nie poruszać. - Potrzebujemy..

identyfikacji... szybko.

- Mordercy Z jego odcisków palców

Huan nie miał siły mówić. Skinął głową, nie będąc pewien, czy Kim zauważyła, potem usłyszał jej głos, mówiący do mikrofonu radiostacji. Usiłował sobie przypomnieć, co dokładnie o niej myśli, lecz każdy płytki oddech, każdy podskok samochodu na wyboju paraliżował bólem. Starał się nie poruszać, wcisnąwszy prawy łokieć w fałd tapicerki za siedzeniem i opierając lewą rękę o tył przedniego oparcia. Czuł, jakby miał w środku pas, który zaciskając się, zmuszał go do pochylenia na prawy bok. Próbując przezwyciężyć ból i zachować przytomność, poczuł, jak zawirowała mu w głowie bezładna plątanina obrazów i myśli.

Nikt z Północy... nie ona... ale kto z Południa... dlaczego?

W tej samej chwili płomień bólu dotarł do mózgu i litościwie wtłoczył go w omdlenie.

□ **Wtorek, godzina 12.30 po południu - Centrum**

Doktor Orlito Trias był już na miejscu, gdy Hood zatelefonował do pokoju Alexandra.

Podejściem do pacjentów przypominał doktora Frankensteina, lecz był świetnym diagnostą i dociekliwym naukowcem.

- Paul - przywitał go wyraźnym filipińskim akcentem. Cieszę się, że zadzwoniłeś. Twój syn ma wirusa.

Hood poczuł, jak ciarki przebiegają mu po grzbiecie. Przed AIDS, słowo to sugerowało dolegliwość, którą można było łatwo zwalczyć antybiotykami.

- Jaki wirus? Tylko mów, jak komu dobremu, Orly

- Dwa tygodnie temu chłopak przeszedł ostrą infekcję oskrzeli. Wydawało się, że została wyleczona, ale adenowirus zaatakował płuca. Wystarczyła obecność alergenów w powietrzu i dlatego steroidy i inhalator nie działały. To nie jest typowy atak astmy, tylko rodzaj choroby, blokującej płuca.

- Jak się to leczy? - zapytał Hood.

- Terapią antywirusową. Rozpoznaliśmy infekcję dość wcześnie i są wszelkie podstawy by sądzić, że się nie rozprzestrzeni.

- Wszelkie podstawy ..

- Jest osłabiony - powiedział Orly - a te wirusy doskonale wykorzystują wszelką sposobność. Nigdy nic nie wiadomo.

O Boże, Orly.

- Czy jest tam Sharon?

- Tak.

- Wie o tym? - zapytał Hood.

- Tak. Powiedziałem jej to samo, co tobie.

- Daj mi ją - i... dziękuję.

- Nie ma za co. Będę do niego wpadał co godzinę.

Po chwili na linii usłyszał głos Sharon.

- Paul...

- Wiem. Orly nie ma przyszłości w ONZ.

- Może to i dobrze - powiedziała Sharon. - Wolę wiedzieć, niż pozostawać w niepewności.

Najgorsze jest czekanie. Wiesz, że nigdy nie byłam w tym dobra.

- Alexowi nic nie będzie.

- Skąd wiesz? Ja pracowałam w szpitalu, Paul. Wiem, że od tego może zacząć się pożar.

- Orly nie oszczędłby ani na krok, gdyby sytuacja była poważna.

- Paul, on nic nie może zrobić! Dlatego sobie idzie.

Do gabinetu Hooda weszła Ann, niosąc w dłoniach lunch i zatrzymała się tuż za progiem, widząc wyraz twarzy Hooda. W tej samej chwili na ekranie komputera pojawiła się wiadomość, że chce z nim rozmawiać sekretarz do spraw obrony.

- Posłuchaj - powiedziała Sharon. - Nie zadzwoniłam, bo nie chciałam, żebyś rzucił to, co robisz i przyjeżdżał tutaj. Po prostu potrzebowałam wsparcia, rozumiesz?

Hood usłyszał drzenie w jej głosie - starała się nie wybuchnąć płaczem.

- Wszystko w porządku, Sharon. Zadzwoń, jeżeli coś się stanie - albo ja zadzwonię, jak tylko dam radę.

Odłożyła słuchawkę, a Hood przełączył się ze zwykłego telefonu na bezpieczną linię. Czuł

się kimś mniej niż mężem, mniej niż ojcem i znacznie mniej, niż mężczyzną.

- Paul - zaczął ponuro Colon. - Właśnie dowiedzieliśmy się, że twój człowiek, Gregory Donald, przesłał bez upoważnienia przekaz radiowy na Północ, prosząc o spotkanie z generałem Hong-ku.

- Co?!

- Co gorsza, oni się zgodzili. Jeżeli się to wydostanie, powiemy, że to Północ się z nim skontaktowała, ale lepiej pogadaj z nim i spróbuj mu to wyperswadować. Generał Schneider starał się, jak mógł, ale Donald koniecznie chce się stawić na spotkanie.

- Dzięki - powiedział Hood i przez interkom przywołał Bugsa. Kazał mu połączyć się ze Strefą Zdemilitaryzowaną przez bezpieczną linię i poprosić do telefonu Gregory'ego Donalda. Potem wezwał przez telefon Liz Gordon.

- Mam to zostawić i wyjść? - zapytała Ann.

- Nie. Chcę, żebyś została.

Pojaśniała.

- Kroci się nam istny koszmar propagandowy.

Zasepiła się. ..

- Czemu nie - powiedziała. Usiadła po przeciwnej stronie biurka i postawiła na blacie tacę z jedzeniem.

- Co się stało Alexowi? - zapytała.

- Trias mówi, że ma infekcję płuc. Uważa, że panuje nad sytuacją, ale znasz Orliego - lepszy z niego badacz, niż pediatra.

- Hmmm - mruknęła Ann, a jej oczy pociemniały jeszcze bardziej.

Hood wziął widelec i dźgnął nim plasterki pomidora.

- Czy Matt mówił już coś o polowaniu na swojego wirusa? Tego w sieci komputerowej?

- Nic nie słyszałam. Mam sprawdzić?

- Nie, dzięki. Sam się tym zajmę, jak skończę z Gregorym. Biedny facet, na pewno przeżywa prawdziwe piekło. Tak bardzo jesteśmy pochłonięci wydarzeniami na miejscu, że czasami zapominamy o innych ludziach.

Telefon na bezpiecznej linii odezwał się w chwili, gdy Liz Gordon i Lowell Coffey weszli do gabinetu Hooda. Na wyświetlaczu u dołu aparatu pojawił się symbol kodowy Donalda wraz z numerem. Paul poprosił gestem Liz, by zamknęła drzwi. Usiadła, zaś Coffey stanął za plecami Ann, która wierciła się niespokojnie. Hood nacisnął przycisk zewnętrznego głośnika.

- Gregory - jak się masz?

- Nie najgorzej. Paul, czy rozmawiasz na bezpiecznej linii?

- Tak.

- W porządku. Jesteś na głośniku?

- Tak.

- Kto tam jest - Liz, Ann i Lowell?

- Wszyscy na miejscu.

- Pewnie. Więc przejdźmy od razu do rzeczy. Nadałem przez radio wiadomość do Hong-ku i dostałem odpowiedź. Mam się z nim spotkać za pięć i pół godziny. Zawsze byłem wierny zasadzie, że lepiej walczyć na słowa, niż na kule.

- Godne podziwu, Greg, ale z KRL-D to nie wypali.

- To samo powiedział mi generał Schneider, kiedy otrzymałem od niego oficjalne ostrzeżenie. Chce mnie zostawić na lodzie. Dowiedziałem się, że Waszyngton tak samo. -

Zawahał się przez chwilę. - Ty też, Paul?

- Daj mi jedną minutę.

Hood wyłączył głos i spojrzał na Liz. Kątem oka dojrzał Ann, która kiwała głową z powagą. Lowell stał bez ruchu. Psycholog dyżurny ssła górną wargę i pokręciła przecząco głową.

- Dlaczego nie? - zapytał Hood.

- Jako jego sprzymierzeniec masz szansę go przekonać. Na głos przeciwnika pozostanie głuchy

- A gdybym go zwolnił?

- Nic to nie zmieni. Przeżył dzisiaj silny szok. Uważa, że zachowuje się powściągliwie i stara się nie urazić uczuć innych - co jest normalną reakcją - i nie da się go przekonać.

- Lowell, a gdyby Schneider oskarżył go o coś - na przykład nieuprawnione użycie własności rządowej podczas nawiązywania kontaktu, czy coś w tym rodzaju, i go aresztował?

- Cholernie brudna sprawa. Mogliby nas zmusić do ujawnienia sposobów naszego działania, a to ostatnia rzecz, jakiej nam trzeba.

- A gdyby go tylko przetrzymali przez dwadzieścia cztery godziny? Względy bezpieczeństwa albo inne podobne bzdury?

- Może cię podać do sądu. Ten sam wynik.

- Ale nie poda - stwierdziła Liz. - Kiedy go mianowałaś, Paul, przejrzałam jego kartotekę.

Nigdy się nie mścił, co mu trochę przeszkadzało w karierze dyplomatycznej. Jest prawdziwym chrześcijaninem.



- Ann, czy są tam jacyś dziennikarze?

- Zazwyczaj nie. Wszyscy korespondenci są w Seulu. Ale jestem przekonana, że walczą już o akredytacje i ruszają w drogę. Będą nastawiać ucha na każdą pestkę. Zwłaszcza zatrzymanie znanego dyplomaty.

- A co robi z nami prasa, jeśli Donald pójdzie na spotkanie i dowiedzą się, że ma powiązania z Centrum? Przedstawią nas jako bandę wariatów, działających poza legalnymi instytucjami.

- Zwykle nie zgadzam się z Lowellem - powiedziała Ann.

- Ale tym razem ma rację.

- Donald nie powie ani słowa - powiedziała Liz. - Nawet w gniewie. Oficjalnie pracuje tylko w Towarzystwie Przyjaźni Amerykańsko-Koreańskiej.

- Schneider zna prawdę - uzupełnił Lowell. - I nie bardzo mu to pasuje.

- Wcale mu nie pasuje - zgodził się Hood.

- Właśnie! Może dać przeciek do prasy tylko po to, żeby powstrzymać rozwój konfliktu.

- Nie sądzę, żebyśmy się musieli o to martwić - stwierdził Hood. - Nie będzie chciał

stawiać prezydenta w trudnej sytuacji, zdradzając istnienie organizacji, którą powołał do życia sam Lawrence.

Hood znów włączył głośnik.

- Greg, czy mógłbyś odłożyć spotkanie, dopóki nie przekonam kogoś z ambasady, żeby z tobą poszedł?

- Raczej nie, Paul. Ambasador Hall nigdy się nie zgodzi bez zgody prezydenta, a tej nie dostaniesz.

- Przełóż spotkanie i daj mi spróbować. Mike Rodgers jest w drodze do Japonii. Koło szóstej ląduje w Osace. Pogadam z nim, żeby do ciebie dołączył.

- Dzięki za starania, ale wiesz, że jeśli się spóźnię choć o minutę, Koreańczycy pomyślą, że nie gram z nimi w otwarte karty. Na takie rzeczy są wrażliwi i nie dadzą mi drugiej szansy Idę. Pytanie tylko - czy jesteś ze mną, czy przeciwko mnie?

Hood siedział przez chwilę doskonale nieruchomy, potem spojrzał na twarze swych współpracowników.

- Jestem z tobą, Greg.

Po drugiej stronie zaległa długa cisza.

- Zaskoczyłeś mnie, Paul. Myślałem, że będziesz chciał mnie zestrzelić.

- Przez chwilę też tak myślałem.

- Dzięki za wstrzymanie ognia.

- Przyjąłem cię do roboty ze względu na twoje doświadczenie. Zobaczymy, czy miałem rację. Jakbyś chciał jeszcze porozmawiać, jestem tutaj.

Hood odłożył słuchawkę. Dostrzegając plasterek pomidora, który nadal znajdował się na jego widelcu, Liz pokazała mu uniesiony w górę kciuk. Ann i Lowell tylko patrzyli.

Hood nacisnął klawisz interkomu.

- Bugs, proszę cię, daj mi raport z postępów pracy Matta.

- Już przesyłam.

Lowell pokręcił głową.

- Paul, to wykończy Donalda... i nas.

- A co miałem zrobić? I tak zamierzał pójść, a ja nie pozwolę, żeby któryś z moich ludzi został sam. Hood żuł powoli. Poza tym, może coś osiągnie. Jest dobry.

- Oczywiście - powiedziała Ann. - I wszyscy o tym wiedzą. Kiedy wieczorne wiadomości pokażą zdjęcia Koreańczyków z Północy w towarzystwie Donalda - człowieka, który stracił

żonę i nadal chce przebaczać - wszyscy będziemy się rozglądać za nową robotą.

- Mnie to nie przeszkadza - stwierdził Coffey - Możemy pracować dla Korei Północnej.

Będą nam przecież winni przysługę.

- O ludzie małej wiary - powiedział Hood. Pogroził palcami Coffeyowi i Ann. - A wy dwoje lepiej miejcie jakiś plan w zanadrzu na wypadek, gdyby rzeczywiście spieprzył robotę.

Zadzwonił telefon i Hood podniósł słuchawkę. Odezwał się Stoll.

- Paul, miałem właśnie do ciebie przekręcić - powiedział. - Lepiej tu przyjdź i sam zobacz, co znalazłem.

Hood podniósł się z fotela.

- Powiedz mi w dwóch słowach, o co chodzi.

- W dwóch słowach: nabrali nas - i to straszliwie.

□ Środa, godzina 2.35 - Góry Diamentowe

Pociski klasy *Nodong* były zmodyfikowanymi przez Koreę Północną *Scudami*. Pod względem konstrukcyjnym nie różniły się od siebie prawie w ogóle - oba napędzane były jednostopniowymi silnikami raketowymi i przenosiły ładunek o masie dziewięćdziesięciu kilogramów na odległość ośmiuset kilometrów. Z ładunkiem bojowym o masie trzydziestu kilogramów *Nodong* mógł przelecieć prawie dziewięćset kilometrów. Trafiał z dokładnością do ośmiuset metrów.

Podobnie jak *Scudy*, *Nodongi* można było odpalać z wyrzutni stacjonarnych lub ruchomych. Wyrzutnie w silosach umożliwiały odpalenie kilku głowic w ciągu godziny, lecz były zupełnie bezbronne wobec ataków odwetowych wroga. Z drugiej strony, ruchome wyrzutnie mogły przewozić tylko po jednym pocisku i trzeba było je przyprowadzać do ukrytych magazynów w celu ponownego załadowania.

Zarówno stacjonarne jak i ruchome wyrzutnie odpalano za pomocą jednego klucza, po wcześniejszym zaprogramowaniu w komputerze współrzędnych celu. Przekręcenie klucza rozpoczynało dwuminutowe odliczanie wsteczne, podczas którego odpalenie mogło zostać wstrzymane jedynie kombinacją klucza i kodu kasującego. Ten ostatni znał tylko oficer dowodzący. W przypadku, gdy nie mógł go podać, drugi najstarszy rangą oficer musiał go uzyskać z Phenianu.

W klasie pocisków raketowych *Nodong* był dość nieskomplikowanym urządzeniem, lecz skutecznie spełniał swoje zadanie, którym było szantażowanie Seulu groźbą nagłego ataku z powietrza. Nawet gdy na miejscu znajdowały się wyrzutnie pocisków *Patriot*, niebezpieczeństwo nadal pozostawało realne - zaprojektowany w celu wykrywania i likwidacji rakiety *Patriot* często pozostawiał samą głowicę nienaruszoną, pozwalając jej spaść i eksplodować gdzieś w pobliżu celu.

Pułkownik Ki-Su, dowódca bazy w Górach Diamentowych, zdziwił się, gdy wartownicy zameldowali przez radio o przyjeździe pułkownika Sana. Łysawy oficer o owalnej twarzy przerwał wypoczynek w namiocie rozbitym u podnóża stromej góry i wyszedł na spotkanie nadjeżdżającego dżipa. Nim zdążył o to poprosić, San podał mu rozkazy, z którymi Ki-Su wrócił do zaciemnionego namiotu. Zasznurowawszy brezentową połą włączył światło, wyciągnął papiery ze skórzanej torby i rozpostarł przed oczyma pojedynczą kartkę.

Biuro Naczelnego Dowództwa

Phenian, 15 czerwca, godzina 16.30

Od: Pułkownika Dho Oko

Do: Pułkownika Kima Ki-Su

Pułkownik Li San został wysłany przez generała Pila z wywiadu wojskowego w celu sprawowania nadzoru nad bezpieczeństwem pocisków pod pańskim dowództwem. Nie będzie brał udziału w dowodzeniu bazą, o ile nie będzie tego wymagać stan bezpośredniego zagrożenia.

U dołu dokumentu znajdowały się pieczęcie generała sił zbrojnych KRL-D i generała Pila.

Ki-Su ostrożnie złożył dokument i schował go z powrotem do torby. Był autentyczny, lecz mimo to wzbudził podejrzenia pułkownika. San przybył z dwoma agentami - po jednym do ochrony każdego pocisku, co było dość rozsądne, jednak dowódca bazy czuł, że coś jest nie tak.

Spojrzał na polowy telefon i pomyślał, że warto by skontaktować się z kwaterą główną. Na zewnątrz namiotu rozległ się chrzęst żwiru pod butami. Ki-Su zgasił lampę i odsunął połę namiotu. Pułkownik San stał sztywno w ciemności, odwrócony twarzą do namiotu. Ręce założył do tyłu.

- Czy wszystko w porządku?

- Wydaje mi się, że tak - odparł Ki-Su. - Lecz jedno mnie zastanawia.

- Co takiego? - zapytał San.

- Zwykle rozkazy tego rodzaju wymieniają liczbę żołnierzy w oddziale. Pański nie wymienia.

- Ależ tak. Wspomina o mnie.

Ki-Su spojrzał na drugiego mężczyznę, który stał przy dziapie. Wskazał nań kciukiem.

- A ten?

- Nie jest agentem - odparł San. - Nasz departament przeżywa teraz kłopoty kadrowe. Tego człowieka przysłano, żeby mi towarzyszył w drodze przez góry. Zostanie, żeby mnie odwieźć z powrotem. To jego jedyna funkcja.

- Rozumiem - powiedział Ki-Su. Zwrócił Sanowi teczkę. Proszę się rozgościć w moim namiocie. Jeśli pan chce, każe przynieść coś do jedzenia.

- Nie, dziękuję - powiedział San. - Wolę obejść bazę i sprawdzić, skąd może nadejść zagrożenie. Dam panu znać, gdy będę czegoś potrzebował.

Ki-Su skinął głową, zaś San wrócił do dziapa i ze skrzynki na narzędzia z tyłu pojazdu wyjął

osłoniętą latarkę. Potem ruszył ze swym ludźmi przez niewielkie pole, oddzielające obóz od miejsca stacjonowania pocisków

## □ Środa, godzina 2.45 - Strefa Zdemilitaryzowana

Ostrzeżenie Koha dotarło do Li, gdy właśnie skończył ustawiać pojemniki z tabunem we wnęce podziemnego chodnika. Po konopnej linii wyszedł z tunelu, by odebrać telefon, a potem wrócił na dół tą samą drogą.

Więc Gregory Donald spotka się z generałem Hong-ku już za parę godzin. Nie można do tego dopuścić. Północ wzbudzi powszechne współczucie i może nawet przekonać niektórych przywódców państw o swej niewinności. Fazy druga i trzecia operacji muszą zostać zrealizowane póki napięcie jest u szczytu.

Donald musi umrzeć. I to zaraz.

Li przekazał instrukcje szeregowemu Ju. Drugi żołnierz odwiózł ciężarówkę do bazy. Jeżeli pojazd nie wróci na czas, generał Norbom może zarządzić poszukiwania.

Jak zaplanowano, obaj przeniosą pojemniki z gazem na Północ, lecz Ju sam podłoży je we właściwym miejscu, podczas gdy Li zajmie się Donaldem. Szeregowiec zrozumiał i z wdzięcznością przyjął zadanie, obiecując, że wszystko przebiegnie zgodnie z planem. Li nie spodziewał się niczego innego po członkach swego oddziału, z których każdy wiedział jak dokończyć misję, gdyby jednemu z kolegów coś się przydarzyło. Przykucając w ciemnościach, mężczyźni zaczęli działać według schematu, który wcześniej niezliczoną ilość razy przećwiczyli na papierze.

Tunele, wykopane przez Koreańczyków z Północy, układały się w skomplikowaną sieć, o rozpiętości ponad półtora kilometra z północy na południe i czterystu metrów ze wschodu na zachód. Chociaż wywiad wojskowy wiedział o nich i podejmował sporadyczne próby ich zlikwidowania, Koreańczycy z Północy byli jak mrówki - gdy zamknięto jedno wejście, otwierali drugie. Gdy zatapiano wodą lub wpuszczano gaz do jednego tunelu, pojawiał się nowy. Od czasu do czasu ostrzeliwano cały rejon, lecz chociaż powodowało to zawalenie się sporych odcinków tunelu, Koreańczycy po prostu kopali niżej nowe korytarze.

Li i jego ludzie ostatnio otworzyli własny tunel przejściowy pod pretekstem szpiegowania Północy. Studnia wejściowa o głębokości dziewięciu metrów miała prawie metr trzydzięci średnicy, lecz sam korytarz zwężał się do około metra, podobnie, jak tunele północnokoreańskie. Przejście łączyło się z głównym tunelem północnym nie dalej, niż dziesięć metrów za granicą.

By przetransportować cztery dwudziestopięciolitrowe pojemniki z tabunem na dół, jeden z mężczyzn stanął na dnie studni, a drugi spuszczał pojemniki na linie. Major Li stał na warcie.

Pojemniki ukryli we wnęce, którą wykopali po przeciwnej stronie korytarza z dala od studni, gdyż w przeciwnym razie nikt inny nie zmieściłby się w przejściu. Teraz Ju musiał poruszać się tyłem, asekurując pojemniki, które Li toczył przed sobą. Pojemniki ledwo mieściły się bokiem, a tam, gdzie korytarz się zwężał, musiał obracać je wzdłuż i powoli popychać.

Li obliczył, że każda runda tam i z powrotem przez labirynt zajmie siedemdziesiąt pięć minut. Nie zostanie mu wiele czasu na odnalezienie Donalda, lecz jakoś sobie poradzi. Nie śmiał teraz przerywać swego zajęcia pod ziemią - w każdej chwili może zostać ujęty i w ogóle nie dokończyć misji.

Z kieszeni munduru wyjął małą latarkę, włączył ją i przypiął do paska na ramieniu. Ju wszedł tyłem do tunelu, zaś Li delikatnie wysunął pierwszy pojemnik z wnęki i podprowadził ku wejściu do korytarza. Opadłszy na czworaki, zaczął toczyć pojemnik za Ju, badającym ściany tunelu w poszukiwaniu ostrych wypukłości, które mogły umknąć ich uwadze podczas wcześniejszych wypraw...

□ Środa, godzina 2.55 - Seul

Samochód należący do KCIA zatrzymał się z piskiem hamulców przed wejściem na izbę przyjęć Szpitala Uniwersyteckiego na Julgongno. Kim nie wyłączyła silnika i wbiegła do środka przez automatycznie otwierane drzwi, wołając o pomoc dla rannego. Dwóch lekarzy natychmiast wybiegło na zewnątrz, w deszcz, jeden do Huana, a drugi do postaci na przednim siedzeniu.

- On nie żyje! - krzyknęła Kim do drugiego. - Pomóżcie temu!

Lekarz i tak otworzył drzwi i sprawdził puls, potem na pół wszedł do samochodu i rozpoczął oddychanie usta-usta. Na tylnym siedzeniu lekarz szybko, lecz ostrożnie zdjął

pasek i skarpetki z ran Huana. Gdy znaleźli się na miejscu, Huan był blady i półprzytomny, lecz odzyskał pełną świadomość, gdy dwaj sanitariusze przybiegli z noszami i ułożyli go na nich.

Huana wyprostował rękę i chwycił dłonią powietrze.

- Kim!

-Jestem tutaj -powiedziała podbiegając. Złapała go za rękę i trzymała go, gdy wieźli go w stronę wejścia.

- Zajmij się... drugim...

- Wiem - powiedziała. - Zajmę się nim.

Puściwszy dłoń patrzyła, jak zabierają go do środka, potem podeszła do samochodu, gdzie lekarz zaprzestał prób reanimacji mordercy i badał rany postrzałowe. Kiwnął dłonią w stronę drzwi szpitala.

- Co się stało, proszę pani?

- To było straszne - zaczęła Kim. - Pan Huan i ja jechaliśmy do naszego domu w wiosce Jangu. Po drodze zatrzymaliśmy się, żeby pomóc temu mężczyźnie. Wydawało nam się, że jadąc skuterem miał wypadek. Tymczasem ni stąd ni zowąd pchnął pana Huana nożem, a on go zastrzelił.

- Nie wie pani, dlaczego?

Potrząsnęła głową.

- Proszę wejść do środka, proszę pani. Musi nam pani podać dane dotyczące rannego, poza tym policja może chcieć z panią porozmawiać.

- Oczywiście - powiedziała, gdy nosze znalazły się znów na zewnątrz. - Tylko zaparkuję samochód.



Dwóch sanitariuszy wyjęło ciało z samochodu, po czym położyli je na noszach i nakryli prześcieradłem. Gdy odjechali, Kim usiadła za kierownicą i ruszyła w stronę parkingu. Gdy znalazła wolne miejsce, podniosła słuchawkę telefonu i nacisnęła czerwony przycisk.

Odezwał się oficer dyżurny w kwaterze KCIA.

- Telefonuję z samochodu pana Huana - powiedziała Kim. - Został raniony przez zamachowca i przebywa teraz w Szpitalu Uniwersyteckim. Zamachowiec nie żyje, a jego ciało znajduje się w tym samym szpitalu. Pan Huan uważa, że współpracował z ludźmi, którzy podłożyli bombę koło pałacu i że powinniście sprawdzić odciski palców, żeby się dowiedzieć, co to za jeden.

Kim odłożyła słuchawkę i nie zwracała uwagi na uporczywie dzwoniący telefon.

Rozglądając się po parkingu zauważyła Toyotę Tercel - samochód, który dobrze знаła.

Zabrawszy swą radiostację z tylnego siedzenia samochodu Huana, położyła ją na podłodze Toyoty, włączyła i ustawiła tak, by światło z ekranu padało pod deskę rozdzielczą. Znajdując przewody zapłonu w miejscu pokazanym jej kiedyś przez instruktorów wywiadu, złączyła je, uruchomiła silnik i odjechała, kierując się na północ.

□ **Wtorek, godzina 13.10 - Centrum**

Gdy Hood przybył do gabinetu Matta Stolla, oficer wsparcia operacyjnego właśnie kończył pracę. Na jego okrągłej, pełnej twarzy gościł szeroki uśmiech, a w oczach paliły się ogniki triumfu.

- Paul, to geniusze najczystszej wody - powiedział. - Założyłem różne rodzaje zabezpieczeń, przeszkód i podwójnych testów diagnostycznych, które miały sprawdzać, czy przychodzące oprogramowanie nie jest zawirusowane, ale oni i tak mnie przechytrzyli.

- Kto i jak?

- Koreańscy z Południa. Albo przynajmniej ktoś z dostępem do ich oprogramowania.

Proszę, jest tutaj, na dyskietce SK-17.

Hood nachylił się nad ekranem i spojrzał na błyskające rzędy cyfr i liter.

- Co to jest?

- Wszystko to, co wrzucili nam do systemu z tej jednej dyskietki. Wykurzam go stamtąd - kazałem komputerowi przeczytać oryginalny program i usunąć intruza w całości.

- Ale jak się dostał do środka?

- Był ukryty w rutynowej aktualizacji danych osobowych. Taki plik może być mały albo duży i nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby go sprawdzić. Nie tak, jak na przykład plik z listą agentów na Maskarenach. Jeżeli nagle zrobiłby się wielki, jak deficyt budżetowy, od razu rzuciłby się w oczy.

- Więc wirus był ukryty w tym Pliku...

- Właśnie. I uruchomił ładowanie nowego programu obsługi satelity dokładnie w chwili, w której miał to zrobić. Program przeglądał zawartość katalogu ze zdjęciami i nakładał nowe na stare, tworząc kompilacje - takie, jakie sabotażyści chcieli nam podsunąć.

- Jak się przedostał do NRO?

- Wirus zaatakował nasze łącza telefoniczne. System jest bezpieczny z zewnątrz... ale nie od wewnątrz. Na przyszłość będziemy musieli coś z tym fantem zrobić.

- Nadal nie rozumiem, co uaktywniło wirusa.

Uśmiech na twarzy Stolla pogłębił się.

- Na tym polega cały geniusz tego, co zrobili. Popatrz tylko. - Wyciągnął laptopa i załadował dyskietkę po uważnym, niemal nabożnym wysunięciu jej z napędu stacji roboczej.

Na ekranie pojawiła się strona tytułowa programu. Stoll wskazał na nią palcem.

Hood odczytał cały tekst.

- Korea Południowa, dyskietka numer siedemnaście, założona przez tego-a-tęgo, sprawdzona przez tę-a-tę, potwierdzona przez generała i przesłana kurierem wojskowym pięć tygodni temu. Co ci to mówi? ,

- Nic. Ale przeczytaj na samym dole.

Hood spojrzał. Musiał się trochę przysunąć, żeby odczytać drobne litery.

- Właśnie to spowodowało, że wirus zaatakował?

- Wszystkie prawa zastrzeżone. 1988 Angiras Software. Co w tym dziwnego?

- Wszystkie instytucje rządowe piszą swe własne programy. Oczywiście nie takie, jak WordPerfect, gdzie rzeczywiście można coś zastrzec. Na nasze komputery wgrywamy czasem oprogramowanie z adnotacją o prawach autorskich, więc kazałem systemowi nie zwracać na to uwagi.

Hood zaczynał rozumieć.

- Właśnie to spowodowało, że wirus zaatakował?

- Nie. Ale umożliwiło zawieszenie systemu, dzięki czemu wirus wślizgnął się niepostrzeżenie. Chodzi ci o datę - rok 1988? To zwykła data, ale też i zegar. Albo jeszcze inaczej, małe programy zakopane w dacie, który zahaczył o zegar naszego komputera i wyłączył system. Dokładnie na dziewiętnaście przecinek osiem sekundy.

Hood skinął głową.

- Dobra robota, Marty

- Spieprzona robota, Paul. Widzimy takie napisy na programach i w ogóle ich nie zauważamy. Mój mózg niczego nie zarejestrował, a ktoś w Korei Południowej to wykorzystał.

- Ale kto?

- Może ram. pomóc data. Sprawdziłem już nasze katalogi. Jednym z pamiętnych wydarzeń w roku 1988 były zamieszki wywołane przez radykalne ugrupowania studentów, żądających zjednoczenia z Koreą Północną. Były starcia z policją, a rząd ostro stłumił rozruchy. Ktoś, kto jest za albo przeciw zjednoczeniu mógł wybrać ten rok jako symbol. Wiesz - jak ten pyszałek Riddler, co zawsze zostawiał Barmanowi-wskazówki.

Hood uśmiechnął się.

- Na twoim miejscu nie wspominałbym o Barmanie w oficjalnym raporcie. Ale to jest dodatkowy argument, którego możemy potrzebować, próbując przekonać prezydenta, że kryją się za tym Koreańczycy z Południa.

- Właśnie.

- Naprawdę świetnie się spisałeś. Prześlij tę stronę tytułową na mój komputer i zobaczmy, co teraz Lawrence będzie miał do powiedzenia.

- Skąd wiemy, czy to nie agent z Korei Północnej, który pracuje na Południu? - zapytał

Burkowi

- Nie wiemy - odparł Hood. Przez bezpieczną linię przysłuchiwał się, jak prezydent z Burkowem wymieniają uwagi na temat dokumentu. - Ale dlaczego Phenian miałby majstrować pyry naszych satelitach i sprawiać wrażenie, że przygotowuje się do wojny?

Mogą przecież przegrupować wojska naprawdę, więc po co zadawać sobie tyle trudu?

- Żebyśmy wyszli na agresorów - powiedział Burkowi.

- Nie, Steve. Paul ma zupełną rację. To mi nie wygląda na ich robotę. KRL-D nie jest aż taka subtelna. Raczej jakaś grupa, która może pochodzić zarówno z Północy, jak i z Południa.

- Dziękuję - powiedział Hood z ulgą w głosie.

Odezwał się sygnał poczty elektronicznej. Bugs nigdy nie przerywał Hoodowi, gdy ten rozmawiał przez telefon z prezydentem, więc przesyłał wiadomość na ekran komputera.

Ponieważ wyświetlana była bezpośrednio na monitorze z pominięciem komputera, prezydent jej nie widział.

Żołądek podszedł Hoodowi do gardła, gdy przeczytał krótką notatkę: Od dyrektora KCIA Jang-Huna: Kim Huan raniony nożem przez zamachowca.

Leży w szpitalu. Szpieg KRL-D uciekł. Zamachowiec nie żyje. Sprawdzamy jego tożsamość.

Hood ukrył twarz w dłoniach. Nie ma co, okazał się świetnym szefem sztabu kryzysowego.

Dowiaduje się o wszystkim po fakcie, wie, że jakaś osoba lub grupa za wszelką cenę pragnie wojny i nie ma zielonego pojęcia, kim są winni. Nagle zrozumiał, skąd wziął się stosunek Orly'ego do

pacjentów Wcale nie był w stosunku do nich nieuprzejmy, okazywał tylko bezradność wobec wroga, na którego nie mógł znaleźć żadnego sposobu.

Kazał Bugsowi śledzić sytuację, przekazać wiadomość Herbertowi i McCaskey'owi oraz podziękować Jang-Hunowi. Poprosił też, żeby dyrektor KCIA dał mu znać, jak tylko będą mieli jakieś informacje na temat zamachowca lub stanu zdrowia Huana.

- ... ale jak ci wcześniej powiedziałem, Paul - mówił prezydent - przekroczyliśmy już pewną granicę. Nie ma znaczenia, kto zaczął ten etap konfrontacji - faktem jest, że jesteśmy w samym jej środku.

Hood włączył się znów do rozmowy.

- Nie ma co do tego wątpliwości - powiedział Burkow Szczerze mówiąc, przeszedłbym do scenariuszu pierwszego uderzenia z przeglądu opcji wojskowych. Paul, sądzisz, że to załatwi...

- Pewnie, że tak, do cholery Boże, przecież plan sekretarza obrony to istne szaleństwo! Z

tego, co słyszymy, Północ spodziewa się kolejnej „Pustynnej Burzy” z wstępnym okresem rozmiękczenia przeciwnika. Pół miliona żołnierzy naciera na Północ, ataki z powietrza na ośrodki łączności, ostrzał każdego lotniska i bazy wojskowej w kraju - pewnie, Steve. Czemu ma się nie udać? Zginie najwyżej trzy tysiące ludzi. Po co rozwiązywać sprawę pokojowo, jeżeli możemy stracić trochę żołnierzy i spustoszyć kraj, który przez następne czterdzieści do sześćdziesięciu lat będzie kulą u nogi Korei Południowej?

- Dość tego - przerwał prezydent. - W świetle nowych informacji przekażę instrukcje pani ambasador, żeby rozpoznała możliwości dyplomatycznego rozwiązania konfliktu.

Żeby rozpoznała możliwości?

Zadzwonił zwykły aparat Hooda. Spojrzał na ekran wyświetlacza - numer wskazywał na telefon ze szpitala.

- Panie prezydencie, muszę odebrać ten telefon. Mogę?

- Pewnie, Paul. Chcę głowy tego, kto przepuścił ten program.

- Doskonale, panie prezydencie. Ale jeżeli weźmie pan jego głowę, ja dorzucę swoją.

Skurwiel, pomyślał Hood, odkładając słuchawkę bezpiecznego telefonu. Wszystko musi się odbyć z wielkim zadęciem. Przyjmuję cię, zwalniam cię, jesteśmy w stanie wojny, zawarłem pokój. Żałował, że Lawrence nie ma jakiegoś hobby Każdemu, kto żyje swoim zawodem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę prędzej czy później odbija szajba.

Hood podniósł słuchawkę drugiego aparatu.

- Sharon - jak on się czuje?

- O wiele lepiej - powiedziała. - Zupełnie, jakby pękła tama. Nagle wziął głęboki oddech i charczenie ustało. Lekarz mówi, że płuca pracują teraz o dwadzieścia procent lepiej. Wyjdzie z tego, Paul.

Po raz pierwszy tego dnia głos Sharon brzmiał lekko i łagodnie. Znow usłyszał w niej dziewczynę i cieszył się, że ją odzyskał.

Darrell McCaskey i Bob Herbert zatrzymali się za drzwiami. Hood dał im dłonią znak, żeby weszli.

- Shar, bardzo was oboje kocham...

- Wiem. Musisz już iść.

- Muszę - przyznał Hood. - Przykro mi.

- Nie ma powodu. Dobrze się dziś spisałeś. Podziękowałam ci za to, że wpadłeś przedtem?

- Chyba tak.

- Jeżeli nie, to dziękuję - powiedziała Sharon. - Kocham cię.

- Pocałuj ode mnie Alexa.

Sharon rozłączyła się, zaś Hood delikatnie odłożył swoją słuchawkę na widełki.

- Mój syn czuje się dobrze, a żona nie jest na mnie wściekła - powiedział, przenosząc wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. - Jeżeli macie złe wieści, teraz właśnie jest pora, żebym je usłyszał.

McCaskey wystąpił do przodu.

- Pamiętasz oficera rozpoznania, Judy Margolin? Wygląda na to, że jedno z ostatnich zdjęć zrobiła *MiG-owi*, który ich zaatakował.

- Ktoś je przekazał do prasy?

- Gorzej - odparł McCaskey - Faceci od komputerów w Pentagonie zdołali odczytać numery samolotu. Przejrzeli wszystkie ostatnie zdjęcia rozpoznawcze, żeby sprawdzić, z jakiej bazy pochodzi.

- O Boże, nie...

- Tak - potwierdził Herbert. - Prezydent zezwolił właśnie naszemu lotnictwu zapolować na niego.

## □ Środa, godzina 3.30 - Sariwon

Sariwon w Korei Północnej leży dwieście czterdzieści kilometrów na zachód od Morza Japońskiego, osiemdziesiąt na wschód od Morza Żółtego i osiemdziesiąt na południe w linii prostej od Phenianu.

Baza lotnicza w Sariwon stanowiła pierwszą linię obrony przeciwko atakowi raketowemu bądź samolotowemu z Korei Południowej. Wybudowana została podczas wojny w 1952 roku i jako najstarszą bazę w kraju wyposażano ją w nowocześniejszy sprzęt dopiero wtedy, gdy można było skorzystać z technologii chińskiej lub radzieckiej. Nie działało się to tak często, jak pragnął Phenian, bowiem sojusznicy Korei Północnej zawsze obawiali się, że gdy dojdzie do zjednoczenia z Południem, Zachód otrzyma dostęp do najnowszego sprzętu i technologii wojskowych, więc pod tym względem Północ pozostawała zawsze o kilka kroków za Moskwą czy Pekinem.

Radar, będący na wyposażeniu bazy miał zasięg do osiemdziesięciu kilometrów i był w stanie przechwytywać obiekty o średnicy przynajmniej sześciu metrów, co umożliwiała dostrzeżenie prawie każdego samolotu, podążającego w ich stronę. Co prawda podczas ćwiczeń, okazało się, że w przypadku ataku z zachodu, nie było żadnych szans na poderwanie do walki stojących w pogotowiu myśliwców, lecz nawet atak z prędkością 1

macha dawał żołnierzom czas na obsadzenie dział przeciwlotniczych.

Współczynnik odbicia sygnału radarowego (WOSR) samolotu ma z reguły większą wartość z boku, niż z przodu. Bombowce, w rodzaju starych *B-52*, o dużej wartości WOSR nawet do tysiąca metrów kwadratowych - były stosunkowo łatwe do zauważenia i ostrzelania.

Namierzenie *F-4 Phantom II* i *F-15 Eagle* nie nastroczało poważniejszych kłopotów, gdyż ich WOSR miał wartość odpowiednio stu i dwudziestu pięciu metrów kwadratowych. Na przeciwnym końcu skali wykrywalności znajdował się *B-2* - bombowiec nowej generacji, o WOSR wynoszącym jedną milionową część metra kwadratowego - mniej więcej równym powierzchni bocznej kolibra.

Współczynnik WOSR dla *Lockheeda F-117A Nighthawk* wynosił 0,01. Jego wartość zmniejszała budowa kadłuba oparta na koncepcji „szlifowanego diamentu” - tysiący płaskich powierzchni, ustawionych względem siebie pod takim kątem, by nie dzielić wspólnej płaszczyzny odbicia z innymi. Do dalszego zmniejszenia WOSK przyczyniały się materiały użyte do budowy samolotu. Jedynie dziesięć procent masy kadłuba wykonano z metalu.

Resztę stanowiło wzmocnione włókno węglowe, które pochłaniało i rozpraszało energię radaru i ślad podczerwieni myśliwca *F-117A*, oraz Fibaloy - tworzywo sztuczne wypełnione pęcherzykami powietrza i włóknem szklanym, używane na zewnętrzne poszycie samolotu.

Czarny samolot mierzył 20,09 metra długości, 3,78 wysokości, zaś rozpiętość jego skrzydeł

wynosiła 13,21 metra. Wprowadzony do uzbrojenia w październiku 1983 roku, *F-117A* przydzielony

został do 4450. Grupy Taktycznej, stacjonującej w bazie sił powietrznych w Nellis w stanie Nevada - pierwszego oddziału „Niewidzialnych Strażników”, który miał swą stałą bazę w Mellon Strip, w północno-zachodniej części poligonu w Nellis. Jednak od czasu operacji „Pustynna Burza” samoloty z tej jednostki znajdowały się w bezustannym ruchu. Ze złożonymi skrzydłami, *F-117A* mieścił się w luku samolotu transportowego *C-5A*, co było jedynym sposobem potajemnego przerzucenia go na dłuższe odległości, inaczej bowiem musiałby tankować w locie, a samolot-cysterna zostałaby łatwo namierzony przez radar.

Lecąc z maksymalną prędkością 1 macha, *Nighthawk* mógł przelecieć osiemdziesiąt kilometrów w cztery minuty. Samolot, napędzany dwoma dwuprzepływowymi silnikami turboodrzutowymi GE F404-HB bez dopalaczy, o sile ciągu 5.625 kg każdy, miał promień działania wynoszący 1.640 kilometrów.

*F-117A* znajdował się na pokładzie lotniskowca „Halsey”, który wyruszył z Filipin w stanie gotowości Defcon 4 i znajdował się daleko na Morzu Wschodniochińskim. *F-117A* skierował

się prosto na północ i z wyłączonym oświetleniem pozycyjnym wzniosł się lotem błyskawicy wzdłuż zachodniego wybrzeża Korei Południowej i skręcił na północny zachód nad Morze Żółte. Lecąc na wysokości 3.300 metrów przyspieszył z 0,8 do 1 macha i wdarł się w przestrzeń powietrzną Korei Północnej, tnąc powietrze niewyczuwalnym oporem skośnych skrzydeł i prostopadłych stateczników w kształcie jaskółczego ogona.

Na ekranie północnokoreańskiego radaru od razu pojawił się punkcik. Obserwator wezwał swego zwierzchnika, który potwierdził, że ślad wygląda na samolot. Drogą radiową powiadomił centrum dowodzenia. Cała procedura zajęła siedemdziesiąt pięć sekund.

Obudzony dowódca zarządził alarm. Dokładnie dwie minuty i pięć sekund minęło od chwili dostrzeżenia punkciku na radarze.

Bazę z czterech stron otaczały podwójne stanowiska artylerii przeciwlotniczej, lecz jedynie dwa z nich: wschodnie i zachodnie - były obsadzone i mogły otworzyć ogień do intruza. Na stanowiska wysłano dwudziestu ośmiu mężczyzn, po siedmiu do każdego działła. Zajęcie posterunków zabrało im minutę i dwadzieścia sekund. Jeden żołnierz przy każdym działle założył słuchawki. Kolejne pięć sekund.

- Bateria południowo-zachodnia do wieży - zameldował jeden z nich. - Jakie są zamiary nieprzyjaciela?

- Mamy go na dwa-siedem-siedem stopniach, szybko traci wysokość i zbliża się z prędkością...

Z oddali rozległ się odgłos eksplozji, gdy *ABM-136A Tacit Rainbow* - kierowany pocisk antyradarowy, wystrzelony z *Nighthawka* namierzył, odnalazł i zniszczył antenę radaru.

- Co to było? - zapytał kanonier.

- Straciliśmy go! - odparła wieża kontrolna.



- Samolot?

- Nie, radar!

Dwóch mężczyzn przy pulpicie kontrolnym podało ostatnie znane namiary, zaś potężne przekładnie cicho zachrzęści, naprowadzając masywne czarne lufy na cel. Poruszały się jeszcze, gdy fala dźwiękowa oznajmiła przybycie samolotu w kształcie grotu strzały. Naprowadzany umieszczonym z przodu kadłuba laserowym radarem i kamerą telewizyjną wysokiej czułości pilot *F-117A* bez trudu odnalazł samolot, który zaatakował *Mirage*. *MiG*

stał na pasie lotniska między dwoma innymi samolotami tego samego typu. Pilot sięgnął w lewo, tuż obok kolana i nacisnął czerwony przycisk, znajdujący się w żółtym kwadracie poprzecinanym czarnymi ukośnymi paskami. W tej samej chwili powietrze na zewnątrz samolotu rozdarł głośny syk naprowadzanego telewizyjnie pocisku *ABM-65*. Smukła rakieta pokonała tysiąc pięćset metrów dzieląc samolot od celu w niecałe dwie sekundy.

Siła wybuchu podrzuciła *MiG-a* i rozerwała go na kawałki w gigantycznej kuli ognia, która zamieniła noc w dzień, a dzień w płonący zmierzch. Podmuch eksplozji przewrócił na grzbiet oba sąsiednie samoloty, powybił szyby w wieży kontrolnej, w hangarach oraz w ponad połowie z dwudziestu dwóch samolotów stojących na lotnisku. Szczątki samolotu rozprysły się we wszystkich kierunkach, a płonące kawałki płótna i tworzyw sztucznych spadały wszędzie, wzniesając małe pożary w budynkach bazy i w zaroślach, otaczających pasy startowe.

Jeden kanonier zginął, dostawszy w plecy dwudziestocentymetrowym odłamkiem metalu.

Dowódca zdołał przygotować cztery maszyny do startu, lecz *F-117A* wykonał już zwrot w stronę morza i pędził w stronę „Halsey'a” zanim zdążyły wzbić się w powietrze.

□ Środa, godzina 3.45 - kwatera główna KCIA

Dyrektor Im Jang-Hun był wyczerpany Kolejna filiżanka kawy powinna utrzymać go na nogach, jeżeli w ogóle dotrze do jego gabinetu. Wraz z raportem z laboratorium. Piętnaście minut wcześniej zdjęli temu draniowi odciski palców i od razu wprowadzili do komputera.

Ten przeklęty sprzęt podobno miał pracować z prędkością światła, co najwyraźniej okazywało się wierutną bzdurą.

Jang-Hun potarł wrzecionowatymi palcami powieki oczu osadzonych głęboko jak u nieboszczyka. Odgarnął długie, siwiejące włosy z czoła i rozejrzał się po swoim gabinecie.

Oto on, szef jednej z dobrze zapowiadającej się agencji wywiadowczych, która ma do dyspozycji cztery piętra nad i trzy pod ziemią, załadowane po sufit najnowszym sprzętem analitycznym i wykrywającym i... nic nie działa tak, jak powinno.

W bazie danych zgromadzili odciski palców pochodzące z różnych źródeł. Z policyjnych kartotek, danych z koledżów, a nawet zdjęte z wiecznych piór, szklanek i telefonów dotkniętych przez Koreańczyków z Północy Jego agenci posuwali się aż do kradzieży klamek z baz wojskowych w Korei Północnej.

Jak długo można czekać na znalezienie właściwego?

Odezwał się telefon. Dyrektor nacisnął klawisz głośnika.

- Słucham.

- Panie dyrektorze, mówi Ri. Chciałbym przesłać te odciski palców do Centrum w Waszyngtonie.

- Czy to znaczy, że niczego nie znaleźliście? - Jang-Hun wypuścił głośno powietrze przez nos.

- Na razie nic. Ale te odciski nie muszą wcale należeć do nikogo z Korei Północnej ani do żadnego znanego przestępcy Mogą pochodzić z zupełnie innego kraju.

Tymczasem zadzwonił drugi telefon, od jego asystenta Ryu.

- Znakomicie - powiedział dyrektor. - Wyślij je tam.

Przełączył na drugą linię.

- Tak?

- Panie dyrektorze, dostaliśmy właśnie wiadomość z kwatery głównej generała Sama o tym, że amerykański myśliwiec zaatakował bazę powietrzną w Sariwon.

- Jeden myśliwiec?

- Tak, panie dyrektorze. *Nighthawk*. Prawdopodobnie zniszczył tego *MiG-a*, który ostrzelał ich *Mirage*.

Nareszcie jakiś powód do radości, pomyślał Jang-Hun. - Znakomicie. Jakie są najnowsze wieści o Kimie Huanie?

- Nie ma żadnych, panie dyrektorze. Nadal jest w szpitalu. –

Rozumiem. Czy kawa jest gotowa?

- Właśnie się parzy, panie dyrektorze.

- Dlaczego wszystko dzieje się tutaj tak wolno, Ryu?

- Bo mamy za mało personelu, panie dyrektorze.

- Bzdury. Jeden człowiek z powodzeniem zaatakował Sariwon. Jesteśmy za bardzo z siebie zadowoleni. To wszystko wydarzyło się dlatego, że obrośliśmy w sadło i brakuje nam inicjatywy. Niewykluczone, że przydałyby nam się jakieś zmiany..

- Należę, jak tylko się trochę zaparzy, panie dyrektorze.

- Szybko się uczysz, Ryu.

Dyrektor wyłączył telefon. Pragnął napić się kawy, ale miał rację w tym, co powiedział do Ryu. Organizacja straciła inicjatywę, a najlepszy pracownik KCIA leżał w szpitalu, Bóg jeden wie w jakim stanie. Jang-Hun był zły, gdy dowiedział się, że Huan kazał przywieźć szpiega i prosił ją o pomoc. Tak się po prostu nie robi. Lecz może właśnie dlatego trzeba działać w ten sposób?

Okaż współczucie i zaufanie tam, gdzie zwykle demonstrujesz gniew i podejrzliwość.

Wstrząśnij ludźmi, nie pozwól im złapać równowagi.

On sam pochodził ze starej szkoły, Huan z nowej. Jeżeli jego zastępca przeżyje, może nadejdzie czas na zmiany.

A może po prostu wariuje z przemęczenia. Gdy wypije kawę, zobaczy, jak przedstawiają się sprawy. Tymczasem zasalutował Amerykanom w podzięcie za kopniaka dla Korei Północnej.

□ **Wtorek, godzina 14.00 - Centrum**

Laboratorium w Centrum mieściło się na niewielkiej powierzchni - tylko osiemdziesiąt cztery metry kwadratowe lecz dr Cindy Merritt i jej asystent Ralph nie potrzebowali wiele więcej miejsca. Wszystkie dane i katalogi były skomputeryzowane, a najróżniejszy sprzęt pochowano po szafkach, pod stołami i podłączono do komputerów.

Odciski palców z komputera KCIA do komputera dr Merritt przyszły za pośrednictwem zabezpieczonego modemu. Dokładnie w chwili nadejścia pętli i zawirowania linii papilarnych skanowano i kojarzono z podobnymi wzorami ze zbiorów laboratorium, pochodzącymi z CIA, Mossadu, MI-5 i innych źródeł informacji, wraz z katalogami Interpolu, Scotland Yardu, źródeł policyjnych i agend wywiadu wojskowego.

Odmienne, niż w przypadku oprogramowania KCIA, które nakładało cały odcisk palca na skatalogowane ślady linii papilarnych, porównując dwadzieścia na sekundę -

oprogramowanie Centrum, które opracował Matt Stoll wraz z Cindy, dzieliło każdy z nich na dwadzieścia cztery równe części i dosłownie rzucało je na elektroniczny wiatr - jeżeli jakaś część odpowiadała fragmentowi innego odcisku, porównywano je w całości. Technika ta pozwalała na porównanie 480 odcisków na sekundę na każdy wykorzystany komputer.

Równocześnie z danymi, w laboratorium pojawili się Bob Herbert i Darrell McCaskey i zapytali Cindy, czy mogłaby zaprząć do pracy kilka komputerów, lecz niewzruszona pani chemik mogła dać im tylko trzy i kazała czekać - twierdząc, że całość nie powinna zająć zbyt dużo czasu.

Nie myliła się. Komputer znalazł odcisk w czasie trzech minut i sześciu sekund. Ralph wywołał plik danych osobowych na ekran.

- Szeregowy Jang Te-un - przeczytał. - W wojsku od czterech lat, przydzielony do oddziału saperów majora Kima Li...

- Mamy go - powiedział Herbert z triumfem w głosie.

- ... specjalista od walki wręcz.

- O ile przeciwnik nie ma pistoletu - mruknął Herbert.

McCaskey poprosił Ralpa o wydruk danych, a potem powiedział do szefowej laboratorium:

- Czynisz cuda, Cindy.

- Powiedz to Paulowi - powiedziała atrakcyjna brunetka. - Przydałby nam się matematyk na pół etatu do pomocy w pisaniu oprogramowania, żeby poprawić algorytmy, których używamy przy

modelowaniu biomolekuł.

- Na pewno mu powiem. - McCaskey mrugnął, gdy brał wydruk od Ralpa. - Dokładnie tymi samymi słowami.

- Zrób to - powiedziała. - Syn wytłumaczy mu, o co chodzi.

Hood bardziej zaniepokoił się majorem Li, niż prośbą Cindy Razem z Liz Gordon i Bobem Herbertem, spoglądającymi na monitor jego komputera, analizował akta majora ROK, które generał Sam przesłał pocztą elektroniczną z Seulu.

Trudno mu było się skoncentrować. Bardziej, niż kiedykolwiek od czasu rozpoczęcia kryzysu czuł, że działa pod olbrzymią presją, by wykryć, kto stoi za zamachem bombowym w Seulu. Stale wzrastające napięcie nerwowe zaczęło żyć własnym życiem, czuł też, że z powodu jego zbyt pokojowego podejścia prezydent odsunął Centrum na boczny tor. Steve Burkow poinformował go telefonicznie o ataku na lotnisko w Korei Północnej na dwie minuty przed faktem. Szef sztabu kryzysowego nie był nawet członkiem grupy planującej strategię operacji odwetowej - prezydent chciał starcia i robił wszystko, co mógł, żeby je sprowokować. Co byłoby w porządku, gdyby walka była usprawiedliwiona.

Jeżeli rzeczywiście się myli co do niewinności Korei Północnej, będzie musiał się martwić czymś więcej, niż tylko utratą zaufania prezydenta. Będzie się zastanawiał, czy rzeczywiście jest w polityce od tak dawna, że stał się w takim stopniu niezaangażowany, jak kiedyś udawał. Zmusił się do skupienia uwagi na monitorze.

Li służył w wojsku od dwudziestu lat i żywił uzasadnioną nienawiść do Północy Jego ojciec, generał Kuon Li zginął w Inczhonie podczas wojny Matkę majora, Mei, schwytano i powieszono za szpiegowanie pociągów z wojskami odchodzącymi ze stacji w Phenianie.

Wychował się w sierocińcu w Seulu, wstąpił do wojska w wieku osiemnastu lat i służył

obecnie pod pułkownikiem Li Sanem, który w liceum był separatystą rozdającym ulotki, za co nawet raz został aresztowany. Chociaż Li nie należał do żadnej z podziemnych organizacji, jak „Braterstwo Dywizji” czy „Dzieci Umarłych” stowarzyszeń synów i córek żołnierzy poległych w czasie wojny - stał na czele elitarniej jednostki kontrwywiadu i wykonał sporo misji rozpoznawczych na Północy, pomagając kalibrować amerykańskie satelity szpiegowskie. Dokonywał między innymi pomiarów obiektów naziemnych, żeby umożliwić NRO skonstruowanie siatki odniesienia. Nie był żonaty

- Jak ci się podoba, Liz? - zapytał Hood.

- U mnie nic nie jest powiedziane raz na zawsze, ale nie wiem, czy możemy się znaleźć jeszcze bliżej celu...

Zgłosił się Bugs.

- O co chodzi?

- Pilna rozmowa na bezpiecznej linii z dyrektorem Jang-Hunem z KCIA.

- Dzięki. - Hood nacisnął podświetlony przycisk. - Mówi Paul Hood.

- Dyrektorem Hood - powiedział Jang-Hun. - Właśnie otrzymałem nadzwyczaj interesującą wiadomość od kobiety-szpiega północnokoreańskiego, z którą spotkał się dziś Huan.

Powiedziała, że na jego prośbę skontaktowała się przez radio z Północą i sprawdziła, czy z jakiegoś magazynu sprzętu wojskowego w KRL-D nie ukradziono butów wojskowych i materiałów wybuchowych.

Herbert strzelił palcami, zwracając tym uwagę Hooda.

- W tej właśnie sprawie dzwoniła do mnie Rachel, gdy byłem w twoim biurze - szepnął

Herbert.

Hood skinął głową. Zatkanął prawe ucho, by nie docierało doń stukanie Liz na klawiaturze.

- Co powiedzieli Koreańczycy z Północy, panie Jang-Hun?

- Cztery tygodnie temu z samochodu ciężarowego, będącego w drodze do magazynów wojskowych w Koksanie zginęło kilka par butów, trochę materiałów wybuchowych i broni ręcznej.

- Przekazali jej tę informację drogą radiową, a ona powiedziała panu?

- Dokładnie tak. To bardzo dziwne, bo zaraz po przywiezieniu Huana do Szpitala Uniwersyteckiego, ukradła samochód i uciekła. Przez cały czas jej szukamy.

- Czy macie jeszcze coś?

- Nie. Huan jest nadal w szpitalu.

- Dzięki. Pozostanę w kontakcie - niewykluczone, że my też coś znaleźliśmy.

Rozpoznanie na północy, pomyślał Hood. Odłożył słuchawkę. - Bob, sprawdź u generała Sama, czy nasz przyjaciel wykonywał jakieś akcje wywiadowcze na Północy cztery tygodnie temu.

- Oczywiście - powiedział Herbert i wyjechał wózkiem z gabinetu z entuzjazmem, którego Hood od dawna u niego nie zaobserwował.

Liz Gordon nadal pracowała przy komputerze.

- Wiesz, Paul, jeżeli mamy do czynienia ze spiskiem, pułkownik San też może maczać w tym palce.

- Dlaczego?

- Kazałam właśnie przesłać sobie jego dane. Mówią, że nie lubi nikomu przekazywać pełnomocnictw.

- Więc Li jest pod ścisłym nadzorem?

- Wręcz przeciwnie. San nie wydaje się mieć wiele wspólnego z operacją Li.

- Co oznacza, że może nie brać w tym udziału...

- Lub że ufa Li do tego stopnia, że nie musi go kontrolować.

- Wygląda mi to na zgadywanke...

- A nie jest. Mamy do czynienia z klasycznym przypadkiem, gdy dwaj ludzie działają na tej samej długości fali. Jest to typowa, podręcznikowa reakcja symbiotyczna dla autorytarnego typu oficera, takiego jak San.

- W porządku. Każę Bobowi sprawdzić, gdzie jest San. Hood rzucił okiem na zegar, a potem na częściowo zjedzoną sałatkę na biurku. Podniósł kawałek ciepłej marchewki i zaczął

żuć. - Widzisz, samo złapanie pierwszego prawdziwego tropu zajęło nam prawie dziesięć godzin i musiał nam w tym pomóc północnokoreański szpieg. Co ci to mówi o naszym działaniu?

- Że nadal się uczymy

- Nie trafia mi to do przekonania. Przez cały czas gubiliśmy szczegóły. To my powinniśmy byli skontaktować się z Północą w sprawie kradzieży. Powinien do tego celu istnieć specjalny kanał komunikacyjny. Powinniśmy także mieć dane na temat separatystów w Korei Południowej.

- Musztarda po obiedzie. Teraz już mamy Prawdę mówiąc, radzimy sobie całkiem nieźle, zważywszy że działamy wbrew intencjom prezydenta i niektórych jego najbliższych doradców.

- Możliwe. - Hood uśmiechnął się. - Ty pierwsza powiedziałaś, że nie kryje się za tym prezydent Korei Północnej. Jak się teraz czujesz, gdy wszyscy przekonaliśmy się, że miałaś rację?

- Przestraszona.

- To dobrze. Chciałem się upewnić, że nie ja jeden. - Zapisał pliki ROK w pamięci komputera. - A teraz muszę powiedzieć o wszystkim Mike'owi Rodgersowi i zobaczę, czy uda nam się użyć naszej małej Iglicy, żeby i Centrum miało swój udział w akcji wojskowej.

Kto wie? Może Mike będzie miał jakiś pomysł, który zaskoczy nawet te świeżo wyklute jastrzębie przy Pennsylvania Avenue?





□ **Wtorek, godzina 8.48 - na wschód od wyspy Midway**

Ponad godzinę wcześniej, na niebie nad Hawajami *C - 41A* zatankował paliwo z samolotu-systemy *KC-135*. Teraz mógł przelecieć kolejne sześć i pół tysiąca kilometrów - więcej, niż dosyć, by dotrzeć do Osaki. Kapitan Harryhausen poinformował podpułkownika Squiresa, że dzięki silnemu wiatrowi w ogon, który złapali nad południowym Pacyfikiem, wylądują w Japonii prawie godzinę wcześniej, niż planowali - mniej więcej o piątej rano. Squires sprawdził u nawigatora słońce miało wzejść nad Koreą Północną dopiero parę minut po szóstej. Przy odrobinie szczęścia, do tej pory będą już dawno na miejscu w Górach Diamentowych.

Mike Rodgers siedział ze skrzyżowanymi rękami i zamkniętymi oczyma, sennie rozmyślając o różnych rzeczach. Przypadkowe fragmenty przeszłości, strzępy wspomnień o przyjaciółach, których już nie ma, mieszały się z wyobrażeniami Gór Diamentowych.

Pomyślał o Centrum, zastanawiał się, co się dzieje, żałował, że nie pobrzękuje szabelką...

lecz był zadowolony, że znów bierze udział w akcji.

Zgodnie z planem myśli pojawiały się w jego umyśle i znikwały. Kiedyś odkrył, że najlepszym sposobem na dobre zapamiętanie skomplikowanych planów jest dwu, lub trzykrotne ich przeczytanie, a potem puszczenie wszystkich informacji samopas, by unosiły się na powierzchni pamięci. Na koniec, parę godzin później, należało je przeanalizować jeszcze raz. Ta technika, której nauczył się od kolegi aktora, opierała się na kilkudniowym drażeniu w mózgu materiału, który później wyparowywał bez śladu. Podobała się Rodgersowi, ponieważ nie zajmowała wiele czasu i nie monopolizowała na długo komórek mózgowych. Był zły, że nadal pamięta bezużyteczne informacje z egzaminów, do których przygotowywał się w gimnazjum, jak na przykład to, że Frances Folsom Cleveland była pierwszą Pierwszą Damą, która ponownie wyszła za mąż albo że niezdatny do żeglugi siostrzany statek „Mayflower” nazywał się „Speedwell”.

Co najlepsze, taki sposób opanowywania planów działań, które przeanalizował z nim Squires, dawał Rodgersowi czas na odpoczynek podczas długich lotów, na przygotowanie się do misji...

- Panie generale!

... i sporadyczną rozmowę telefoniczną z Paulem Hoodem. Rodgers usiadł i wyjął stopery z uszu.

- Tak, Puckett?

- Pan Hood, panie generale.

- Dziękuję.

Puckett położył radiostację na ławce obok Rodgersa i wrócił na swoje miejsce. Rodgers włożył

słuchawki, zaś podpułkownik obudził się z drzemki.

- Rodgers.

- Mike, są nowe fakty Koreańczycy z Północy ostrzelali jeden z naszych samolotów rozpoznawczych, zabili oficera rozpoznania, a prezydent odpowiedział zniszczeniem samolotu wroga na lotnisku.

- Dobra robota, panie prezydencie!

- Mike, tym razem nie całkiem jesteśmy w jego obozie.

Rodgers zacisnął zęby

- Doprawdy?

- Uważamy, że KRL-D została wrobiona - powiedział Hood - i że za dzisiejszym zamachem bombowym kryje się południowokoreański oficer.

- Czy on też zastrzelił naszego oficera?

- Nie, Mike, ale nasz samolot zapuścił się dość głęboko w ich przestrzeń powietrzną.

- Istnieją sposoby na zmuszenie samolotu do lądowania bez ostrzału - zauważył Rodgers. -

Dranie nie zrobili tego, prawda?

- Nie zrobili i omówimy to sobie innym razem. Jesteśmy teraz na Defcon 3 i uważamy, że robi się jeszcze bardziej gorąco. Jeżeli rzeczywiście do tego dojdzie, potrafimy zniszczyć wszystkie *Nodongi* w silosach, ale ty musisz się zająć ruchomymi wyrzutniami.

- Ja decyduję?

- Ty dowodzisz, czy podpułkownik Squires?

- On. Ale myślimy podobnie. Więc my decydujemy?

- Może nie być czasu na uzgadnianie waszych działań z Pentagonem, a prezydent nie chce nic o tym wiedzieć. Tak, Mike. Jeżeli będą mieli zamiar odpalić pociski, macie je zniszczyć.

Mówiąc zupełnie szczerze, wszyscy mamy tu dość niewyraźne miny. Walczymy o pokój jako możemy, ale atak na lotnisko w Sariwon na pewno spowoduje reakcję. Potrzeba mi czegoś z laską dynamitu w środku.

- Zrozumiałem, Paul.

Doskonale zrozumiał. Kolejny polityk, który znalazł się w opałach chce wykorzystać akcję militarną

do odzyskania sympatii wyborców, a w tym przypadku prezydenta. Był

niesprawiedliwy w stosunku do Hooda - naprawdę lubił tego faceta - jako czwartego do pokera lub do kibicowania razem na meczach Redskinów. Lecz Rodgers był członkiem-założycielem szkoły dyplomacji im. George'a Pattona najpierw kopa w dupę, a potem negocjacje z nogą na gardle. Nadal żywił przekonanie, że Centrum byłoby bardziej skuteczne, szanowane i wzbudzałoby większy respekt, gdyby wsadził swe dane w *Magnum* kalibru 0,45 cala zamiast w komputer Peer-2030.

- Nie muszę ci mówić, żebyś uważał na siebie - powiedział Hood. - I powodzenia. Jeżeli coś się zdarzy, nikt wam nie pomoże.

- Wiemy. Powiem chłopakom, że trzymasz za nas kciuki.

Rodgers rozłączył się, a Puckett w mgnieniu oka wstał i odebrał radiostację od generała.

Squires wyciągnął stoper z ucha.

- Coś nowego, panie generale?

- Sporo. - Rodgers sięgnął pod siedzenie, wyjął swą torbę i ciężko upuścił na kolana. -

Może będziemy zmuszeni skorzystać z naszych mieczy, nim szef pozwoli im zardzewieć.

- Słucham?

- Henry Ward Beecher. Wiesz, co mówił o lęku?

- Nie, panie generale. Trudno mi sobie tak od razu przypomnieć.

- Powiedział, że nie praca zabija ludzi, tylko lęk. Praca jest zdrowa. Lęk to rdza na ostrzu.

Chanie, Paul martwi się o wszystko, ale powiedział mi, że jak tylko jakiś *Nodong* podniesie swój mały ryjek, możemy zrobić coś więcej, niż tylko ocenić sytuację dla analityków Centrum.

- Co za radość - skomentował Squires.

Rodgers rozpiął torbę.

- Dlatego najwyższy czas, żebym ci pokazał, jak obchodzić się z tymi maleństwami. -

Wyjął dwie kulki o średnicy ponad centymetra. - Mikronadajniki elektroniczne. Mam ich tutaj dwadzieścia - połowa zielona, a druga połowa szara. Każda ma zasięg półtora kilometra.

- Świetnie - powiedział Squires. - Ale co one dają?

- To samo, co okruchy chleba w „Jasiu i Małgosi”.

Podał kulki Squiresowi, sięgnął znów do torby i wyciągnął przyrząd wielkości i kształtu małego zszywacza biurowego. Otworzył go - u góry znajdował się maleńki wyświetlacz ciekłokrystaliczny z czterema przyciskami pod spodem: zielonym, szarym, czerwonym i żółtym. Rodgers zdjął przyczepioną z boku do urządzenia słuchawkę. Dotknął czerwonego przycisku i na ekranie pojawiła się strzałka, wskazując na Squiresa, zaś aparat głośno zabrzęczał.

- Podnieś je do góry - powiedział Rodgers.

Squires zrobił, jak mu powiedziano, a strzałka powędrowała jego śladem.

- Jeżeli będziesz dalej, sygnał będzie słabszy. Matt Stoll zrobił je dla mnie. Proste, a jakie genialne. Gdy po raz pierwszy wchodzicie na teren, rzućcie kulki na ziemię - zielone w terenie leśnym, szare w skalistym. Kiedy wracacie, włączasz tylko wykrywacz, wkładasz słuchawkę do ucha, żeby wróg nie podsłuchał i idziesz od kulki do kulki.

- Jakbym łączył kropki - powiedział Squires.

- Masz rację. Z tymi maleństwami i goglami noktowizyjnymi możemy biegać po górach jak jakieś cholerne ibisy.

- Elektroniczne okruchy chleba - roześmiał się Squires, oddając je Rodgersowi. - Jaś i Małgosia. To nie jest robota dla dorosłych, prawda, panie generale?

- Dzieci uwielbiają walczyć i rzadko myślą o śmierci. Są doskonałymi żołnierzami.

- Kto to powiedział?

Rodgers uśmiechnął się.

- Ja, Charlie. Ja.

## □ Środa, godzina 5.20 - Strefa Zdemilitaryzowana

Przed godziną, po powrocie z kolejnego patrolu rozpoznawczego dla Centrum, Gregory Donald dowiedział się o ataku na Sariwon i nadal nie mógł w to uwierzyć. Najpierw obudzono i poinformowano generała Schneidera, ten zaś przekazał wiadomość jemu - z rozkoszą, która wzbudziła w Donaldzie odrazę.

Kolejna osoba zginęła, przerwano nić czyjegoś życia, tylko po to, żeby prezydent USA mógł zademonstrować swą nieustępliwość. Donald zastanawiał się, czy Lawrence byłby tak samo gotowy odebrać życie, gdyby żołnierz stał tu, oddalony o metr, gapiąc się na niego zza lufy karabinu.

Oczywiście, że nie. Cywilizowany człowiek nie mógłby tego zrobić.

Więc co sprawiało, że ten sam cywilizowany człowiek potrafił zabić za skok notowań w badaniach opinii publicznej, albo żeby dać komuś nauczkę? Lawrence utrzymywałby z pewnością, że takie wydarzenia zapobiegają ponoszeniu kolejnych ofiar w przyszłości. Lecz Donald był zdania, że dialog i chroni przed jeszcze większymi stratami, jeżeli tylko jedną lub drugą stronę nie obawia się wypaść blade lub nazbyt ugodowo.

Spojrzał daleko przed siebie na budynek konferencyjny, obejmujący okracając granicę, jasno oświetlony po obu stronach, by uniemożliwić potajemne przedostanie się na drugą stronę. Flagi Północy i Południa zwisały bezwładnie ze szczytów swych surrealistycznie wysokich masztów. Południe ostatnio zwieńczyło swój iglicą w miejsce kuli, żeby był

dwanaście centymetrów wyższy od masztu Północy Na razie. Bez wątplenia w Phenianie zamówiono już piętnastocentymetrową iglicę. Wtedy Południe znów założy dłuższą. A może kurka z dachu lub antenę radiową. Liczba absurdalnych możliwości była nieskończona.

Wszystkie palące problemy można było rozwiązać w tych czterech ścianach, gdyby tylko strony tego chciały Sundzi wygłosiła kiedyś o tym przemówienie na spotkaniu Koreańczyków i czarnoskórych mieszkańców Nowego Jorku w 1992 roku, gdy napięcie między tymi dwiema grupami etnicznymi sięgało zenitu.

„Pomyślcie o tym, jak o łańcuszku szczęścia - mówiła. Jeżeli tylko jeden człowiek z każdej strony pragnie pokoju i może do tego przekonać inną osobę po swojej stronie, zaś tych dwoje przekona kolejnych dwoje, tych czworo, o czworo więcej - będzie to początek, którego nam potrzeba”.

Początek... a nie koniec. Ani kropli więcej przelanej krwi i zmarnowanych środków, koniec nienawiści, wpisanej w psychikę nowego pokolenia.

Donald zaczął oddalać się od granicy i od bazy Podniósł oczy ku gwiazdom. Nagle poczuł się bardzo zmęczony, przytłoczony bólem, rozpaczą i zwątpieniem. Może Schneider ma rację. Może

Koreańczycy z Północy wykorzystają go i zrobi więcej złego, niż dobrego, próbując przynieść „pokój ludziom dobrej woli”.

Zatrzymał się, usiadł na ziemi i położył się z głową na kępie trawy Sundzi zachęcałaby go, żeby kontynuował swój plan. Była optymistką, nie realistką, lecz przecież osiągnęła większość z rzeczy, które sobie zaplanowała.

- Jestem pragmatykiem - powiedział ze łzami w oczach. I zawsze taki byłem. Wiesz o tym dobrze, Sun. - Poszukał w gwiazdach znajomej konstelacji, chcąc dojrzeć choć namiastkę porządku. Znalazł jedynie bezładne zbiorowisko gwiazd. - Jeżeli wycofam się z tego, w co wierzę, to albo całe moje życie było jednym wielkim kłamstwem... albo od tej chwili takim się stanie. Nie sądzę, żebym się mylił, więc muszę iść dalej. Pomóż mi, Sundzi. Daj mi trochę twojej pewności siebie.

Owionął go ciepły wiatr i zamknął oczy Oczywiście Sundzi nigdy do niego nie przyjdzie, lecz on nadal może pójść do niej, jeśli nie w życiu, to przynajmniej we śnie. Gdy tak leżał

pogrążony w ciemności i w ciszy, pozostając między świadomością a snem, nie odczuwał już niepewności, lęku, ani samotności.

O trzy kilometry na zachód i kilka metrów pod ziemią ostatni pojemnik ze śmiercią przemieszczał się centymetr po centymetrze na północ, niosąc sen innego rodzaju...

□ **Wtorek, godzina 16.04 - Centrum**

- Jaka jest pogoda na zewnątrz? - zapytał Hood, gdy wszedł do gabinetu Matta Stolla.

Stoll nacisnął Shift/F8, potem 2.

- Słonecznie, 26 stopni, wiatr-z południowego zachodu. Gdy skończył, wrócił do klawiatury, wpisując polecenia, odczekując chwilę, potem wpisując nowe.

- Jaki idzie, Matty?

- Wyczyściłem cały system, z wyjątkiem satelitów. Powinny być gotowe za jakieś półtorej godziny.

- Dlaczego tak długo? Nie możesz po prostu napisać programu, żeby to wykasował?

- Nie tym razem. Fragmenty wirusa są w każdym pliku ze zdjęciami z tego rejonu, począwszy od lat siedemdziesiątych. Kradną zdjęcia skąd się da. Na dzisiejszych zdjęciach satelitarnych mamy na przykład historię sprzętu wojskowego Koreańczyków z Północy w wydaniu Kena Burnsa. Całość działa bez zarzutu. Chciałbym spotkać faceta, który to napisał, zanim go zastrzelimy.

- Nie mogę ci tego obiecać. - Hood potarł oczy - Czy miałeś już dzisiaj przerwę?

- Pewnie. A ty?

- Właśnie teraz mam.

- Zamiast rozprostować kości, przyszedłeś popatrzeć, czy czasem czegoś znów nie spieprzyłem.

- Matty, nikt cię nie oskarża o to, co się stało...

- Z wyjątkiem mnie samego. Cholera, śmiałem się kiedyś z Szekspira, albo tego, kto powiedział „z braku gwoźdza zginęła podkowa...” czy coś w tym rodzaju. Cóż, miał rację.

Nie zauważyłem gwoźdza i zaważyło się całe królestwo. Ale czy mogę ci zadać pytanie?

- Dawaj.

- Czy ucieszyłeś się trochę, kiedy komputery szlag trafił czy tylko mi się wydaje?

- Nie ucieszyłem się, byłem tylko...

- Zadowolony Przepraszam, Paul, ale tak to odebrałem.

- Możliwe. Mam czasem wrażenie, że daliśmy się złapać w pułapkę prędkości. Wszystko rozgrywa

się szybciej, bo istnieją ku temu techniczne możliwości. W czasach, gdy łączność działała wolniej, a rozpoznanie zabierało więcej czasu, ludzie mieli czas pomyśleć i ochłonać, zanim skoczyli sobie do gardeł.

- Ale i tak w końcu to robili. Strzelanina w Forcie Sumter zdarzyłby się z lub bez Dana Rathera i Steve'a Jobsa. Mnie się wydaje, że po prostu lubisz odgrywać tatusia, a te dzieci nas nie potrzebują, dopóki nie wpakują się naszym samochodem do rowu.

Nim Hood mógł zaprotestować - a po chwili zastanowienia ucieszył się, że tego nie zrobił, bo Stoll miał rację - przyzwał go pagerem Bob Herbert. Wystukał jego numer na aparacie Matta.

- Hood przy telefonie.

- Złe wieści, szefie. Dowiedzieliśmy się, co porabiał dziś major Li. Przynajmniej przez część dnia.

- Kolejny zamach?

- Na to wygląda. Zabrał cztery dwudziestopięciolitrowe pojemniki z gazem bojowym -

tabunem - ze składu środków chemicznych w bazie wojskowej w Seulu. Wszystko legalnie, każdy papierek w porządku. Według dokumentów miał je zabrać do Strefy Zdemilitaryzowanej.

- Kiedy to było?

- Jakies trzy godziny po wybuchu.

- Więc miał dość czasu, żeby podłożyć ładunek, wrócić do bazy i wyjechać na północ, przy założeniu, że rzeczywiście tam pojechał. A gdzieś po drodze postanowił zastawić pułapkę na Kima Huana.

- To by się zgadzało.

Hood spojrzał na zegarek.

- Jeżeli pojechał na północ, jest tam już przynajmniej od siedmiu godzin.

- Ale co robi? Tabun jest mało lotnym gazem. Ktoś by zauważył, gdyby włókł z sobą pocisk lub porwał samolot z osprzętem do oprysku zbóż, żeby mógł go wykorzystać przeciwko żołnierzom.

- Pytanie tylko przeciw którym. Może je wykorzystać przeciw naszym, żeby Lawrence wpadł w szal, albo przeciw Koreańczykom z Północy, żeby ich zmusić do działania. Bob, ja z tym nie pójde do prezydenta. Zadzwon do generała Schneidera w Strefie Zdemilitaryzowanej. Obudź go, jeśli będzie trzeba i powiedz mu o Li. Poproś go, żeby znalazł Donalda i każ mu do mnie zadzwonić.

- Co powiesz Gregowi?



- Żeby dał znać przez radio generałowi Hong-ku, że w strefie grasuje szaleniec.

W słuchawce rozległo się ciężkie westchnienie Herberta.

- Powiedzieć Północy, że stoją za tym Koreańczycy z Południa? Szefie, prezydent zastrzeli cię szybciej, niż Sundance Kid.

- Jeżeli się mylę, sam włożę naboje do bębena.

- A co z prasą? KRL-D obsmaruje nas wszędzie.

- Porozmawiam o tym z Ann. Przygotuje coś na taką ewentualność. Poza tym, światowa opinia publiczna może powstrzymać prezydenta na tyle, że będziemy mieli czas uzasadnić nasze zdanie.

- Albo dostać cholernego kopa w dupę.

- Życie ludzkie jest tego warte, Bob. Zrób tak, jak mówię. Mamy niewiele czasu.

Hood odłożył słuchawkę.

- Wiem, co chcesz powiedzieć - mruknął Stoll, nie podnosząc wzroku. - Przebieram palcami po klawiaturze najszybciej, jak potrafię. Dowiedźcie się tylko, jaką ciężarówką jechał Li, a ja naprawię satelity tak prędko, jak tylko się da.

## □ Środa, godzina 6.30-Strefa Zdemilitaryzowana

W swej długiej karierze Li musiał przejść przez wiele tuneli, lecz nigdy nie mógł

zdecydować, co woli: cuchnące i wilgotne chodniki, które na całe tygodnie wypełniały pluta stęchlizną i łaskotały twarz korzeniami, czy suche, jak ten, które zatykały nos i oczy piaskiem, pozostawiając bolesną suchość w ustach.

Ten drugi jest gorszy, pomyślał. Można się przyzwyczaić do smrodu, ale nie do pragnienia.

Przynajmniej jego wysiłki dobiegały końca. Znajdowali się w ostatnim odcinku tunelu z ostatnim pojemnikiem. Za parę minut dotrą do niszy, którą wykopali po drugiej stronie.

Pomoże Ju wydostać je na powierzchnię, zaś reszta należeć będzie do szeregowego, który miał je przenieść na miejsce przed wschodem słońca. Ju przyniósł już potrzebne narzędzia.

Drogę przez wzgórza i zagajnik przestudiowali parę nocy wcześniej i nie było możliwości-, by ktokolwiek go zauważył.

Podczas gdy Ju będzie wykonywał swoją część zadania, Li wróci i zajmie się Gregorym Donaldem, nim ten zdąży się spotkać z Hong-ku. Zachowywał się w sposób typowy dla Amerykanów Ci, którzy nie budowali imperium, obłudnie wtykali nos w nie swoje sprawy.

Nienawidził ich też za to, że powstrzymali się przed zadaniem decydującego ciosu i odniesieniem ostatecznego zwycięstwa w tamtej wojnie. Gdy tylko skończą mu pomagać w zniszczeniu Phenianu, postara się wreszcie wyrzucić ich ze swego kraju.

Ze swego kraju. Nie z kraju Harry'ego Trumana czy Michaela Lawrence'a, ani generałów Norboma czy Schneidera. Zbyt długo tłumiono i wypaczano ducha jego narodu. Teraz to się skończy.

Mimo ochraniaczy na nogach, Li otarł sobie kolana do krwi. Choć czarna opaska nasiąknęła potem, a zdrowe oko boleśnie piekło, musiał się powstrzymać, by nie przyspieszać przez tych ostatnich kilka metrów i minut, w miarę zbliżania się pory wprowadzenia w życie drugiego i trzeciego etapu, chwili, którą planowali od momentu, gdy po raz pierwszy podzielił się z pułkownikiem Sanem swym pomysłem.

Przygarbiony, nadal czołgał się do przodu, balansując na lewej ręce i tocząc pojemnik prawą dłonią. Uważnie rozglądał się na boki, przyglądając się ścianom tunelu. Wreszcie metry stały się centymetrami, minuty - sekundami i czwarty - ostatni - pojemnik dołączył do stojących prosto pozostałych trzech.

Ju wyjął z niszy drabinkę sznurową i odwrócony plecami do ściany wąskiego przejścia, wdrapał się na samą górę. Umocowawszy drabinkę do skały, opuścił ją w dół i przy pomocy majora zaczął

wyciągać pojemniki na powierzchnię.

Li wrócił tunelem na czworakach. Pędząc przed siebie długimi susami nie dotykał nawet kolanami dna tunelu. Zbliżając się do południowego wejścia odczepił latarkę ze sprzączki rękawa, a potem wskoczył na konopną linę. Podciągnął się do góry szybko przebierając dłońmi i zatrzymał się tuż przed krawędzią studni.

W pobliżu nie było nikogo. Przepychając się przez otwór, Li poklepał się po lewej kieszeni, upewniając się, czy nadal ma w niej nóż, po czym skoczył w głąb nocy.

## □ Środa, godzina 7.00 - Góry Diamentowe

*Browning* na naboje 7,65x17 mm, znany pod oficjalną nazwą *Typ 64*, produkowany był w KRL-D. Do pewnego stopnia stanowił kopię pistoletu wytwarzanego przez belgijską *Fabrique Nationale Browning Mle. 1900*, lecz to, co szczególnie przemawiało do pułkownika Sana i dlatego poprosił pułkownika Oko, by przywiózł z sobą tę właśnie broń był fakt, że dostępna była wersja z tłumikiem.

Nachylony nad tylnym siedzeniem dżipa, ordynans Sana podał pułkownikowi jedną sześćdziesiątkęczwórkę, zaś drugą zatrzymał dla siebie. San sprawdził, czy jest naładowana, zanim wyruszyli z plaży Zaufanie, jakie żywił do pułkownika Oko miało swoje granice. Co prawda ich ojcowie służyli razem z zjednoczonej Korei, walcząc z Japończykami, a oni sami bawili się z sobą jako chłopcy, lecz, o ile każdy oficer, który zezwalał na zabijanie własnych żołnierzy dla sprawy zasługiwał na podziw; nie można mu było nigdy w pełni zaufać.

A czy ja robię coś innego?, pytał sam siebie San. Wszyscy żołnierze, którzy współpracowali z nim i z majorem Li byli ochotnikami, lecz co z tysiącami, a może nawet dziesiątkami tysięcy tych, którzy zginą, gdy wybuchnie wojna? Nie będą ochotnikami. Lecz musieli zrealizować plan. Zdał sobie z tego sprawę w 1989 roku, gdy anonimowo opublikował swe myśli w broszurze pod tytułem „Południe to prawdziwa Korea”. Wzbudziła ona wściekłość intelektualistów i działaczy prozjednoczeniowych, co powiedziało mu, że jest na właściwym tropie. Twierdził nie tylko, że ostateczne zjednoczenie będzie kulturalną i gospodarczą katastrofą, lecz także zniszczy życie, kariery i aspiracje polityczne oficerów po obu stronach granicy. W jego wyniku powstanie chaos, ponieważ żołnierze tacy jak Oko, nie przyjmą spokojnie zwolnienia z wojska i jakiejś nędznej posadki w cywilu. Zorganizują wtedy zamach stanu, który może pchnąć półwysep ku jeszcze większej i bardziej tragicznej wojnie, niż stosunkowo niewielkie starcie, które planowali. Poza tym nieodwracalna separacja zapobiegłaby powtórzeniu brutalnych zająć, jak na przykład w Seulu w 1994 roku, gdy ponad siedem tysięcy żołnierzy starło się z dziesięcioma tysiącami zwolenników zjednoczenia. W wyniku zamieszek ponad dwieście osób zostało rannych. Protesty te będą przybierać na sile, gdy USA pomogą Północy wymienić przestarzałe, grafitowe reaktory jądrowe. Nowy sprzęt uniemożliwi wyprodukowanie wystarczającej ilości plutonu na bomby nuklearne, co sprawi, że Korea Północna będzie bardziej przychylnie nastawiona do idei zawarcia paktu obronnego z Południem.

Na dłuższą metę plan działania ich grupy był lepszy. Jeżeli jednak prezydent USA koniecznie chciał się mieszać, wymuszając zjednoczenie obu krajów, wraz ze swym sprzymierzeńcami odniesie pyrrusowe zwycięstwo.

Robiło się późno. Czas działać. San i Kong przycisnęli lewe ręce do ciała, ukrywając w nich pistolety trzymane lufą do góry. Długi tłumik sięgał im prawie do łokci. W ciemności ruszyli do namiotu pułkownika Ki-Su. Minęli wartownika, który patrolował rejon. Żołnierz o złowrogim wyglądzie, z medalami na piersi i wielką szramą w poprzek czoła zsalutował im gorliwie.

Odsunawszy połę namiotu pułkownik wszedł do środka. San nie wahał się ani chwili, choć czuł pewien żal. Czytał akta Ki-Su i żywił dlań niechętny szacunek. Jego ojcem był japoński żołnierz, a matką jedna z wielu koreańskich kobiet zmuszanych przez Japończyków do nierządu podczas drugiej wojny światowej. Ki-Su dzielnie walczył, by zatrzeć piętno swego pochodzenia. Skończył uniwersytecki wydział łączności, po czym wstąpił do wojska, gdzie szybko awansował. Szkoda, że zginie, a w najlepszym razie okryje się hańbą. Miał jednak żonę i córkę, więc pułkownik miał nadzieję, że będzie się zachowywał rozsądnie.

Ordynans Sana podszedł do wiszącego na krześle przy biurku pasa z kaburą, wyjął zeń pistolet *TT-33*, należący do Ki-Sui wsadził go sobie za pas. San przyklęknął na jedno kolano obok pryczy Ki-Sui wsunął wolną rękę pod głowę pułkownika, przystawiając mu lufę do lewego ucha. Gdy Ki-Su drgnął i obudził się, San przycisnął mu lufę do skroni i przytrzymał.

- Ani jednego ruchu, pułkowniku.

Ki-Su rzucił głową w bok i próbował wstać, lecz San ani drgnął.

- Powiedziałem: nie ruszać się.

Ki-Su wyteżył wzrok w ciemności. –

- San?

- Pułkowniku, proszę uważnie posłuchać...

- Nie rozumiem...

Ki-Su próbował usiąść, lecz San jeszcze mocniej przycisnął pistolet.

- Pułkowniku, nie mam czasu. Potrzebuję pańskiej pomocy.

- Do czego?

- Proszę mi podać kody do zmiany ustawień pocisków

- Ale pańskie rozkazy! Nie mówiły nic o...

- Mam nowe rozkazy, pułkowniku. Bez pańskiej pomocy będzie to trudne. Z pana pomocą trochę łatwiejsze i będzie pan żył. Co pan wybiera?

- Wolno wiedzieć, z kim pan trzyma?

- Paryski wybór, pułkowniku?

- Nie zmienię nastawienia pocisków, dopóki nie dowiem się, gdzie mają zostać skierowane.

San wstał, nadal mierząc w głowę Ki-Su. Postępuje tak, jak powinien postępować dobry oficer,

pomyślał. Trzeba mu to przyznać.

- Nie zostaną wymierzone w ten kraj, pułkowniku. To wszystko.

Ki-Su przeniósł wzrok z Sana na jego pomocnika.

- Z kim pan trzyma?

San poruszył dłonią. Rozległ się stłumiony wystrzał i syk uwolnionego z lufy gazu. Ki-Su jęknął, gdy jego lewa ręka została wgnieciona w pryczę. Prawa dłoń natychmiast zacisnęła się na krwawej ranie.

Po chwili dały się słyszeć na zewnątrz odgłosy pospiesznych kroków San zauważył zbliżające się od strony pobliskiego namiotu, światło latarki.

- Panie pułkowniku, czy wszystko w porządku?

Kong stanął obok poły namiotu mierząc w nią równocześnie z *Tokariewa* i *Browninga*.

Pułkownik jeszcze raz poruszył dłonią. Tym razem broń wycelowana była w głowę Ki-Su.

- Proszę powiedzieć ordynansowi, że wszystko w porządku.

Walcząc z bólem, Ki-Su wystękał:

- Potknąłem się tylko.

- Może panu pomóc coś znaleźć, panie pułkowniku? Mam latarkę.

- Nie! Dziękuję, nic mi nie jest.

- Tak jest.

Ordynans odwrócił się i wrócił do swego namiotu. San spojrział ze złością na oficera.

- Kong, oderwij kawałek prześcieradła i zabandażuj mu rękę.

- Nie zbliżaj się! - syknął Ki-Su. Zdjął poszwę z poduszki i przycisnął do ręki.

San dał mu chwilę, potem powiedział:

- Mój kolejny strzał trafi wyżej. Proszę podać szyfr, panie pułkowniku.

Ki-Su starał się zachować spokój.

- Pięć-jeden-cztery-zero w najniższym rzędzie... umożliwiał wejście do systemu. Zero-zero-zero-zero

w środkowym rzędzie... kasuje współrzędne i pozwala zmienić współrzędne. Na koniec, każdy kod wybrany z najniższego rzędu wprowadza do pamięci nowe współrzędne.

Współrzędne. Na Południu należały już do rzadkości. Amerykańskie systemy naprowadzania działały w oparciu o wbudowane mapy topograficzne i zdjęcia wykonane przez samoloty lub satelity. Ich pociski mogły odnaleźć dowolnego dżipa w ruchliwym obozie wojskowym i spaść dosłownie na kolana któregokolwiek z pasażerów *Nodongi* przeciwnie -

można je było wycelować w 360 kierunkach, zaś kąt podniesienia wybierano w zależności od odległości od celu. Trafienie w wybrany budynek w mieście było praktycznie niemożliwe.

Lecz San nie musiał trafić konkretnego budynku. Potrzebował tylko miasta i specjalnie nie interesowało go, w co uderzy pocisk.

- O której godzinie zmienia się warta w górach? - zapytał San.

- Zostaną zluzowani... o ósmej.

- Czy oficer dyżurny zamelduje się u pana?

Ki-Su skinął głową.

- Zostawiam z panem Konga - powiedział San. - Pola namiotu ma być zasznurowana. Nie wolno panu nikogo przyjmować. Jeżeli zrobi pan coś oprócz tego, co każę, zginie pan na miejscu. Długo tu nie zostaniemy, a gdy skończymy, obóz wróci pod pańską komendę.

Ki-Su skrzywił się z bólu, mocniej przyciskając podszewkę do rany.

- Okryję się hańbą.

- Ma pan rodzinę - zakończył San. - Powinien pan o niej pomyśleć.

Odwrócił się i wyszedł z namiotu.

- Rakiety są wycelowane na Seul. Jaki inny cel... może być ważniejszy?

San nic nie odpowiedział. Ki-Su i reszta świata mieli się bardzo szybko przekonać.

□ Środa, 7.10 - Osaka

- Panie generale, myślałem, że pilot zawiezie nas w jakieś słoneczne miejsce!

Nawet poprzez ryk silników podpułkownik Squires wraz z resztą oddziału Iglica słyszał

chłostanie deszczu o kadłub samolotu, gdy znad Isle Bay podchodzili do lądowania w Osace.

Rodgersa zawsze fascynowała ta swego rodzaju nierównowaga, coś jak brzmienie harfy pośród grającej orkiestry. W pewnym sensie przypominało to filozofię przyświecającą powstaniu oddziału Iglica. Od czasów Dawida i Goliata do rewolucji amerykańskiej, wielkość nie zawsze oznaczała przewagę. Dramaturg Peter Barnes napisał kiedyś o drobnej roślince, która przebija chodnik i ten właśnie obraz - prócz postaci historycznych w rodzaju Andrew Jacksona, Joshuy Chamberlaina i Teddy'ego Roosevelta - dodawał Rodgersowi otuchy w najczarniejszych chwilach. Na jego prośbę siostra wyhaftowała mu taką roślinę na wojskowym plecaku. Szeregowy Puckett przerwał rozmyślenia Rodgersa.

- Panie generale!

Rodgers wyjął stopery z uszu.

- Co się stało?

- Generał Campbell mówi, że w bazie czeka na nas C-9A.

- Niech to zostawi wojskom lądowym - powiedział Squires. - Mamy nieuzbrojonego *Nightingale*, który zawiezie nas do Korei Północnej.

- Ja sam wolałbym miłego, przytulnego *Black Hawka* dodał Rodgers. - Ale tym razem chodzi o zasięg. Dziękuję wam.

- Nie ma za co, panie generale.

Squires uśmiechnął się, gdy Puckett wrócił na miejsce.

- Johnny Puckett jest naprawdę dobry. Mówi, że jego ojciec trzymał w pokoju dzieciennym krótkofalówkę. Zrobił mu nawet zabawkę ze starych pokręteł.

- Coś w tym jest. Jak w dawnych czasach, kiedy ludzie uczyli się jednego rzemiosła i opanowywali je do perfekcji.

- To prawda, panie generale. Ale mój ojciec próbował kiedyś grać w koszykówkę. Mimo że się starał, nie szło mu za dobrze. Zmarnował tylko czas.



- A ty?

- Też się staram.

- Ale przekazał ci zapał i ambicję, prawda? Król Artur nie mógł sam szukać świętego Graala. Mojżeszowi nie wolno było przekroczyć Jordanu. Ale dawali natchnienie innym, którzy mogli.

Squires przechylił głowę.

- Wzbudza pan we mnie poczucie winy, że nie piszę do domu.

- W drodze powrotnej możesz posłać ojcu pocztówkę z Osaki.

Rodgers poczuł, że samolot zakręca na południowy zachód. Powrót. Na dźwięk tego słowa zawsze ścisnęło go w gardle. Chociaż nigdy nie było wiadomo, jak będzie naprawdę, do znudzenia mówiło się i myślało o szczęśliwym powrocie. Nawet doświadczeni żołnierze nie oczekiwali niczego innego. Przypomniawszy sobie słowa Tennysona, które często prześladowały go przy takich okazjach:

Przynieśli do domu ciało jej rycerza.

Oddali milczącej dziewczynie.

Rzekły jej służki, patrząc, co zamierza:

Musi zapłakać lub zginie.

Po wylądowaniu transportowca, kapitan Harryhausen zaczął narzekać na pogodę. Nim skończył, żołnierze oddziału Iglica przesiedli się do czekającego helikoptera. Wystartowali w cztery minuty po otwarciu luku *C-141*.

Smukła maszyna ze znakami korpusu transportu wojskowego wzniosła się gwałtownie pośród zacinającego deszczu i skierowała się na północny zachód. Tak jak przedtem żołnierze siedzieli na ławkach po bokach kabiny, lecz nastrój był teraz zupełnie odmienny. Ci, którzy w drodze do Osaki grali w karty lub czytali, byli teraz podnieceni. Sprawdzali sprzęt, podtrzymywali się na duchu rzucanymi od czasu do czasu uwagami, kilku z nich się modliło.

Szeregowiec Bass Moore, odpowiadający za spadochrony, sprawdzał linki, gdy lecieli na niskim pułapie nad Morzem Japońskim, miotani silnym wiatrem i smagani rzednącymi strugami deszczu.

Squires wraz ze znajdującym się na pokładzie oficerem z Seulu omawiali strategię odwrotu.

Miał na nich czekać śmigłowiec Sikorsky 5-70 *Black Hawk*, któremu przelot nad Strefą Zdemilitaryzowaną do Gór Diamentowych zabierze kilka minut. Co ważniejsze, jedenastomiejscowa maszyna wyposażona była w parę mocowanych na burtach karabinów maszynowych *M-60*, co znacznie zwiększało szanse wydostania się z miejsca akcji.

Gdy do zrzutu zostało jedynie 20 minut, Rodgers wezwał Pucketta i poprosił go, by wywołał dyrektora Centrum. Generał nie pamiętał, by głos Hooda kiedykolwiek zdradzał aż takie zdenerwowanie, co wbrew oczekiwaniom podniosło go na duchu.

- Mike, wygląda na to, że znajdziecie się w samym środku zabawy

- Co się stało?

- Prezydent nie kupuje naszych wyjaśnień, ale my nadal uważamy, że za tym wszystkim kryje się zorganizowana grupa z Korei Południowej. Dowiedzieliśmy się też, że dwóch ludzi z promu na Morzu Japońskim zabrał jakiś pilot. Facet był tak zdenerwowany, że uszkodził

samolot podczas lądowania i puścił farbę patrolowi Straży Przybrzeżnej. Powiedział, że zawiózł ich do Kosongu.

- Do Kosongu? To tylko dwa kroki od bazy *Nodongów*.

- Zgadza się. Poza tym na promie zostały dwa ciała. Denaci przewozili do Korei Północnej pieniądze z gier hazardowych. Dziesiątki tysięcy dolarów.

- To całkiem przyzwoita łapówka na Północy. Większość tych drani sprzedałoby swe dzieci za tysiąc.

- Tak twierdzi Bob Herbert. Sporo ryzykujemy zakładając, że ktoś z Południa planuje wykorzystać te pieniądze w celu przejścia kontroli nad bazą *Nodongów*, lecz nie możemy zlekceważyć i tej możliwości.

- Co znaczy, że musimy tam pójść i sprawdzić.

- Właśnie. Przykro mi, Mike.

- Nie ma powodu. Na taką robotę się pisaliśmy Parafrazując Gerge'a Chapmana: „dopiero zagrożenie zmienia nas we lwy”.

- Pewnie. Albo jak Kirk Douglas mówi w „Championie” „nasza praca jest jak każda inna, tylko czasem widać krew”. Uważaj na siebie i każ Charliemu z chłopakami postępować tak samo.

- Dziesięć minut! - zawołał Squires.

- Na razie, Paul - zakończył Rodgers. - Dam ci znać przez radio, kiedy będziemy coś mieć.

I jeżeli cię to pocieszy, tym razem wolę uchylać się przed kulami, niż przed prasą.

Powodzenia.

□ Środa, godzina 7.20 - Strefa Zdemilitaryzowana

Generał Schneider zapomniał o śnie w chwili, gdy wszedł ordynans. Pamiętał tylko, że był gdzieś na nartach i bardzo mu się podobało. Rzeczywistość i suche nocne powietrze zawsze przywracały mu przytomność z nieprzyjemnym wstrząsem.

- Panie generale, telefon z Waszyngtonu.

- Prezydent?

- Nie, panie generale. Jakiś Bob Herbert z Centrum.

Schneider wymamrotał pod nosem przekleństwo.

- Pewnie chcę, żebym wsadził biednego Donalda w kaftan bezpieczeństwa. - Wślizgując się w pantofle generał podszedł do biurka. Z ulgą opadł na obrotowy fotel i podniósł słuchawkę.

- Generał Schneider.

- Generale, mówi Bob Herbert, oficer wywiadu z Centrum.

- Słyszałem o panu. Liban?

- Tak. Co za pamięć.

- Nigdy nie zapominam, gdy zdarzy nam się zrobić coś głupiego. Bob, ta pieprzona ambasada równie dobrze mogła mieć przy wejściu znak dla terrorystów „dajcie nam kopa”.

Żadnych barykad od frontu, zupełnie nic, co mogłoby zatrzymać terrorystę wybierającego się ciężarówką do Allacha. Oparł się wygodnie i starł z powiek resztki snu. - Ale wystarczy wypominania starych błędów. Dzwonisz, żeby zapobiec nowym.

- Mam nadzieję - przyznał Herbert.

- Sam nie wiem, co, do cholery, go napadło. Nie, nieprawda. Wczoraj zabili mu żonę.

Donald to dobry facet. Ale teraz po prostu nie myśli zbyt jasno.

- Mam nadzieję, że na tyle jasno, by przedstawić tam nasze oficjalne stanowisko.

Schneider aż podskoczył na fotelu z wrażenia.

- Zaraz! Mówisz mi, że zgadzacie się na tę jego idiotyczną minikonferencję?

- Dyrektor Hood poprosił go, żeby przekazał im pewną wiadomość. Mianowicie mamy podstawy, by sądzić, że za wybuchem kryje się oddział Koreańczyków z Południa, udających terrorystów z KRLD... i że mógł to być jeden z kilku zaplanowanych aktów terroru, mających doprowadzić do wybuchu wojny.

- Nasi ludzie? - Schneider znieruchomiał. - Do diabła, jesteś pewien?

- Elementy układanki coraz bardziej pasują do siebie dokończył Herbert. - Uważamy, że kryje się za tym major Kim Li.

- Li? Znam go. Drań o kamiennej twarzy, superpatriota. Lubię go.

- Podejrzewamy, że sformował małą grupę terrorystyczną - ciągnął Herbert. - Jest teraz chyba na pańskim terenie z czterema dwudziestopięciolitrowymi pojemnikami z gazem bojowym.

- Skontaktuję się z generałem Norbomem i każę mu wysłać oddział w celu likwidacji Li.

- To nie wszystko. Jego ludzie mogą próbować przejąć kontrolę nad bazą wyrzutni *Nodongów* na wschodzie.

- Ambitne - skomentował Schneider. - Jesteś pewien, że Donald ma to wszystko powtórzyć Hong-ku? Zanim skończy mówić, wszyscy dziennikarze roztrąbią o tym na prawo i lewo.

- Wiemy o tym.

- Będą też strzelać do ludzi Li bez ostrzeżenia - dodał Schneider. - Pomyśleliście o tym, co będzie, gdy się rozejdzie, że Amerykanie odpowiadają za śmierć Koreańczyków z Południa?

W Seulu zrobi się piekło. Jak w cholernym Sajgonie.

- Hood o tym też wie - powiedział Herbert. - Przygotowuje coś z naszym rzecznikiem prasowym.

- Szykujcie lepiej podwójny pogrzeb. Przecież możecie spowodować kryzys konstytucyjny poprzez praktyczne uniemożliwienie prezydentowi skorzystanie z prawa do wypowiedzenia i prowadzenia wojny.

- Jak już powiedziałem, szef o tym wie - powtórzył Herbert.

- W porządku, Bob, przekażę mu wszystko. A teraz coś dla pana Hooda. Może nie ma wszystkich klepek na swoim miejscu, ale muszę przyznać, że takich jaj nie widziałem od czasu sprawy Ollie Northa.

- Dzięki - zakończył Herbert. - Jestem pewien, że odbierze to jako komplement.

Przebudziwszy się z krótkiej drzemki, Gregory stwierdził, że czuje się nadzwyczaj rześko, a jego

umysł odzyskał dawną sprawność. Siadając na porośniętej karłowatymi krzewami równinie spojrzął na jasno oświetloną granicę. Czuwały obie strony, powodowane nienawiścią i podejrzliwością. Nieufność nie pozwalała przeciwnikom zasnąć.

Wyjął fajkę i nabił ją resztką tytoniu Balkan Sobranie. Zapalił ją i przysunął płomień w stronę zegarka, by sprawdzić, która godzina.

Już prawie pora.

Pykając z wolna, otoczony chmurą dymu rozmyślało Bałkanach, o tym, jak jeden incydent - zabójstwo arcyksięcia Ferdynanda - spowodował wybuch pierwszej wojny światowej. Czy tutaj zdarzy się coś, co wywoła trzecią wojnę światową? Nie można tego wykluczyć. W powietrzu wyczuwało się coś więcej, niż napięcie, raczej nieokiełznane szaleństwo.

Podbudowanie własnego ja za cenę ludzkiego życia, malowane obrazów krwią. Co się z nami stało?

Z tyłu odnalazły go światła samochodu. Donald odwrócił się i zasłonił oczy dłonią. Dżip podjechał i zatrzymał się.

- Rozmawiasz z gwiazdami? - zapytał generał Schneider, gramoląc się z siedzenia pasażera.

Podszedł bliżej, górując swą sylwetką nad dyplomata.

- Nie, generale. Z moją własną muzą.

- Powinieneś był mi powiedzieć, dokąd idziesz. Gdybyś nie zapalił fajki, szukalibyśmy cię do białego rana.

- Nie zmieniłem zdania, jeżeli o to ci chodzi.

- Nie. Mam dla ciebie wiadomość od szefa.

Donald czuł, jak kurczy mu się żołądek. Miał nadzieję, że generał nie skontaktował się z Białym Domem.

Schneider przekazał mu wiadomość od Herberta, zaś Donald poczuł, jakby z jego barków zdjęto ogromny ciężar. Poczul ulgę, że przecucia jego i Kima okazały się słuszne, lecz przede wszystkim ucieszył się widząc, że istnieją teraz wszelkie szanse na szybkie ugaszenie pożaru.

Dziwne, pomyślał. Wcale nie jestem zaskoczony, że Li maczał w tym palce. Gdy spotkali się wcześniej, ostatnie spojrzenie, które rzucił mu major nie było całkiem w porządku.

Zdradzało inteligencję, ale także agresję, podejrzliwość, a może pogardę.

- Nie będę udawał, że mi się to podoba, ale nie mam zamiaru ci przeszkadzać - podjął

Schneider.

- A przedtem miałeś taki zamiar?

- Szczerze mówiąc, myślałem o tym. I nadal mam zamiar zapisać się w historii jako przeciwnik porozumienia z KRL-D, lecz świat składa się z różnych ludzi. - Schneider wrócił

do samochodu. - Wsiadaj. Podwiozę cię do bazy.

- Wolę się przejść. Rozjaśni mi się w głowie.

Schneider nie obejrzał się za siebie. Wsiadł do dżipa, który zawrócił, pozostawiając na drodze kurz zmieszany ze spalinami.

Donald szedł ich śladem, pykając z zadowoleniem. Wiedział, że Sundzi byłaby zaskoczona i dumna z takiego obrotu sprawy.

Nagle poczuł na karku ukłucie. Sięgnął dłonią, by się podrapać, dotknął chłodnej stali i zamarł.

- Ambasador Donald - powiedział znajomy głos, a nóż ruszył w drogę po szyi, zatrzymując się pod brodą dyplomaty

Donald poczuł płynący po szyi strumyk krwi. W czerwonej poświacie, rzucanej przez tłący się tytoń, dostrzegł twarz majora Li.

□ **Wtorek, godzina 17.30 - Centrum**

Na widok Ann Farris wchodzącej do gabinetu Matta Stolla, operator komputerów prychnął z rozdrażnieniem.

- Do diabła, ludzie - warknął - przestańcie mnie wreszcie popędzać.

Paul Hood siedział na małej, obitej skórą kanapie z tyłu pomieszczenia. Z sufitu zwisał dwudziestopięciocalowy ekran telewizyjny, a na półce czekał zestaw gier telewizyjnych.

Stoll korzystał z nich ilekroć potrzebował chwili odprężenia i namysłu.

- Nie popędzam cię - sprostował Hood. - Chcę tylko, żebyś mi powiedział, kiedy doprowadzisz satelity do porządku.

- Będziemy cicho - powiedziała Ann, siadając. Spojrzała na Hooda pełnymi smutku oczyma. - Paul, muszę ci powiedzieć prawdę. Rzucają nas na pożarcie, nawet gdy będziemy mieli rację.

- Wiem. Za pół godziny Donald spotka się z ludźmi z KRLD, po czym prasa światowa rozszarpie na kawałki prezydenta Korei Południowej za mobilizację wojsk w sytuacji, gdy wiedział, że Phenian może być niewinny Wynik? Lawrence musi powściągnąć swe wojownicze zapędy.

- Albo wyjdzie na agresora.

- Racja. A jeżeli okaże się, że major Li nie jest w to zamieszany, Północ spokojnie będzie mogła przeprosić, ukarać winnych i posprzątać u siebie w domu. Albo jeżeli zamach odbył

się za wiedzą i przyzwoleniem Phenianu, może przegrupować siły i znów zaatakować. Tak czy inaczej, prezydent pozostaje bezradny.

- Dość dokładnie to podsumowałeś - stwierdziła Ann. Lowell sądzi, że powinieneś nakłonić Donalda do odłożenia spotkania. Zwykle się z nim nie zgadzam, ale tym razem uważam, że ma rację. Co prawda z takiego spotkania Północ też zdobędzie dla siebie punkty propagandowe, ale z tym sobie poradzimy Powiedz im, że działa sam.

- Nie zrobię mu tego, Ann. - Hood spojrzał na Stolla. Matty, daj mi wreszcie te satelity!

- Powiedziałaś, że nie będziesz mnie popędzać!

- Zmieniłem zdanie.

- Po co ci teraz rozpoznanie? - zapytała Ann.



- Trwają poszukiwania majora Li, ale nikt nie zajmuje się ludźmi, którzy mogą podjąć próbę opanowania wyrzutni *Nodongów*. Mike i oddział Iglica będzie wkrótce na miejscu.

Jeżeli uda nam się znaleźć dowody na sabotaż, a Mike ich powstrzyma, udowodnimy, że mamy rację - a prezydent będzie miał swoją upragnioną akcję wojskową, dzięki której wzrosną jego notowania. Północ będzie narzekać, że wysłaliśmy do nich naszych ludzi, ale wszystko rozejdzie się po kościach, jak wtedy, kiedy Izraelczycy przeprowadzili operację w Entebbe.

Ann otworzyła szeroko oczy.

- Jesteś genialny, Paul. Naprawdę znakomity pomysł!

- Dzięki. Ale zagra tylko wtedy, kiedy będę miał...

- Już masz! - krzyknął Stoll, odpychając foteli klaszcząc w dłonie.

Gdy Hood podbiegł do niego, Stoll stuknął w guzik telefonu, by dać znać do NRO. Stephen Viens od razu się odezwał, zaś Stoll przełączył go na zewnętrzny głośnik.

- Steve! Jesteś znów na linii!

- Tak myślałem - odezwał się głos Viensa. - Od razu, kiedy zobaczyłem, jak ten stary sowiecki okręt wojenny zniknął z Morza Japońskiego.

- Steve, mówi Paul Hood. Pokaż mi bazę ruchomych wyrzutni *Nodongów* w Górach Diamentowych. Daj zbliżenie, żebym mógł zobaczyć wszystkie trzy rakiety.

- To będzie jakieś siedemdziesiąt metrów w górę. Wpisuję teraz współrzędne i... działa!

Obiektów noktowizora na miejscu, zdjęcie zrobione, konwerter kamery przetwarza teraz obraz. Zaczynam skanować...

- Nie kończ i prześlij od razu do nas.

- Dobra, Paul - powiedział Viens. - Matty, odwaliłeś kawał dobrej roboty Stoll przełączył komputer na odbiór. Hood nachylił się nad monitorem, gdy tylko pojawił

się obraz. Wyływał na ekran od góry do dołu, jakby malowany szybkimi pociągnięciami pędzla. Ann stanęła za nim i delikatnie wsparła dłoń na jego ramieniu. Nie zwrócił uwagi na spojrzenie, które rzucił mu Matt spod zmarszczonych brwi, lecz nie potrafił zignorować jej elektryzującego dotknięcia. Na ekranie znalazło się kompletne czarno-białe zdjęcie terenu bazy pocisków *Nodong*.

- Pocisk na górze jest skierowany na południe - powiedział Hood. - Te po lewej i po prawej...

- Boże... - wtrącił Stoll.

- Trudno się z tym nie zgodzić.

Ann nachyliła się nad Hoodem.

- Dwa po bokach skierowane są w różnych kierunkach.

- Jeden na południe - powiedział Stoll. - A drugi na...

- Wschód - uzupełnił Hood. - Co oznacza, że ktoś się tam dostał.

Wyprostował się i pospieszył do drzwi, niechętny odtrącając dłoń Ann.

- Skąd wiesz? - zapytała Ann.

Hood rzucił przez ramię, wybiegając na korytarz:

- Bo nawet Północ nie jest na tyle szalona, żeby celować *Nodonga* w Japonię.

□ **Środa, godzina 7.35 - Strefa Zdemilitaryzowana**

- Major Li - wyszeptał Donald. - Jakoś nie czuję się zaskoczony

- A ja tak - powiedział Li, wpychając ostrze noża pod brodę Donalda. - Sądziłem, że będę teraz pilnował swych obowiązków, a zamiast tego jestem tutaj z panem.

- A do pańskich obowiązków zalicza się też zabijanie niewinnych ludzi i próba rozpętania wojny.

- Nie ma niewinnych ludzi...

- Myli się pan. Moja żona była niewinna.

Donald powoli unosił rękę. Li lekko podniósł do góry ostrze, lecz Donald nie przerwał ruchu.

- Pan i pana żona, ambasadorze, ułatwialiście życie tym, którzy porzucili swój kraj. Jest pan tak samo winny, jak inni i czas, żeby pan dołączył do...

Donald poruszył się tak szybko, że Li nie miał czasu zareagować. Trzymając fajkę w lewej dłoni, Donald wykonał obrót cybuchem i zahaczając od góry nóż majora odepchnął go w lewo. Lulka fajki znalazła się naprzeciw twarzy Li, a Donald, idąc za ciosem przycisnął

rozżarzony tytoń do prawego oka majora. Li upuścił nóż, który Donald błyskawicznie podniósł z ziemi.

- Nie! - krzyknął Li, odwracając się i uciekając w szarość wczesnego poranka.

Donald pobiegł za nim, ściskając nóż w dłoni. Li kierował się do miejsca, w którym Koreańczycy z Północy mieli swoje tunele. Zastanawiał się, czy major umyślnie odciąga go od bazy po południowej stronie Strefy Zdemilitaryzowanej. Czy tam właśnie miał zamiar użyć gazu?

Nieprawdopodobne, pomyślał. Li był ubrany we własny mundur ROK. Biegł na północ -

prawie na pewno zamierza użyć gazu bojowego. Jeżeli go zauważą, Południe zostanie oskarżone o sprowokowanie konfliktu zbrojnego. Donald przez chwilę zastanawiał się, czy nie powiadomić Schneidera, lecz co zrobi generał? Przecież nie pobiegnie za nim na północ.

Nie. Donald wiedział, że jest jedynym, który może tam iść. Coraz ciężiej oddychał.

Dojmujący ból w klatce piersiowej przeszkadzał mu w pościgu za malejącą w oddali sylwetką majora. Dzieliło go od Li przynajmniej dwieście metrów, lecz major biegł na wschód. Dlatego w miarę, jak noc ustępowała błękitowi poranka, Donald - potykając się i tracąc dystans przynajmniej

widział, dokąd biegnie jego ofiara.

Nagle Li zniknął, zupełnie, jakby zapadł się pod ziemię. Donald zwolnił, by złapać oddech i zorientował się, że major musiał wskoczyć do któregoś z tuneli. Zapamiętał

charakterystyczne cechy terenu - gęste zarośla na przestrzeni mniej więcej dwudziestu metrów i szybko poszedł w ich stronę, licząc kroki, by zapomnieć o bolących nogach i kłuciu w płucach.

W kilka minut po zniknięciu Li, Donald znalazł się u wejścia do tunelu. Nie czekał, domyślając się, że gdyby Li miał z sobą broń, nie wahałby się jej użyć w walce. Złożywszy nóż i schowawszy go do kieszeni, opadł na kolana, chwycił konopną linę i opuścił się w dół

studni, uderzając się po drodze kilkakrotnie w plecy. Niemal u kresu sił dotarł na dno studni i przez chwilę nasłuchiwał. Gdzieś z przodu dochodziły go odgłosy szurania o ziemię. Zapalił

zapałkę, zobaczył tunel i już wiedział, gdzie skierował się Li.

Na wypadek gdyby coś mu się stało, chciał zostawić Schneiderowi wiadomość, dokąd poszedł. Odwrócił się i podпалиł linę. Gdy gęsty dym wypełnił przejście, opadł na brzuch.

Wczołgał się do tunelu, modląc się, by generał zobaczył dym i płomienie. Miał też nadzieję, że uda mu się dojść na drugą stronę, zanim udusi go dym... a gdy już się tam znajdzie, powstrzyma Li, zanim ten zrealizuje swój szalony plan.

## □ Środa, godzina 7.48 - Góry Diamentowe

Skok ze spadochronem w niczym nie spełnia oczekiwań większości nowicjuszy. Powietrze jest zaskakująco namacalne, wręcz twarde - swobodne spadanie przypomina raczej jazdę na grzbiecie morskiej fali. W dzień ma się niewielkie poczucie odległości, ponieważ przedmioty wydają się bardzo płaskie i dalekie. Nocą brakuje nawet tego.

Chociaż

pozostali

wyskoczyli

przed

nim,

Mike

Rodgers

był

zaskoczony

wszechogarniającym uczuciem samotności - nie widział nic, czuł jedynie opór wiatru, prawie nie słyszał swego głosu, gdy odliczał dwadzieścia sekund przed szarpnięciem linki wyzwalającej spadochron. Potem łomot wiatru zmniejszył się do delikatnego podmuchu i wszystko inne ucichło.

Skakali z wysokości tysiąca pięciuset metrów, więc kontakt z ziemią nadszedł dość szybko, zgodnie z ostrzeżeniami drugiego pilota. Gdy tylko pociągnął za linkę, wybrał sobie punkt orientacyjny - szczyt drzewa, błyszczący w poświacie wczesnego poranka. Opadając, nie spuszczał zeń wzroku. Tylko po swej pozycji względem niego orientował się, jak jest wysoko. Znalazłszy się na równi z nim, przygotował się na lądowanie z lekko podkurczonymi nogami, a gdy stopami uderzył o ziemię, zamortyzował upadek, pochylając się bardziej do przodu, potem padł i przewrócił się. Leżąc na boku, odpiął spadochron, wstał

szybko i zwinął czaszę. Dokuczały mu trochę ścięgna Achillesa, które nadwerężył podczas lądowania. Duch był ochoczy, lecz ciała brakowało dawnej gibkości.

Bass Moore już biegł w jego stronę, za nim podążał Puckett z radiostacją przystosowaną do łączności satelitarnej.

- Jak nam poszło? - szeptem zapytał Rodgers Moore'a.

- Wszyscy zdrowi i cali.

Puckett rozłożył antenę komunikacji satelitarnej i nawiązał łączność zanim nadeszła reszta oddziału. Gdy Moore zabrał spadochron generała i pobiegł do pobliskiego jeziora, żeby go zatopić, Squires znalazł się już u boku Rodgersa.

- Wszystko w porządku, panie generale?

- Stare kości jakoś wytrzymały - Rodgers wskazał na radiostację. - Zamelduj się. Mówiłem ci przecież, że to twoja misja.

- Dziękuję, panie generale - odparł Squires.

Podpułkownik kucnął, wziął słuchawki od Pucketta i ustawił mikrofon, podczas gdy szeregowiec wystukiwał właściwą częstotliwość.

Zgłosił się Bugs Benet i szybko połączył go z Hoodem.

- Wylądowałeś, Mike?

- Mówi Squires, panie dyrektorze. Tak, wszystko w porządku.

- Znakomicie. Mam dla was nowe informacje. W ciągu ostatnich dziesięciu minut wszystkie trzy *Nodongi* zostały przestawione. Zamiast mierzyć w Seul, skierowane są na Japonię.

- Wszystkie trzy pociski wycelowane w Japonię - powtórzył Squires, patrząc w górę na Rodgersa. - Rozumiem.

- Boże - westchnął Rodgers.

- Musicie je unieszkodliwić.

- Tak jest.

- Bez odbioru - zakończył Hood.

Squires zdjął słuchawki. Gdy przekazywał informacje Rodgersowi, pozostali żołnierze oddziału Iglica ładowali swe pistolety maszynowe *Beretta*. Sierżant Chick Grey, odpowiedzialny za mapy, sprawdzał wydruki podane mu przez podpułkownika Squiresa.

Słyszając, że mają zniszczyć *Nodongi*, Rodgers zaczął żałować, że nie wzięli ze sobą materiałów wybuchowych. Wiadomo było jednak, że o ile Korea Północna skłonna była negocjować uwolnienie ludzi schwytych z bronią w rękę na swym terytorium, o tyle znalezienie przy nich materiałów wybuchowych, zwiastujących zamiar dokonania poważnego aktu sabotażu, kończyło się rozstrzelaniem na miejscu. Ku swojemu zdziwieniu, poczuł, że żałuje teraz, że nie może już cofnąć

podjętej decyzji. Obwody kontrolne *Nodongów* mieściły się w szafach o konstrukcji podobnej do sejfów i bardzo trudno będzie do nich dotrzeć, zwłaszcza, gdy brakuje czasu. Jeżeli na miejscu nie zdobędą materiałów wybuchowych, nie bardzo wiedział, co mogą zrobić.

Sierżant Grey podszedł do Squiresa. Snopem światła z wąskiej latarki laserowej wskazał na mapę w szybko ustępującej ciemności.

- Panie pułkowniku, pilot odwalił kawał dobrej roboty Jesteśmy mniej niż siedem kilometrów od bazy - tutaj. Wskazał na las na południowy wschód od doliny, w której ustawiane były wyrzutnie. - Droga prowadzi pod górę, ale kąt nachylenia nie jest taki zły Squires zarzucił sobie na plecy tornister i zarepetował broń.

- Ruszamy, sierżancie - powiedział głosem nieco tylko głośniejszym od szeptu. - Jeden za drugim. Moore, idziesz pierwszy. Zatrzymaj nas, jak tylko usłyszysz pierwszy znak życia.

- Tak jest! - Moore zasalutował i poszedł na czoło szeregu.

Squires ruszył drugi, za nim Rodgers.

Głęboki granatowy odcień horyzontu stopniowo przechodził w lazur o lekko żółtawym odcieniu. Szli w górę zbocza, zanurzając się w coraz gęstszy las. Takie chwile Rodgers lubił

najbardziej. Nastrój oczekiwania niezwykle wyostrzył zmysły, lecz czysty refleks, odruch przetrwania, jeszcze nie zaczął działać i generał mógł się rozkoszować czekającą ich próbą sił.

Rodgers czuł dumę i dreszcz radości, że może być z nimi, chociaż spoglądając na dwudziestokilkuletnie twarze i krocząc na obolałych czterdziestopięcioletnich nogach czuł się znacznie starszy Miał nadzieję, że jego ciało stanie na wysokości zadania i przypomniał

sobie, że bohater staroangielskiego poematu, Beowulf, pokonał zięjącego ogniem smoka pięćdziesiąt lat po spotkaniu z potworem Grendelem. Oczywiście wiekowy król Jutów poniósł śmierć w tej walce, Rodgers jednak powtarzał sobie, że gdy nadejdzie jego czas, nie miałby nic przeciwko spłonięciu na olbrzymim stosie, wokół którego jeździć będą jego rycerze i śpiewać hymny pochwalne.

Dwunastu rycerzy, przypomniał sobie Rodgers, próbując nie wyciągać zbyt daleko idących wniosków ze zbieżności liczb. Nagle Moore, zbliżając się do szczytu wzniesienia, opadł na czworaki, podczołgał się do przodu, a potem podniósł dłoń, dwukrotnie prostując pięć palców.

Gdzieś przed nimi znajdowało się dziesięciu ludzi.

Gdy skuleni żołnierze znów ruszyli, zorientował się, że czas napawania się oczekiwaniem minął...

## □ Środa, godzina 7.50 - Strata Zdemilitaryzowana

Donald wiedział, że istnieje granica, poza którą ciało nie jest w stanie sprostać woli nawet najsilniejszego ducha i zdawał sobie sprawę, że się do niej zbliża. Dysząc ciężko po szaleńczym biegu, zlany potem, przeciskał się jak robak przez tunel, odpychając się ciasno przyciśniętymi do ciała łokciami. W korytarzu panował nieznośny upał, pot piekł go w oczy, a suchość powietrza i unoszący się w nim pył wywoływały bezustanny odruch kaszlu. Z

powodu panujących ciemności, każdy zakręt tunelu, który wydawał się nie mieć końca, odkrywał bolesnym uderzeniem ramienia w ścianę ziemi.

Lecz przed sobą nadal słyszał majora Li i to dodawało mu sił, by nadal poruszać się do przodu. Gdy nagle wszystko ucichło, zorientował się, że Li dotarł już do wyjścia z tunelu i że koniec jego własnych wysiłków jest bliski.

Wreszcie, gdy jego ciało niemal odmówiło posłuszeństwa, a ból spowodowany skurczem rąk i nóg stał się nie do zniesienia, Donald zauważył światło i znalazł się w przejściu, które miało go uwolnić z nienawistnej jamy.

Podniósł się z ogromnym wysiłkiem. Gdy próbował się wyprostować, poczuł w krzyżu coś, jakby pchnięcie nożem. Pozwolił sobie na chwilę odpoczynku, chcąc przez chwilę odetchnąć chłodniejszym powietrzem - i zauważył, że nie ma wyjścia. Jeżeli wcześniej w studni była drabina, to Li musiał zabrać ją ze sobą.

Rozejrzał się dookoła. Studnia była wąska, więc zaczął się wspinać, opierając plecy o jedną ścianę, a wyprostowanymi nogami i dłońmi przesuwając po drugiej. Podczas trzymetrowej wspinaczki musiał się dwukrotnie zatrzymać, by nie spaść na dół. W zębach trzymał nóż Li.

Co jakiś czas wyjmował go i rył nim w ścianie, by dać obolałym kończynom punkt podparcia i chwilę wytchnienia, nim ruszył w dalszą drogę. Gdy wreszcie wydostał się na zewnątrz, w świetle wschodzącego słońca zobaczył, że jest po drugiej stronie ogrodzenia Strefy Zdemilitaryzowanej. Znalazł się w Korei Północnej.

Wyjście z tunelu znajdowało się w południowo-zachodnim zboczu krateru - pozostałości ćwiczeń artyleryjskich. Nie można go było dostrzec ani z oddalonej o około czterysta metrów na zachód bazy, ani od strony odległej o jakieś dwieście metrów na południe granicy Strefy Zdemilitaryzowanej. Tunel musiał być nowym dziełem Li i jego ludzi, bowiem Koreańczycy z Północy umieściliby wejście bliżej bazy, skąd ich ludzie mogliby wchodzić i wychodzić niezauważeni przez Południe.

Przytulony do ściany krateru Donald wyrzwał za jego krawędź. Li zniknął. Na północ od miejsca, w którym się znalazł rozciągało się pasmo porośniętych drzewami, falujących wzgórz, gdzie można się było znakomicie ukryć. Na twardym, suchym gruncie nie widać było żadnych śladów, a Donald nie miał pojęcia, czy Li skierował się w stronę wzgórz, czy bazy.



Nieważne, powiedział sobie. Teraz najważniejszym zadaniem było odnaleźć pojemniki z gazem. Bez względu na to, dokąd poszedł major Li - do bazy, czy na północ, do Phenianu, by zorganizować północnokoreański odpowiednik zamachu bombowego w Seulu - Donald musiał się spotkać z generałem Hong-ku i opowiedzieć mu, co się stało.

Ruszył żywo do przodu. Po wyjściu z tunelu, co dało mu sposobność rozluźnienia obolałych mięśni, poczuł się znacznie lepiej. Spoglądał uważnie przed siebie, mając nadzieję dojrzeć sylwetkę majora, lecz z tej strony bazy panował niczym niezmacony spokój. Na południe od zabudowań dostrzegł wracające ze służby patrole.

Oczywiście, pomyślał Donald. Dlatego Li wybrał tę porę. Czujność żołnierzy zawsze słabła, gdy zbliżała się zmiana warty. Znów skierował wzrok w stronę koszar i tym razem wy dało mu się, że widzi metaliczny błysk w promieniach wschodzącego słońca. Zatrzymał się i mrużąc oczy spojrzał dokładniej. Błysk powtórzył się, więc Donald podbiegł kilka metrów na południe, by się lepiej przyjrzeć.

W cieniu jednego z budynków bazy, przy samej ścianie, przykucnął jakiś człowiek. Obok niego znajdowała się skrzynka - generator prądowy? Z oczyma utkwionymi w mężczyźnie, Donald ruszył biegiem w jego stronę. Po chwili zorientował się, że człowiek manipuluje przy klimatyzatorze, a błyski, które ujrzał wcześniej rzucała tylna ścianka urządzenia, którą tamten zdążył już odkręcić. Gdy znalazł się jeszcze bliżej, zauważył drugą skrzynkę.

Skrzynkę... lub pojemnik. Donald puścił się biegiem. Gaz bojowy w systemie klimatyzacyjnym zadziała szybko ze straszliwą skutecznością. Żołnierze z patroli, które wróciły z nocnych patroli do koszar będą zmęczeni, zaraz zasną i nigdy już się nie dowiedzą, co się wydarzyło. Przyspieszył kroku. Teraz widział wyraźnie, że mężczyzna stawia drugi pojemnik na skrzynce klimatyzatora.

Donald biegł tak szybko, jak tylko mógł.

- Zatrzymajcie go! - krzyknął. - Niech ktoś zatrzyma tego człowieka za koszarami!

Mężczyzna spojrzał w jego kierunku i akryl się głębiej w cieniu.

- *Saram sallio!* - krzyknął po koreańsku. - Na pomoc! Nie pozwólcie mu uciec!

Na wieży obserwacyjnej od strony południowej zapalił się reflektor. Zaraz odpowiedział

mu drugi na północy. Snop światła z południa natychmiast odnalazł Donalda, a w chwilę później dołączyło do niego także światło z północy.

Żołnierze, wychodzący właśnie na patrol wynurzyli się zza ściany koszar. Donald pomachał obiema dłońmi nad głową.

- Wyprowadźcie wszystkich z koszar! Tam jest gaz - trujący gaz...

Zachowanie żołnierzy zdradzało podniecenie, lecz najwyraźniej nie wiedzieli, co robić.

Kilku z nich zdjęło z ramion AK47 i wycelowało je w stronę Donalda.

- Do diabła, nie! Nie mnie! Chcę wam pomóc...

Żołnierze pokrzykiwali coś między sobą, lecz Donald nie całkiem rozumiał co mówią.

Nagle usłyszał jednego z nich, jak krzyczy, że idzie generał i że biegnący mężczyzna ma w dłoni *naifu*.

Nóż. Przecież dalej trzyma nóż w ręce.

- Nie! - krzyknął Donald. - To nie mój!

Podniósł ostrze nad głowę, gdzie mogli je zobaczyć i zgiął nadgarstek, by z daleka widocznym gestem rzucić broń na ziemię.

Ciszę wczesnego poranka przerwały dwa strzały, których echo błąkało się po wzgórzach jeszcze długo po tym, jak umilkło dudnienie kroków Donalda.

□ Środa, godzina 7.53 - Seul

Kim Huan obudził się prawie pięć godzin po operacji. Czuł się o wiele lepiej. Rozejrzawszy się dookoła przypomniał sobie wszystko. Wydarzenia w wiosce Jangu, podróż powrotną...

Kim... przyjazd do szpitala.

Odwrócił się na lewy bok. Tuż za woreczkiem kroplówki ujrzał zwisający z białego kabla czerwony przycisk wzywania pomocy. Ostrożnie uniósł lewą rękę i nacisnął go. Zamiast pielęgniarki pojawił się Czhoi Hongtack, agent wydziału służby bezpieczeństwa wewnętrznego KCIA. Młody mężczyzna ubrany był w elegancko skrojony, trzyczęściowy czarny garnitur. Był zdolnym, dobrze się zapowiadającym młodym człowiekiem, lecz łączyły go nazbyt bliskie stosunki z dyrektorem Jang-Hunem i nie można mu było zbyt zaufać, bez uprzedniego obsypania poważnymi groźbami dotyczącymi jego dalszej kariery w KCIA.

Hongtack przysunął krzesło i usiadł przy łóżku Huana.

- Jak się pan czuje, panie Huan?

- Jak po pchnięciu nożem.

- Dostał pan dwa razy Przebicie prawego płuca i jelita cienkiego, też po prawej stronie. Na szczęście chirurgom udało się wszystko naprawić.

- Gdzie jest... panna Czong?

- Zostawiła pana samochód na parkingu, ukradła inny i porzuciła go, żeby ukraść trzeci. Do tej pory nie otrzymaliśmy żadnego meldunku o kradzieży samochodu w tym rejonie miasta, więc nie mamy pojęcia, czym jeździ ani dokąd się udała.

- To dobrze. - Huan uśmiechnął się.

Hongtack przyjrzał mu się ze zdziwieniem.

- Powiedziałem... dobrze - powtórzył Huan. - Uratowała mi życie. A człowiek, który mnie zaatakował?

- Był żołnierzem ROK. Ścigamy właśnie ludzi, którzy prawdopodobnie są jego zwierzchnikami.

Huan skinął głową na znak, że rozumie.

- Czho, pana kierowca, nie wrócił.

- Chyba... nie żyje. Jedźcie do domu... w wiosce Jangu. Do domu Kim.

Hongtack wyciągnął notes z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Wioska Jangu - powtórzył i zapisał. - Sądzi pan, że tam pojechała?

- Nie. Nie mam pojęcia, gdzie... mogła pojechać.

Nie mówił prawdy, lecz nie zamierzał się z niczym zdradzać przed Hongtackiem. Chciała pojechać do Japonii, by odszukać swego brata i miał nadzieję, że jej się uda. Wiedział, że musi teraz zadbać o jej bezpieczeństwo... tak samo, jak ona zadbała o niego, przywożąc go tutaj.

- Jeżeli ją znajdziecie... nie możecie jej aresztować.

- Słucham?

- Niech sobie jedzie, gdzie chce. - Huan złapał dłoń za rękaw marynarki Hongtacka. -

Rozumiesz...? Nie możemy jej zatrzymać.

Po źle skrywanym błysku w oczach agenta Huan nie mógł się domyślić, co bardziej zaniepokoiło Hongtacka: treść rozkazu, czy fakt, że dotknął jego ubrania.

- Rozumiem, panie Huan. Ale jeżeli zostanie odnaleziona, chce pan, żebyśmy ją śledzili.

- Nie.

Odezwał się pager Hongtacka. Agent ukradkiem spojrział na numer na ekranie.

- Więc co mam powiedzieć dyrektorowi?

- Nic. - Huan przesunął dłoń z rękawa na klapę marynarki. Nic... Tylko tym razem nie próbuj żadnych sztuczek, Hongtack.

- W porządku, panie Huan. Przepraszam, ale muszę zadzwonić do biura.

- Pamiętaj, co ci powiedziałem.

- Obiecuję.

Gdy znalazł się na korytarzu, Hongtack poprawił rękaw marynarki, po czym wyciągnął z jej kieszeni mały telefon komórkowy.

- Skrzecząca żaba - mruknął, podchodząc do kąta w pobliżu automatu sprzedającego napoje. Wystukał numer, który znajdował się na ekranie pagera i otrzymał połączenie z gabinetem dyrektora Jang-Huna.

- Jak się czuje? - zapytał Jang-Hun. - Czy dobrze go tam traktują?

Hongtack odwrócił się tyłem do korytarza i zasłonił sobie usta dłonią.

- Odzyskał przytomność, a lekarze mówili mi, że będzie zupełnie zdrow. Poza tym panie dyrektorze - chce kryć szpiega.
- Co?
- Osłaniać szpiega. Powiedział mi, że nie możemy jej zamknąć.
- Chcę z nim porozmawiać...
- On teraz śpi, panie dyrektorze.
- Spodziewa się, że pozwolimy jej uciec na północ po tym, jak widziała jego i kilku naszych agentów?
- Na to wygląda - odparł Hongtack, zaś jego orle oczy zwęziły się. - Dokładnie tego się spodziewa.
- Czy podał jakiś powód?
- Nie. Powiedział mi tylko, żebym nie próbował żadnych sztuczek.
- Rozumiem - powiedział Jang-Hun. - Niestety, będą z tym pewne kłopoty. Znaleźliśmy skradziony przez nią samochód. Porzuciła go niedaleko salonu BMW. Teraz wszyscy włączyli się do poszukiwań - policja miejska, nawet drogówka, a ja posłałem helikoptery, żeby patrolowały drogi wyjazdowe z miasta. Nie mogę ich teraz ni stąd ni zowąd odwołać.
- Świetnie. Co mam powiedzieć panu Huanowi, gdyby pytał?
- Prawdę. Jestem pewien, że zrozumie, gdy rozjaśni mu się w głowie.
- Oczywiście - przytaknął Hongtack.
- Zgłoś się do mnie za godzinę. Chcę wiedzieć, jak się czuje.
- Tak jest - powiedział Hongtack, po czym z uśmiechem na swej ascetycznej twarzy wrócił na krzesło przy drzwiach do pokoju Huana.

□ Środa, godzina 7.59 - Góry Diamentowe

Rodgers i Squires podczołgali się do miejsca, gdzie leżał Bass Moore. Szeregowiec podał lornetkę dowódcy.

- To jednostka strzegąca wschodniej części bazy - powiedział Squires. - Powinno ich być tylko pięciu.

Rodgers wychylił się i spojrział w dół. Skaliste zbocze wzgórza opadało stromo przez około osiemset metrów od skalnej półki, gdzie znajdowali się żołnierze. Z wyjątkiem kilku wielkich głazów, na otwartej przestrzeni nic nie nadawało się do wykorzystania w charakterze osłony. Na skalnym występie u podnóża góry znajdowały się dwie samobieżne baterie dział

przeciwlotniczych. Po obu stronach każdego ze stanowisk leżały równo magazynki po dwa tysiące pocisków każdy. Za nimi, w środku doliny promienie wschodzącego słońca zdradzały obecność *Nodongów* pod siatkami maskującymi obwieszonymi sztucznymi liśćmi.

- Wygląda na to, że pójdziemy dwójkami - powiedział Squires. - Moore, idź do chłopaków i każ im się dobrać w pary. Ty i Puckett ruszycie pierwsi. Podejdziecie do tej skały w kształcie landrynki jakieś sześćdziesiąt metrów w dół po lewej. Widzisz?

- Tak jest.

- Potem pójdziecie zakosem w dół na prawo, do kępy krzewów. Dalej na własną rękę rozpoznacie drogę. Reszta oddziału pójdzie za wami. Kiedy zejdziemy tak nisko, jak się tylko da, generał i ja otworzymy ogień od tyłu i damy im szansę się poddać. Na pewno się nie poddadzą, a gdy ruszą za nami w pościg, zaatakujemy z flanki. Szczegóły podam każdej parze osobno.

Moore zasalutował, a potem wrócił na wzgórze po sierżanta.

Rodgers nadal spoglądał w dół.

- A jeżeli zdecydują się poddać?

- Rozbroimy ich i zostawimy przy nich pięciu naszych żołnierzy. Ale oni się nie poddadzą.

- Chyba masz rację - przyznał Rodgers. - Będą walczyć. A gdy żołnierze przy wyrzutniach usłyszą strzały, wyślą za nami ludzi z innych posterunków.

- Tymczasem nas już wtedy tu nie będzie. Chłopcy zostaną w parach, żeby maksymalnie rozciągnąć wroga w terenie i po kolei unieszkodliwić. Spotkamy się na dole przy namiocie dowodzenia poniżej i znajdziemy sposób, żeby zamknąć ptaszki w klatce. Mam tylko nadzieję, że za wcześnie ich nie wypuszczą.

Rodgers wziął od Squiresa lornetkę i spojrzął w dół na namiot dowodzenia.

- Wiesz, coś mi się tutaj nie podoba.

- Co?

- Nie ma żadnego ruchu w pobliżu namiotu dowodzenia. Ani śladu dowódcy

- Przecież wszystko mają już ustawione. Może je śniadanie?

- Nie jestem pewien. Hood mówił, że dwóch ludzi z promu przerzucili samolotem do Korei Północnej. Jeżeli spisek jest rzeczywiście skierowany przeciwko KRL-D, dowódca nie mógł pozwolić, żeby weszli sobie spacerkiem do bazy, przejęli kontrolę nad pociskami i zmienili współrzędne celu.

- Można podrobić papiery

- Nie tutaj. Zawsze wszystko sprawdzają dwa razy. Jeżeli dowódca otrzymuje nowe rozkazy, kontaktuje się przez radiostację z Phenianem i wszystko potwierdza.

- Może mają tam swojego człowieka?

- To po co mieliby przysyłać tych dwóch? Prościej byłoby zmienić rozkazy z centrali.

- Rozumiem. - Squires skinął głową. W tej samej chwili nadeszli Moore i Puckett.

Rodgers nadal przypatrywał się z uwagą namiotowi. Nie dobiegał zeń żaden odgłos, a wejście było zasznurowane.

- Charlie, mam pewne przeczucie. Pozwolisz mi wziąć dwóch ludzi i sprawdzić na miejscu?

- Po co?

- Zejdziemy tam, posłuchamy, czy wszystko w porządku i zobaczymy, czy bazą dowodzi osoba, która rzeczywiście powinna nią dowodzić.

Squires pokręcił przecząco głową.

- Straci pan tylko cenny czas, panie generale. Zejście na dół zajmie wam przynajmniej godzinę.

- Wiem, i dlatego podkreślam, że ty tu dowodzisz. Ale mamy przeciwko sobie dwa razy więcej ludzi, niż się spodziewaliśmy i będzie sporo strzelaniny, której wyniku nie możemy być pewni.

Squires przygryzł górną wargę.

- Zawsze czekałem na sposobność powiedzenia generałowi „nie”, a teraz, kiedy już się nadarzyła, nie mam zamiaru jej wykorzystać. W porządku. Powodzenia tam na dole, panie generale.

- Dzięki. Skontaktuję się z tobą przez radiotelefon, gdy tylko będę mógł.

Rodgers i Moore przez chwilę zajęli się wytyczaniem trasy, który miał pozwolić całej trójce na obejście umocnień stanowisk artylerii. Po chwili dołączył do nich Puckett, zdjawszy wcześniej plecak z radiostacją, który zostawił pod opieką Squiresa.

- Aha, jeszcze jedno, Charlie - powiedział Rodgers przed wyruszeniem. - Nie dawaj znać Centrum, chyba że coś się stanie. Wiesz, jak Hood traktuje niektóre moje pomysły.

- Tak, wiem, panie generale - odparł Squires z uśmiechem. - Jak wygłodzony terrier smażone żeberka.

- Ładne porównanie - pochwalił go Rodgers.

Gdy słońce wzeszło wyżej nad horyzont i głązy zaczęły rzucać dłuższe cienie, trzech żołnierzy ruszyło w drogę.



□ **Środa, godzina 8.00 - Strefa Zdemilitaryzowana po stronie Korei Północnej**

Pierwszy pocisk trafił Donalda w lewą nogę, paraliżując ją i przewracając go na ziemię.

Gdy padał, dosięgnął go drugi, wchodząc w tors na wysokości ramienia i przewiercając ciało po przekątnej na wylot. Upadłszy na ziemię, Donald natychmiast wsparł się na lewej ręce, próbując wstać. Gdy okazało się to niemożliwe, drapał ziemię lewą dłonią, próbując choć trochę podczołgać się do przodu. Nóż wyslizgnął mu się z bezwładnej prawej dłoni, gdy wolno posuwał się do przodu po kilka centymetrów.

Podbiegli do niego żołnierze.

- Powietrza... - wycharczał po koreańsku. - Nie mogę oddychać...

Przestał się ruszać i opadł na bok. Z początku czuł lekki piekący ból w lewej nodze, potem naraz całe fale bólu, które kończyły się na wysokości pasa. Powyżej nie czuł nic. Wiedział, że został postrzelony, lecz jego umysł zaprzętała tylko jedna myśl. Próbował poruszyć głową i ręką, żeby wskazać kierunek, gdzie czaiło się niebezpieczeństwo.

- Klima... klimaty .. - powiedział, po czym zorientował się, że chyba traci na darmo resztki tchu. Nikt go nie słuchał. Albo może nie mówił wystarczająco głośno.

Podbiegł ku niemu lekarz. Ukłękł przy jego boku i sprawdził, czy ma drożny przełyk, potem zbadał mu puls i zajrzał do oczu. Donald zatrzymał wzrok na jego twarzy w okularach.

- Koszary - powiedział. - Posłuchajcie... klimatyzacja...

- Niech pan się nie męczy - powiedział lekarz. Rozpiął marynarkę i koszulę Donalda.

Kawałkiem gazy wytarł krew i pobieżnie zbadał miejsce wlotu pocisku koło ramienia i wylotu, po lewej stronie pępka.

Donaldowi udało się podeprzeć na lewym łokciu i próbował się podnieść.

- Leżeć spokojnie! - krzyknął lekarz.

- Nie... rozumie pan! Trucizna... gaz... koszary...

Lekarz znieruchomiał i przyjrzał się Donaldowi z zaciekawieniem.

- Klima.... ty.. zacja...

- Klimatyzacja? Ktoś chce zatruć żołnierzy w koszarach? Na twarzy lekarza pojawiły się równocześnie zrozumienie i smutek. - Chciał pan ich powstrzymać?

Donald resztką sił pokiwał głową, potem opadł na ziemię, starając się złapać oddech.

Lekarz przekazał słowa Donalda otaczającym ich żołnierzom, po czym znów zajął się swym pacjentem.

- Przykro mi - powiedział. - Tak bardzo mi przykro.

Donald usłyszał krzyki żołnierzy, biegnących w stronę koszar. Próbował coś powiedzieć.

- Co...?

- Co się tam dzieje? - zapytał lekarz swego pomocnika, który stał obok.

- Żołnierze wybiegają z koszar, panie poruczniku.

- Słyszał pan? - zapytał lekarz Donalda.

Donald słyszał, lecz nie mógł poruszyć głową. Przez przymrużone powieki spojrzał za sanitariusza na niebo, nabierające błękitnego odcienia.

- Niech pan się nie poddaje - powiedział lekarz. - Zaraz będą nosze. Zabiorę pana do szpitala.

Klatka piersiowa Donalda ledwo się unosiła.

- Co się tam teraz dzieje? - zapytał lekarz, przygotowując się do masażu serca.

Jego pomocnik odwrócił się za siebie.

- Kilku żołnierzy biegnie do klimatyzatora. Teraz sprawdzają inne budynki. Zgasły światła.

Pewnie wyłączyli dopływ prądu.

- Jest pan bohaterem - powiedział lekarz do Donalda.

Naprawdę?, pomyślał, gdy niebieskie niebo nagle zszarzało, a potem stało się czarne.

Rozległy się strzały, lecz lekarz nie zwracał na nie uwagi. Przytknąwszy usta do warg Donalda i ściskając mu palcami nos cztery razy szybko wdmuchnął powietrze do płuc rannego. Potem palcami poszukał pulsu w aorcie. Gdy nie wyczuł najmniejszego drgnienia, powtórzył całą procedurę. Tętna nadal nie było.

Ześlizgnąwszy się z piersi Donalda, ukląkł przy nim i położył środkowy palec prawej dłoni w miejscu, gdzie mostek łączy się z żebrami u dołu klatki piersiowej. Lewą dłoń oparł na mostku obok palca wskazującego i zaczął naciskać, odliczając osiemdziesiąt pchnięć na minutę. Jego pomocnik trzymał Donalda za nadgarstek, starając się wyczuć puls.

Pięć minut później, lekarz ze zwieszoną głową przysiadł na piętach. Potem wraz z pomocnikiem przenieśli ciało na leżące obok nosze. Dwóch żołnierzy odniosło je w stronę koszar.

Do lekarza zbliżył się oficer. Nie zwracali uwagi na przyglądających się im żołnierzy z Południa.

- Czy ma jakieś papiery?

- Nie sprawdzałem.

- Kimkolwiek jest, zasługuje na odznaczenie. Ktoś podłączył zawory pojemników z gazem bojowym do systemu klimatyzacyjnego czterech budynków koszar od strony wschodniej.

Złapaliśmy go w chwili, gdy miał zamiar je odkręcić.

- Tylko jednego?

- Tak. Możliwe, że nie działał sam, chociaż nic nam już nie powie.

- Samobójstwo?

- Niezupełnie. Gdy się zbliżyliśmy, próbował otworzyć zawory. Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy strzelać. - Oficer spojrział na zegarek. - Powinienem dać znać generałowi Hong-ku. Jest w drodze na spotkanie z ambasadorem amerykańskim, a to jest ważna wiadomość, która może zmienić bieg wydarzeń.

Skulony za pniem wielkiego dębu, przyglądał się, jak mały konwój trzech dżipów zbliża się do północnego wejścia do budynku konferencyjnego w Strefie Zdemilitaryzowanej. Generał

ze swą świtą przybył z północnej części bazy, gdzie miał swą kwaterę główną. Zaparkują tuż przy drzwiach budynku i będą czekać na przybycie wysłanników z Południa. Do tej chwili nie ruszą się z miejsca. Przynajmniej tak postępowali dotąd. Lecz jeżeli major Li właściwie zinterpretował scenę, która niedawno rozegrała się przed jego oczyma, z Południa nie przybędą żadni wysłannicy. Gregory Donald został zastrzelony w drodze do koszar. Kolejna seria z broni maszynowej i brak reakcji ludzi na to, co powinno było się stać powiedziały mu, że jego plan się nie powiódł.

Pewną dłonią ujął pistolet. Dlaczego nie użył go zamiast noża przeciwko Donaldowi? Huk wystrzału z pewnością zwróciłby uwagę patroli, lecz on i tak zdołałby uciec...

Trudno. Los dawał mu w ręce drugą, niemal równie dobrą sposobność.

Samochody zatrzymały się, zaś oko Li spoczęło na generale Hong-ku - niskim mężczyźnie z szerokimi jak u węża ustami i, z tego co słyszał, o podobnym usposobieniu. Generał nie będzie czekał dłużej, niż dwadzieścia minut. Gdy nikt się nie pojawi, oświadczy wszem i wobec, że Północ pragnie pokoju, zaś Południe - nie, po czym wróci do swej kwatery głównej.

Z pewnością tak postąpi, pomyślał znów Li nie miał zamiaru pozwolić mu na jedno ani na drugie.

Major znajdował się o jakieś sto pięćdziesiąt metrów od konwoju Hong-ku. Generał, siedzący sztywno na tylnej kanapie środkowego dżipa, stanowił teraz zbyt odległy cel, lecz niedługo sytuacja się zmieni. Gdy tylko wysiądzie z dżipa, Li podbiegnie, zastrzeli jego i tylu ilu zdoła z pozostałych sześciu żołnierzy, po czym ruszy co sił w nogach w stronę tunelu.

Jednak jeśli będzie musiał, nie zawaha się oddać życia jako męczennik sprawy. Cała ich grupa gotowa była na wszystko. Chociaż podłożenie bomby, zabójstwo i atak Sana na Tokio nie doprowadzą do wybuchu wojny, ich działania umocnią serca wszystkich, którzy sprzeciwiają się zjednoczeniu.

Kierowca Hong-ku spojrział na zegarek, odwrócił się i powiedział coś do generała. Ten skinął głową.

Nadszedł już czas... czas, żeby wyrzucić Amerykanów z Południa, by patriotyzm zakwitł w całej pełni, by na nowo odrodził się militarizm, czyniący z Korei Południowej najpotężniejsze, najbogatsze i najbardziej poważane państwo w tej części świata.

## □ Środa, godzina 8.02 - w drodze do Jangjang

Na cmentarzu, położonym na wschód od miasta, Kim w ciągu ostatniego roku ukryła prawie cztery miliony wonów, co stanowiło równowartość około pięciu tysięcy dolarów amerykańskich. Chowała je, klęcząc przy nagrobkach, siedząc na ławkach i odpoczywając w cieniu drzew. Wtykała monety i banknoty w szpary między płytami, pod korzenie, za skały. Wszystkie nadal tam były. Ludzie nie chodzili na cmentarze po to, by szukać ukrytych skarbów.

Odnalezienie wszystkich pieniędzy po omacku zabrało jej prawie trzy godziny, po czym zatankowała paliwo i pojechała w dół rzeki Pukangang na północny zachód, w stronę jeziora Sojang. Tam zrobiła sobie chwilę odpoczynku, przeglądając notatnik w poszukiwaniu nazwiska kogoś, od kogo mogłaby kupić paszport i bilet na prom do Japonii.

Pozostając w samochodzie, Kim nastawiła radiostację na częstotliwość, której używał Huan w swym służbowym samochodzie, dzięki czemu mogła podsłuchiwać rozmowy patroli KCIA. Przez jakiś czas nie agenci nie wiedzieli, gdzie jest ani jakim samochodem jedzie.

Niestety, po kilku minutach odnaleźli jej Toyotę w pobliżu salonu BMW. Gdy znów znalazła się na drodze, tym razem prowadzącej ku morzu, usłyszała, że sprawdzają, jaki samochód tym razem ukradła.

Dwupasmowa autostrada była zupełnie pusta, co ją zaniepokoiło, bo mogła mieć trudności z przesiadką do innego samochodu. Ostatnią deską ratunku było dotarcie do Parku Narodowego Soraksan zanim dopadnie ją pościg. Zwykle roiło się tam od turystów, zaś niedaleko na północ od świątyni Paektam-sa, w zachodniej części parku, znajduje się duży parking. Mogła się tam dostać przez przełęcz Tesungnjong i skierowała się w tamtym kierunku.

Żałowała, że zrobiła sobie przerwę na odpoczynek nad jeziorem. To był głupi pomysł, lecz dzień wydawał się bez końca... do tego dochodziło jeszcze poczucie winy za zabicie człowieka. Wtedy decyzja przyszła z zaskakującą łatwością: dobry człowiek znalazł się w niebezpieczeństwie, a ona zastrzeliła tego, który chciał go zabić. Dopiero po fakcie zdała sobie sprawę, że nie wie, czy rzeczywiście pomogła Huanowi, nie wie, czy człowiek, którego zabiła zaatakowałby ją... czy raczej pomógł w ucieczce.

Tak naprawdę liczyło się tylko zabójstwo. Szpieg, który nie był szpiegiem, Koreanka z Północy, którą przeklęty los rzucił tutaj za to, że kochała swego brata, popełniła teraz najcięższy z grzechów. Na zawsze pozostanie jej przed oczyma twarz tamtego człowieka w chwili, gdy do niego strzela - zaskoczenie i ból, rozświetlone błyskiem wystrzału, bezwładnie padające ciało, bez żadnych konwulsji tak często pokazywanych na filmach.

Odezwała się radiostacja spoczywająca na siedzeniu pasażera.

- Sierżant Iui-sun wzywa helikopter numer siedem. Odbiór.

- Siódemka zgłasza się.

- Jakies półtorej godziny temu widziano białe BMW tankujące paliwo w pobliżu stacji Stadion Tongdemum. Samochód kierował się na wschód, co oznacza, że teraz będzie już za Indze. To wasz rejon. Odbiór.

- Sprawdzimy i damy znać. Bez odbioru.

Kim zakłęła pod nosem. Właśnie minęła Indze, które znajdowało się na północno-wschodnim krańcu jeziora. Za parę minut będą ją mieli. Policja w Korei Południowej uwielbiała karać mandatami i Kim nie śmiała przyspieszać - zwłaszcza, że nie miała żadnych dokumentów samochodu, a w torbie na radiostację wiozła miliony wonów. Przestrzegała więc ograniczenia szybkości, rozpaczliwie szukając jakiegoś zaparkowanego na poboczu samochodu. Nie znajdując żadnego, dotarła wreszcie do parku z jego urwistymi, niedostępnymi szczytami i widocznymi w oddali grzmiącymi wodospadami. Służba porządkowa parku nie czepiała się kierowców tak bardzo, jak policja drogowa i Kim chciała właśnie przyspieszyć, by jak najszybciej dostać się na parking, gdy usłyszała w oddali łopot wirnika nośnego helikoptera.

Przycisnęła pedał gazu do oporu, szukając miejsca, gdzie mogłaby zjechać z drogi.

Wreszcie postanowiła porzucić samochód i iść piechotą, gdy przeleciał nad nią helikopter, zatoczył łuk i zawrócił.

Zahamowała ostro. Śmigłowiec krążył jakieś siedemdziesiąt metrów nad nią, przodem do samochodu, zaś w środku dwóch mężczyzn, żywo gestykulując wskazywało na nią.

Usłyszała ostry gwizd włączanych głośników.

- W drodze znajduje się personel naziemny - odezwał się głośnik. - Radzimy pani pozostać na miejscu.

- A jak nie zostanę? - szepnęła. - Co wtedy zrobicie?

Spojrzała uważnie na drogę. Jakies trzy kilometry przed nią zaczynał się kręty podjazd pod górę, gdzie trudno będzie samochodom i helikopterowi dotrzymać jej kroku. Do diabła z nimi, pomyślała i wcisnąwszy do samej podłogi pedał gazu, z piskiem opon wyrwała BMW

spod helikoptera w stronę niebiesko-szarych szczytów, rysujących się na horyzoncie.

□ **Środa, godzina 18.05 - Centrum**

Ann Farris i Lowell Coffey naradzali się wraz z Hoodem w Czołgu, jak zareagować na wypadek, gdyby żołnierze oddziału Iglica zostali wzięci do niewoli lub zabici, a ich misja wyszła na jaw. Zgodnie z postanowieniem prezydenta, Biały Dom wyprze się wszelkich związków z operacją i według wszelkich reguł sztuki Centrum powinno postąpić tak samo.

Ann uważała, że eksponując troskę USA o bezpieczeństwo Japonii można zdobyć trochę punktów u światowej opinii publicznej. Jednak Hood, mimo iż zgadzał się z tym poglądem, nie miał ochoty pójść za jej radą.

Dyskusję przerwał pilny telefon od generała Schneidera z Panmundżon.

- Mówi Hood.

- Panie dyrektorze - zaczął generał. - Z przykrością muszę pana poinformować, że pański człowiek, Gregory Donald, najprawdopodobniej został zastrzelony przez żołnierzy KRLD

jakieś kilka minut temu po ich stronie granicy.

Hood pobladł.

- Przecież sami go zaprosili...

- Spotkanie się nie odbyło. Nie dotarł do budynku konferencyjnego.

- Gdzie to się stało?

- Biegł w stronę koszar z nożem.

- Gregory? Jest pan pewien?

- Cytuję słowa raportu dowódcy patrolu. I krzyczał coś po koreańsku o trującym gazie.

- Dobry Boże. - Hood zamknął oczy - Więc tak zginął. Boże, dlaczego nie pozwolił, żeby zajęło się tym wojsko?

- Paul - przerwała Ann. - Co się stało?

- Gregory Donald nie żyje. Próbował zapobiec użyciu gazu. - Hood wrócił do Schneidera. -

Generale, major Li musiał przerzucić gaz na północ i Gregory chyba poszedł jego śladem.

- Nam się też tak wydaje, lecz postąpił bardzo nierozważnie. Musiał wiedzieć, że żołnierze otworzą

ogień na widok obcego.

Nie, to nie było nierozważne. Tak właśnie postępował Donald. Hood doskonale o tym wiedział.

- Co się tam teraz dzieje?

- Nasi obserwatorzy twierdzą, że żołnierze zastrzelili kogoś, kto chciał przez system klimatyzacji wpuścić tabun do koszar. Jak powiedziałem przed chwilą sekretarzowi Colonowi, wszyscy tam biegają jak kurczaki bez głów. Jedna z naszych wież przez cały czas obserwuje generała Hong-ku. Siedzi w dziupie po swojej stronie budynku konferencyjnego... i czeka nie wiadomo na co. Musi już wiedzieć, że Donald nie przyjdzie na spotkanie.

- Może nie wie, że to właśnie on zginął.

Słowa te zabrzmiały niestosownie. Twarz Ann, na której Hood szukał pociechy, pogrążona była w takim samym smutku.

- W takim razie niedługo się dowie. Kłopot w tym, że według informacji z Pentagonu, Phenian nie wierzy, że Li i jego ludzie działali samotnie. Uważają, że to jedynie część spisku, przygotowanego w Seulu. Z tymi kretynami nie sposób rozmawiać.

- Jaka jest nasza reakcja?

- Podejmujemy takie same działania, jak oni. Na bezpośredni rozkaz prezydenta generał

Norbom podsyła mi wszystko, co się rusza. Wystarczy, że ktoś kichnie i zacznie się strzelanina. - Z tymi słowy generał Schneider przeprosił i rozłączył się, zostawiając Hooda na pastwę przygnębienia i złości.

Dyrektor Centrum czuł się jak trener drużyny, która zwyciężyła we wszystkich meczach sezonu tylko po to, żeby przegrać ostatni, ten najważniejszy. Jedyną gorszą rzeczą, jaka mogła ich teraz spotkać, był jakiś błąd Mike'a Rodgersa i Iglica, który spowoduje wybuch konfliktu.

Przez chwilę zastanawiał się, czy ich nie odwołać, lecz wiedział, że Rodgers nie podejmie żadnych pochopnych działań. Nie mógł też zapominać o fakcie, że północnokoreańskie *Nodongi* wciąż wycelowane są w Japonię. Jeżeli dojdzie do ataku, bez względu na to, czy wybuchnie potem wojna, czy nie - nie da się powstrzymać remilitaryzacji Japonii. To z kolei spowoduje analogiczne reakcje ze strony Chin i obu państw koreańskich. Wyścig zbrojeń na taką skalę mógłby iść o lepsze tylko z zimną wojną z lat sześćdziesiątych.

Przekazawszy Ann i Coffey'owi najnowsze informacje, Hood poprosił ich o streszczenie sytuacji szefom pozostałych działów Centrum. Gdy wyszli, ukrył czoło w dłoniach...

I doznał olśnienia. Phenian nie uwierzy nikomu z Południa, ale jeżeli wiadomość przekaże im ktoś z Północy?



Wywołał Bugsa Beneta.

- Bugs, Kim Huan z KCIA jest w Szpitalu Uniwersyteckim w Seulu. Jeżeli wyszedł z sali operacyjnej i jest przytomny, chcę z nim rozmawiać.

- Tak jest. Bezpieczna linia?

- Nie ma na to czasu. I posłuchaj, nie pozwól, żeby jacyś lekarze ani faceci z KCIA stanęli ci na drodze. Jeżeli będziesz musiał, od razu wal da dyrektora Jang-Huna.

Czekając na Bugsa, zatelefonował do Herberta.

- Bob - chcę, żebyś mi zorganizował kontakt radiowy z Jangu na częstotliwości, którą kiedyś złapaliśmy na nasłuchu.

- My wywołujemy? - upewnił się Herbert.

- Tak jest. Zabawimy się w grę telefoniczną, która może zapobiec wojnie.

## □ Środa, godzina 8.10 - Seul

Kim Huan drzemał, gdy Czoi Hongtack dotknął jego ręki.

- Panie Huan?

Huan powoli otworzył oczy.

- Tak... O co chodzi?

- Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale jest do pana telefon od pana Paula Hooda z Waszyngtonu.

Hongtack podał mu słuchawkę, którą Huan odebrał od niego, z wysiłkiem prostując rękę.

Położywszy słuchawkę na poduszce przy uchu odwrócił głowę w jej stronę.

- Cześć, Paul - powiedział cicho.

- Kim, jak się czujesz?

- Lepiej, niż mógłbym, gdyby mnie lepiej trafił.

- *Touche*. Kim, nie mamy wiele czasu, więc od razu przejdę do rzeczy. Znaleźliśmy faceta odpowiedzialnego za zamach bombowy, oficera aralii Korei Południowej i, przykro mi o tym mówić, ale Gregory Donald został zabity podczas próby schwytania jednego z jego współników.

Huan poczuł, jakby go znów dźgnięto nożem. Nie mógł złapać tchu i ból ponownie przeszył mu wnętrzności.

- Żałuję, że nie mogłem tego jakoś złagodzić - powiedział Hood. - Albo przynajmniej z tym poczekać. Korea Północna nie wierzy, że grupa działała sama i gotowa wywołać o to wojnę.

Rozumiesz mnie?

- Tak - powiedział Huan, tłumiąc łkanie.

- Przechwyciliśmy kiedyś wiadomość od Oh-Mio. Czy możesz się z nią skontaktować?

- Nie... nie wiem.

- Kim, bardzo potrzebujemy kogoś, komu oni ufają. Musi im przekazać, że rząd Korei Południowej nie miał z tym nic wspólnego. Mamy częstotliwość radiostacji, której używała wtedy i chyba możemy się z nią skontaktować. Jeżeli jej nie wyłączyła, porozmawiasz z nią?

Poproś ją, żeby wywołała Północ i spróbowała ich przekonać.

- Dobrze - powiedział Huan, rozplakawszy się na dobre. Gestem dłoni kazał Hongtackowi podnieść go do pozycji siedzącej. - Zrobię, co się da.

- Znakomicie - powiedział Hood. - Nie rozłączaj się, a ja przygotuję wszystko z tej strony.

Czekając, Huan nie zwracał uwagi na pytające spojrzenia Hongtacka. Nawet, gdyby udało się uniknąć wojny, dzień ten przyniósł już wystarczająco wiele tragedii. A co było tego przyczyną? Cały szereg machinacji wojskowych i politycznych, których tak bardzo nienawidził Gregory.

Mowa, mawiał. Mowa i sztuka odróżniają nas od innych zwierząt. Korzystaj z nich i rozkoszuj się nimi...

Taka niesprawiedliwość. Najgorzej, że człowiek, który mógłby go pocieszyć, już nie żył.

- Kim?

Huan przycisnął słuchawkę do ucha, walcząc z pozostałościami narkozy, grożącymi powtórny zapadnięciem w sen.

- Słucham, Paul.

- Kim, jest jeden problem...

Przez szum zakłóceń atmosferycznych Huan usłyszał rozpaczliwy głos.

- Grożą, że mnie zastrzelą!

Natychmiast rozpoznał głos Kim Czong i zebrał się w sobie.

- Kim, mówi Huan, słyszysz mnie?

- Tak!

- Kto ci grozi?

- Jest tu helikopter i dwa motocykle. Zaparkowałam na szczycie góry .. Widzę ich poniżej.

Oczy Huana zatrzymały się na Hongtacku.

- Czy to nasi?

- Nie wiem - powiedział Hongtack. - Dyrektor Jang-Hun mówi, że zbyt wiele instytucji jest w to wmieszanych, żeby odwołać...

- Nic mnie nie obchodzi, kto jest w to wplątany, może być sam Bóg. Odwołaj ich.

- Panie Huan...

- Hongtack, połącz się z dyrektorem Jang-Hunem z innego aparatu i powiedz mu, że biorę pełną odpowiedzialność za pannę Czhong. Przekaż mu to zaraz, albo od jutra dołączysz do Amerykanów, którzy prowadzą nasłuch radiowy na McMurdo.

Po chwili wahania, postawiony przed wyborem między własną godnością albo wycieczką na Arktykę, Hongtack wyszedł z izolatki.

Huan wrócił do telefonu.

- Załatwione, Kim. Gdzie jesteś?

- Jestem w górach Sorak-san, w parku narodowym. Zatrzymałam się pod skalną półką, na której nie może wylądować helikopter.

- W porządku. Jedź do mojego wuja Dzon Paka w Jangjang. Jest rybakiem, nikt go nie lubi, ale wszyscy znają. Zatelefonuję, żeby go uprzedzić, a on zawiezie cię bezpiecznie na miejsce.

A teraz posłuchaj, czy pan Hood wyjaśnił ci naszą sytuację?

- Powiedział mi o majorze Li.

- Czy możesz nam pomóc? Czy pomożesz?

- Tak, oczywiście. Zostań na linii, a ja skontaktuję się z Phenianem.

- Mogłabyś tak włączyć słuchawki, żebyś słyszała mnie i pana Hooda, ale żeby oni nas nie słyszeli?

Kim przytaknęła. Do linii szpital - Centrum - Sorak-san doszedł jeszcze jeden uczestnik, kapitan An II w „Domu” - kwaterze głównej Agencji Wywiadowczej Korei Północnej, mieszczącej się w podziemiach hotelu „Hebongsangna” na zachodnim brzegu rzeki Tedong.

- Seul, Oh-Mio do domu - zaczęła Kim. - Mam niezbite dowody, że za zamachem bombowym w Seulu i próbą otrucia żołnierzy w bazie kryje się grupa radykalnych żołnierzy południowokoreańskich. Nie są w to zamieszane, powtarzam, nie są w to zamieszane ani rząd ani siły zbrojne Korei Południowej. Człowiekiem, który stoi za całą operacją jest major Li, oficer noszący opaskę na oku.

Nastąpiła chwila ciszy, potem:

- Seul Oh-Mio, jaki człowiek z opaską na oku?

- Mężczyzna, który był przy pojemniku z gazem.

- Nie było tam nikogo z opaską na oku.

Wtrącił się Paul Hood.

- Panno Czhong, proszę go przekonać, żeby poczekał. Spróbuję odnaleźć majora Li, a jeżeli mi się uda, będą musieli działać bardzo szybko, żeby go powstrzymać.

□ Środa, godzina 18.17 - Centrum

Paul Hood przełączył linie i zadzwonił do Boba Herberta.

- Bob, czy mamy zdjęcie Majora Li?

- Jest w jego aktach...

- Prześlij je szybko do NRO, a potem przyjdźcie tu z Lowellem Coffeyem, McCaskeyem i Mackall.

Na drugiej linii był już Stephen Viens w NRO, wywołany przez Bugsa.

- Steve, Bob Herbert przyśle ci zaraz zdjęcie. Ten facet może nadal się kręcić po północnej stronie Strefy Zdemilitaryzowanej w Panmundżon - muszę go natychmiast odnaleźć i śledzić.

Daj mi na strefę dwie satelity.

- Czy sekretarz Colon wyraził zgodę na drugiego ptaszka?

- Z pewnością, gdyby o tym wiedział - rzucił Hood sucho.

- Tak myślałem - odparł Viens. - Komputer właśnie odbiera zdjęcie tego człowieka. Czy będzie sam?

- Najprawdopodobniej tak. A do tego w mundurze ROK Chcę mieć przegląd terenu z satelity.

- Poczekaj.

Hood słuchał, podczas gdy Viens polecił nastawić kamerę drugiego satelity na Strefę Zdemilitaryzowaną i prowadzić obserwację z wysokości względnej ośmiu metrów. Potem wprowadził zeskanowane zdjęcie Li do komputera, sterującego satelitami i włączył specjalny program, którego zadaniem było odnalezienie żadanego obiektu. Pomyślny wynik operacji sy finalizowało pojawienie się na ekranie niebieskiego konturu wokół sylwetki poszukiwanego przedmiotu.

Najpierw ujrzeli dach centrum konferencyjnego. Li nie mógł tam się ukrywać, gdyż zauważyłyby go wieże obserwacyjne po obu stronach granicy. W 4,4 sekundy później drugi satelita przesłał zdjęcie placu przed budynkiem z innej perspektywy, a program nałożył nań elementy z pierwszego. Hood ujrział mały konwój i dżipa z kimś, kto przypominał z wyglądu generała Hong-ku.

Do Czołgu wjechał Bob Herbert, a w ślad za nim weszli Martha, Coffey, McCaskey i Ann Farris. Przecucie Hooda sprawdziło się - Ann zjawiała się tyle nie po to, by zorientować się w sytuacji, ile żeby się o niego zatroszczyć. Jej ciągle matkowanie sprawiało, że był zarówno skrepowany jak i dziwnie zadowolony, chociaż na razie zapomniał o tym pierwszym.

Wspomnienie dotyku jej dłoni na ramieniu przeszło go miłym dreszczem.

- Darrell - zaczął Hood. - Dlaczego Hong-ku tam siedzi, jakby nigdy nic? Przecież musi już wiedzieć, co się stało.

- To bez znaczenia - odpowiedziała za niego Martha, a Darrell rzucił jej wymowne spojrzenie. - Wyobraź sobie, że Koreańczykom nie przeszkodziłaby w weselnej zabawie nawet śmierć państwa młodych. Lubią demonstrować niewzruszony spokój. Pozostałość ideologii Kim Ir Sena - *juche*, czyli samowystarczalności.

- Pewnie skorzysta z okazji i wyda jakieś oświadczenie domyśliła się Ann.

- O tym, jak zostali zaatakowani i zachowali się nad wyraz powściągliwie, nie odpowiedziawszy pięknym za nadobne dodała Martha.

Darrell bezradnie rozłożył dłonie i usiadł.

Hood intensywnie wpatrywał się w zdjęcia wyświetlane w okienkach po lewej górnej i prawej dolnej stronie monitora. Nadejście każdego nowego witało trwające sekundę zawirowanie twardego dysku, który zapamiętywał obraz. Skojarzona z każdym zdjęciem seria cyfr, widoczna w prawym dolnym rogu, oznaczająca jego kolejny numer opatrzony oznaczeniem 1S (pierwszy najazd) umożliwiała natychmiastowe wywołanie go na ekran.

Komputer mógł też dowolnie powiększać obrazy z większą rozdzielczością, rozjaśniać szczegóły, a nawet zmieniać kąt patrzenia z górnego na boczny poprzez ekstrapolację zawartych na zdjęciach informacji.

- Zatrzymaj 17-1S - warknął Hood, prostując się w fotelu. Widzę jakiś cień za drzewem sto kilkadziesiąt metrów od konwoju...

Bob i Darrell podeszli bliżej, żeby się lepiej przyjrzeć.

- Twarz zasłaniają mu liście - powiedział Viens. - Zmienię trochę kąt.

„Trochę” oznaczało tysięczne części milimetra, co spotęgowane odległością satelity od ziemi dawało w wyniku różnicę kątową trzydziestu centymetrów lub więcej. Na ekranie pojawiło się nowe zdjęcie i natychmiast obwiodła je delikatna niebieskawa linia.

- Bingo! - krzyknął Viens. - Przechodzę na zbliżenie z drugiego satelity.

- Nie. Daj mi panoramę całej okolicy z czterystu metrów.

- W porządku - powiedział Viens.

Nie spuszczać wzroku z monitora, Hood podjął zawieszony połączenie z drugą linią. Na następnym zdjęciu ujrzał, jak Li odwraca się w stronę samochodu generała. Hood miał to samo dziwne uczucie, ilekroć oglądał sfilmowany przez Zaprudera zamach na prezydenta Kennedy'ego - wydarzenie

rozgrywały się jedno po drugim, a on nie mógł zapobiec tragicznemu rozwojowi wypadków.

Na kolejnym zdjęciu Li wychynął zza drzewa.

- Panno Czhong, słyszy mnie pani?

- Tak!

- Proszę przekazać swoim ludziom, że oficer, o którym mówiliśmy, wychodzi zza dębu jakieś sto dwadzieścia - sto trzydzieści metrów na północ od budynku konferencyjnego.

Wydaje nam się, że zamierza zastrzelić generała Hong-ku. Proszę powiedzieć swoim ludziom, żeby powstrzymali majora Li wszelkimi dostępnymi środkami.

- Rozumiem - powiedziała i natychmiast przekazała wiadomość.

Tymczasem Hood poprosił Bugsa o pilne połączenie z generałem Schneiderem. Li wychodził na otwartą przestrzeń, trzymając w dłoni pistolet. O sto kilkadziesiąt metrów obok, nieświadomi niczego ludzie generała oczekiwali na jego przemówienie. Hong-ku wstał, zamierzając wysiąść z dżipa. Na powiększonym zdjęciu Hood ujrzał obszar przylegający do budynku konferencyjnego po obu stronach Strefy Zdemilitaryzowanej. To, co miał nadzieję tam dostrzec znajdowało się po południowej stronie, mniej więcej trzysta metrów od Li.

- Mam generała Schneidera! - krzyknął Bugs. Połączył go z telefonem polowym dowódcy, który nadzorował rozmieszczenie wojsk w pobliżu strefy.

- Hood - warknął generał. - Gdyby pan nie był szefem Centrum, nawet bym z panem nie rozmawiał...

- Major Li znajduje się za centrum konferencyjnym po stronie północnej.

- Co?

- Powinniście go widzieć z wież obserwacyjnych na południowy zachód od centrum - rzucił niecierpliwie Hood. Macie tam strzelca wyborowego?

- Tak...

- Więc niech go zdejmie! Natychmiast!

- Mam zastrzelić jednego z naszych... a do tego na terytorium Korei Północnej? - zapytał Schneider.

- Czy nie tego pan zawsze pragnął, generale? Li jest uzbrojony i zamierza zabić Hong-ku.

Musicie go powstrzymać, albo za minutę będziecie tam mieli cały stos trupów!



- A mój człowiek na wieży? Odpowiedzą ogniem...

- Mam nadzieję, że nie. Moi ludzie rozmawiają teraz z nimi.

- Nadzieję - prychnął Schneider. - Drogi panie, wydaję rozkaz, ale tylko na pana odpowiedzialność.

Schneider rozłączył się, zaś Hood polecił Viensowi śledzić Li z jednego satelity, a drugiego przesunąć na wieżę obserwacyjną. Na zbliżeniu tej ostatniej ukazało się dwóch żołnierzy -

jeden podnosił słuchawkę telefonu, a drugi spoglądał przez lornetkę we wskazanym kierunku.

Na pierwszym ujęciu major Li pewnym krokiem zbliżał się do Hong-ku.

Na drugim - żołnierz powoli opuszczał lornetkę.

Li podchodził coraz bliżej - na tyle blisko, że obaj z Hong-ku znaleźli się w tym samym kadrze. Hong-ku wysiadał z dżipa. Jego ludzie, jak gwardia honorowa, otoczyli go półkolem.

Dziennikarze i fotoreporterzy znajdowali się nieco z boku.

Żołnierz w wieży obserwacyjnej wziął do ręki karabinek.

Li podniósł pistolet.

Żołnierz przyłożył do ramienia kolbę swego *M-16* z celownikiem optycznym.

Niepewność skręcała Hoodowi wnętrzości, a w ustach czuł bolesną suchość. Sekunda później lub jedno słowo za dużo pograżyłyby półwysep w wojnie...

Strzał Li i błysk fleszy nastąpiły w tej samej chwili. Serce podskoczyło Hoodowi do gardła.

Żołnierz na wieży stał złożony do strzału. Wydawało mu się, że mija cała wieczność, rum nadeszły następne zdjęcia.

Li odwrócił głowę, pewnie z powodu błysków. Hong-ku padał w tył, mając na prawym ramieniu coś, co przypominało plamę.

*M-16* plunął dymem.

Hood przypomniał sobie, gdy jako dziecko chował się w domu rodziców pośród wełnistej, niemej ciszy we wnętrzu szafy z cedrowego drewna. Cisza w jego gabinecie była równie gęsta.

Na następnym zdjęciu z Korei pojawił się leżący na plecach generał Hong-ku. Przyciskał

dłoń do rany. W pobliżu stał Li z dymiącą bronią... zaś cała jego głowa była jedną wielką chmurą krwi.

- Udało im się - powiedział Herbert, potrząsając zaciśniętą w pięść dłońią.

McCaskey poklepał Hooda po plecach.

Na następnym zdjęciu Li padał, zaś Hong-ku podnosił się. Po stronie południowej żołnierze w wieży przykucnęli.

- Panie Hood? - odezwała się Kim Czong. - Przekazałam im wiadomość, a oni kontaktują się teraz z Panmundzon.

- Czy sądzi pani, że uwierzyli?

- Oczywiście - powiedziała. - Przecież jestem szpiegiem, nie politykiem.

Hood wstał, zaś Ann zbliżyła się i objęła go.

- Udało ci się, Paul.

Coffey spoglądał na nich z przygnębieniem.

- Racja. Zabiliśmy południowokoreańskiego oficera. Będą reperkusje.

- Był szalony - zauważył Herbert. - Zastrzeliliśmy wściekłego psa.

- Który mógł mieć rodzinę. Wściekłe psy nie mają takich praw, jak żołnierze i krewni.

Rozmowę przerwał telefon od generała Schneidera. Hood powiedział Bugsowi, żeby spróbował skontaktować się z Mike'em Rodgersem, potem przysiadł na krawędzi biurka i podniósł słuchawkę.

- Tak, generale?

- Wygląda na to, tym razem wam się udało. Nie ma strzelaniny - Koreańczycy z Północy czekają.

- Widzicie generała Hong-ku?

- Nie - powiedział Schneider. - Moi chłopcy na wieży nadal się kryją.

Hood spojrzał na monitor.

- Generał siedzi w dziupie. Ranę ma przewiazaną chustką albo kawałkiem płótna. Teraz odjeżdża. Chyba nic mu nie jest.

- Colona i tak szlag trafi.

- Niekoniecznie - powiedział Hood. - Prezydentowi może się spodobać nasz sposób rozwiązania sytuacji. Utrzymywanie dyscypliny we własnych szeregach podoba się prasie.

Tak samo twardy kurs w stosunku do sprzymierzeńca, którego wspomagamy ponad czterdziestoma...

- Przepraszam, panie dyrektorze - przerwał mu Bugs. Zgłosił się podpułkownik Squires na łączach satelitarnych. Myślę, że zechce pan z nim porozmawiać.

Uniesienie zastąpiła kolejna fala piekącego bólu żołądka, gdy Hood wysłuchał tego, co próbuje zrobić Rodgers...

## □ Środa, godzina 9.00 - Góry Diamentowe

Pokonanie zbocza góry zabrało znacznie więcej czasu, niż spodziewał się Rodgers.

Czołgając się tyłem, by jak najmniej wystawać nad powierzchnię ziemi, zesli ponad czterysta metrów w dół, omijając stacjonujących poniżej Koreańczyków Kaleczyły ich wystające, ostre załomy skalne, cierniste rośliny cięły nagie ramiona, a im niżej schodzili, tym bardziej zwiększało się nachylenie stoku. Każdy z nich po kilka razy tracił podparcie dla stóp i musiał z całych sił wpijać się dłońmi w skałę, by nie ześlizgnąć się na dół wprost do obozu. Rodgers zrozumiał, co było powodem rozbicia namiotu dowódcy w tym właśnie miejscu. Za dnia było go bardzo trudno podejść, nie będąc zauważonym, a w ciemności, nawet z noktowizorem, szanse malały prawie do zera.

Rodgers posuwał się pierwszy, za nim Moore, na końcu Puckett. Generał kazał

szeregowcom ukryć się za głazem, leżącym dwadzieścia metrów powyżej namiotu, zaś sam wychylił się ostrożnie, by zorientować się w sytuacji. Z namiotu doszedł go przytłumiony szmer rozmowy, lecz w środku, nikt się nie poruszał.

Dziwne, pomyślał. Brak śladów normalnej procedury działania. Przecież po nastawieniu pocisków na cel dowódcy powinni znajdować się w pobliżu wyrzutni - rozkaz odpalenia zawsze wydawano osobiście, nigdy przez telefon. Rodgers żałował, że nie rozumie treści rozmowy w namiocie, ale i tak nie miało to większego znaczenia. Chcąc wstrzymać odpalenie *Nodongów mu* sieli dostać się do środka i przekonać tego, kto za nie odpowiadał do zmiany współrzędnych lub opuszczenia pocisków w dół. Chociaż nie słyszał rozmowy, założyłby się o własną emeryturę, że w tej grze Koreańczycy z Północy nie rozdawali żadnych kart.

Odwrócił się w stronę Moore'a i Pucketta.

- W namiocie jest dwóch albo trzech mężczyzn - szepnął. - Wejdziemy do środka od tyłu, dokładnie pod nami. Moore - rozetniesz brezent, potem usuniesz się w lewo. Będziemy musieli się spieszyć. Ja wchodzę pierwszy, potem Puckett, ty za nami. Ja osłaniam z lewej, Puckett z prawej, ty od czoła. Wchodzimy z pistoletami, żadnych noży. Nie chcę, żeby komuś z nich nawet przez myśl przeszło wzywanie pomocy.

Obaj mężczyźni skinęli głowami. Wyciągnawszy nóż, Moore centymetr po centymetrze pokonał ostatni fragment stoku, przesuwał się nogami naprzód z plecami zwróconymi do skały Rodgers ruszył za nim z zarepetowaną *Berettą*, zaś Puckett szedł na końcu.

Moore czekał na nich u podnóża góry Trzech mężczyzn przysiadło w cieniu namiotu.

Rodgers nasłuchiwał z uwagą.

- ... dowie się, że możemy tu liczyć na silne poparcie - mówił ktoś wewnątrz. - Właśnie pańscy

ludzie umożliwili nam dzisiejszą akcję. Zjednoczenie, jak powtórne małżeństwo, brzmi dość atrakcyjnie, lecz w ostatecznym rachunku jest niewykonalne.

Z pewnością Koreańczycy z Południa przejęli kontrolę nad bazą, pomyślał Rodgers.

Patrzył, jak Moore wolno zbliża się do namiotu. W uniesionej prawej dłoni trzymał długi nóż ze skierowanym ku dołowi ostrzem, gotów do uderzenia. Rodgers wraz z Puckettem przysunęli się bliżej, przykucnięci na palcach i gotowi do skoku.

Gdyby tylko potrafił odróżnić dywersanta od oficera armii KRL-D. Tego pierwszego zabiłby bez wahania.

Moore dał im znak głową i zaraz potem wbił nóż aż po rękojeść w płótno i rozciął je do samej ziemi, po czym odsunął je, uskakując równocześnie na bok. Rodgers wskoczył do środka, usunął się w lewo i wycelował pistolet w stronę siedzącego na pryczy pułkownika -

tysego mężczyzny, który trzymał prawą dłoń na lewej ręce owiniętej zakrwawionym płótnem. Z jego rany i faktu, że nie był uzbrojony, Rodgers od razu wywnioskował, że jest oficerem armii Korei Północnej i więźniem pozostałych dwóch. Zaraz potem w namiocie znalazł się Puckett, mierząc z broni do oficera stojącego po prawej stronie. Chwycił pistolet *P-64* pułkownika, nim ten zdążył go użyć i przyłożył własną *Berettę* do jego czoła.

Gdy do środka wskoczył Moore, Kong, stojący obok wejścia do namiotu, wysunął lewą dłoń przed siebie i upuścił własny pistolet. Z bronią wymierzoną w głowę wysokiego ordynansa, Moore schylił się, by podnieść *P-64*. Nagle Kong sięgnął prawą dłonią za plecy, wyrwał zza pasa *TT-33* i wypalił prosto w lewe oko Moore'a. Żołnierz upadł, a Kong wycelował w Pucketta. Jednak Rodgers od samego początku przyglądał się Kongowi, a gdy zauważył, że sięga prawą dłonią za siebie, wycelował weń własną broń. Nie zdążył uratować Moore'a, lecz wpakował kulę w czoło Konga, nim ten zdążył strzelić do Pucketta. Ordynans zwalił się na ziemię, wypychając ciałem połę namiotu na zewnątrz.

Puckett z płonącymi nienawiścią oczyma wycedził do stojącego obok pułkownika.

- Nie ruszaj się, ścierwo.

Rodgers usłyszał krzyki żołnierzy na zewnątrz. Spojrzał na oficera na pryczy.

- Nie mam wyboru, muszę panu zaufać - powiedział, niepewny, czy tamten go rozumie. -

*Nodongi* nie mogą zostać odpalone.

Demonstracyjnie wymierzył broń w inną stronę i odsunął się na bok. Gestem dał znak, by Ki-Su wstał. Oficer lekko skinął głową.

- Zdrajcy! - krzyknął pułkownik San. - Patrzcie, jak umiera prawdziwy patriota!

Skoczył do przodu i szarpnął ku sobie dłoń Pucketta. Reagując odruchowo, jak podczas wielu godzin

ćwiczeń obronnych, szeregowiec strzelił. San jęknął, zgiął się wpół i upadł na ziemię u stóp Pucketta.

Rodgers kucnął przy nim i poszukał tętna.

- Nie żyje - powiedział. Odwrócił się do Moore'a. Wiedział, że zginął na miejscu, lecz i tak przyłożył mu palce do nadgarstka. Potem ściągnął koc z pryczy i podał go Puckettowi, który przykrył nim ciało Moore'a.

- Pułkowniku - powiedział Rodgers. - Czy mówi pan po angielsku?

Ki-Su pokręcił przecząco głową.

- *Pu-t'ak hamnida* - Rodgers użył kilku z niewielu słów koreańskich, jakie znał. - Proszę.

*Nodong* - Tokio.

Ki-Su skinął głową, gdy u wejścia do namiotu pojawili się jego żołnierze. Powstrzymał ich wyciągniętą dłonią i warknięciem wydał jakiś rozkaz. Potem wskazał na martwego mężczyznę. Powiedział coś, czego Rodgers nie zrozumiał. Pułkownik zastanowił się przez chwilę i powiedział:

- *Il ha-na, i tul, sam set...*

- Jeden, dwa, trzy - powtórzył Rodgers. – Liczby. Odliczanie? Nie, cyfry przecież rosną.

- *Czhił il-gop, sa net, il ha-na* - mówił dalej Ki-Su.

- Siedem, cztery, jeden - hasło? Kod? - Rodgers poczuł jak po grzbiecie przebiegają mu ciarki. Wskazał na martwego oficera. - On zmienił kod! Zabił się, żebyśmy nie mogli go od niego wyciągnąć.

Myślał gorączkowo. Obwody kontrolne *Nodongów* są w skrzyni, której konstrukcja powoduje automatyczne odpalenie pocisku, jeżeli ktoś dobiera się do niej. Nie można zatrzymać pocisków bez znajomości kodu.

- Jak dawno? - zapytał Rodgers. - *On-czhe-im-ni-ka?*

Ki-Su spojrzał na jednego z żołnierzy stojących przy wejściu i zadał mu to samo pytanie.

Żołnierz odpowiedział.

Jedynym słowem, które zrozumiał Rodgers było *szip jol*.

Dziesięć.

Mieli dziesięć minut do odpalenia trzech rakiet na Tokio. Szybko chwycił za radiostację Ki-Su,

wzywając Squiresa i prosząc o połączenie z Centrum przez satelitę.

□ Środa, godzina 19.20 - Centrum

Paul Hood i jego główni doradcy nadal znajdowali się w gabinecie, gdy zadzwonił

Rodgers. Hood puścił jego głos przez zewnętrzny głośnik, wokół którego zebrali się wszyscy obecni.

Paul - powiedział generał. - Jestem w bazie *Nodongów* i korzystam z radiostacji jej dowódcy Koreańczycy z Południa przejęli kontrolę nad bazą - w walce o jej odzyskanie straciliśmy Bassa Moore'a. Pułkownik Ki-Su robi, co może, ale nie zna kodu kasującego.

Tamci go zmienili, lecz już nie żyją. Mam niewiele ponad dziesięć minut do odpalenia rakiet na Tokio.

- Nie ma czasu na sprowadzenie samolotów z Południa ani z Północy - stwierdził Hood.

- Właśnie.

- Daj mi minutę - powiedział Hood i wywołał Matty'ego przez łącza komputerowe. - Matty, znajdź mi dane o *Nodongach*. Jak się je zatrzymuje bez znajomości kodu?

Twarz Stolla zniknęła, zastąpiona danymi o *Nodongach*. Specjalista od komputerów przeglądał schematy i dane techniczne.

- Obwody kontrolne umieszczone pod dwunastocentymetrową warstwą stali, żeby nic im się nie stało podczas startu... niech sprawdzę. Mamy trzy rzędy cyfr. W najwyższym jest licznik czasu. W środkowym są współrzędne celu. Cztery cyfry, które pozwalają na zmianę celu pozostają na ekranie przez jedną minutę po wprowadzeniu. To umożliwia ich zmianę przed zapamiętaniem na stałe. Potem na samym dole pojawiają znowu się cztery cyfry, które działają jako blokada systemu. Nie można dojść do numerów ze środkowego rzędu bez wprowadzenia cyfr z dolnego. Po minucie znikają z ekranu. Więc... trzeba tylko ustawić cztery cyfry pierwszego rzędu, środkowe na zero-zero-zero-zero i nie odpalą.

- Ale żeby to zrobić, trzeba wejść do programu.

- To prawda.

- A my nie mamy tego pierwszego zestawu cyfr.

- W takim razie nic nie możecie zrobić. A wprowadzenie wszystkich możliwych kombinacji czterech cyfr od zera do dziewięciu zabierze...

- Mam jakieś siedem minut.

- ...dłużej - dokończył Stoll. Nagle ożywił się. - Poczekaj chwilę, Paul. Chyba coś mam.



Z ekranu zniknął plik informacji o pocisku, zastąpiony zdjęciem bazy zrobionym przez satelitę.

- Daj mi jeszcze sekundę - powtórzył Stoll.

Przez telefon Hood słyszał stukot palców Stolla na klawiaturze komputera. Spojrzał na zegar odliczania. Chciał zatrzymać cyfry, spowolnić ich bieg, dać chłopakom więcej czasu na znalezienie rozwiązania. Znów doszedł tak daleko tylko po to, żeby w ostatniej chwili przegrać grę z losem o tyle istnień ludzkich. Uczucia temu towarzyszące nie znajdowały się w spisie obowiązków dyrektora Centrum.

- Martha - powiedział Hood w trakcie pracy Stolla. - Zadzwoń do Burkowa w Białym Domu. Powiedz mu, co się dzieje. Może prezydent będzie musiał zadzwonić do Tokio.

- Spodoba im się to - powiedziała Martha idąc do drzwi.

- Zadzwonię do twojego gabinetu, jak będę wiedział coś więcej - rzucił za nią Hood.

- Mam przeczucie, że w jakiś niewytłumaczalny sposób USA zostaną oskarżone o wszystko, co się dziś zdarzyło. - wtrącił Bob Herbert.

- Dzień się jeszcze nie skończył. - Hood zorientował się, że próbuje zachęcić swych podwładnych, by nie dawali za wygraną, nie dopuszczając do siebie myśli, że ostateczne rozstrzygnięcie już zapadło.

Nadal spoglądał na ekran, na którym powiększono zdjęcie *Nodongów*. Rozmiary jednego z pocisków co pięć sekund rosły dziesięciokrotnie.

- A niech to, dobry jestem, nie? - pochwalił się Stoll. - Widzisz, co tu mamy, Paul?

- *Nodonga*.

- Tak, ale przyjrzyj się uważnie. Zrobiłem to zdjęcie zaraz po wyczyszczeniu programu obsługi satelitów - oznajmił z dumą Stoll.

Hood pochylił się do przodu.

- Jesteś genialny, skurczybyku! - Przyjrzał się ekranowi i zmarszczył brwi. - A niech to jasny szlag!

Mogli przeczytać trzy z czterech cyfr w dolnym rzędzie – jeden, dziewięć i osiem.

Ktokolwiek programował kod, zasłaniał ostatnią cyfrę po prawej stronie.

- Stawiam na to, że ostatnia jest ósemka - zaryzykował Stoll. - Ten motyw powracał dzisiaj wiele razy.

- Miejmy nadzieję, że masz rację - westchnął Hood, gdy wrócił do Rodgersa. - Mike, zaprogramuj pociski w następujący sposób: jeden-dziewięć-osiem-osiem w dolnym rzędzie, powtarzam...

- Jeden-dziewięć-osiem-osiem, cztery zera w środku. Zostań na linii.

- Bez obaw - powiedział cicho Hood. - Nigdzie się nie wybieram.

□ Środa, godzina 9.24 - Góry Diamentowe

Siatki maskujące leżały obok pocisków, które błyszczały w słońcu poranka jak polerowana kość słoniowa. Rodgers wspiął się do tablicy kontrolnej wyrzutni najbliższego *Nodonga*, kazawszy wcześniej Puckettowi wprowadzić kod na drugiej, zaś pułkownikowi Ki-Su - na trzeciej. Za pułkownikiem biegł sanitariusz, klnąc na czym świat stoi, bezskutecznie ponawiając próby zabandażowania w biegu ranej ręki dowódcy.

Rodgers wprowadził po kolei cyfry jeden-dziewięć-osiem-osiem, po czym stał, czekając na pojawienie się środkowego rzędu cyfr.

Nie pojawiły się.

- U mnie nic - zameldował Puckett.

- Wiem - odparł Rodgers.

Nie próbował nawet wprowadzać cyfr po raz drugi. Nie mógł ryzykować mając tylko cztery minuty i dwadzieścia pięć sekund czasu. Biegiem wrócił do namiotu.

- Paul - powiedział. - Nie działa. Jesteście pewni tych cyfr?

- Tylko pierwszych trzech – przyznał. - Ale ostatniej nie znamy.

- Świetnie - warknął Rodgers, wyskakując z namiotu. Wracając do *Nodonga* myślał

intensywnie. Niecałe pięć minut. Pięć sekund zabiera zmiana każdej z cyfr. Nie ma zbyt wiele czasu.

- Szeregowy Puckett! - krzyknął Rodgers. - Zaczynicie od jeden-dziewięć...

Nagle do *Nodonga*, na którym stał Puckett podbiegł obwieszony medalami żołnierz.

Zepchnął żołnierza na ziemię, wyjął pistolet i strzelił raz w stronę szeregowca. Potem odwrócił się i wpakował kilka pocisków w klawiaturę, zanim Ki-Su zdążył wydać swym ludziom rozkaz obezwładnienia go. Koreańczycy natychmiast powalili na ziemię wrzeszczącego wniebogłosy mężczyznę.

Głos Squiresa zaskrzeczał przez połowę radiostację.

- Słyszeliśmy strzały. Co to było?

Rodgers wyrwał swój radiotelefon z futerału za pasem.

- Komuś nie spodobało się, że tu jesteśmy - wyjaśnił. Nie martw się, mają go.

- Czujemy się trochę bezużyteczni tu na górze - poskarżył się Squires.

Rodgers nie odpowiedział, lecz doskonale go rozumiał. Jednak w tej chwili miał większe kłopoty na głowie.

Sanitariusz zostawił Ki-Su i podbiegł do Pucketta. Opanowując impuls, by do niego dołączyć, Rodgers wspiał się na najbliższego *Nodonga* i zaczął wprowadzać cyfry. Jeden-dziewięć-osiem-zero.

Nic.

Jeden-dziewięć-osiem-jeden.

Nic. Nic, dopóki nie dotarł do jeden-dziewięć-osiem-dziewięć. Rozległ się sygnał

dźwiękowy, środkowy rząd cyfr pojawił się na ekranie i generał szybko zmienił cyfry na zero-zero-zero-zero. Gdy to uczynił, pocisk zaczął opuszczać się na wyrzutnię. Licznik czasu u góry wskazywał dwie minuty i dwie sekundy.

Rodgers pobiegł do wyrzutni Pucketta. Klawiatura była doszczętnie zniszczona, lecz przynajmniej Puckett żył. Lekarz ściągnął mu koszulę i wycierał krew z rany na ramieniu.

- Panie pułkowniku! - krzyknął do Koreańczyka Rodgers, zeskoczywszy z wyrzutni. Oparł

dłonie na boku pojazdu. - Musimy pchać... zepchnąć go na bok, żeby wystrzelił w stronę tamtych wzgórz. - Wskazał dłonią kierunek. - Pusto - nikt nie zginie.

Ki-Su zrozumiał i wydał rozkazy swoim ludziom odpowiednie rozkazy. Gdy lekarz odciągał Pucketta z drogi, piętnastu ludzi podbiegło do boku pojazdu i zaczęli pchać z całych sił. Ki-Su przestrzelił opony po przeciwnej stronie pojazdu. Tymczasem Rodgers zajął się ostatnim pociskiem. Jeszcze nie jest za późno, uda nam się..., modlił się w duchu.

Za

sobą

usłyszał

skrzypienie

stalowego

dźwigara

wyrzutni

spowodowane

przemieszczeniem masy pocisku. Nie zatrzymując się spojrzął za siebie; wyrzutnia pochylała się wraz z pojazdem, pocisk przesunął się na bok podnośnika, a krzyk żołnierzy przywitał

pojawienie się dymu w dyszach rakiety, z których po chwili strzelił żółto-pomarańczowy płomień. *Nodong* odpalił tuż po wywróceniu pojazdu.

Niemożliwe, pomyślał Rodgers, padając na ziemię i zakrywając rękami głowę. Samo przewrócenie ciężarówki nie mogło wywołać odpalenia pocisku.

Krzyczący żołnierze rozbiegli się we wszystkich kierunkach, byle dalej od iglicy płomienia, gdy pocisk uwolniwszy się z przewróconej wyrzutni ruszył przed siebie, niszcząc namioty, samochody, drzewa i wszystko inne na swej drodze. Wreszcie trafił w stok wzgórza, wysyłając na ponad trzysta metrów w powietrze ognistą kulę i gorącą falę uderzeniową w stronę bazy.

Gdy poczuł, że grzmot eksplozji przetoczył się nad nim, Rodgers wstał i pobiegł w stronę ostatniego z *Nodongów*. Przez cały czas nurtowała go niepokojąca myśl - obawa, że oficer z Korei Południowej będzie się śmiał ostatni. Wszyscy założyli z góry, że pociski zaprogramowane są na odpalenie o tej samej porze.

A jeżeli nie? Bo niby dlaczego? Przechodził od jednego do drugiego i trzeciego. Pory odpalenia poszczególnych pocisków mogły się różnić między sobą o kilka minut. Pierwszy zaprogramowany pocisk właśnie odpalił. Ten, który udało mu się unieszkodliwić mógł być drugim, lub trzecim. Co oznaczało, że ma ledwo minutę...

W odległości dwudziestu metrów od *Nodonga* zauważył dym, wydobywający się z dysz jego silników. Nareszcie rozumiał. Pociski miały zostać odpalone o różnych porach.

Oczywiście. Dlaczego nie?

Nie ma czasu na wysłanie odrzutowców ani użycie pocisków powietrze-powietrze. Na nic się to nie zda w przypadku rakiety, która osiąga prędkość ponad trzech tysięcy kilometrów na godzinę. Nawet baterie *Patriotów* w Japonii nie gwarantowały powodzenia - a jeżeli *Nodong* nie przeleci w pobliżu żadnej z nich?

- Panie pułkowniku! - krzyknął Rodgers, biegnąc z powrotem w stronę Ki-Su.

Istniała tylko jedna szansa. Lecz tym razem koreański oficer uprzedził go. Gdy *Nodong*, sycząc i buchając płomieniami szykował się do startu z wyrzutni, Ki-Su wykrzykiwał już do swej radiostacji rozkazy, zaś jego ludzie błyskawicznie chowali się za załomami i półkami skalnymi.

Dobry żołnierz, pomyślał Rodgers, gdy dosłownie przeleciał nad płonącymi szczątkami dżipa zniszczonego przez poprzedniego *Nodonga*. Wylądował twardo na boku i nakrył

rękami głowę w chwili, gdy ostatni pocisk, jak uwolniony z łańcuchów smok, wzbił się w górę na oślepiającym słupie ognia, przecinając poranne niebo.

Rodgers pomyślał o Squiresie i reszcie oddziału. Sięgnął po przytroczony do pasa radiotelefon, lecz ten, pogruchotany siłą upadku, nie nadawał się już do użytku. Teraz mógł

się tylko modlić, żeby opacznie nie zrozumieli tego, co widzą...

□ Środa, godzina 19.35 - Centrum

- Złe wieści, Paul - zameldował przez telefon Stephen Viens z NRO. - Wygląda na to, że wymknął im się jeden z *Nodongów*.

- Kiedy?

- Parę sekund temu. Widzieliśmy, jak odpala i czekamy na kolejne zdjęcia.

- Czy Hefajstos jest w pogotowiu? - zapytał Hood.

- Tak. Damy ci znać, gdzie leci.

- Zostanę na linii - powiedział Hood i przełączył bezpieczną linię na głośnik. Spojrzał na Darrella McCaskeya i Boba Herberta.

- Co się dzieje, szefie? - zapytał Herbert.

- Jednego z *Nodongów* nie udało im się zatrzymać - odparł Hood. - Kieruje się w stronę Japonii. Bob, sprawdź, czy jest tam w okolicy jakiś *AWACS* i powiedz Pentagonowi, żeby podnieśli myśliwce z Osaki.

- Nigdy go nie dostaną. - Herbert pokręcił głową. - Równie dobrze można szukać igły w stogu siana wielkości Georgii.

- Wiem - odparł Hood. - Ale musimy spróbować. Jak będą mieli szczęście, wyjdą prosto na niego. Darrell, niech NRO zdejmie przez Hefajstosa ślad cieplny pocisku. Będziemy mieli trajektorię, żeby dać chłopakom jakieś ogólne namiary. Zamilkł na chwilę. Tyle istnień ludzkich, pomyślał. Trzeba od razu zawiadomić prezydenta, żeby mógł zatelefonować do premiera Japonii. - Może uda nam się dać ludziom choć kilka minut na to, żeby poszukali schronienia - dodał. - Przynajmniej tyle możemy zrobić.

- Racja - przyznał McCaskey.

Hood miał właśnie zamiar zatelefonować do Białego Domu na drugiej linii, gdy powstrzymał go Viens.

- Paul - mamy coś nowego na ekranie.

- Co?

- Błyski - oznajmił podniecony Viens. - Więcej, niż widziałem nad Bagdadem w czasie

„Pustynnej Burzy”.

- Co za błyski? - zapytał Hood.

- Nie jestem pewien, czekamy na następne zdjęcie. Ale to jest niewiarygodne!



## □ Środa, godzina 9.36 - Góry Diamentowe

Z lornetką przyciśniętą do oczu podpułkownik Squires patrzył na wznoszącego się *Nodonga* i baterie dział przeciwlotniczych, które właśnie otwierały ogień. Z początku nie skojarzył tych dwóch faktów. Wydało mu się, że za chwilę nastąpi atak z powietrza na bazę i jego pierwszą myślą było rozdzielić ludzi i kazać im zaatakować pozycje artylerii. Ale po co mieliby strzelać ogniem krzyżowym? Przecież na nadlatujące samoloty naprowadzałby je radar. Potem zauważył, że lufy dział, nie przerywając ognia, schodzą niżej i domyślił się, o co chodzi.

Podawane z magazynków pociski kalibru 37 mm ze świstem pędziły w niebo z czterech baterii, po jednej z każdej strony bazy, stawiając ścianę ognia na wysokości około trzystu metrów nad wyrzutniami *Nodongów*. Kierowane radarem pociski zderzały się ze sobą, zastępowane nowymi co pół sekundy.

*Nodong* przyspieszał - trzydzieści, sześćdziesiąt metrów z każdą chwilą zbliżając się ku zaporze ogniowej stworzonej przez Koreańczyków po to, by zestrzelić własną raketę.

Pociski przeszywały poranne niebo, lufy dział nadal obniżały się, a odgłosy kanonady zaczęły przypominać trzaskanie fajerwerków. Obraz ten przywiódł Squiresowi na myśl zimne ognie, których wypalony pręt sterczał do góry, zaś płomień stopniowo schodził na dół.

Od chwili odpalenia *Nodonga* minęły tylko dwie lub trzy sekundy, lecz rakietę znajdowała się już bardzo blisko błyskającej, iskrzącej się bariery. Nikt nie mógł zagwarantować, że ogień przeciwlotniczy zatrzyma raketę. Istniało nawet niebezpieczeństwo, że pociski tylko uszkodzą raketę lub sprowadzą ją z kursu i poślą w dół lub w stronę wiosek w Korei Północnej lub Południowej.

Odłamki padały na bazę jak biblijny płonący grad, wznecając pożary namiotów i pojazdów. Squires miał nadzieję, że Rodgers i jego ludzie są bezpieczni na dole i że fala ognia nie pochłonie ludzi na ziemi w przypadku, gdy pocisk eksploduje.

Ile razy uderzyło mu serce od chwili odpalenia *Nodonga*? Tylko kilka, powiedział sobie. W

chwili, gdy wierzchołek pocisku trafił w ścianę ognia zaporowego, wydawało się nawet, że całkiem zamarło. Jak we śnie, w zwolnionym tempie rozszalało się piekło płomieni i metalu.

Grad pocisków obsypał raketę z góry na dół, waląc w nią to z jednej, to z drugiej strony, jak w zasadzce na filmie gangsterskim. Za każdym trafieniem ciężki metaliczny łoskot nakładał

się na jednostajny terkot dział.

Naraz celna seria rozpruła raketę na całej długości od dziobu po ziejące płomieniami dysze silników i świat przed oczyma Squiresa z niebieskiego stał się nagle czerwony, gdy eksplodowało niebo.

□ Środa, godzina 9.37 - Góry Diamentowe

Rodgers słyszał eksplodujące pociski i odłamki, spadające wokół z sykiem na ziemię.

Chociaż wiedział, że straszliwa twarz Meduzy jest blisko, musiał na własne oczy zobaczyć, co się dzieje, więc odkrył głowę i mrużąc oczy spojrzął w górę. Furia niesamowitego widowiska, którego był świadkiem zapała mu dech w piersiach.

Spośród wszystkich historyków, filozofów i dramatopisarzy, których czytał i potrafił

cytować z pamięci, tylko jedna postać pewnego prawnika przyszła mu do głowy, gdy patrzył

na raketę, wznoszącą się ku ścianie rozrywających się pocisków...

... i czerwonych rakiet świst, i bomb w powietrzu błysk... *Nodong* próbował precyzyjnie się przez ścianę ognia, lecz osaczony ze wszystkich stron eksplodował z wściekłością, jakby znajdował się tylko kilka metrów nad ziemią, a nie prawie czterysta.

Rodgers znów zasłonił głowę dłońmi, na których gorący podmuch wybuchu opalił włoski.

Zimny pot na plecach w ułamku sekundy stał się gorący. Z całych sił zatkał sobie palcami uszy, by ochronić je przed potwornym hukem eksplozji, który nadszedł po ułamku sekundy z taką mocą, że dosłownie wcisnął go w ziemię.

W kolejną chwilę później z nieba spadł ogniisty grad szczątków zniszczonego *Nodonga*.

Padające wokół z trzaskiem i łoskotem kawałki rakiety miały wielkość monet, inne osiągały nawet rozmiary talerzy. Rodgers na poły wczołgał się pod zniszczonego dzipa, na poły wtulił

się w niego, by przeczekać niebezpieczeństwo. Nagle krzyknął i odruchowo zgiął nogę, gdy kawałek metalu wielkości paznokcia wylądował mu na łydce i oparzył go, przepaliwszy nogawkę spodni.

Chwilę później zaległa ciężka i głęboka cisza, na którą stopniowo nałożyły się odgłosy nawoływania żołnierzy.

Rodgers wczołgał się spod dzipa. Stał na równych nogach i spojrzął w niebo. Było czyste i jasne z wyjątkiem kilku szybko rozpraszanych wiatrem pasemek ciemnego dymu.

Rozejrzawszy się wokół stwierdził, że *Ki-Su* jest cały i zdrowy, podobnie jak większość jego żołnierzy, którzy, choć ogłuszeni wybuchem i z lekkimi obrażeniami, wydawali się być w niezłej formie.

Amerykanin zasalutował pułkownikowi. Teraz na miejscu wydawał się cytować z Szekspira:

„Bo nigdy nic na opak wyjść nie może,

Gdy obowiązek i otwartość dopomoże".

□ Środa, godzina 9.50 - Góry Diamentowe

Gdy Rodgersowi udało się przekazać Ki-Su informację, że reszta jego oddziału czeka w górach, pułkownik wysłał po nich ciężarówkę. Po dotarciu do bazy większość Amerykanów zdradzała zdenerwowanie, lecz Squires ucieszył się na widok Rodgersa. Z taką samą radością Puckett powitał swą radiostację, którą podpułkownik zostawił przy nim, gdy koreański lekarz kończył opatrywać rannego w ramię szeregowca.

- Cieszę się, że nie strzelaliście - powiedział Rodgers, popijając wodę z manierki Squiresa. -

Bałem się, że każesz strzelcom wyborowym zdjąć ludzi przy działach.

- Mógłbym - powiedział Squires - gdyby nie strzelali ze wszystkich dział jednocześnie.

Zabrało mi to chwilę, ale domyśliłem się, co robią.

Puckett zakładał właśnie słuchawki, gdy rozległ się znajomy sygnał, oznaczający nawiązanie łączności. Telefonował Hood z Centrum. Rodgers i Squires stali w pobliżu dżipa, na którego tylnym siedzeniu leżało nakryte kocem ciało Moore'a. Rodgers natychmiast skoczył ku radiostacji, a w ślad za nim ruszył Squires.

- Tak jest - odpowiedział Puckett. - Już łączę z generałem.

Podał słuchawki Rodgersowi.

- Dzień dobry, Paul.

- Dobry wieczór, Mike. Dokonaliście tam prawdziwego cudu. Moje gratulacje.

Rodgers milczał przez chwilę.

- Mamy straty, Paul.

- Wiem. Nie powinieneś jednak żałować żadnej ze swych decyzji - powiedział Hood. -

Dzisiaj straciliśmy kilku dobrych ludzi, ale taka jest parszywa cena naszego zawodu.

- Wiem - powiedział Rodgers. - Ale nie powtarzasz sobie tego, gdy w nocy kładziesz się spać.

- W ostatecznym rozrachunku nie zapomnij wziąć pod uwagę ludzi, którym ocaliłeś życie.

Bob mówił, że ten drugi żołnierz jest ranny...

- Puckett. Dostał w ramię, ale wyjdzie z tego. Posłuchaj, myślę, że pułkownik Ki-Su będzie chciał

nas odprowadzić na miejsce, skąd odbierze nas helikopter, więc zaraz będziemy się stąd zbierać.

- To nagłe odprężenie wydaje mi się trochę dziwne - powiedział Hood.

- Nie bardzo - odparł Rodgers. - Robert Louis Stevenson radził kiedyś swoim czytelnikom, żeby najpierw na własnej skórze doświadczyli zwyczajów innych narodów, zanim wyrobią sobie o nich opinię. Zawsze uważałem, że coś w tym jest.

- Czegoś takiego nie sprzedasz Kongresowi, Białemu Domowi ani żadnej innej władzy na świecie - zwrócił mu uwagę Hood.

- Racja - przyznał Rodgers. - Dlatego Stevenson napisał też „Doktora Jekylla i pana Hyde'a”. Mam wrażenie, że także nie miał złudzeń co do natury człowieka. Skontaktuję się z tobą w drodze powrotnej z Japonii. Chciałbym usłyszeć, co powie na to prezydent.

Hood roześmiał się.

- Ja też.

Poprosiwszy Hooda, żeby sprawdził u Marthy Mackall parę słów po koreańsku, Rodgers i jego ludzie wsiedli do dwóch ciężarówek, które miały ich zabrać w góry wraz z oddziałem Ki-Su.

Otwarta ciężarówka podskakiwała na nierównej drodze. Siedzący obok Squiresa Rodgers, mniej więcej co dwieście metrów naciskał przycisk trzymanego w dłoni małego przyrządu w kształcie zszywacza, którego działanie zademonstrował podpułkownikowi, gdy znajdowali się jeszcze w samolocie transportowym w drodze do Korei.

- To radiolokator, prawda, panie generale? - zapytał Squires.

Rodgers skinął głową.

- Co pan robi?

- Wysadzam kulki - powiedział. - Zaufanie jest w porządku, lecz ostrożność nigdy nie zawadzi.

Squires przyznał mu rację.

*Sikorsky S-70 Black Hawk* przyleciał w Góry Diamentowe dokładnie o umówionej porze.

Jego pilot nie posiadał się ze zdumienia, gdy Squires kazał mu od razu lądować.

- Żadnych drabinek sznurowych ani szybkich nawrotów? - upewnił się.

- Nie - potwierdził Squires. - Wyjeżdżamy jak prawdziwi dżentelmeni.

Smigłowiec miękko opadł na ziemię. Dwie sterzące po jego bokach lufy karabinów maszynowych *M-60* milczały złowroźnie. Gdy oddział zajmował miejsca w maszynie, Rodgers i Ki-Su pożegnali się. Przyglądał się im Squires.

Ki-Su wygłosił krótkie przemówienie do amerykańskich oficerów, w którym tylko słowa były obce. Dziękował im za wszystko, co zrobili w obronie jego ojczyzny. Gdy skończył, Rodgers skłonił głowę i powiedział:

- *Anjong-hi ka-szip-szio.*

Ki-Su spojrzał nań z zaskoczeniem zmieszonym z radością i odpowiedział:

- *Anjong ha-simni-ka.*

Obaj mężczyźni zasalutowali, po czym Amerykanie odwrócili się i wsiedli do helikoptera.

W środku Squires sprawdził, jak czuje się Puckett, leżący na noszach na podłodze maszyny.

Potem ciężko opadł na miejsce obok . Rodgersa.

- O czym mówiliście? - zapytał.

- Kiedy rozmawiałem z Paulem, poprosiłem go, żeby zapytał Marthy Mackall jak się mówi po koreańsku „do widzenia i zostańcie w pokoju”.

- Miły akcent na pożegnanie.

- Pewnie - zgodził się Rodgers. - Martha i ja nie przepadamy za sobą... więc z tego co wiem, równie dobrze mogłem mu powiedzieć, że mam uczulenie na penicylinę.

- Nie sądzę. - Squires pokręcił głową. - Jego odpowiedź brzmiała bardzo podobnie do pana własnych słów. Chyba że obaj jesteście uczuleni.

- Wcale bym się nie dziwił - odparł, gdy zamknięto drzwi helikoptera i *Black Hawk* wzniósł się powoli w jaśniejące niebo. - Z każdym dniem, Charlie, coraz mniej się dziwię.

□ Środa, godzina 10.30 - Seul

Kim Huan siedział na łóżku, podparty tylko uniesionym materacem. Poduszka leżała tuż obok na skraju łóżka, lecz po fizycznych i emocjonalnych przeżyciach ostatnich kilku godzin był zupełnie pozbawiony sił i chęci, by wyciągnąć rękę i ją przysunąć.

Człowiek, który miał uratować półwysep nie może nawet przysunąć sobie poduszki. W tym stwierdzeniu znalazłoby się chyba trochę ironii, on jednak nie był w nastroju jej szukać.

Tępy ból w boku nie pozwalał zasnąć, zaś ciasne bandaże utrudniały oddychanie. Śmierć Gregory'ego Donalda była jak koszmar, z którego nie mógł się obudzić. Jakkolwiek niewiarygodna mogła się wydawać, nosiła w sobie załączek nieuchronności. Życie Donalda skończyło się wraz ze śmiercią fony. Czy naprawdę zginęła niecały dzień wcześniej?

Przynajmniej teraz są razem. Donald nie uwierzyłby w to, Sundzi i Huan - tak. Był więc przegłosowany Czy tego chciał, czy nie, ten stary, uparty ateista był aniołem.

Z rozmyślań i zapatrzania w ścianę z cegły za oknem wyrwał go telefon od Boba Herberta.

Amerikanin zdał mu relację z wydarzeń, które rozegrały się w ciągu ostatnich kilku godzin w Górach Diamentowych i poinformował o pozostałych ludziach biorących udział w spisku -

zabitych przez oddział Iglica w bazie *Nodongów*. Huan wiedział, że nieprędko dostaną ciała zabitych, lecz był pewien, że Północ prześle im odciski palców do identyfikacji.

- Od tej pory nikt inny nawet nie pisnął - uzupełnił Herbert. - Wniosek z tego, że albo mamy wszystkich z głowy, albo schowali pazury i prędzej czy później spróbują jeszcze raz.

- Jestem pewien - odparł cicho Huan - że nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa...

- Chyba masz rację - przyznał Herbert i dodał: - Radykałowie są jak wilki - zawsze działają w stadzie.

Huan powiedział, że podoba mu się to porównanie, po czym Herbert przekazał mu podziękowania Hooda za wysiłki KCIA i życzył szybkiego powrotu do zdrowia.

Odkładając słuchawkę, postanowił jednak podnieść poduszkę. Naraz z zaskoczeniem stwierdził, że ktoś inny po nią sięga. Dwie silne dłonie delikatnie uniosły mu głowę, wsunęły pod nią poduszkę i poprawiły, żeby mu było wygodnie.

Oczy Huana podążyły w bok.

- Dyrektor Jang-Hun - powiedział z zaskoczeniem. - Gdzie jest...

- Hongtack? Powinien być teraz w drodze na swoje nowe stanowisko - kuter rybacki, prowadzący nasłuch chińskich przekazów radiowych na Morzu Żółtym. Chyba uważał, że różnice w naszym stylu pracy są słabością, a nie silną stroną agencji.

- Może... powinien mi pan zarezerwować miejsce obok niego - powiedział Huan. - Też tak uważam.

Jang-Hun skrzywił się

- Od czasu do czasu mogło się innym wydawać, że działamy sobie na przekór. Lecz od dziś nigdy więcej się to nie zdarzy.

Ktoś z rządu musiał odbyć z dyrektorem poważną rozmowę na temat skuteczności jego działań w czasie kryzysu. Co więcej, Huan wcale by się nie dziwił, gdyby mu powiedziano, że Bob Herbert lub Paul Hood wykonali kilka telefonów w jego sprawie. Jang-Hun był

wyjątkowo podatny na tego rodzaju naciski.

Dyrektor położył dłoń na rękę Huana.

- Gdy już stąd wyjdiesz, postaramy się inaczej ustawić pracę. Dostaniesz niezależne stanowisko i nie będziesz musiał zwracać się ze wszystkim do mnie...

Ktoś na pewno do niego zatelefonował.

- ... będziesz mógł ustawić sobie wszystko tak, jak chcesz. Podsunąłem także prezydentowi pomysł, żeby ufundował stypendium uniwersyteckie na wydziale nauk politycznych na cześć Gregory'ego Donalda.

- Dziękuję - powiedział Huan. - Niech pan nie zapomni o żonie Czho. Będzie potrzebować pomocy.

- To już załatwione - oznajmił Jang-Hun.

Huan uważnie przyglądał się dyrektorowi, zadając kolejne pytanie:

- A co słychać u panny Czhong?

Jang-Hun skrzywił się, jakby nagle zaczął go uwierać kołnierzyk koszuli.

- Wyjechała. Tak, jak prosiłeś - pozwoliliśmy jej odjechać.

- Uratowała mi życie. Byłem jej to winien. Ale śledziliście ją, prawda?

- No... tak - przyznał Jang-Hun. - Ciekawi byliśmy, dokąd pojedzie.

- I co?



- Trafiła do Jangjang - powiedział dyrektor. - Do domu twego wuja.

Huan uśmiechnął się. Nigdy jej nie znajdą. Wuj Pak wywiezie ją po kryjomu swą łodzią, na którą nigdy nie ośmielił się wejść i jakoś załatwi przerzut do Japonii.

- Nie uważasz, że znów będzie szpiegować dla Północy? - zapytał Jang-Hun.

- Nie - odparł Huan. - Zmusili ją do tego. Cieszę się, że wreszcie znajdzie życie, jakiego zawsze pragnęła.

Jang-Hun poklepał go przyjaźnie po dłoni.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. - Dyrektor wstał. - Jeden z naszych ludzi, Park, czeka za drzwiami. Jakbyś czegoś potrzebował, daj mu znać albo *dzwoń* prosto do mnie.

Huan podziękował, obiecując, że skorzysta z propozycji i Jang-Hun zostawił go - nie samego, bo wraz jego duchami, na przemian miłymi i bolesnymi wspomnieniami o Sundzi i Gregorym Donaldzie, o biednym kierowcy Czho i o zamkniętej w sobie, lecz czarującej pannie Czong. Nie był pewien, czy wuj powie mu, dokąd ją zawiózł, lecz przyrzekł sobie, że i tak jakoś ją odnajdzie. Tego dnia przekonał się, że przyjaźń i lojalność potrafią łączyć ludzi mimo dzielących ich granic.

Dla wzmocnienia takich więzów warto było znaleźć czas. Przecież ostatecznie pamiętał

ludzi ze względu na to, co mieli w sercach, nie za zawartość ich akt.

## □ Środa, godzina 21.00 - Centrum

Prezydent przybył do Centrum bez zapowiedzi. Przyjechał swą długą opancerzoną limuzyną w towarzystwie tylko dwóch agentów Ochrony Białego Domu i kierowcy -

żadnych doradców ani dziennikarzy.

- Bez dziennikarzy? - zdziwiła się Ann, gdy strażnik przy bramie wjazdowej bazy sił

powietrznych w Andrews zawiadomił Paula Hooda o jego przybyciu. - Więc to były prezydent.

- Jesteś zbyt cyniczna - powiedział Hood, siedząc wygodnie za swym biurkiem. Właśnie skończył informować szefów wszystkich działów Centrum o szczęśliwym zakończeniu kryzysu. Wymieniając wszystkich z nazwiska - Boba Herberta, Marthę Mackall, Darrella McCaskeya, Matta Stolla, Lowella Coffeya, Liz Gordon, Phila Katzena i Ann Farris -

podziękował im nie tylko za przedsiębiorczość, lecz także za pomysłowość i owocną współpracę. Dodał, że nigdy nie widział zespołu tak doskonale uzupełniającego się na wszystkich frontach, i że jest dumny z tego, co zrobili... dumny ze wszystkich razem i każdego z osobna.

Miał właśnie wyjść z Czołgu, gdy nadeszła wiadomość o wizycie prezydenta, więc usiadł i czekał.

Ann czekała wraz z nim. Nie mogła przestać się uśmiechać. Była szczęśliwa nie tylko dlatego, że wszystko ułożyło się po myśli Centrum, nie tylko dlatego, że wszystkie stacje telewizyjne w porze najlepszej oglądalności przerwały program, by podać wiadomość o zniszczeniu *Nodonga*, wreszcie nie dlatego, że ona sama i jej odpowiednik z Pentagonu, Andrew Porter, przedstawili prasie działania Gregory'ego Donalda i generała Michaela Schneidera jako akt najwyższego poświęcenia dla ludzkości. Ich wersja wydarzeń pojawiła się tak szybko, brzmiała tak przekonująco i szczerze, iż jakkolwiek komentarz ze strony KRL-D na temat spisku majora Li wypadnie mściwie i niewdziecznie.

Ann rozpierała duma z Paula.

Potrafił pogodzić swe stanowisko szefa Centrum z obowiązkami męża i ojca. Ani jedno ani drugie nie należało do łatwych, nigdzie nie mógł liczyć na taryfę ulgową. Sama nie wiedziała, jak zdołał sobie z tym wszystkim poradzić. Sharon Hood pewnie nigdy się nie dowie, ile kosztował go ten dzień, lecz Ann wiedziała. Starła się wymyślić jakiś sposób, żeby jej o tym powiedzieć... Lecz nic jej nie przychodziło do głowy.

Ładny ze mnie rzecznik, roześmiała się w duchu.

Nie, prawda była trochę inna. Myśli Ann z trudem można było zmieścić w kanonie tego, co gorący wielbiciel miał prawo przekazać żonie Hooda. Chciała powiedzieć, że Paul jest bardzo szczególnym

człowiekiem, o dobrym sercu i niespotykanej prawości. O ile mogła się zorientować, krył w sobie także głębokie pokłady uczuć. Ann powiedziała by Sharon, choć tylko w wyobraźni, żeby troszczyła się o Paula i pozwoliła mu się o nią troszczyć, by pamiętała, że pewnego dnia odłoży pracę na bok, dzieci wyrosną, zaś miłość, którą pielęgowali - rozkwitnie i wzbogaci ich życie.

Niewiele usłyszała z tego, co Paul mówił im o nabożeństwie żałobnym za Gregory'ego Donalda i Bassa Moore'a. Jej umysł i serce były gdzie indziej... razem z Paulem, w świecie wyobraźni, gdzie tuli ją i całuje, gdy wszyscy dawno już sobie poszli, potem zabiera ją na szybką kolację, odwozi do domu i kochają się, potem ona zasypia z głową na jego piersi...

- Panie Hood? - powiedział Bugs przez komputer.

- Tak?

- Idzie prezydent.

Hood nie mógł powstrzymać wybuchu śmiechu, gdy Bugs wywołał na ekran obraz z kamery na korytarzu. Prezydent pozdrawiał załogę Centrum, zatrzymując się na chwilę, by uścisnąć dłonie ludziom, których nie znał. Na każdego spoglądał tylko przez mgnienie oka -

dopóki nie znalazł nowej twarzy.

Gdy prezydent wszedł do gabinetu, Paul wstał wraz z innymi szefami działów, którzy jeszcze nie stali. Lawrence zmarszczył brwi ze zniecierpliwieniem i gestem kazał im usiąść.

Wszyscy, z wyjątkiem Paula, usłuchali go. Prezydent podszedł do niego przez całą długość gabinetu i potrząsnął mu dłoń.

- Moje gratulacje dla szefa sztabu kryzysowego.

- Dziękuję, panie prezydencie.

Siedząca za nimi Ann syknęła ze złości. Nie żaden sztab, tylko Paul i Centrum.

Prezydent odwrócił się, zacierając dłonie.

- Wspaniała, naprawdę wspaniała robota. Wszyscy, którzy przyczynili się do pomyślnego zakończenia kryzysu, począwszy od Paula, przez oddział Iglica, agencję bezpieczeństwa narodowego Steve'a Burkowa, na was wszystkich skończywszy, spisali się ponad wszelkie oczekiwania.

- Mogliśmy liczyć na pomoc innych - uzupełnił Hood. - Gregory'ego Donalda, Kima Huana z KCIA, północnokoreańskiego oficera w bazie *Nodongów*...

- Masz rację, Paul. Ale właśnie ty zmontowałeś cały system wsparcia operacyjnego w celu zażegnania kryzysu. Tobie zawdzięczamy koordynację działań tak wielu instytucji. Generał

Schneider powiedział mi, że planuje rozesłanie wszędzie listu pochwalnego w sprawie pana Donalda. Będą także wyróżnienia dla żołnierzy Iglicy, którzy poświęcili się dla sprawy.

Poświęcili się, powtórzyła w myślach Ann. Tak mówią prezydenci, kiedy nie są pewni ilu ludzi zginęło, a ilu zostało rannych. Lecz nie pozwoli Lawrence'owi popsuć sobie tej chwili i miała nadzieję, że Paul będzie mu przypominał o ludziach, którzy przyczynili się do ich sukcesu. Wszystko, co robił wyносиło go w jej oczach.

Droga Sharon, zaczęła w myślach układać list. Mam nadzieję, że mi pani wybaczy, ale porwałam pani męża. Oddam go dopiero wtedy, gdy będę z nim w ciąży, bo bardzo chcę mieć kawałek tego mężczyzny dla siebie na zawsze...

- Ale - podjął prezydent - nie przybyłem tu tylko po to, żeby wam podziękować i obsypać gratulacjami. Kiedy pół roku temu organizowałem Centrum, całe przedsięwzięcie miało próbny charakter. Ja sam i kilku innych ludzi, jak na przykład Colon, czy Steve Burkow, chcieliśmy się przekonać, na ile sztab kryzysowy może stać się pożytecznym łącznikiem i koordynatorem działań rozpoznawczych i militarnych. Żaden z nas nie wiedział, czy się uda.

- Prezydent uśmiechnął się szeroko. - Z pewnością żaden z nas nie spodziewał się, że spisie się aż tak dobrze.

Lowell Coffey z aprobatą powitał słowa prezydenta.

Prezydent mówił dalej:

- Jeżeli chodzi o mnie i moich doradców, Centrum zasłużyło na coś więcej. Nie jesteście już prowizorycznym dodatkiem do innych agencji, więc jutro na prywatnym lunchu w Białym Domu chciałbym was oficjalnie powołać do życia. Potem omówimy sobie z Paulem potrzeby Centrum i sposoby ich zaspokojenia w celu zwiększenia skuteczności waszych przyszłych działań. Z pewnością Kongres nie da nam wszystkiego od razu, ale będziemy się cholernie starać.

- Panie prezydencie - powiedział Hood wstając. - Bardzo sobie cenimy pańskie wotum zaufania. O ile ostatnich sześć miesięcy wydawało się wlec w nieskończoność, dzisiejszy dzień był dla nas znacznie dłuższy... i cieszymy się z pomyślnego zakończenia sprawy Ale co do jutra, obawiam się, że nie będę mógł przyjść na lunch.

Po raz pierwszy odkąd znała prezydenta, Ann Farris zauważyła, że nie posiada się ze zdumienia.

- Naprawdę? - powiedział, drapiąc się w czoło. - Jeżeli masz bilety na mecz pucharowy, sam bym się chętnie wybrał.

- Nie, panie prezydencie - powiedział Hood. - Jutro chciałbym sobie wziąć dzień urlopu, żeby nauczyć syna grać w szachy i poczytać z nim parę brutalnych komiksów.

Prezydent skinął głową, a na ustach pojawił mu się szczery uśmiech.

Ann Farris w duchu przyklasnęła słowom Paula.

KONIEC